

1990.479  
Chr.

ALEKSANDER SOŁŻENICYN

# KRĄG PIERWSZY



INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1972

ALEXANDER SOLŻENICYN

KRĄG PIERWSZY

**KRĄG PIERWSZY**



IMPRIMERIE EN FRANCE

Édition: INSTITUT LITTÉRAIRE S.A.R.L.

INSTITUT LITTÉRAIRE S.A.R.L. 27, avenue de France, Montparnasse  
PARIS 14<sup>e</sup> 75014

PARIS

1971



« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 222

★ ★

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi  
par 78-MAISONS-LAFFITTE

ALEKSANDER SOŁŻENICYN

# KRĄG PIERWSZY



INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1972

ALEKSANDER SOŁŻENICYN

Tytuł oryginału:  
W KRUGIE PIERWOM

Przełożył z rosyjskiego  
MICHAŁ KANIOWSKI



II A. 990.419  
chw.

IMPRIMERIE DE FRANCE

ÉDITEUR: INSTITUT LITTÉRAIRE S.A.S.

INSTITUT LITTÉRAIRE

© COPYRIGHT POUR LA LANGUE POLONAISE BY  
INSTITUT LITTÉRAIRE, 1970

1973 N 434/76



## LII

### WIĘZIENNE BAGATELE

Nierzyn oddalił się aby pomóc Potapowowi przy robieniu kremu. W ciągu głodowych lat niemieckiej niewoli i sowieckich więzień Potapow doszedł do przekonania, że proces żucia jest w naszym życiu wcale nie czymś godnym pogardy, czy wstydlivym, lecz jedną z tych rozkosznych rzeczy, w których głębi odsłania się nam istota bytu.

*„Porami herbat i kolacji,  
Sniadań, obiadów — nie bez racji  
Oznaczać lubię pory dnia”.*

— powtarzał za Puszkinem ten znany w całej Rosji specjalista od wysokich napięć, który całe swoje życie oddał transformatorom o mocy tysięcy kva, kva i kva (kilo-volt-amperów).

Jako że Potapow należał do tych inżynierów, których ręce potrafią nadążyć za głową, więc szybko stał się wybitnym kucharzem; w Kriegsgefangenenlager wypiekał pomarańczowy tort z samych łupin ziemniaczanych, zaś będąc w *szarazkach* skupił się na cukiernictwie i osiągnął w tej dziedzinie szczyty.

Teraz krzątał się koło dwóch zestawionych razem nocnych stolików w ciemnym przejściu między swoim łóżkiem, a koją Priancykowa — przyjemny półmrok panował tu dlatego, że materace górnych łóżek zasłaniały lampy. Dzięki temu, że izba była półkolista (koje stały promieniście) przejście było z początku wąskie, a ku oknu się rozszerzało. Ogromny parapet, szeroki na cztery i pół cegły, też był cały wykorzystany przez Potapowa, wszędzie były porostawiane puszki po konserwach, pudełka z masy, miseczki. Potapow celebrował swoje kucharskie czynności ucierając z dwóch jaj i zgęszczonego kakao (część tych darów przyniósł i podrzucił mu Rubin, który często dostawał

paczki z domu i zawsze dzielił się nimi) — coś, co nie miało nazwy w żadnym ludzkim języku. Burknął teraz na Nierżyna, że się gdzieś zawieruszył i kazał mu wydostać skądś brakujące jeszcze kieliszki (mieli już nakrętkę od termosu, dwie zlewki z laboratorium i dwa naczynka z przetłuszczonego papieru, które Potapow skleił na wzór tych szklaneczek, w których na wolności sprzedaje się lody). Nierżyn zaproponował aby dwa kieliszki, których jeszcze brakło, zastąpić miseczkami do golenia i zobowiązał się uczciwie wymyć je gorącą wodą.

W półkolistej izbie zapanował spokojny nastrój niedzielnego wypoczynku. Jedni siadali na łóżkach żeby pogwarzyć z leżącymi kolegami, inni czytali i przerzucali się uwagami z sąsiadami, jeszcze inni leżeli w milczeniu, bez ruchu, z rękoma pod głową i z oczyma wbitymi bez mrugnięcia w biały sufit.

Wszystko to składało się na ogólny gwar.

Technik od pomp, Ziemiela, folgował sobie: leżał na górnej koi w samych kalesonach (na górze było gorąco), gładził się po owłosionej piersi i ze zwykłym swoim poczciwym uśmiechem mówił do Mordźwina Miszki leżącego dwa rzędy dalej:

— Jakbyś chciał wiedzieć — to wszystko się zaczęło od półkopiejki.

— Dlaczego od półkopiejki?

— Dawniej, w dwudziestym szóstym, dwudziestym ósmym roku — jeszcze mały byłeś — nad każdą kasą wisiała tabliczka: „Żądajcie pół kopiejki reszty!” bo była taka monetka — półkopiejka. Kasjerki wydawały bez jednego słowa. I w ogóle na dworze był NEP, czyli spokojne lata.

— Nie było wojny?

— Co za wojna, ale głupi! To było jeszcze przed wszystkimi wojnami, no, spokojne lata. Takie dzieje... Podczas NEPu w biurze pracowało się sześć godzin, nie jak teraz. I jakoś dawano sobie radę. A jak musiał człowiek zostać jeszcze na kwadrans — to już mu nadgodziny lecą. No i jak myślisz, co pierwsze zniknęło? Półkopiejki! Od tego się wszystko zaczęło. Później — zniknął cały miedziany bilon. Jeszcze później, w trzydziestym roku — srebrny, w ogóle drobnych zabrakło. Nikt nie wyda ci reszty, choćbyś pękł. I od tej chwili nie ma porządku. Nie ma drobnych — no to zaczęto liczyć wszystko na ruble. Żebrak nie prosi już na rany Chrystusa, żeby mu dać kopiejeczkę, tylko żąda — „Obywatele, dajcie rubla!” — Jak pobierasz pensję w biurze, to lepiej nawet nie pytaj ile ci się tam kopiejek jeszcze należy, bo wyśmieją, że sknera! Tylko że głupio się śmieją! Te pół kopiejki — to cały szacunek do człowieka, a jak ci nie dają sześćdziesięciu kopiejek reszty z rubla

— to znaczy, że wolno ci narobić na głowę. Nie broniliśmy tej półkopiejki i zaraz pół życia na marne.

W innym kącie, też na górze, jakiś więzień oderwał się od książki i powiedział do sąsiada:

— Ale durne były te carskie rządy! Słuchaj — niejaka Saszeńka, rewolucjonistka, przez osiem dni i nocy głodowała, żeby tylko naczelnik więzienia ją za coś przeprosił — i ten kretyń przeprosił. Spróbowałbyś zażądać, żeby naczelnik z Krasnej Presni cię przeprosił!

— U nas by ją, idiotkę, już na trzeci dzień nakarmili przez kieszkę i jeszcze by drugi wyrok przysobaczyli, za prowokację. Gdzieżeś to wyczytał?

— U Gorkiego.

Leżący opodal Dwojetiosow poderwał się:

— Kto tu czyta Gorkiego? — zapytał groźnym basem.

— Ja.

— A po cholere?

— A bo, na przykład, są tu praktyczne informacje o więzieniu w Niżnym Nowgorodzie: można przystawić drabinkę do muru i przeskoczyć sobie, nikt cię nie zatrzyma, uważasz? A funkcjonariusze, jak świadczy autor, mają rewolwery tak zarzdewiałe, że można nimi tylko gwoździe w ścianę wbijać. Bardzo pouczające.

W dole, pod nimi trwała odwieczna więzienna dyskusja na temat: kiedy lepiej iść do mamra. Już sam sposób stawiania sprawy zawierał fatalistyczne założenie, że więzienia nikt nie uniknie. (W więzieniach w ogóle panowała skłonność do przesady w sprawie liczby więźniów i podczas gdy w rzeczywistości było ich wszystkiego dwanaście-piętnaście milionów, ogół zeków był przekonany, że jest ich dwadzieścia a może nawet trzydzieści milionów. Zek był w zasadzie przekonany, że na wolności nie ma już prawie mężczyzn). „Kiedy lepiej iść do mamra?” — to znaczyło: w młodości, czy na starość? Jedni (zwykle są to młodzi) — z optymistycznym zapałem dowodzą w takich wypadkach, że lepiej iść do mamra za młodu: dąży wtedy człowiek nauczyć się, co to jest w ogóle życie, co w nim jest cenne, a co gównie warte, i już mając mniej więcej trzydzieści pięć lat, kiedy odpękał swoją dychę może ułożyć sobie życie w rozsądny sposób. Ten zaś, który idzie do mamra na starość, wrywa sobie tylko włosy, że żył nie tak, jak należy, że cała jego przeszłość — to jeden łańcuch pomyłek, których niesposób już naprawić. Inni (zwykle starsi wiekiem) w takich wypadkach z nie mniejszym zapałem i optymizmem utrzymywali, że jest zupełnie odwrotnie, że ten kto idzie do



mamra na starość — przechodzi jakby na spokojną emeryturę albo do klasztoru, że w ciągu swoich najlepszych lat miał wszystko, czego się żąda od życia (we wspomnieniach zeków to „wszystko” sprowadza się do kobiecego ciała, dobrych ubrań, pożywnego jedzenia i alkoholu), w obozie zaś ze starego i tak siedmiu skór nie zedrą. Młodego natomiast, powiadali, zeszmacą tam i pokaleczą tak, że potem nawet bab mu się odechce.

Taki spór trwał dzisiaj w półkolistej celi i tak zawsze dysputują skazańcy, jedni żeby znaleźć pociechę, inni — żeby dotknąć starych ran, ale prawda jakoś wcale nie mogła się wykluc z ich argumentów i żywych przykładów. W niedzielne wieczory wyglądało na to, że iść do mamra — zawsze dobrze, a kiedy wstawali w poniedziałek ranem — było jasne, że iść do mamra zawsze źle.

A przecież to też nieprawda...

Spór na temat, „kiedy lepiej iść do mamra” należał do takich, które nie wprawiają dyskutantów w rozdrażnienie, lecz mają działanie uspakajające pograżając ich w filozoficznej melancholii; ten spór nigdy i nigdzie nie kończył się wybuchem.

Tomasz Hobbes powiedział kiedyś, że w imię słusznego twierdzenia: „suma kątów w trójkącie zawsze równa się 180 stopniom” przelewano by krew tylko w tym wypadku, gdyby twierdzenie to sprzeczne było z czyimiś interesami.

Ale Hobbes nie znał duszy więźnia.

Na ostatnim łóżku koło drzwi była właśnie w toku taka dyskusja, która mogła doprowadzić do mordobicia albo przelewu krwi, mimo, że jej przedmiot nie zahaczał o niczyje interesy; do elektryka przyszedł tokarz, żeby wypełnić przyjacielską pogawędką wolny wieczór. W rozmowie doszli jakoś do Siestroriecka, a następnie — do pieców, jakimi ogrzewa się domy w tym miasteczku. Tokarz mieszkał sam w Siestroriecku przez jedną zimę i dobrze pamiętał tamtejsze piece. Elektryk nigdy osobiście tam nie mieszkał, ale miał szwagra zduna, pierwszorzędnego zduna, który budował piece właśnie w Siestroriecku i mówił o nich coś zupełnie innego niż tokarz. Ich sprzeczka, która zaczęła się od zwykłych przekomarzań, doszła już do drżenia w głosie, do obelg, już zagłuszyła wszystkie rozmowy w celi — przeciwnicy mieli uczucie dręczącej bezradności, nie mogli czarno na białym dowieść swojej racji, daremnie szukali wśród otoczenia jakiegoś rozjemcy — i nagle przypomnieli sobie, że stróż Spiridon dobrze zna się na piecach, a w każdym razie nie tylko w Siestroriecku, ale w ogóle nigdzie. I obaj popędzili szukać stróża — ku zadowoleniu całej celi.

Ale w pośpiechu nie domknęli za sobą drzwi — i z korytarza przedostały się odgłosy sprzeczki niemniej zapienionej — kiedy właściwie rozpoczyna się druga połowa dwudziestego wieku — 1 stycznia 1950, czy 1 stycznia 1951? Ten spór widać trwał już od dawna i sprowadził się teraz do takiej kwestii: 25 grudnia jakiego właściwie roku urodził się (albo umownie urodził się) Chrystus?

Drzwi zatrzaśnięto. Głowa przestała puchnąć od hałasu, w izbie zrobiło się cicho i słychać było jak Chorobrow tłumaczy łysemu konstruktorowi leżącemu na górnej pościeli:

— Kiedy nasi wezmą się do pierwszego lotu na księżyc, to przed startem, koło rakiety, będzie zwołany wiec, ma się rozumieć. Załoga rakiety podejmie zobowiązanie: szczerzyć paliwa, przekroczyć w trakcie lotu maksymalną szybkość kosmiczną, nie zatrzymywać się w drodze dla remontu pojazdu, a na księżycu wylądować tylko na „bardzo dobrze”, albo „celująco”. Z trzech członków załogi jeden będzie politrukiem. W trakcie lotu będzie on bezustannie wśród pozostałych dwóch członków załogi prowadzić pracę polityczno-oświatową na temat potrzeby lotów kosmicznych i zaprzęgnie ich do robienia gazetki ściennej.

Usłyszał to Priancykow, który biegł właśnie przez izbę z ręcznikiem i z mydłem. Baletowym krokiem podskoczył do Chorobrowa i powiedział z miną tajemniczą i mroczną:

— Ilia Terentiucz! Proszę się uspokoić. Będzie zupełnie inaczej.

— A jak będzie?

Priancykow przyłożył palec do ust gestem zapożyczonym z filmu kryminalnego:

— Bo i tak pierwsi polecą na księżyc Amerykanie!

Roześmiał się dźwięcznie jak dziecko.

I wybiegł.

Grawer przysiadł na łóżku Sołogdina. Już dłuższą chwilę toczyli rozmowę o kobietach. Grawer miał jakieś czterdzieści lat, ale był prawie zupełnie siwy, twarz mając całkiem młodą. Podkreślało to jego męską urodę.

Grawer był dziś w znakomitym nastroju. To prawda, rano popełnił omyłkę: zjadł swoją nowelę skręciwszy z niej papierową pigułę, chociaż, jak się okazało, mógł przenieść ją przez rewizję i przekazać żonie. Ale za to podczas widzenia dowiedział się, że w ciągu tych miesięcy żona pokazała jego poprzednie nowele kilku zaufanym ludziom i że wszyscy oni są zachwyceni... Oczywiście, pochwały znajomych i krewnych mogły być przesadzone i niezupełnie zasłużone, ale kto u diabła, ocenia w ogóle sprawiedliwie? Lepiej czy gorzej, ale grawer chciał

ocalić dla wieczności prawdę — krzyk duszy o tym, co zrobił Stalin z milionami rosyjskich byłych jeńców. I teraz był pełen dumy i radości, już ostatecznie zdecydowany, żeby pisać nowele dalej! Zresztą udało mu się całe dzisiejsze widzenie: żona była mu oddana, starała się o jego zwolnienie, niedługo powinny już być pozytywne skutki.

I szukał ujścia dla tych radosnych myśli, długo już zwierzał się temu nie głupiemu, ale zupełnie przeciętnemu Sołogdinowi, który ani w przeszłości, ani w perspektywie nie mógł mieć żadnych takich wspaniałości, jak on.

Sołogdin leżał na wznak, zupełnie swobodnie, położywszy na piersi rozwartą książeczkę grzbietem do góry, darząc rozmówcę tylko krótkimi błyskami oczu. Ze swoją lekko kędzierzawiącą się, płową bródką, jasnymi oczyma, wysokim czołem i prostymi rysami starorosyjskiego witezia, Sołogdin był niesamowicie, nieprzyzwoicie aż przystojny.

Był dziś w znakomitym nastroju. Czuł, jak mu pierś przepętnia radość zwycięstwa nad aparatem do absolutnej szyfracji. Jego wyjście na wolność było teraz kwestią jednego roku (... to znaczy byłoby, gdyby zdecydował się dać ten szyfrator Antoniemu...). Zawrotna kariera mogła oczekiwać go zaraz za bramą. Ponadto, dziś jego ciała nie dręczyło jak zwykle pożądanie, odzyskał spokój tak jakby go ktoś odszumował. Chociaż stawiał sobie karne kreski na różowym arkusiku, chociaż odpychał Larysę, ale teraz, wieczorem, leżąc już na swojej pościeli, Sołogdin zdawał sobie sprawę, że właśnie tego od niej chciał.

I szukając ujścia dla poczucia swojego tryumfu, tak sobie, dla rozrywki, leniwie prześlizgiwał się nad zawiłościami czyjejs tam, zupełnie mu obojętnej historii, jaką opowiadał właśnie ten obcy, nie głupi, ale zupełnie przeciętny człowiek, który ani w przeszłości ani w perspektywie nie mógł mieć żadnych takich wspaniałości, jak Sołogdin.

Sołogdin nie zanieczyliwał żadnej okazji, aby oznajmiać wszem i wobec, że ma osłabioną pamięć, ograniczone zdolności i że cierpi na zupełny zanik woli. Ale co naprawdę o sobie myślał — można było zgadnąć nie po tym, co mówił, lecz po tym jak słuchał innych ludzi; słuchał ich tak, jak gdyby w ten sposób okazywał im łaskę i jedynie z grzeczności starał się tego nie manifestować.

Z początku grawer opowiedział mu o swoich dwóch żonach w Rosji, następnie przeszedł do wspominków o życiu w Niemczech i o ślicznych Niemeczkach, z którymi tam romansował. Przeprowadził porównanie między Rosjankami a Niemkami i doszedł do nowego dla Sołogdina wniosku. Powiedział, że mając



za sobą doświadczenia z jednymi i drugimi, woli Niemki; że rosyjskie kobiety są zbyt samodzielne, niezależne, zbyt czujne jakby w miłości — ich baczne oczy cały czas badają ukochanego, wyszukują w nim słabe strony, to znajdują, że za mało w nim szlachetności, to znów, że za mało męstwa — rosyjska kochanka wydaje ci się zawsze kimś równorzędnym; podczas gdy Niemka w rękach ukochanego gnie się jak trzcina, kochanek jest dla niej bogiem, jest największy i najlepszy na świecie, zdaje się na jego łaskę i niełaskę, nie śmie marzyć nawet o niczym innym, tylko — jakby odgadnąć jego życzenia. Dlatego to w towarzystwie Niemek grawer czuł się mężczyzną i panem w o wiele większym stopniu.

Rubin był na tyle nieostrożny, że wyszedł palić na korytarz. Ale podobnie jak każdy przechodzień stara się nałuskać trochę grochu w polu, tak samo wszyscy w *szaraszcze* zaczepiali Rubina. Opędziwszy się z trudem od nonsensownej sprzeczki na korytarzu, przecinał właśnie izbę śpiesząc się do swoich książek ale ktoś z leżących nisko chwycił go za spodnie i zapytał:

— Lew Grigorycz! Czy to prawda, że w Chinach listy od donosicieli dochodzą bez znaczków?

Rubin wyrwał się, chciał iść dalej. Ale inżynier-energetyk, leżący na górnym posłaniu zwiesił rękę, chwycił Rubina za kołnierz kombinezonu i zaczął mu bardzo dobitnie kłaść w ucho zakończenie jakiegoś dawnego sporu:

— Lew Grigorycz! Należy tak przebudować sumienie ludzkości, aby ludzie mogli chlubić się jedynie tym, co zrobią własnymi rękoma i żeby wstyd im było być nadzorcami, rozkazodawcami, takimi co tylko ozorem pracują... Niechby małżeństwo dziewczyny z urzędnikiem było wstydem dla całej jej rodziny — o, taki socjalizm to bym uznał!

Rubin wyrwał kołnierz z jego garści, przedostał się do swego łóżka i położył się na brzuchu. Znow sięgnął po słownik.

## LIII

### BIESIADA LICEALNA

Siedmiu ich rozsiadło się przy stole zestawionym z trzech nocnych szafek nierównej wysokości, przykrytych arkuszem trawiasto-zielonego, poniemieckiego papieru. Sołogdin z Rubinem przysiedli się do Potapowa, na jego łóżko, Adamson i Kondraszew — do Priancykowa, solenizant zaś siedział w głowach stołu, na okiennym parapecie. Nad nimi drzemał Ziemiela, inni sąsiedzi byli gdzieś dalej.

Między piętrowymi kojami powstał jakby osobny przedział.

Pośrodku stołu w plastikowej miseczce leżał chrust przyniesiony przez Nadię — specjał nigdy tu nie oglądany. Dla siedmiu męskich gąb było go śmiesznie mało. Dalej były zwykłe biszkopty i biszkopty posmarowane kremem, które zyskały dzięki temu rangę ciastek. Były jeszcze śmietankowe ciagutki otrzymywane drogą długotrwałego gotowania zamkniętej puszki skondensowanego mleka. Za plecami Nierżyna, w litrowym słoiku z ciemnego szkła ukryta była zaś pewna tajemnicza ciecz, do której potrzebne były kieliszki. Podstawą tej mikstury była odrobina spirytusu, wytargowana od zeków z pracowni chemicznej za wysoką cenę. Spirytus był rozcieńczony wodą w proporcji jeden do czterech i zabarwiony kakaowym kondensatem. Płyn był brązowy, alkoholu w nim było niewiele, nie mniej wzbudzał niecierpliwe pożądanie.

— No, panowie — powiedział Sołogdin przybierając efektowną pozę; oczy błyszczały mu nawet w tym półmroku. — A co, jeżeli spróbujemy sobie uprzytomnić kto z nas i kiedy brał udział w uczcie po raz ostatni?

— Ja, wczoraj, z Niemcami — mruknął Rubin, który nie znosił patosu.

To, że Sołogdin wszystkich zawsze nazywał panami Rubin objaśniał sobie jako rezultat urazu psychicznego po dwunastu latach więzienia. Ten właśnie uraz musiał wypaczyć większość poglądów Sołogdina. Rubin starał się zawsze o tym pamiętać i trzymać nerwy na wodzy, chociaż nie raz musiał wysłuchiwać wielu dziwactw.

— Neeee — upierał się Sołogdin — mam na myśli prawdziwą ucztę, prawdziwy stół, panowie! Niezbędne atrybuty to — ciężki obrus w blade kwiaty, wino w kryształowych dzbanach, no i oczywiście, wytworne kobiety!

Chciał odsunąć początek uczyty, żeby dłużej delektować się oczekiwaniem, ale Potapow zazdrosnym i wszystkowiedzącym wzrokiem gospodyni ogarnął stół i gości; wtrącił się mrukliwie, jak to miał w zwyczaju:

— Rozumiecie chłopcy, póki

*Postrach północnych wart i rontów*

nie złapał nas jeszcze z tą miksturką, to korzystajmy i przejdźmy do części oficjalnej.

I dał znak Nierzynowi, że można nalewać.

Podczas gdy napój rozlewano do kieliszków, wszyscy milczeli, każdy bezwiednie przypomniawszy sobie to i owo.

— Dawno to było — westchnął Nierzyn.

— Wcale sobie nie przypominam — otrząsnął się Potapow. Ze wściekłego wiru przedwojennej pracy mógł wyłowić chyba tylko wspomnienie o jakimś przyjęciu ślubnym — ale nie potrafiłby powiedzieć na pewno, czy był to jego własny ślub, czy cudzy.

— Nie, dlaczego nie? — ożywił się Priancykow. — *Avec plaisir!* Zaraz wam wszystko opowiem. Było to w Paryżu w czterdziestym piątym...

— Chwileczkę, Walentula — przyhamował go Potapow — a więc?...

— Za winowajcę dzisiejszej uroczystości! — głośniejszy niżby należało powiedział Kondraszew i wyprostował się jeszcze bardziej. — Niechże nam...

Ale goście jeszcze nie zdążyli wziąć się za kieliszki, gdy Nierzyn podniósł się z miejsca — siedząc na parapecie mógł sobie na to pozwolić — i powiedział cicho:

— Przyjaciele! Wybaczcie, że wykroczę przeciw tradycji! Ja... — musiał nabrać tchu, bo poczuł wzruszenie. Miał wrażenie, jakby w nim coś rozgrzało się i scaliło od ciepła bijącego z tych siedmiu par oczu.

— Bądźmy sprawiedliwi! Nie wszystko w naszym życiu jest takie czarne! Przecież właśnie tego szczęścia — swobodnej,



męskiej biesiady przy licealnym stole<sup>1</sup>, nieskrępowanej wymiany myśli, bez bojaźni, bez ukrywania się — tego szczęścia nikt z nas nie miał przecież na wolności?

Właściwie to samej wolności też jakby prawie nie było — uśmiechnął się Adamson. Jeżeli nie liczyć dzieciństwa, to spędził on na wolności w istocie mniejszą część swego życia.

— Przyjaciele! — ciągnął z jeszcze większym zapałem Nierzyn. — Mam trzydzieści jeden lat. W ciągu tych lat byłem już i na wozie i pod wozem. I zgodnie z wykresem sinusoidy, będą może jeszcze w moim życiu przyływy czczych sukcesów, fałszywej wielkości. Ale przysięgam wam, że nigdy nie zapomnę czym jest ta prawdziwa ludzka wielkość, którą poznałem w więzieniu! Jestem dumny, że moja dzisiejsza skromna rocznica zgromadziła koło mnie takich świetnych ludzi. Nie wstydzmy się tej odrobiny wzniosłości. Wnieśmy toast ku czci przyjaźni rozkwitającej w więziennych lochach!

Papierowe szklaneczki bezdźwięcznie trącały o szklanki i kieliszki z plastiku. Potapow uśmiechnął się ze skrucą, poprawił swoje okulary w drucianej oprawie i dzieląc wyraźnie głoski wyrecytował:

*„Znani z talentów znakomitych  
Zacni członkowie bractwa tego,  
Zwykli się zbierać u Nikity,  
Albo u Ilii przezornego”.*

Brunatny napój pili powoli starając się zgłębić cały jego aromat.

— A swoją siłę ma! — pochwalił Rubin. — Brawo Andreicz!

— Siłę ma — potwierdził Sołogdin. Był dzisiaj w takim nastroju, że wszystko by chwalił.

Nierzyn zaśmiał się:

— Rzadki to wypadek, żeby Lew i Mitia byli jednego zdania! Nie pamiętam już kiedy to było.

— Nie, dlaczego, kochany? A pamiętasz, jakeśmy się zgodzili ze Lwem kiedyś na Nowy Rok, że żonie zdrady wybaczyć nie wolno, a mężowi wolno?

Na twarzy Adamsona pojawił się znużony uśmiech:

— Ba, jaki mężczyzna by się z tym nie zgodził?

— A właśnie ten egzemplarz — Rubin wskazał palcem na Nierzyna — utrzymywał wtedy, że można to wybaczyć również kobiecie, że tu nie ma różnicy.

1. Chodzi o licealistów z Carskiego Sioła, gdzie kształcił się Puszkina. Swoim ucztom i dyskusjom z Delwigiem, Küchelbeckerem i in. poświęcił sporo wierszy.

— Naprawdę pan tak mówi? — szybko zapytał Kondraszew.

— Ale kokiet! — dźwięcznie zaśmiał się Priancykow — jak to w ogóle można porównywać?

— Sama budowa ciała i sposób spółkowania dowodzą, że różnica jest tu olbrzymia! — zawołał Sołogdin.

— Nie miejcie do mnie pretensji, przyjaciele — usprawiedliwił się Nierzyn — przecież rosnę w tych czasach, kiedy nad naszymi głowami trzepotały czerwone płótna ze złotymi literami R ó w n o ś ć! Później, rzecz jasna, życie nieźle dało po głowie mnie i innym durniom, ale wtedy wydawało się, że jeśli równe są wszystkie narody, wszyscy ludzie, to chyba także kobiety i mężczyźni są równi, i to we wszystkim.

— Nikt tu do pana nie ma pretensji! — powiedział Kondraszew z tym samym pośpiechem. — Niech się pan tak prędko nie poddaje!

— Te bzdury można ci wybaczyć jedynie ze względu na twój szczeniący wiek — oświadczył Sołogdin. (Był starszy o pięć lat).

— Teoretycznie Gleb ma rację — powiedział Rubin z pewnym skępowaniem. — Ja także gotów jestem skruszyć sto tysięcy kopii za sprawę równości mężczyzn i kobiet — ale objąć własną żonę po tym jak ją obejmował inny? — brrr! biologicznie nie potrafię!

— Ależ panowie, wręcz śmiesznie jest o tym dysputować...! — krzyknął Priancykow, ale, jak zwykle, nie dano mu skończyć.

— Panie Lwie, istnieje najprostsze wyjście — twardo oznajmił Potapow. — Niech p a n s a m nie obejmuje nikogo prócz własnej żony!

— No, wie pan... — bezradnie rozłożył ręce Rubin topiąc szeroki uśmiech w korsarskiej brodzie.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem, ktoś wszedł. Potapow i Adamson obejrzel się. Nie, to nie był funkcjonariusz.

— A Kartagina powinna być zniszczona? — Adamson skinął w stronę litrowego słoja.

— I czym prędzej, tym lepiej. Kto ma chęć na siedzenie w karcercze? Wikentiicz, nalewaj!

Nierzyn rozlał resztkę, skrupulatnie przestrzegając zasady równego podziału.

— No, tym razem pozwoli pan wypić zdrowie solenizanta? — spytał Adamson...

— Nie, moi bracia. Z praw solenizanta korzystam tylko po to, aby łamać tradycję. Ja... widziałem dzisiaj moją żonę. I zobaczyłem w niej... wszystkie nasze żony, zadręczone, zastraszone, zaszczute. My tu cierpimy dlatego, że nie wiemy gdzie się

podziac — a one? Wypijmy — za nie, za te, co się dobrowolnie przykuły do...

— Tak! To święta ofiara! — zawołał Kondraszew.

Wypili.

Pomilczeli chwilę.

— Ale śnieg! — powiedział Adamson.

Wszyscy się obejrżeli. Za plecami Nierżyna, za przymglonymi szybami nie było widać samego śniegu, tylko migały czarne cętki — cienie padających płatków rzucane na okna więzienia przez reflektory i światła zony.

Gdzieś tam, za kurtyną tej szczodrej śnieżycy była teraz Nadia Nierżyn.

— Nawet śnieg dla nas pada nie biały, tylko czarny, taka nasza dola! — zawołał Kondraszew.

— Wypiliśmy za przyjaźń. Wypiliśmy za miłość. I wzniośle, i ładnie — pochwalił Rubin.

— W miłość nigdy nie wątpię. Ale żeby prawdę rzec, przed frontem i przed więzieniem wcale nie wierzyłem w przyjaźń, zwłaszcza taką, co to, wiecie... „dać duszę swoją za druhów swoich...”. Jak to czasem bywa — życie rodzinne jest, a przyjaźni nie ma, co?

— Często się tak sądzi — odparł Adamson. — O, już od stu pięćdziesięciu lat powszechnie jest śpiewana taka pieśń — „Pośród rozległych pól”, żądają jej teraz w koncertach życzeń. A jak wniknie człowiek w tekst — to słyszy samo tylko żalosne skomlenie, żale jakiejś nędznej duszyczki:

*„Każdy ci będzie przyjacielem,  
Póki nie przyjdzie czarny dzień”.*

— Oburzające!!! — malarz aż się szarpnął wstecz. — Jak można jeden dzień choćby przeżyć z takimi poglądami? Toć łatwiej się powiesić!

— A słuszniej byłoby odwrócić to twierdzenie: dopiero jak nadejdzie czarny dzień, dowiadujesz się, że masz przyjaciół.

— Kto napisał tę pieśń?

— Mierzlakow.

— I nazwisko też sobie wybrał! Lowka, co to za Mierzlakow?

— Poeta, starszy od Puszkina o jakieś dwadzieścia lat.

— Znasz oczywiście jego życiorys?

— Profesor uniwersytetu moskiewskiego. Tłumacz „Jerozolimy wyzwolonej”.

— No i powiedzcie, czego ten Lowka nie zna? Chyba wyższej matematyki.

— Niższej też.

— Ale zawsze musi powiedzieć: „wyprowadźmy poza nawias”, „jeśli podnieść te braki do kwadratu”...

— Panowie! A ja wam dam przykład, że Mierzłakow ma rację! — zachłystując się z pośpiechu jak dziecko posadzone z dorosłymi przy jednym stole, wtrącił swoje trzy grosze Prianczykow. Niczym nie ustępował żadnemu ze swoich sąsiadów, był niezwykle bystry, dowcipny, jego szczerłość zjednywała mu serca. Ale nie było w nim męskiego hartu ani godnej prezencji, przez co wyglądał o piętnaście lat młodziej i wielu odnosiło się do niego jak do wyrostka. — To już dawno dowiedzione: najgorszym zdrajcą okazuje się właśnie ten, co je z tobą z jednej menażki! Miałem bliskiego przyjaciela z którym razem uciekaliśmy z hitlerowskiego obozu, razem ukrywaliśmy się, jak nas gończe psy szukały i wyobraźcie sobie, że to właśnie on mnie sprzedał!

— Co za łotr! — zawołał malarz.

— Było to tak. Prawdę mówiąc ja już nie chciałem wcale wracać. Miałem już posadę w firmie, pieniądze, dziewczęta i tak dalej...

Prawie wszyscy już znali historię Prianczykowa. Dla Rubina było jasne, że wesoły, sympatyczny Walenty Prianczykow, z którym można było bardzo pięknie przyjaźnić się w *szaraszce*, był w czterdziestym piątym roku gdzieś w Europie figurą, obiektywnie biorąc, reakcyjną i że to, co on nazywał zdradą ze strony przyjaciela (to znaczy — że ten przyjaciel pomógł Walentemu wbrew jego woli, wrócić na łono ojczyzny), było wcale nie zdradą tylko patriotycznym obowiązkiem.

Adamson drzemał, jego okulary znieruchomiały. Wiedział z góry, zacznie się to głupie gadanie. Ale przecież trzeba było jakoś całą tę zgraję ściągnąć z powrotem.

Rubin i Nierżyn, którzy w celach kontrwywiadu i więzień pierwszego powojennego roku tak się zdążyli wyprażyć w potoku jeńców płynącym z Europy, jakby sami też całe cztery lata poniewierali się w niewoli — już przestali się interesować repatrianckimi opowiadaniem. Tym chętniej zaczęli w swoim końcu stołu namawiać Kondraszewa na rozmowę o sztuce. Ogólnie biorąc Rubin uważał Kondraszewa za malarza nie bardzo wybitnego, za człowieka nie zupełnie poważnego, jego wypowiedzi wydawały mu się oderwane od wszelkiego gruntu gospodarczego i historycznego, ale z rozmów z nim — sam sobie z tego nie zdając sprawy, zawsze czerpał trochę wody życia.

Malarstwo dla Kondraszewa nie było sposobem zarobkowa-

nia ani zespołem wiadomości fachowych. Malarstwo było dla niego jedynym sposobem bycia. Wszystko naokół Kondraszewa — pejzaże, przedmioty, charakter ludzki, barwa — dźwięczało. Dźwięczało w jednym z dwudziestu czterech tonów pełnej gamy i Kondraszew potrafił bez wahania wymienić właściwy ton (Rubinowi na przykład odpowiadał dźwięk d-moll). Wszystko też co było wokół niego — ludzki głos, chwilowy nastrój, powieść albo właśnie dźwięk gamy — miało swój kolor i Kondraszew bez żadnych wahań potrafił wymienić ten kolor (fis-dur — to było granat ze złotem).

Obojętność była jedynym stanem ducha, którego nigdy nie znał Kondraszew. Znany był za to ze swoich pasji i animozji oraz bardzo kategoriycznych sądów. Był wielbicielem Rembrandta i zupełnie nie uznawał Rafaela. Uwielbiał Walentego Sierowa i był zawziętym wrogiem pieredwiżników<sup>2</sup>. Niczego nie potrafił przeżywać połowicznie, mógł albo bezgranicznie się zachwycać albo bezgranicznie oburzać się czymś. Nie chciał słyszeć o Czechowie, od Czajkowskiego odzęgnywał się z dreszczem zgrozy („on mnie dławi! odbiera mi nadzieję i chęć do życia!”), ale z chorałami Bacha i z koncertami Beethovena czuł się tak zżyty, jakby je osobiście napisał.

Kondraszew został teraz wciągnięty do rozmowy o tym, czy malarstwo powinno naśladować naturę, czy też nie.

— Chce pan na przykład namalować otwarte okno, przez które widać letni ogród wczesnym rankiem? — mówił Kondraszew. Głos miał młody, przechodzący w dyszkant w chwilach wzruszenia i wystarczyło zamknąć oczy, aby móc sobie wyobrazić, że rozmawia się z młodzieńcem. — Jeśli uczciwie naśladowując przyrodę namaluje pan wszystko tak jak pan widzi — to czy to jednak będzie wszystko? A śpiew ptaków? A świeżość poranku? A ta niewidzialna, lecz wyczuwalna wszędzie czystość? Przecież rysując odczuwa pan to wszystko, to się staje częścią pańskiego pojęcia o tym letnim poranku — jak więc zawrzeć to w obrazie? Jak przekazać to odbiorcy? Widać — trzeba dodać coś dla uzupełnienia! Kompozycja, kolor, tylko to ma pan do dyspozycji.

— Więc nie wolno po prostu kopiować?

— A pewno, że nie! Zresztą w ogóle — Kondraszew już wpadał w swoje podniecenie — każdy pejzaż (i każdy portret) zaczyna się od chwili zachwytu nad modelem, kiedy człowiek sobie myśli: ach, jakie to wspaniałe! ach, jakie to bycze! ach, gdyby udało się namalować tak, jak to teraz widać! Ale kiedy

---

2. Grupa malarzy-naturalistów urządzająca ruchome (*pieredwiżnyje*) wystawy w Rosji w ostatniej ćwierci XIX wieku.

zaczyna się robota, człowiek nagle widzi: zaraz! zaraz, toż tam, w modelu są jakieś niedorzeczności, nie, jakaś bzdura, nic się kupy nie trzyma! O, w tym miejscu i jeszcze w tym, i w tamtym! Przecież powinno być nie tak, tylko tak! I tak się właśnie maluje! — Kondraszew patrzył na sąsiadów z wyrazem zawadiackiej przewagi.

— No, ojcaszku, takie „powinno być” — to bardzo niebezpieczny przepis! — zaprotestował Rubin. Z żywych ludzi zaczniecie robić jeszcze aniołów, diabłów, stawiać ich na koturny. Jeżeli pan maluje portret Andrzeja Andreicza Potapowa, to na portrecie powinien być Potapow.

— A co to znaczy — pokazać go takim, jakim on jest? — buntował się malarz. — Zewnętrznie — owszem, powinien być podobny, to dotyczy proporcji twarzy, wykroju oczu, koloru włosów. Ale czy nie jest nieostrożnością twierdzić, że w ogóle można rozumieć i widzieć rzeczywistość właśnie taką, jaką ona jest? A szczególnie już — rzeczywistość uduchowioną? A któż to taki rozumie to wszystko i widzi?... I jeżeli — patrząc na portretowanego zobaczę w nim jakieś zdolności duchowe większe niż te, które on dotychczas w życiu przejawiał — to dlaczego nie mam pokusić się o ich pokazanie? Może to temu człowiekowi pomoże odnaleźć siebie samego i lepsze pierwiastki w sobie?

— Ależ z pana jest stuprocentowy socrealista! — Nierzyn klasnął w dłonie. — Foma Oskołupow po prostu nie wie z kim ma do czynienia!

— Z jakiej racji mam pomniejszać duszę modela?! — Kondraszew groźnie błysnął w półmroku swoimi przyrośniętymi do nosa okularami. — Powiem wam więcej: nie tylko portretowanie, ale wszelkie stosunki międzyludzkie może mają jako swój cel najważniejszy właśnie to: zobaczyć w drugim człowieku i uzmysłwić mu coś takiego, co powinno mieć prawo do życia! Co?

— Jednym słowem — machnął ręką Rubin — pojęcia obiektywizmu pan ani tu ani nigdzie nie uznaje!

— A tak!!! Jestem nieobiektywny i to moja duma! — grzmiał Kondraszew.

— Cooo? Jak, jak, co pan mówi? — Rubin był oszołomiony.

— Tak! tak! Nieobiektywizm to moja duma? — Kondraszew młócił rękoma i tylko górna koja nie pozwalała mu na rozmach. A pan, kochany Lwie, a pan? Pan też jest nieobiektywny, pan tylko uważa się za obiektywnego, a to coś znacznie gorszego! Moja wyższość nad panem na tym polega, że zdaję sobie sprawę z mojego braku obiektywizmu! I uważam to za swoją zasługę! I jest w tym moje „ja”!



— Ja nie jestem obiektywny? — Rubin nie mógł wyjść ze zdumienia. — Nawet ja? Któż wtedy zasłużył na to określenie?

— Ależ nikt!! — tryumfował malarz. — Nikt!!! Nikt nigdy nie był i nigdy nikt nie będzie! Każdy akt poznania jest przecież zawczasu zabarwiony emocjonalnie — może nie mam racji? Prawda, która powinna być wnioskiem z długich badań — otóż czy ta mglista prawda nie jest przez nas przeczuwana jeszcze przed początkiem owych badań? Bierzemy do ręki książkę, autor wydaje nam się z jakichś tam przyczyn niesympatyczny, jeszcze książki nie otworzyliśmy, a już czujemy, że chyba nam się nie będzie podobać — i w rezultacie naprawdę nam się nie podoba! A pan na przykład zajął się porównywaniem stu rozmaitych języków. Pan zdążył się dopiero obłożyć słownikami, ma pan przed sobą roboty jeszcze na czterdzieści lat — a pan już w t e j c h w i l i jest przekonany, że wykaże pan, iż wszystkie słowa pochodzą od wyrazu „ręka”. Czy to obiektywizm?

Nierzyn głośno roześmiał się nad Rubinem, to mu się podobało. Rubin roześmiał się również — jak można było gniewać się na człowieka tak szczerego!

— A czy przypadkiem w naukach społecznych nie zachodzi coś podobnego? — spróbował zarzucić wędkę Nierzyn.

— Dziecino — powiedział Rubin tonem pouczenia. — Gdyby nie wolno było zawczasu przewidywać rezultatów, to żaden postęp nie byłby możliwy.

— Postęp, postęp! — mruknął Nierzyn. — Na diabła mi postęp? Sztuka dlatego mi się właśnie podoba, że nie ma w niej mowy o żadnym „postępie”.

— Jak to?

— Tak to. Siedemnasty wiek miał Rembrandta i nasz wiek ma tego samego Rembrandta — niech go ktoś spróbuje prześcignąć. Tymczasem technika siedemnastego wieku wydaje nam się dzisiaj barbarzyństwem. Albo, powiedzmy, jakie były najnowsze wynalazki w siedemdziesiątych latach zeszłego wieku? Dla nas to jakieś głupstwa. Ale w tych samych latach napisana została „Anna Karenina”. Masz dziś może coś lepszego pod ręką?

— Ten argument, kochany Glebie — wtrącił się Adamson odwracając się od Priancykowa — można skierować w zupełnie odwrotną stronę. To może znaczyć, że inżynierowie i uczeni tych wszystkich stuleci zrobili jednak coś niecoś i stąd postęp. Artystyczne zaś snoby, jak widać błaznowały sobie tymczasem. A pochlebcy...

— Sprzedawali się! — zawołał Sołogdin. Nie wiedzieć czemu — krzyknął to z radością.

Nawet ludzie tak biegunowo różni jak on i Adamson podawali się biegowi wspólnych myśli.

— Brawo, brawo! — Priancykow również krzyczał. — Gogusie! Pozerzy! Przecież to samo mówiłem wam wczoraj w Akustycznej! (mówił zeszłego wieczoru o wyższości jazzu, ale teraz już mu się wydawało, że Adamson wypowiada dokładnie te same myśli).

— Ja was chyba wszystkich pogodzę! — uśmiechnął się przekornie Potapow. — Była w tym stuleciu taka historyczna chwila, w której pewien inżynier-elektryk razem z pewnym matematykiem boleśnie odczuwając istnienie pewnych luk w beletrystyce ojczyzny, stali się twórcami noweli. Niestety, nowela ta nie została nigdy napisana — bo twórcy nie mieli ołówka.

— Andreicz! — zawołał Nierzyn. — A może mógłby ją pan zrekonstruować?

— A no, spróbuję, a nuż dam radę. Chyba mi pomożecie jeden z drugim. W końcu był to w moim życiu jedyny opus. Można było zapamiętać.

— Ciekawe, ciekawe panowie! — ożywiony Sołogdin już sadowił się wygodniej. Bardzo lubił takie momenty więziennych spotkań.

— Ale, rozumiecie sami, jak uczy nas Lew Grigorycz, żadnego utworu artystycznego nie można zrozumieć nie znając historii jego powstania, oraz zamówienia społecznego.

— Andreicz, robi pan postępy.

— A wy, drodzy goście, zjedzcie nareszcie te ciastka, dla kogo je szykowałem! Geneza tego utworu jest następująca: latem 1946 roku w przepelnionej do nieprzyzwoitości celi butyrskiego sanatorium leżeliśmy z tu obecnym Glebem Wikentiiczem ramie w ramie, naprzód pod narami, później na narach, dusząc się z braku powietrza, postępując z głodu i nie mając nic innego do roboty prócz rozmów i obserwowania różnych ciekawych zwyczajów. I któryś z nas powiedział pierwszy: — A co, gdyby tak...

— Andreicz, to pan pierwszy powiedział: a co gdyby tak... Element zasadniczy, który znalazł się również w tytule, w każdym razie był pana dziełem.

— A co gdyby tak... powiedzieliśmy sobie razem z Glebem Wikentiiczem, a co gdyby tak ni stąd ni zowąd...

— No nie męcz pan już dłużej! Jakaście ją nazwali?

— No cóż. Nie marząc nawet o uznaniu spróbujemy przypomnieć sobie we dwójkę tę opowieść z zamierzchłych czasów, co? — głuchy, schrypnięty głos Potapowa zabrzmiał tak jakby bibliofil cytował tekst z zakurzonego foliału. — Tytuł opowiadania brzmiał „UŚMIECH BUDDY”.

## LIV

### UŚMIECH BUDDY

Akcja naszej zajmującej opowieści przebiega w okresie tego przesławnego, buchającego żarem lata 194... roku kiedy to więźniowie, w ilości znacznie przewyższającej legendarne czterdzieści beczek, goli w samych tylko przepaskach na biodrach mdleli od gęstego zaduchu, za rybio-mętnymi blincami znanego w całym świecie butyrskiego więzienia.

Cóż wam powiedzieć o tej tak pozytywnej i pełnej ładu instytucji? Wywodziła się ona wprost od koszar zbudowanych za panowania Katarzyny. *W surowych czasach tej carycy* nie pożałowano cegieł na forteczne mury i sklepione łuki.

*„Szacowny zamek zbudowano  
Tak, jak należy — więc zamczyście”.*

Po śmierci jaśnie oświeconej korespondentki Woltera, te dudniące echem sklepienia, pod którymi rozlegał się ciężki tupot muszkieterskich buciorów, opustoszały na długie lata. Ale w miarę sukcesów tak przez wszystkich w naszej ojczyźnie pożądanego postępu, panujący potomkowie wspomnianej wyżej władczej damy uznali, że będzie pozytywne posyłać tam bez żadnej różnicy zarówno kacerzy zagrażających prawosławnemu tronowi, jak zaciekłych obskurantów, co sprzeciwiali się postępowi.

Murarska kielnia i tynkarska szpachla pomogły rozdzielić te amfilady na setki całkiem przytulnych i obszernych cel, a dzięki niezrównanej sztuce ojczystych naszych kowali powstały niepokonane kraty w oknach i prycze z giętych rur, opuszczane na noc, a podnoszone na dzień. Najznakomitsi majsterkowie z grona naszych pełnych talentu pańszczyźnianych rękodzielników dodali każdy po złotym listku do wieńca nieśmiertelnej chwały butyrskiego zamku: tkacze tkali konopne wory nacią-

gane na ramy łózek; hydraulicy stworzyli przemyślny system odprowadzania nieczystości; blacharze sporządzili bardzo pojemne cztero- i sześciowiadrowe kible zaopatrzone w uchwyty, a nawet w pokrywy; cieśle powyrzynali w drzwiach specjalne szpary dla przesuwania misek z białandą; szklarze zaś powstawiali w te drzwi specjalne okna; ślusarze pozakładali zamki; wybitni zaś specjaliści od szkła zbrojonego, w nowożytniej już epoce Narkoma Jeżowa, zanurzyli siatkę z drutu pancernego w roztopionym szkle mlecznym i stworzyli w ten sposób jedyne w swoim rodzaju blince, zasłaniające przed wrażliwymi oczyma więźniów ostatni kącik więziennego podwórca, jaki jeszcze mogli zobaczyć, budynek więziennej kaplicy, też zresztą przerobionej na więzienie, i skrawek błękitnego nieba.

Ponieważ wygodną było rzeczą zatrudniać kluczników raczej bez ukończonych studiów wyższych, opiekunowie butyrskiego sanatorium poczuli się zmuszeni do tego, aby w ściany cel wmurować dokładnie po dwadzieścia pięć ram na prycze, co dawało podstawy do prostego rachunku: cztery cele — to sto głów, jeden korytarz — to dwieście głów.

I tak oto przez długie dziesięciolecie kwitł ten zakład leczniczy, jakoś przy tym nie było słyhać ani narzekań ze strony opinii, ani też skarg aresztantów. (Że nie było narzekań i skarg wnieść można stąd, że nadzwyczaj rzadko pojawiały się na stronicach przedrewolucyjnych „Birzewych Wiedomości” zupełnie zaś ich nie było w „Izwiestiach Raboczych i Kriestianskich Dieputatów”).

Ale czas nie pracował na korzyść generała-majora, naczelnika więzienia butyrskiego. Już w pierwszych dniach wojny trzeba było przekroczyć przepisaną prawem normę dwudziestu pięciu głów, upychając w celach dodatkowych pasażerów, dla których już prycz nie starczyło. Kiedy zaś ów przyptyw przybrał groźne rozmiary, prycze zostały raz na zawsze opuszczone, konopne worki z nich zdjęto a na wierzch położono dechy i generał-major z pomocnikami, bardzo uradowani, upychali w celach po pięćdziesięciu ludzi, a gdy przyszedł koniec wojny — nawet po siedemdziesięciu pięciu, co zresztą nie sprawiało żadnych kłopotów klucznikom, bo łatwo mogli sobie wyliczyć że w korytarzu mają teraz sześćset głów, za co dopłacano im specjalne premie.

Nie miało sensu, żeby w takiej ciasnocie niszczyły się książki, szachy, czy domino, zresztą i tak ich nigdy nie starczało. Z biegiem czasu zmniejszono wrogom ludu rację chleba, rybę suszoną zastąpiono mięsem płazów oraz błonkoskrzydłych, kapustę zaś i pokrzywę — mieszaną paszową dla bydła. I straszliwa Wieża

Pugaczowska, gdzie caryca trzymała na łańcuchu ludowego bohatera, teraz doczekała się przekształcenia na zwykły silos.

Potok ludzki zaś płynął, pojawiali się wciąż nowi więźniowie, blakła i paczyła się tradycja legend więziennych, ludzie nie pamiętali, nie wiedzieli już nawet, że ich poprzednicy wylegiwali się na jutowych workach i czytali zabronione książki (zapomniano je wycofać jedynie z bibliotek więziennych). Czy wnoszono do celi w dymiącym kociołku bulion z ichtiozaura, czy też polewkę z kiszonej trawy — więźniowie tak samo podciągali nogi na deski nar, z powodu ciasnoty przyciskali kolana do piersi i opierając nadto przednie odnóża tuż koło zadnich, w tej psiej pozie, szczerząc zęby, czujnie jak kundle przyglądali się czy aby sprawiedliwie rozdziela im się tę bryję do misek. Miski losowano stojąc tyłem — „od kibla do okna” i „od okna do kaloryfera”, następnie zaś mieszkańcy nar i jaskiń pod narami, omal nie przewracając sobie wzajemnie misek łapami i ogonami, zabierali się do ćpania pożywnej cieczy i tylko to mlaskanie siedemdziesięciu pięciu pysków mąciło filozoficzne milczenie celi.

I wszyscy byli zadowoleni. Ani w organie związków zawodowych „Trud”, ani w cerkiewnym piśmie „Wiestnik Moskowskiej Patriarchii” — żadnych skarg nie było.

Wśród innych cel znajdowała się również cela siedemdziesiąta druga — i nie wyróżniała się niczym. Wisiał już nad nią wyrok przeznaczenia, ale spokojnie drzemiący pod jej narami i przerzucający się na jej narach przekleństwami więźniowie nic jeszcze nie wiedzieli o potwornościach, jakie im los gotuje. W wigilię fatalnego dnia jak zwykle długo kokosili się na cementowej podłodze koło kibla, leżeli w samych przepaskach dookoła bioder na swoich dechach wachlując się wciąż w dusznym skwarze (celi nie wietrzono od zimy do zimy), łapali muchy i opowiadali sobie wzajem, jak dobrze było podczas wojny w Norwegii, w Islandii, w Grenlandii. Zgodnie z własnym wyczuciem czasu, które dało im długie doświadczenie — więźniowie wiedzieli, że zostało nie więcej niż pięć minut do chwili, kiedy dyżurny klawisz ryknie im przez drzwi: „no, kłaść się, już po dzwonku!”

I nagle serca zeków drgnęły, bo szcęknął zamek! Drzwi się rozwarły i stanął w nich przystojny, sprężysty kapitan w białych rękawiczkach, nadzwyczajnie podniecony. Za nim cisnęła się świta lejtantów i sierżantów — szepczących coś bezustannie. W grobowym milczeniu zeków wyprowadzono na korytarz z r z e c z a m i. (Wśród zeków natychmiast zrodziły

się szepty, że prowadzą ich na rozstrzelanie). W korytarzu oddzielono od nich pięć razy po dziesięciu ludzi i wepchnięto ich do sąsiednich cel, akurat w samą porę, żeby zdążyli znaleźć sobie jeszcze po kawałku miejsca do spania. Ci szczęściarze uniknęli straszliwego losu pozostałych dwudziestu pięciu. Ostatnią rzeczą jaką zobaczyli ci ostatni ze swojej drogiej, siedemdziesiątej drugiej celi — była jakaś maszyna piekielna z rozpylaczem, wjeżdżająca w drzwi. Następnie kazano im obrócić się przez prawe ramię i w takt uderzeń kluczy o sprzączki pasów oraz strzelania palcami (były to przyjęte przez butyrskich nadzorców sygnały „prowadzę zeka!”), przeprowadzono ich przez szereg wewnętrznych drzwi stalowych, przez kilka kondygnacji schodów — aż do hallu, który nie był ani podziemiem do rozstrzeliwań, ani lochem tortur, tylko szeroko był znany wśród ludu więziarskiego jako rozbieralnia słynnej butyrskiej łaźni. Rozbieralnia miała wygląd przewrotnie niewinny, wręcz zwyczajny: ściany, ławki i podłoga wyłożone czekoladowymi, czerwonymi i zielonymi kafelkami, dalej — szyny, po których z kamer dezynfekcyjnych wyjeżdżały łomocąc wagoniki z piekielnymi haczykami dla wieszania zawszonej więziarskiej odzieży. Bijąc się mimochodem po twarzach i zębach (bowiem trzecie przykazanie aresztanckie głosi: „jak dają — to łap”) zeki rozchwyтали rozpalone jeszcze haki, powiesili na nich swoje nieszczęsne szmaty pociemniałe, porudziałe, a miejscami przepalone od codekadowych dezynfekcji — i dwie rozprażone służebnice piekieł — dwie stare kobiety, ignorując pogardliwie uprzykrzoną nagość więźniów, z łomotem wtoczyły wagoniki do Tartaru i zatrzasnęły za sobą żelazne wrota.

Dwudziestu pięciu więźniów zostało w zamkniętej ze wszystkich stron rozbieralni. Mieli w ręku tylko chustki do nosa albo zastępujące je kawałki podartych koszul. Ci z nich, którzy zachowali jeszcze cienką warstwę na wskroś wygarbowanego mięsa w tej potulnej okolicy ciała, dzięki której możemy w ogóle siedzieć — otóż ci faworyci losu siedzieli na ciepłych kamiennych ławach wyłożonych szmaragdowymi i malinowobrunatnymi kafelkami. (Butyrskie łaźnie zbytkownością swojego wystroju znacznie przewyższają słynne Sandunowskie i podobno wielu zagranicznych amatorów specjalnie oddawało się w ręce Cze-Ka, aby tylko zaznać przyjemności kąpania się w tych łaźniach).

Inni więźniowie, wychudzeni już tak bardzo, że nie mogli siedzieć na niczym twardym — chodzili z końca w koniec rozbieralni ani myśląc zasłaniać tego, czego powinni się sromać,



przy czym prowadzili gorące spory pragnąc przeniknąć tajemnicę przyszłości.

*Bo dawno już ich wyobraźnia  
Pragnęła strawy tej fatalnej*

Jednakże tyle godzin kazano im czekać w rozbieralni, że spory zdążyły ucichnąć, ciała pokryć się gęsią skórką, żołądki przyzwyczajone do snu od dziesiątej wieczór, tęsknie domagały się pokarmu. Wśród więźniów zwyciężyło stronnictwo pesymistów utrzymujących, że przez okrągłe kratki w ścianach i w podłodze już sączy się trujący gaz i że za chwilę wszyscy oni zginą. Niektórzy czuli nawet mdłości.

Nagle huknęły drzwi — i wszystko uległo zmianie. Nie stało się jak zwykle, nie weszło dwóch nadzorców w usmolonych fatuchach z brudnymi maszynkami do strzyżenia owiec w rękę, i nie rzuciło na ziemię pary najbardziej tępych w świecie nożyc, aby więźniowie mogli łamać sobie nimi paznokcie, o nie! — czterech fryzjerczyków wtoczyło cztery zwierciadlane toaletki na kółeczkach, zastawione wodą kolońską, fiksatuarem, lakierem do paznokci, a nawet teatralnymi perukami. Następnie pojawiło się czterech pełnych godności, bardzo przystojnych majstrów fryzjerskich, z których dwaj byli Ormianami. Po czym, tuż obok, w gabinecie fryzjerskim zabrali się wcale nie do strzyżenia włosów łonowych, czemu zwykle towarzyszyło gniewienie nożycami najdelikatniejszych organów — nie, dziś co najwyżej przysypywali te organy różowym pudrem. Najłżejszym tchnieniem brzytwy muskali wynędziały aresztanckie policzki i łechtali ucho cichym szeptem: „czy aby nie drażni?”. Głównie dziś wcale nie golono do skóry, a nawet proponowano peruczki. Podbródków nie tylko nie skalpowano, ale na życzenie klientów zostawiono nawet zaczątki przyszłych bród i faworytów. Fryzjerczykowie zaś tymczasem, leżąc omal na ziemi, obcinali klientom paznokcie u nóg. Wreszcie, gdy znaleźli się już w drzwiach łaźni, nie wlano im w garść po dwadzieścia gramów cuchnącego, szarego mydła, nie! — w drzwiach stał sierżant i za pokwitowaniem wydał każdemu gąbkę, córę wysp koralowych i kawałek mydła toaletowego „Nimfa bżów” pełnej wagi.

Później, już jak zwykle, zamknięto ich w łaźni i pozwolono myć się dowoli. Ale więźniowie nie mieli głowy do kąpieli. Ich spory gorętsze były, niż butyrski wrzątek. Teraz wzięta wśród nich górę partia optymistów głoszących, że Stalin z Bериą uciekli do Chin, Mołotow z Kaganowiczem przeszli na katolicyzm, że w Rosji nastał tymczasowy rząd socjal-demokratyczny i że już się zaczęły wybory do Konstytuanty.

Tu z kanonicznym łoskotem otworzyły się wszystkim wam dobrze znane wyjściowe drzwi łazienne — i we fioletowym westibulu już czekały na wychodzących zupełnie niezwykle rzeczy: każdy dostał włochaty, różowy ręcznik i... pełną miskę owsianej kaszy, co odpowiada sześciodniowej porcji zapracowanego łagiernika. Więźniowie cisnęli ręczniki na podłogę i z niewiarygodną szybkością bez żadnych łyżek, czy innych środków pomocniczych, wychłęptali kaszę. Nawet obecny przy tym stary major służby więziennej zdziwił się i kazał przynieść jeszcze po misce kaszy. Uporali się z tą i jeszcze z następną. Co było później — tego nigdy nikt z was by nie zgadł! Przyniesli nie przemarzłe, nie zgniłe, nie czarne, tylko, no, można nawet powiedzieć, jadalne kartofle.

— To wykluczone! — zaprotestowali słuchacze — tu już przesoliłeś.

— Ale kiedy tak właśnie było! Co prawda, kartofle były tak zwanego świńskiego gatunku, drobne, w mundurach — i może nawet syci więźniowie nie jedliby już ich, ale piekielna perfidia polegała na tym, że przyniesiono je nie w porcjach, ale w jednym wspólnym kubie. Z dzikim wyciem, szturchając się mocno i bijąc, włączając sobie wzajem na gołe plecy, zeki rzucili się na wiadro i po chwili naczynie, już puste, z brzękiem potoczyło się po kamiennej podłodze. Właśnie w tej chwili przyniesiono jeszcze soli, ale sól nie była już potrzebna.

Przez ten czas gołe ciała wyschły. Stary major kazał zekom podnieść z podłogi włochate ręczniki i wygłosił do nich przemówienie.

— Drodzy bracia! — rozpoczął. — Jesteście wszyscy uczciwymi sowieckimi obywatelami izolowanymi od społeczeństwa jedynie na krótki czas, jedni na dziesięć, inni na dwadzieścia pięć latek, za pewne niewielkie wykroczenia. Nie bacząc na często udzielane osobiście przez towarzysza Stalina wskazówki — kierownictwo więzienia butyrskiego pozwalało sobie na poważne błędy i wypaczenia. Teraz to zostanie naprawione (puszczą do domów! — bezczelnie pomyśleli sobie więźniowie), od tej chwili będziecie tu u nas jak w sanatorium (siedzimy dalej! — spuścili nosy na kwintę). Poza wszystkim co wolno wam było robić dawniej, obecnie pozwala się dodatkowo:

- a) modlić się do swoich bogów,
- b) leżeć na pryczach i w nocy i we dnie,
- c) bez żadnych przeszkód wychodzić z celi do wychodka,
- d) pisać pamiętniki.

Poza wszystkim, co dawniej było zabronione, zabrania się dodatkowo:

- a) wycierać nos w państwowe prześcieradła i firanki,
- b) po jedzeniu prosić o repetę,
- c) przy wejściu do celi dostojnych gości sprzeciwiać się w czymkolwiek rozkazom kierownictwa więzienia bądź skarżyć się na nie,
- d) brać bez pozwolenia ze stołu papierosy „Kazbek”.

Każdy kto wykroczy przeciw jednej z tych reguł, dostanie 15 dni zimnego karceru obostrzonego i będzie zesłany do najdalszych obozów bez prawa korespondencji. Zrozumiano?

Zaledwie major skończył to przemówienie — nie wytoczyła się wcale z kamer na dudniących wagonikach bielizna i dziurawe waciaki zeków, o nie! Piekło nie wyrzygało z powrotem łachmanów! — Tylko weszły cztery młodziutkie garderobiane, chowając oczy, rumieniąc się, miłymi uśmiechami dając do zrozumienia więźniom, że nie wszystko jeszcze dla nich jako mężczyzn jest stracone — i zaczęły im rozdawać błękitną, jedwabną bieliznę. Następnie wręczyły więźniom krochmalone koszule, krawaty dyskretnych kolorów, jaskrawo żółte amerykańskie buty pochodzące z *lend-lease'u* oraz garnitury ze sztucznego koworkotu.

Oniemiali ze zgrozy i zachwytu więźniowie karnym dwuszeregiem zostali zaprowadzeni z powrotem do swojej siedemdziesiątej drugiej celi. Ale, na Boga, jakże się zmieniła!

Jeszcze będąc na korytarzu wstąpili na puszysty chodnik zachęcająco wiodący aż do wychodka. A przy wejściu do celi, owiały ich strugi świeżego powietrza i nieśmiertelne słońce zabłysło wprost przed ich oczyma. (Noc zdażyła tymczasem minąć i ranek był już na dworze). Okazało się, że w ciągu nocy kraty wymalowano na niebiesko, zdjęto z okien blince, a na dachu byłej butyrskiej cerkwi stojącej wewnątrz podwórca umocowano zwierciadło obrotowe i specjalnie wyznaczony funkcjonariusz tak je regulował, ażeby odbite promienie słoneczne bez przerwy padały w okna siedemdziesiątej drugiej celi. Ściany celi, jeszcze wczoraj oliwkowo ciemne, teraz były wymalowane jasną, olejną farbą, na której malarze w wielu miejscach umieścili wizerunki gołąbków, trzymających w dzióbkach szarfy z napisami: „Chcemy pokoju!” i „Pokój światu!”.

Po zapluskwionych dechach nie zostało nawet śladu. Na ramy przyćnacięnięte były brezentowe spody, a na nich leżały piernaty i pachowe poduszki; spod kokietyryjnie odrzuconych rogów kołder wyglądały bielutkie prześcieradła. Koło każdej z dwudziestu pięciu przyćnacięniętych nocnych stolików, wzdłuż ścian ciągnęły się półki z książkami Marksa, Engelsa, św. Augustyna

i Tomasza z Akwinu, pośrodku celi stał stół przykryty nakromchalonym obrusem, na nim zaś popielniczka i nierozpieczętowana paczka „Kazbeków”. (Wszystkie czary tej niezwyklej nocy udało się przeprowadzić przez księgi buchalteryjne i jedynie dla gatunkowych papierosów „Kazbek” nie można było znaleźć umotywowania budżetowego. Naczelnik więzienia postanowił błysnąć „Kazbekiem” na własny rachunek, dlatego też kara za przekroczenie punktu d — była tak surowa).

Ale największej przemianie uległ ką, gdzie dawniej stał kibel. Cała ściana była wyskrobana i pomalowana na nowo, w górze paliła się duża lampka wotywna przed ikoną Matki Boskiej z Dzieciątkiem, błyszcząły okładziny na wizerunku świętego cudotwórcy, Mikołaja Mirlikijskiego, stała na specjalnej etażerze biała statuetka katolickiej Madonny, a w płytkiej niszy zestawionej jeszcze przez murarzy, leżały Biblia, Koran, Talmud i stał mały, ciemny tors Buddy. Budda miał oczy lekko zmrużone, kąty warg rozciągnięte i mogło się wydawać, że ciemny brąz ożywia uśmiech.

Obżarci kaszą z ziemniakami i wytrąceni z równowagi niesłychaną ilością wrażeń, więźniowie rozebrali się i od razu zasnęli. Podmuchy Eola kołysały w oknach koronkowe firaneczki broniące dostępu muchom. Nadzorca stał w uchylonych drzwiach i pilnie baczył, żeby nikt nie gwizdnął „Kazbeków”.

Wylegiwali się tak najspokojniej do południa, kiedy to wbiegł nadzwyczajnie podekscytowany kapitan w białych rękawiczkach i zarządził pobudkę. Gromadka zeków szybko się przyodziała i zaścieliła łóżka. Do celi został jeszcze wepchnięty z pośpiechem okrągły stolik przykryty białym obrusem, na który rozłożono „Oganiok”, „ZSSR się buduje”, oraz czasopismo „Ameryka”. Wtoczono jeszcze dwa staroświeckie, przykryte pokrowcami fotele na kółkach — i zaległa złowróźbna, nieznośna cisza. Kapitan przechadzał się między pryzkami na paluszkach i zgrabną, białą trzcinką bił po palcach każdego kto wyciągał rękę po czasopismo „Ameryka”.

W dręczącej ciszy więźniowie nasłuchiwali. Jak dobrze wam wiadomo z własnego doświadczenia, słuch to najważniejszy ze zmysłów zeka. Wzrok więźnia ograniczony jest zazwyczaj przez ściany i blince, powonienie jego obrażają wciąż nieznośne fetory, jego dotyk nie znajduje żadnych nowych obiektów. Za to słuch rozwija się niezwykle. Każdy dźwięk, nawet w najdalszym kącie korytarza, natychmiast zostaje zidentyfikowany, daje wytłumaczenie rozmaitych wypadków zachodzących w więzieniu i pozwala określić porę dnia: czy niedługo już będą roznosić wrzątek,

czy wyprowadzają już na spacer, albo czy przynieśli komuś paczkę.

Słuch przyniósł też początek rozwiązania zagadki; od strony 75 celi doszedł żelazny łoskot i do korytarza weszła jakaś ludzka gromada. Słyszało się spokojne rozmowy, kroki tłumione przez dywany, następnie dały się rozróżnić głosy kobiet, szelest spódnic i wreszcie pod samymi drzwiami 72-giej celi rozległ się pełen uprzejmości głos naczelnika butyrskiego więzienia:

— A teraz pani R.<sup>1</sup> na pewno będzie miała chęć na zwiedzenie jakiejś celi. No, jakiej? A pierwszej lepszej. Powiedzmy nawet — tej. Sierzancie, otwórzcie siedemdziesiątkę dwójkę.

I do celi weszła pani R. w towarzystwie sekretarza, tłumacza, dwóch dostojnych matron z komitetu kwaków, naczelnika więzienia oraz jeszcze kilku osób w cywilu, bądź w mundurach MWD. Kapitan w białych rękawiczkach usunął się na bok. Wdowa po znakomitym mężu stanu, niewiasta postępową i rozgarniętą, bardzo zasłużoną dla sprawy obrony praw człowieka — pani R. powzięła więc zamiar odwiedzenia dzielnego sojusznika i przekonania się na własne oczy, jak też przebiega rozdział paczek UNRRA (do Ameryki dotarły złośliwe wieści, że paczki UNRRA nie dochodzą do rąk zwykłych obywateli) i czy aby szanowana jest w Związku Sowieckim wolność sumienia. Już jej pokazano zwykłych sowieckich obywateli (byli to poprzebierani podoficerowie), którzy w swoich zgrzebnych ubiorach roboczych dziękowali organizacji Narodów Zjednoczonych za bezinteresowną pomoc. Następnie pani R. zażądała, aby pokazano jej więzienie. Jej życzeniu stało się zadość. Usiadła więc teraz na jednym z foteli, świta stanęła półkołem i z pomocą tłumacza zaczęła rozmowę z więźniami.

Obrotowe lustro wciąż zalewało celę słonecznym blaskiem. Tchnienie Eoela poruszało firanki.

Pani R. bardzo się spodobało, że cela, wybrana na chybił trafił i tak nagle, była do tego stopnia czysta, że zupełnie nie było w niej much, i że — nie bacząc na dzień powszedni — lampka wotywna paliła się w kącie do modlitwy.

Więźniowie z początku byli skrzepowani i siedzieli bez ruchu, ale kiedy tłumacz przełożył na rosyjski pytanie dostojnej damy, czy nikt z więźniów nie pali tylko ze względu na czystość powietrza — jeden z nich wstał z nonszalancją, otworzył pudełko „Kazbeków”, sam zapalił i podsunął papierosy sąsiadowi.

Twarz generała-majora — pociemniała.

---

1. Chodzi niewątpliwie o Eleonorę Roosevelt.

— My walczymy z nałogiem — powiedział on dobitnie — bowiem tytoń, to trucizna.

Jeszcze jeden z więźniów przysiadł się do stołu i zaczął przeglądać czasopismo „Ameryka”, nie wiedząc czemu — z wielkim pośpiechem.

— Za co ukarani są ci ludzie? Na przykład ten pan, który czyta pismo? — spytała dostojna dama.

(„Ten pan” dostał dziesięć lat za nieopatrzłą znajomość z amerykańskim turystą).

Generał-major odparł:

— Ten człowiek jest aktywnym hitlerowcem, służył w gestapo, osobiście podpalił rosyjską wieś i, uczciwszy uszy, zgwałcił trzy rosyjskie chłopki. Ilość zamordowanych przezeń niemowląt nie da się ściśle określić.

— Czy skazany został na powieszenie? — krzyknęła pani R.

— Nie, mamy nadzieję, że się jeszcze poprawi... skazany jest na dziesięć lat uczciwej pracy.

Na twarzy więźnia malował się wyraz cierpienia, ale nie wtrącał się tylko w dalszym ciągu pożerał pismo w kurczowym pośpiechu.

Właśnie w tej chwili wpadł przypadkiem do celi prawostawny pop z dużym krzyżem z perłowej masy na piersi. Zapewne miał swój zwykły obchód i był nadzwyczajnie skonfundowany zastawszy w celi kierownictwo oraz zagranicznych gości.

Chciał już się wymknąć, ale jego skromność przypadła do gustu pani R., która poprosiła by bez żenady wykonywał swoje obowiązki. Duchowny z miejsca wetknął jednemu ze zmieszanych więźniów kieszonkową Ewangelię, usiadł na łóżku innego więźnia i tak przemówił do skamieniałego z wrażenia słuchacza:

— Prosięś mnie więc zeszyłem razem, mój synu, abym opowiedział ci o cierpieniach Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Pani R. poprosiła generała-majora, aby w jej obecności zadać więźniom pytanie — czy nikt z nich nie ma żadnych skarg, które można by przedstawić Organizacji Narodów Zjednoczonych.

— Uwaga! Komu było mówione o „Kazbekach”? Kabaryny wam się zachciewa?

I więźniowie, dotąd milczący jak zakłęci, teraz zaczęli wołać z oburzeniem jeden przez drugiego:

— Obywatelu naczelniku, toż nie ma co palić!

— Uszy puchną bez palenia!

— Machorka w tamtych portkach przecież została!

— Skąd mieliśmy wiedzieć?!

Wybitna działaczka widziała szczere oburzenie więźniów,



słyszała ich tchnące prawdą okrzyki — i z tym większym zainteresowaniem wysłuchiwała tłumaczenia:

— Oni jednomyślnie protestują przeciw prześladowaniu Murzynów w Ameryce i proszą, żeby ONZ rozpatrzyła ten problem.

Taka oto miła rozmowa trwała około piętnastu minut. Po ich upływie dyżurny korytarzowy zameldował naczelnikowi więzienia, że przyniesiono obiad. Pani R. poprosiła, aby rozdawano go przy niej bez żadnych ceregieli. Drzwi się rozwarły i ładne, młodziutkie kelnerki (zdaje się, że były to te same garderobiane, tylko poprzebierane) przyniosły wazy pełne najzwyczajszego rosołu z drobiu z makaronem i zaczęły nalewać go do talerzy. I nagle jakby zew pierwotnego instynktu odmienił dystygowanych aresztantów w jednym mgnieniu oka: wskoczyli w butach na swoje pościele, kucnęli podciągając kolana pod brodę, oparli dłonie tuż koło stóp i w tej psiej pozie z wyszczerzonymi zębami, czujnie przyglądali się czy aby sprawiedliwie rozlewa im się pokarm do misek. Damy z patronatu były zaszokowane, ale tłumacz im wyjaśnił, że jest to rosyjski zwyczaj narodowy.

Nie udało się namówić więźniów aby usiedli przy stole i jedli platerowanymi łyżkami. Zdążyli już wyciągnąć skądś swoje drewniane, starte ze starości — i ledwie prawosławny kapłan pobłogosławił dary Boże, ledwie kelnerki rozniosły talerze, uprzedzając siedzących na łózkach więźniów, że na stole stoi specjalny talerz na kości — gdy rozległ się jednogłośny, straszliwy, ssący chłupot, następnie jeden groźny chrzęst miażdżonych kurzych kości — i wszystko, co było w talerzach, zniknęło raz na zawsze. Talerz na odpadki okazał się niepotrzebny.

— Może oni są głodni? — dała wyraz dziwnemu przypuszczeniu nasza dostojna dama. — Może chcieliby jeszcze?

— R e p e t y nikt nie chce? — zapytał generał chrapliwym głosem.

Ale nikt nie chciał dodatkowej porcji, znając mądre przysłowie obozowe: „Prokurator już ci doda”.

Jednakże klopsiki z ryżem zostały pochłonięte przez zeków z tą samą nieopisaną szybkością.

Kompot im się tego dnia nie należał, ponieważ był to dzień powszedni.

Przekonawszy się o kłamliwości insynuacji rozpowszechnianych na Zachodzie przez wrogie elementy, pani R. z całą świętą wyszła na korytarz i tam rzekła:

— Ale jak prymitywne są ich maniery, jak niski jest stopień rozwoju tych nieszczęsnych! Można żywić jednak nadzieję, że za jakieś dziesięć lat nauczy ich się tutaj kultury. To wspaniałe więzienie!



Pop wyskoczył z celi zaraz za świtą, starając się zdążyć przed zatrzaśnięciem drzwi.

Kiedy goście opuścili już korytarz, do celi wbiegł kapitan w białych rękawiczkach:

— Wsta-ć! — krzyknął. — W dwuszeregu! Na korytarz!

I zauważywszy, że nie wszyscy właściwie zrozumieli jego słowa, dopomógł opieszalym, nie oszczędzając własnej podeszwy.

Dopiero w tej chwili się wyjaśniło, że pewien przebiegły zek dosłownie zrozumiał zezwolenie na pisanie pamiętników i w czasie gdy inni spali zdążył jeszcze rano nagryzmolić dwa rozdziały: „Jak mnie torturowano” i „Spotkania na Lefortowie”.

Pamiętniki natychmiast skonfiskowano, a nadgorliwemu ich autorowi wytoczono nową sprawę śledczą — za podłe oczernianie organów bezpieczeństwa państwowego.

I znowu w takt strzelania palcami i pobrzękiwania „Prowadzę zeka” odkonwojowano ich przez mnóstwo stalowych drzwi aż do rozbieralni, która wciąż tak samo mieniła się swoją wieczną malachitowo-rubinową urodą. Tam ściągnięto z nich wszystko do jedwabnej, błękitnej bielizny włącznie, przy czym przeprowadzono szczególnie staranną rewizję, podczas której u pewnego zeka pod językiem znaleziono wyrwane z Ewangelii Kazanie na Górze. Za czyn ten otrzymał natychmiast uderzenie w jeden, a potem w drugi policzek. Następnie zabrano im koralowe gąbki i „Nimfę bżów” przy czym każdy jeszcze raz musiał się podpisać.

Weszli dwaj nadzorcy w zasmolonych fartuchach i tępymi, brudnymi maszynkami zaczęli strzyc więźniom wżgórki łonowe, następnie — tymi samymi maszynkami — ich twarze i głowy. Wreszcie wleli każdemu do garści po dwadzieścia gramów płynnego, cuchnącego ersatz-mydła i zamknęli wszystkich w łaźni. Nie było rady, więźniowie jeszcze raz się wykąpali.

Później z rytualnym łoskotem otworzyły się drzwi wyjściowe i wszyscy znaleźli się we fioletowym westibulu. Dwie stare kobiety, służebnice piekielne, z dudnieniem wytoczyły z kamer parowych wagoniki, gdzie na rozpalonych haczykach wisiały dobrze znane naszym bohaterom łachmany.

Posępni wrócili do 72-giej celi, gdzie na zapluskwionych dechach znów leżało ich pięćdziesięciu towarzyszy. Koledzy płonęli z ciekawości, aby dowiedzieć się co się stało. Okna były znowu zasłonięte blincami, gołąbki zamalowano ciemnooliwkową farbą, w rogu zaś stał kibel o pojemności czterech wiader.

I tylko w niszy, zapomniany, uśmiechał się zagadkowo mały, brązowy Budda...

## LV

### ALE MA SIĘ TYLKO JEDNO SUMIENIE

W czasie gdy powyższa nowela była wygłaszana, Szczagow wyczyścił nie nowe, ale jeszcze porządne chromowe długie buty, wdział wyprasowany, niegdyś paradny swój mundur z przykręconymi, wypucowanymi orderami, z naszywkami za rany (niestety mundury katastrofalnie wychodziły w Moskwie z mody i wkrótce miał już Szczagow być skazany na niełatwe współzawodnictwo w dziedzinie cywilnych ubrań i butów) — i pojechał na drugi koniec miasta, na Kałuską Rogatkę, dokąd był zaproszony na przyjęcie do prokuratora Makarygina. Zaproszenie przekazał mu frontowy kolega, Alosza Łanski.

Przyjęcie było dziś obliczone na młodzież i w ogóle na przyjaciół rodziny. Wydane było z okazji otrzymania przez prokuratora drugiego orderu Lenina. Prawdę rzec, zaproszona młodzież niewiele miała wspólnego z rodziną i powodem całej uroczystości, ale papcio brzęknął kiesą i w rezultacie można było zabawić się trochę. Powinna była tam przyjść również Liza, ta dziewczyna, o której Szczagow opowiadał Nadii jako o swojej narzeczonej (ale nie padło jeszcze między nimi ostatnie słowo i oficjalnie nikomu to nie było wiadome). Właśnie ze względu na Lizę Szczagow dzwonił do Aloszy z prośbą o zaproszenie.

Przygotował sobie zawczasu kilka wstępnych zdań i wchodził właśnie po tych schodach, na których Klarze ciągle zwiadywała się szorująca je kobieta. Zmierzał do mieszkania, gdzie przed czterema laty czołgając się na kolanach w dziurawych watowanych portkach, układał klepki posadzki ten sam człowiek, któremu Szczagow omal nie zabrał żony.

Domy też miewają swoje losy...

Szczagow nacisnął guzik. Otworzyła mu Klara, której zresztą nie znał z wyglądu. Ale oboje już o sobie słyszeli.

Klara nosiła matowo-zieloną suknię z wełnianej krepy, marszczoną w talii, rozszerzaną ku dołowi. Aplikacja, też zielona, tylko błyszcząca, wiła się haftem na wyłogach kołnierza, zbiegała jakby łańcuszkiem wzdłuż dekoltu i okalała rękawy na przegubach niby bransolety.

W ciasnym, małym korytarzyku wisało już sporo męskich i damskich futer. Nim Klara zdążyła poprosić gościa aby się rozebrał, zadzwonił wiszący opodal telefon. Klara podniosła słuchawkę, zaczęła mówić, lewą ręką dając znaki gościowi, aby zdjął płaszcz.

— Ink?... Dobry wieczór... Jak to? Jeszcze nie wyjechałeś... Ależ natychmiast!... No, co to znaczy, że brak nastroju?... Papa będzie obrażony... Czemu głos masz taki zgaszony?... Możesz nie chcieć, ale przyjdź!... Zaczekaj tylko, zaraz zawołam Narę... Nara! — krzyknęła w stronę mieszkania. — Twój ślubny dzwoni, chodź! Niech pan się rozbierze! (Szczagow już zdjął płaszcz). Proszę zdjąć kalosze! (Przyszedł bez kaloszy)... Słuchaj, on nie chce przyjechać. No, do czego to podobne?

Do korytarza weszła siostra Klary, Dotnara, żona dyplomaty, jak uprzedził Szczagowa Łanski. Wzięła słuchawkę. Stała w przejściu do pokoju, ale Szczagowa nic nie piliło, aby wyminąć tę pachnącą przeszkodę w jasnowiśniowej sukni. Patrzył na nią trochę z góry. Coś niezupełnie zwykłego w jej ubiorze (Szczagow nie bardzo wiedział, czy to dzięki brakowi poduszeczek na ramionach, jakie inne nosiły: czy może dlatego, że barki przechodziły płynną linią w ramiona i że linia ta wydawała się być wymodelowana przez naturę w sposób nieprześcigniony) sprawiało, że Dotnara wydawała się tak smukła i kobieca, jak nikt. Dziwnym szczegółem jej stroju było również to, że rękawy należały nie do samej sukni (suknia była bez rękawów) lecz do narzuconego na wierzch bolerka.

I nikt z tych trojga stojących na dywanie w przytulnym korytarzyku ani przez chwilę nie przeczuwał, że w niewinnej czarnej polerowanej słuchawce, w całej tej błahej rozmowie o przyjeździe na wieczorek tańczący, utajona już była czyjaś zguba, ta zguba, która czatuje na człowieka nawet w gnatach martwego konia<sup>1</sup>.

Od chwili, gdy Rubin kazał nagrać jeszcze pewną ilość telefonicznych rozmów każdego z podejrzanych — słuchawka w mieszkaniu Inocentego została przez niego samego podniesiona

---

1. Aluzja do ballady Puszkina o księciu Olegu, któremu stary wróż przepowiedział, że zginie z winy swego dawno zabitego rumaka.

po raz pierwszy — i w centralnym urzędzie łączności zaszeleściła taśma magnetofonowa z utrwalonym głosem Wołodina.

Ostrożność kazała co prawda Wołodinowi raczej w ciągu tych dni telefonem się nie posługiwać, ale żona wyjechała z domu pod jego nieobecność i zostawiła karteczkę, że trzeba być koniecznie dziś wieczorem u teścia.

Zadzwoił, żeby się wymówić od wizyty.

Inocenty na pewno czułby się lepiej po ostatniej, pełnej lęków nocy, gdyby dzisiejszy, tak dręcząco długi dzień, był dniem powszednim, nie zaś świątecznym. Mógłby wówczas czerpać ważne wskazówki choćby z biegu — albo zahamowań — sprawy jego służbowej podróży do Paryża. Ale wedle czego tu się orientować w niedzielę, skąd wiedzieć czy spokojem, czy też groźbą tchną nieruchawe, puste godziny?

Przez całą minioną dobę dręczyło go przeświadczenie, że jego telefon był szaleństwem, próbą samobójstwa — i że wcale może nie przyniósł pożytku. Z rozdrażnieniem wspominał tę nedoradę, żonę Dobroumowa chociaż, rzecz jasna, nie ona tu była najbardziej winna, nie ona wymyśliła ten brak ufności, nie na niej kończyło się zjawisko.

Nie było żadnych dowodów, że Inocenty został zdemaskowany, ale głos przecucia, ów dar tajemnicy, nie dawał Wołodinowi spokoju. Czuł w sobie narastanie zwiastunów nieszczęścia — i dlatego nigdzie nie chciało mu się jechać, na żadne zabawy.

Starał się teraz przekonać żonę, rozciągając słowa jak to zawsze, gdy trzeba mówić o rzeczach niemiłych, żona nalegała — i wyraźne „morfemy” jego „indywidualnego układu cech mowy” odbijały się na wąziutkiej brunatnej taśmie magnetycznej, aby już następnego ranka przekształcić się w fonogramy i w postaci mokrej wstęgi znaleźć się o dziewiętej przed oczyma Rubina.

Nara nie mówiła tym kategoriycznym tonem, który sobie przyswoiła w ciągu ostatnich miesięcy, lecz — rozczulona może znużonym głosem męża — bardzo łagodnie poprosiła go, aby przyjechał choć na godzinkę.

Inocenty poczuł cień współczucia i zgodził się. Jednakże kładąc słuchawkę nie od razu cofnął rękę i stał jeszcze chwilę, jakby czegoś nie dopowiedział.

Zrobiło mu się żal nie tej żony, z którą teraz żył razem — i jakby nie żył, od której za kilka dni miał znów dokądś odjechać — tylko płowowłosej maturzystki z lokami do ramion, dziewczuszki z którą niegdyś razem zaczęli bliżej przyglądać się życiu. Zapłonęła między nimi wtedy ta łatwopalna namiętność, nie słuchająca żadnych argumentów, nie chcąca nic wiedzieć

o żadnym odrzucaniu małżeństwa. Instykt, który nas prowadzi wśród fałszywych pozorów i ozdobnych kłamstw, pozwolił im znaleźć się nawzajem i nie dał już więcej się rozstać. Małżeństwu temu była przeciwna matka Inocentego, już wówczas ciężko chora (ale jaka matka nie sprzeciwia się ożenkowi syna?!) sprzeciwiał się również prokurator (ale jaki ojciec z lekkim sercem odda obcemu osiemnastoletnią, śliczną córeczkę?). A jednak wszyscy musieli się zgodzić! Młodzi się pobrali i byli tak doskonale szczęśliwi, że stało się to przysłowiowe w ich środowisku.

Ich pożycie małżeńskie rozpoczęło się pod najlepszą gwiazdą. Należeli do tego kręgu, w którym nie wie się, co to znaczy chodzić pieszo, albo jeździć kolejką podziemną, w którym jeszcze przed wojną latało się samolotami zamiast korzystać z bezpośrednich wagonów sypialnych, w którym nie troszczy się nawet o urządzenie mieszkania; w każdym ich nowym miejscu pobytu — pod Moskwą, w Teheranie, na syryjskiej riwierze albo w Szwajcarii, w młodą naszą parę już czekała doskonale urządzona dacha, willa, apartament. Poglądy na życie mieli oboje zupełnie podobne. Sprowadzały się do hasła: „Ma się tylko jedno życie!”. Z uwagi na to trzeba było brać z życia wszystko co miało do ofiarowania, z wyjątkiem chyba tylko dziecka, dlatego że dziecko — to stwór wysysający z człowieka soki i nie płacący za to ani żadnymi ofiarami ze swojej strony, ani nawet wdzięcznością.

Mając podobne poglądy młoda para doskonale harmonizowała z warunkami, w których żyła i warunki te zupełnie im odpowiadały. Starali się skosztować wszystkich nowych owoców, choćby najbardziej cudacznych. Znać smak wszystkich najlepszych koniaków i poznać różnicę między winami z doliny Rodanu a winami z Korsyki i jeszcze wszelakimi innymi winami tłoczonymi w winnicach całego globu. Mieć wszystkie suknie. Umieć zatańczyć każdy taniec. Zążywać kąpieli we wszystkich uzdrowiskach. Uprawiać tenis i yachting. Być na dwóch aktach każdego głośnego przedstawienia. Przewertować wszystkie sławne książki.

W ciągu sześciu najlepszych lat męskiego i kobiecego życia dawali sobie to właśnie, czego od siebie nawzajem chcieli. Owe sześć lat — były to prawie w całości te same lata, podczas których ludzkość łkała wśród ciągłych rozstań, ginęła na frontach i pod ruinami miast, kiedy ogarnięci szaleńcami dorodli kradli dzieciom czarne hostie razowego chleba. I ból świata nie kładł się cieniem na twarze Inocentego i Dotnary.

Przecież ma się tylko jedno życie!...

Ale jak lubili dawniej mawiać ludzie w Rosji — nieodgadnione są ścieżki Pańskie. Pod koniec szóstego roku ich współ-

życia małżeńskiego, kiedy już wróciły do baz bombowce i zamilkły działa, kiedy drgnęła nowym impulsem rozwoju zieleni pokryta czarną sadzą i kiedy ludzie przypomnieli sobie, że ma się tylko jedno życie — w ciągu tych właśnie miesięcy Inocenty, mając dostęp do wszystkich rzeczy na świecie, które można było wchłonąć węchem, odczuć, wypić, zjeść, objąć garścią — zaznał ohydneho uczucia przesytu i niesmaku.

Przestraszył się tego doznania, zaczął walczyć z nim jak z chorobą, czekał aż samo przejdzie, ale nie przechodziło. Najgorsze, że nie mógł zrozumieć jego istoty — na czym właściwie polega? Miał niby wszystko, a właśnie czegoś było mu brak.

I weseli jego kompani, z którymi tak bardzo się przyjaźnił, przestali mu się jakoś podobać — ten zaczął wydawać się niezbyt mądrym, ów — trochę gruboskórnym, tamten znów — zbyt zakochanym w sobie.

Ale poczuł się inny i odstrychnął się nie tylko od przyjaciół, lecz także od jasnowłosej Dotti, jak już dawno na cudzoziemską modłę nazywał Dotnarę — od swojej żony, od której dotąd w myślach się nie separował.

To jakaś jej opinia zaczęła mu się wydawać zbyt ostrą, to znów raził go jej zbyt apodyktyczny głos. To w tym, to znów w owym wypadku postępowała ona inaczej, niż to się, jego zdaniem, godziło — i była kategorycznie przekonana o własnej słuszności.

Ich stojące na mocnych fundamentach wykwintne życie zaczęło trochę jakby krępować Inocentego, ale Dotti nawet nie chciała słyszeć o żadnych zmianach. Co więcej, jeżeli dawniej Dotti przechodziła obok rzeczy i bez żadnego żalu żegnała się z jednymi, by powitać nowe, jeszcze lepsze — o tyle teraz zrodziła się w niej nienasycona chęć zatrzymania na zawsze w swoim ręku wszystkich rzeczy ze wszystkich jej mieszkań. Dwa lata pobytu w Paryżu Dotti wykorzystała po to, aby wciąż posyłać do Moskwy ogromne kartony z kuponami materiałów, pantoflami, sukniami, kapeluszami — Inocenty zaś czuł, że to mu sprawia już przykrość. Czy dopiero teraz nabrała tego zwyczaju? — Czy tylko dawniej on nie zauważał? — ale zaczęła głośno żuć, mlaskała nawet, zwłaszcza przy jedzeniu owoców.

Ale nie przyjaciele byli problemem, nawet nie żona, tylko sam Inocenty. Brak mu było wciąż czegoś, czego zaś — tego nie mógł zrozumieć.

Już dawno Inocentego uważano za epikurejczyka — tak nazywano go i chętnie to akceptował, chociaż sam dobrze nie wiedział, co to takiego. I oto pewnego dnia w Moskwie, w domu, gdy nie miał nic innego do roboty, przyszła mu do głowy



zabawna myśl, żeby poczytać co też właściwie propagował mistrz? I zaczął w trzech szafach bibliotecznych, jakie zostały po zmarłej matce, szukać książki o Epikurze, która — jak to pamiętał z dzieciństwa, powinna była gdzieś tam być.

Samą tę robotę — penetrowanie starych szaf, Inocenty rozpoczął ze wstrętnym uczuciem skrępowania, niechęci do nachylania się, przekładania ciężarów, wciągania kurzu w płuca. Nie był przyzwyczajony nawet do takiego wysiłku i bardzo się zmęczył. Ale jakoś się przemógł i poczuł tchnienie dziwnej świeżości bijące z głębi tych starych szaf, pachnących tak osobliwie i swojsko. Znalazł zresztą również książkę o Epikurze i później przeczytał ją nawet, ale nie w niej odkrył to co wydało mu się najważniejsze, tylko w listach i w pamiątkach po matce, której nigdy nie rozumiał; przywiązany był do niej jedynie w dzieciństwie. Nawet śmierć jej zniósł prawie obojętnie i nie pokwapił się z Bejrutu na pogrzeb.

Pierwsze, najdawniejsze spojrzenie na osobę ojca — skomarzyło się Inocentemu z latami dzieciństwa, ze srebrnymi trąbkami pionierskimi wzniesionymi ku sztukateriom na suficie, z dziarską piosenką śpiewną przy ognisku. Samego ojca Inocenty nie pamiętał, ojciec zginął w dwudziestym pierwszym roku w tambowskiej guberni, ale wszyscy dokoła mówili mu o nim bez ustanku — o sławnym przywódcy marynarzy, którego imię tak zasłynęło podczas wojny domowej. Słyszając te pochwały wszędzie i ze wszystkich ust, Inocenty przyzwyczał się do dumy z ojca, z jego walki za sprawę ludu, walki przeciw bogaczom, co tonęli w zbytku. Natomiast do wiecznie zatroskanej, wciąż czymś przejętej i zasmuconej, zawsze obłożonej książkami i termoforami matki, odnosił się niemal że z góry i jak to zwykle bywa z jedynakami, wcale nie pomyślał, że dla matki istniał nie tylko on, jego dzieciństwo i jego potrzeby, lecz również spłot własnych życiowych spraw; że dręczą ją choroby; że musiała umrzeć w czterdziestym siódmym zaledwie roku życia.

Jego rodzice bardzo krótko prowadzili wspólne życie, prawie go nie było. Ale nawet o tym prawie Inocenty w dzieciństwie ani pomyślał, nie przychodziło mu do głowy, żeby zapytać o to matkę.

A teraz wszystko to wysnuwało się przed nim z listów i pamiętników matki. Ich małżeństwo nie było małżeństwem, tylko raczej czymś nagłym jak burza; w tamtych latach wszystko było takie. Zetknęli się dzięki niezwykłym okolicznościom, inne okoliczności nie pozwalały im widywać się często, jeszcze inne zmusiły ich do rozstania. Matka, którą poznał w tych dziennikach, okazała się wcale nie jakimś dodatkiem do ojca jak to sobie



syn wyobrażał, tylko kimś z innego, własnego świata. Inocenty dowiedział się też dopiero teraz, że matka przez całe życie kochała innego mężczyznę nie mogąc nigdy z nim się połączyć.

Związane kolorowymi wstążeczkami z miękkich jedwabi, leżały w szafach paczki listów od przyjaciółek matki, od znajomych, przyjaciół, artystów, malarzy i poetów, których nazwiska były teraz zupełnie zapomniane, albo wymieniane z dodatkiem obelg. W przedpotopowych zeszytach obłożonych w granatowy safian były mamine pamiętniki pisane po rosyjsku i po francusku dziwnym charakterem pisma — jak gdyby raniony ptak miotał się po kartce i chwiejnym pazurkiem wydrapywał dziwaczny swój ślad. Wiele stroniec zajmowały wspomnienia z literackich wieczorków i przedstawień. Chwytał za serce opis oczekiwania przez mamę w tłumie takich samych płaczących z radości entuzjastów, przez całą białą, czerwcową petersburską noc, na przyjazd pociągu z trupą Teatru Artystycznego. Bezinteresowny zapał bił z tych stroniec, Inocenty poczuł jego świeży wiew. Dzisiaj nie było już takich zespołów teatralnych, zresztą trudno sobie było wyobrazić, żeby ktoś nie spał przez całą noc z okazji przyjazdu teatru — prócz osób odkomenderowanych przez wydział kultury celem wręczenia odpowiednio zaksięgowanych bukietów. I na pewno już nikomu nie przyjdzie do głowy aby płakać przy takiej okazji.

Dzienniki mamy prowadziły go coraz dalej i dalej. Znalazł stronieczki zatytułowane: „Notatki o etyce”.

„Litość — to pierwszy odruch każdej dobrej duszy” — tak napisała mama.

Inocenty zmarszczył się. Litość? Toż to uczucie wstydlive i ponizające — zarówno tego kto się lituje, jak człowieka, nad którym litować się trzeba. Tego uczono go w szkole.

„Nigdy nie sądz, że masz więcej słuszności niż inni. Szanuj cudze zdanie, nawet zdanie przeciwnika”.

To też było dosyć staromodne. Jeżeli mój światopogląd jest słuszny, to jak mogę szanować tych, którzy nie zgadzają się ze mną?

Zdawało mu się, że nie on to czyta, tylko że mama tak mówi, słyszał jej kruchy głos:

„Co jest w świecie najcenniejszego? Okazuje się, że świadomość, iż ty nie bierzesz udziału w niczym niesprawiedliwym. To, co niesprawiedliwe jest od ciebie silniejsze, trwa, i będzie trwać, ale niech nie trwa dzięki tobie”.

— Tak, mama była wątłutka, trudno wyobrazić sobie mamę walczącą, myśleć jednym tchem o mamie i jakiejś walce.

Gdyby nawet sześć lat temu Inocenty znalazł te pamiętniki

— to pewno by nie zauważył tych wszystkich myśli. Teraz czytał je zaś powoli i wciąż się dziwił. Nie było w nich niby niczego takiego niezwykłego, były nawet rzeczy wyraźnie nieśluszne, ale Inocenty nie mógł wyjść ze zdumienia. Staromodne były nawet te wyrazy, których używała mama i jej przyjaciółki. Pisały serio z dużej litery: Prawda, Dobro i Piękno; Dobro i Zło; Imperatyw Etyczny. W języku, którego używał Inocenty i otaczający go ludzie stosowane były pojęcia konkretniejsze i dlatego łatwiej było je zrozumieć: ideowość, humanitaryzm, wierność, celowość.

Ale chociaż Inocenty był niewątpliwie ideowy, i humanitarny, i wierny sprawie i dążył niezłomnie do wytkniętego celu (tę ostatnią cnotę najbardziej sobie cenili i starali się rozwijać jego rówieśnicy), to jednak siedząc na niskiej ławeczce pod starą szafą poczuł nagle, że znalazł coś, czego mu było brak.

Były tu też stare albumy z jasnymi, wyraźnymi zdjęciami sprzed lat. W kilku osobnych paczkach zebrane były programy teatralne z Petersburga i Moskwy. Była jeszcze gazeta teatralna „Widz” i „Herold kinematografii” — jak to? więc w tamtych czasach już to wszystko było? I stopy, stopy najróżniejszych czasopism, już od samych ich nagłówek ćmiło się w oczach: „Apollon”, „Zołotoje Runo”, „Wiesy”, „Mir Iskusstwa”, „Sołnce Rossii”, „Probuźdzenie”, „Pegaz”. Reprodukcyjne nieznanymi obrazów, rzeźb (nawet ich śladów próżno byłoby szukać w Gallerii Tretiakowskiej!), teatralnych dekoracji. Wiersze nieznanymi poetów. Niezliczone tomiki beletrystycznych dodatków do czasopism — z setkami nazwisk pisarzy europejskich, o których Inocenty nigdy nie słyszał. Co tam pisarze! — tu były dziesiątki wydawnictw, o których nie wiedział nic, tak, jakby zapadły się do Hadesu: „Gryf”, „Szypownik”, „Skorpion”, „Musaget”, „Alcjona”, „Społochy”, „Logos”, „Prometej”, „Obszczestwien-naja Polza”.

Kilka dni przesiedział tak na ławeczce przed otwartymi drzwiami szaf, wdychając, wdychając to trujące powietrze, te zapachy maminego świątka, do którego jego ojciec, okręcony pasem z granatami, wtargnął kiedyś w czarnym płaszczu ceratowym z nakazem rewizji w ręku.

Dotnara zjawiała się wtedy zapraszając męża na jakiś wieczór. Inocenty spojrział na nią bezmyślnie, później zmarszczył czoło i wyobraził sobie to zbiegowisko nadętych facetów, na którym wszyscy raźnie staną na baczność, kiedy wzniesiony zostanie pierwszy toast za zdrowie towarzysza Stalina, później będą dużo jeść i pić, już bez towarzysza Stalina i wreszcie zasiądą do gry w karty, a wszystko robić będą głupio.

Z mglistych jakichś przestrzeni wrócił spojrzeniem do swojej Dotti i poprosił, aby pojechała sama.

Dotnarze wydawało się dziwactwem, że mąż woli gmeranie w starych albumach od udziału w przyjęciu urządzonej dla żywych ludzi. Związane z mglistymi, ale nigdy nie umierającymi wspomnieniami dzieciństwa, wszystkie te odnalezione w szafach przedmioty Inocentemu mówiły wiele, jego żonie zaś — zgoła nic.

Matka zwyciężyła w końcu: wstała z grobu i odebrała swego chłopca synowej.

Inocenty rozumiał, wydawało mu się, że matka mówi tak: podobnie jak pożywienie to nie same tylko kalorie, tak samo istoty życia nie da się ogarnąć przy pomocy samych tylko wielkich formuł.

Wybity ze starej koleiny, Inocenty nie mógł już się na nowej drodze zatrzymać. W ciągu ostatnich lat rozleniwiał się, odechciało mu się wszelkiej nauki (zdolności do francuskiego, które zdecydowały o jego karierze, nabrał jeszcze w dzieciństwie i to dzięki matce) — teraz zaś rzucił się na książki.

Okazało się, że czytanie to też umiejętność, że to nie to samo, co wodzenie oczyma po rządках liter. Ponieważ Inocenty w młodości był konsekwentnie separowany od książek nieprawomyślnych, zakazanych, a czytał tylko zalecane, to nauczył się raz na zawsze wierzyć każdemu słowu pisanemu, zdając się całkowicie na autora. Tak samo teraz, czytając autorów wzajemnie sobie przeczących, długo nie potrafił przeciwstawić się im, poddając się całkowicie naprzód jednemu z nich, potem drugiemu, potem trzeciemu.

Wyjechał do Paryża do pracy w Komitecie Społeczno-Ekonomicznym ONZ. Tam także wiele czytał, na ile mu praca pozwalała. I wreszcie poczuł któregoś dnia, że uchwycił ster własną ręką.

To, co odkrył w tych latach dla siebie — nie było może czymś wielkim, ale przecież miało swój sens.

Dawniej Inocenty trzymał się zasady, że życie ma się tylko jedno.

Teraz jakimś nowym zmysłem odnalazł w sobie i w świecie nowe prawo: że sumienie też ma się tylko jedno.

I tak, jak nie można odzyskać życia, które się oddało, tak samo nie można zachować raz utraconego sumienia.

Tak właśnie zaczynał rozumować i myśleć Inocenty kiedy pewnej soboty, kilka dni przed nową podróżą do Paryża, dowiedział się na swoje nieszczęście o tej szykującej się prowokacji z naiwnym Dobroumowem. Był już na tyle doświadczony, aby

orientować się że taka sprawa nie skończy się na jakimś jednym profesorze, że tu zacznie się cała kampania. Ale ze względu na mamę, zależało mu też na samym Dobroumowie.

Przez kilka godzin spacerował w rozterce po swoim gabinecie służbowym (kolega był w delegacji), miotał się, chwiał się na nogach, łapał się za głowę. I zdecydował się jednak zadzwonić, chociaż brał pod uwagę, że telefon Dobroumowa jest już może pod kontrolą i że jest ich tylko paru wtajemniczonych w całym ministerstwie.

Zdawało mu się, że to wszystko było bardzo dawno temu, w istocie miało miejsce zaledwie wczoraj.

Cały dzisiejszy dzień Inocenty spędził w nieustannym półochu, poza domem, bojąc się, że przyjdą tam po niego. Wiele razy w ciągu tej doby nawiedzało go uczucie daremnego żalu i ohydneho lęku, i rezygnacji — „niech się dzieje, co chce”, by znowu ustąpić miejsca strachowi. Nie spodziewał się wczoraj, że taki będzie zdenerwowany. Nie wiedział, że potrafi tak się lękać o siebie.

Teraz taksówka wiozła go Wielką Kałuską, całą w blaskach ulicznych latarni. Śnieg padał już gęstymi płatami i wycieraczka szastała się po szybie samochodu.

Myślał o Dotti. Zeszłej wiosny stali się sobie już tak bardzo obcy, że załatwił sobie wyjazd do Rzymu tak, aby jej nie zabierać.

Za to gdy wrócił w sierpniu, dowiedział się, że dzielił ją przez ten czas z pewnym oficerem sztabu generalnego. Z kobiecym uporem Dotti wcale nie wypierała się zdrady, tylko całą winę zwałała na Inocentego — dlaczego właściwie zostawił ją samą?

Ale nie poczuł nawet bólu, raczej ulgę. Nie mścił się na niej. Nie dręczył zazdrością, po prostu przestał odwiedzać jej sypialnię i już od czterech miesięcy odgradzał się od niej pogardą. Rzecz jasna, o rozwodzie nie mogło być mowy — rozwód był w jego resorcie aktem zgubnym dla kariery.

Teraz jednak, w tych dniach poprzedzających wyjazd — albo aresztowanie! — miał chęć być dobry dla Dotti. Szukał w pamięci nie przykrych, lecz samych tylko miłych wspomnień.

Jeżeli zostanie aresztowany — to jeszcze dosyć naje się ona przez niego kłopotów i strachu...

Z prawej strony, za prętami Nieskuczneho Parku zamigatyły czarne pnie i gałęzie ubielone już śniegiem.

Śnieg walił gęsto, przynosił spokój i zapomnienie.

## LVI

### PRZYJĘCIE

Mieszkanie pana prokuratora, budzące zawiść całej klatki schodowej numer dwa, ale zdaniem samych Makaryginów — już zbyt ciasne, składało się właściwie z dwóch mieszkań między którymi ściana została przebita. Dlatego też wyposażone było w dwoje drzwi wejściowych (jedne były zawsze zamknięte), w dwie łazienki, dwie ubikacje, dwa korytarze, dwie kuchnie. Było też pięć pokoi, w największym z których podano dzisiaj kolację.

Wraz z rodziną gospodarzy obecnych było około dwudziestu pięciu osób i z podawaniem do stołu ledwie sobie radziły dwie służące — Baszkirki: jedna stała, druga wypożyczona na wieczór od sąsiadów. Obie Baszkirki były jeszcze podlotkami, z tej samej wsi. Zeszłego lata skończyły tę samą dziesięciolatkę w Czekmaguszy. Zarumienione od kuchennego ognia, pełne napięcia twarze dziewcząt nosiły wyraz powagi i usłużnej gotowości. Żona prokuratora, niewiasta wysoka, tęga, jeszcze nie stara, z aprobatą wodziła za nimi oczyma.

Pierwsza żona prokuratora, która była wraz z mężem na frontach wojny domowej, potrafiąca dobrze strzelać z karabinu maszynowego, chodząca zawsze w swojej skórzanej kurtce i trzymająca się ostatnich dyrektyw komórki partyjnej — chyba nie byłaby zdolna doprowadzić Makarygina do obecnego stanu pomysłowości; ba, gdyby nie umarła przy narodzinach Klary — to trudno byłoby nawet wyobrazić sobie jej dalsze życie.

W przeciwieństwie do niej, Aleutina Nikanorowna, obecna żona Makarygina, wiedziała, że dobra rodzina jest nie do pomyslenia bez dobrej kuchni; że dywany i obrusy są ważnym dowodem zamożności, kryształ zaś — najwłaściwszą ozdobą bankietów. Kryształ zbierała całymi latami — i to nie te dzi-

siejsze, toporne, krzywobokie, wyrabiane taśmowym sposobem, szlifowane przez obojętne ręce, szkła w które żaden majster nie wszczepił ani iskierki własnej duszy. Pani Aleutina kolekcjonowała kryształy antykwaryczne, skonfiskowane z wyroku sądowego w dwudziestych i trzydziestych latach, a sprzedawane później okazyjnie w specjalnych sklepach dla pracowników aparatu sprawiedliwości — kryształy, których każda sztuka była jakby odbiciem własnej osobowości jej twórcy. Ponadto bardzo powiększyła swoją kolekcję na Łotwie; przez dwa powojenne lata, kiedy prokurator pracował w Rydze, pani Aleutina mieszkała tam również i świetnie zaopatrzyła się w sklepach komisyjnych, albo i bezpośrednio na targu — w meble, w naczynia, a nawet w srebrne nakrycia, kupowane na sztuki.

Rozstawione dzisiejszego wieczoru na dwóch wielkich stołach i rzeźsicie oświetlone, szlachetne kryształy mieniły się kolorowo, iskry sypały się ze wszystkich krawędzi, nacięć i diamentowych szlifów. Były tu bakaraty „złote” (ciemno-czerwone), „miedziane” (czekoladowo-czerwone) i „selenowe” (czerwone, tknięte lekkim, żółtym tchnieniem), były ciemno-zielone z ciężkim lśnieniem i złocisto-zielone „kadmowe”. I granatowe kobalty. I mętno-białe kryształy mleczne. I „mrożone”, całe w szronowych kwiatach. I kryształy naśladowujące kość słoniową. I podwójne karafki z kulistymi, rżniętymi zatyczkami. I wielopiętrowe wazy z kryształu „diament” z owocami, orzechami i cukierkami, piętrzące się nad pełnym stołem. I najzwyczajsze wazki, pucharki i kieliszki z ciężkiego, ołowianego szkła. Wszystko to uderzało różnaitością form; żaden kolor, żaden wzór prawie się nie powtarzał wśród zebranych tu serwisów na sześć i dwanaście osób.

Przy stole dla starszych całym swoim blaskiem jaśniał nowy order prokuratora, na którego cześć wydano dziś przyjęcie; dawał się wyraźnie odróżnić od poprzednio otrzymanych, już spytynowanych trochę i również dziś przypominanych.

Stół dla młodzieży ciągnął się wzdłuż całego pokoju. Chociaż stoły stykały się, ale rozstawione były pod takim kątem, że nie wszyscy siedzący widzieli się nawzajem, a tym bardziej — nie wszystko mogli słyszeć. Nie prowadzono wspólnej rozmowy i słychać było tylko wesoły, dynamicznie wzmagający się hałas, w którym raz po raz dawał się rozróżnić młodzieńczy śmiech i brzęk kieliszków.

Dawno już spełniono wstępne toasty — za towarzysza Stalina, za zdrowie pracowników resortu sprawiedliwości i za gospodarza, żeby ten order nie był ostatni. Do pół do jedenastej goście zdążyli skosztować już wielu specjałów: słonych, marynowanych na słodko, ostrych, kwaśnych, wędzonych, chudych,



tłustych, mrożonych, witaminizowanych — a niektóre z tych dań doprawdy godne były pochwały, ale nikt nie jadł z takim skupieniem i przyjemnością jak czyniłby to na osobności. Fatalnym dla wszystkich proszonych przyjęć zrzędzeniem losu, gospodyni podała co miała najlepszego i to w ilościach przekraczających czyjekolwiek możliwości — tymczasem goście usiedli ciasno przeszkadzając sobie nawzajem i pochłonięci byli nie tyle procesem jedzenia, ile myślą, aby błysnąć w rozmowie dowcipem, wykazując ostrożne lekceważenie dla przysmaków.

Zresztą — Szczagow, już od tylu lat nie dojadający w studenckich stołówkach, i dwie panienki, przyjaciółki Klary z instytutu jedli wszystko z nabożeństwem, jednak starając się zachować pozor obojętności. Bardzo żarłocznie zajadała protegowana gospodyni, siedząca tuż obok niej, parafianka, przyjaciółka z lat młodości, dzisiaj — żona instruktora rajkomu w dalekim, Zareczeńskim rejonie. Przyjaciółka była osobą nieszczęśliwą: mając niewydarzonego męża nie mogła znaleźć drogi do wyższych kręgów. Przyjechała teraz do Moskwy po zakupy. Z jednej strony gospodyni było przyjemnie, że stara koleżanka kosztuje każdego dania, że chwali, prosi o przepisy i otwarcie zachwyca się atmosferą i towarzystwem w domu państwa prokuratorstwa. Z drugiej strony, Aleutina Nikanorowna wstydziła się przed niespodzianym gościem, generałem-majorem Słowutą, tej swojej prawie-już-nie-koleżanki, podobnie jak wstydziła się także Duszana Radowicza, dawnego przyjaciela męża, ale dziś już chyba też nie-bardzo-przyjaciela. Byli oni zaproszeni dlatego, że wieczór miał mieć z początku charakter rodzinny, a teraz Słowuta mógł jeszcze pomyśleć, że u Makaryginów bywa hołota (tak nazywała Aleutina Nikanorowna każdego, kto nie potrafi dobrze urządzić się w życiu i nie pobiera wysokiej pensji). Zatrzymało jej to cały wieczór. Posadziła więc przyjaciółkę jak najdalej od Słowuty i wciąż jej przypominała, żeby mówić ciszej.

Na ich koniec stołu przesiadła się także Dotnara dosłyszawszy interesującą dla siebie rozmowę o służbie domowej. (Bo i rzeczywiście, wszystkich tak prędko uwolniono od pańszczyzny i posłano do szkół, że teraz nikt nie chce pomóc innym w gotowaniu, myciu naczyń, czy praniu). Tam, w rejonie Zareczeńskim, wzięli się oni na taki sposób: pomogli dziewczynie zwolnić się z kołchozu — i w zamian za to dziewczyna odpracowuje u nich dwa lata; kiedy te dwa lata miną — wystarają się jej o paszport i dziewczyna będzie mogła sobie pojechać do miasta. A na przykład w stacji epidemicznej są na etatach dwie pielęgniarki, których nikt nigdy tam nie widuje. W zamian za pobieraną pensję obie dziewczuchy pracują jako pomoce domowe, jedna

u kierownika stacji, druga — u naczelnika rejonowego wydziału zdrowia. Dotnara zmarszczyła atlasowe czołko: w terenie to łatwiejsze, ale w Moskwie?

Dinera, czarnowłosa, energiczna, prędką w ruchach (rzadko wypowiadała jakąś myśl do końca, jeszcze rzadziej pozwalała na to innym) wynudziła się porządnie przy honorowym stole i wołała poszukać młodszego towarzystwa. Ubrana była na czarno: importowany „mongol” otulał jej ciało jak cienka, błyszcząca, lakierowana skóra i tylko alabastrowe ramiona wrywały się z czerni od łokci w dół.

Widząc Łanskiego, już z daleka podniosła z wyzwaniem jedną rękę:

— Alosza! Przechodzę do natarcia! „Niezapomniany Dziewięćset Dziewiętnasty”...?

Ze spokojnym uśmiechem, który miał dla wszystkich, Łanski odpowiedział:

— Wczoraj.

— A czemu to nie na premierze? Szukałam pana przez lornetkę, chciałam od razu iść za ciosem!

Łanski siedzący obok Klary i oczekujący dziś od niej ważnej odpowiedzi, przygotował się do dyskusji bez zbytejnego zapału, ale wiedział że uchylić się od wymiany zdań z Dinera, było zupełną niemożliwością. Po wielokroć dochodziło już między nimi do pojedynków słownych w salonach literackich, w redakcjach i w restauracji Centralnego Domu Literatów. Dinera nieskrępowana żadnymi urzędowymi obowiązkami, ani stanowiskiem partyjnym, ostro (choć w granicach dobrego wychowania) atakowała dramaturgów, scenarzystów i reżyserów, nie szczędząc nawet własnego męża, Mikołaja Gałachowa. Jej śmiałe opinie współgrały ze śmiałymi toaletami i ze śmiałością jej ogólnie znanego życiorysu. Było jej do twarzy z tym wszystkim. Jej sądy mile wyróżniały się na tle mdłych poglądów tych, którzy musieli liczyć się ze swoimi literackimi posadkami. Atakowała krytykę literacką w ogóle, artykuły zaś Aloszy Łanskiego w szczególności. Łanski cierpliwie się uśmiechał i zawsze chętnie wyjaśniał Dinerze anarchistyczny charakter jej omyłek i drobno-mieszczkańskich odchyłeń. Tę żartobliwą wojnę przyjaciół uprawiał w towarzystwie Dinery tym chętniej, że jego własny los literacki bardzo był zależny od Gałachowa.

„Niezapomniany 1919-ty” była to sztuka Wiszniewskiego. Pozornie mowa w niej była o rewolucyjnym Piotrogradzie i bałtyckich marynarzach — w istocie zaś — o Stalinie, o tym jak Stalin uratował Piotrogród i całą rewolucję, całą Rosję. Z treści sztuki, napisanej z okazji siedemdziesiątej rocznicy urodzin Ojca

i Nauczyciela, wynikało, że tylko dzięki wskazówkom Stalina, również Lenin jakoś sobie radził z robotą.

— Wie pan — z marzycielską intonacją mówiła Diner siedząc już naprzeciw Łanskiego na krześle uprzejmie jej odstąpionym — w przedstawieniu teatralnym powinien być element fantazji — odrobinę szalonej, zuchwałej nawet. U tego samego Wiszniewskiego, proszę sobie tylko przypomnieć, w „Tragedii optymistycznej” — ten chór składający się z dwóch marynarzy, te ich repliki: „Czy nie za wiele aby krwi w tej tragedii?”, „Nie więcej niż u Szekspira” — to przecież było oryginalne! Idzie więc teraz człowiek znowu na sztukę Wiszniewskiego — i co widzi? Realistyczny utwór, owszem, postać Wodza robi wrażenie, wszystko zgodne z faktami historycznymi, no i... to ma być wszystko?

— Jak to? — zapytał surowo bardzo młody gość, który zrobił miejsce Dinerze obok siebie. Miał w butonierce trochę niedbale, trochę na ukos osadzoną baretkę orderu Lenina. — To dla pani za mało? Nie przypominam sobie, żeby komuś udało się w sposób tak wzruszający pokazać Josifa Wisarionowicza! Na sali mnóstwo osób płakało.

— Ja sama miałam łzy w oczach! — osadziła go Diner. — Ja nie o tym! — i mówiła dalej do Łanskiego: — Ale w tej sztuce prawie nie ma nazwisk! Bierze udział: trzech zupełnie jednakowych sekretarzy partyjnych, siedmiu dowódców, czterech komisarzy — zupełny protokół z posiedzenia! I znowu ci sami marynarze — „braciszkwowie”, koczujący z jednej sztuki do drugiej, od Biłocerkowskiego do Ławreniewa, od Ławreniewa do Wiszniewskiego, od Wiszniewskiego do Sobolewa (Diner kiwała głową na boki od nazwiska do nazwiska i mrużyła przy tym oczy) z góry przy tym wiadomo, kto dobry a kto zły i czym się wszystko skończy...

— A dlaczego to się pani nie podoba? — zdziwił się Łanski. — Czy tak niezbędna jest pani czysto zewnętrzna, pozorna atrakcyjność? A jak było w życiu? Czy w prawdziwym życiu nasi ojcowie mieli jakieś wątpliwości, czym skończy się wojna domowa? Albo czy może my nie wiedzieliśmy, czym skończy się Wojna Narodowa, nawet wtedy, kiedy wróg dotarł do moskiewskich przedmieść?

— A czy dramaturg ma jakiegokolwiek wątpliwości, jak będzie powitana jego sztuka? Niech mi pan wytłumaczy, Alosza, dlaczego nasze sztuki nigdy nie robią kłapy? Dlaczego nasi dramaturgowie nigdy się nie boją, że premiera skończy się kłapą? Słowo honoru, że kiedyś się zniecierpliwię, wetknę dwa palce w usta i jak gwizdnę!...

Dinera w bardzo miły sposób pokazała jak to zrobić, chociaż było jasne, że tak trzymając palce gwizdnąć się nie da.

Młody sąsiad o bardzo godnym wyglądzie nalał jej wina, ale Dinera nie chciała pić.

— Zaraz wytłumaczę — Łanski wcale się nie zmieszał. — Sztuki nigdy u nas nie padają na premierze (i dojść do tego nie może!) dlatego, że między dramaturgiem a publicznością istnieje zupełna jedność zarówno poglądów estetycznych, jak ogólnych.

— Nooo, Alosza — Dinera skrzywiła się. — To może pan sobie zachować do artykułu. Już znam ten sposób rozumowania: że odbiorcy nie interesuje pańskie zdanie subiektywne, że jako krytyk powinien być pan wyrazicielem prawdy obiektywnej, a ta jest tylko jedna...

— Oczywiście, — spokojnie uśmiechnął się Łanki — krytyk jest zobowiązany nie poddawać się naciskowi własnych emocji. Trzeba zawsze konfrontować te emocje z ogólnymi zadaniami...

Mówił dalej w tym duchu, ale nie zapominał jednocześnie zerkać na Klarę i koniuszkami palców dotykać jej ręki pod skrajem talerza, jakby dawał znać, że w gruncie rzeczy — jest tylko z nią i czeka na odpowiedź.

Klara nie mogła być zazdrosna o Dinere (zresztą Dinera wprowadziła Łanskiego do domu Makaryginów specjalnie ze względu na Klarę), ale zła już była o tę literacką gadaninę, odsuwającą od niej Aleksego. Prócz tego, widząc jak Dinera krzyżuje swoje alabastrowe ramiona, Klara pożałowała, że wdziała suknię z długimi rękawami, bo też miała nie najgorsze ręce.

Ale na ogół zadowolona była dzisiaj ze swojego wyglądu. Uczucie chwilowej przykrości nie mogło podważyć jej zupełnie wyjątkowego, radosnego nastroju, nad którym wcale nie mogła zapanować. Nie nastawiła się tak z góry, tak się składało — że była dziś po prostu wesoła. Niezwykły dzień znalazł zakończenie w niezwykłym wieczorze. Dziś rano — ale to było jakby nie tego dnia, tylko bardzo, bardzo dawno — ta cudowna, tętniąca życiem rozmowa z Rościszawem. I ten jego poetyczny pocałunek. I pleciony koszyczek na choinkę. A gdy tylko przybiegła do domu — już tu wszystko było gotowe do przyjęcia, i całe przyjęcie było właściwie na jej intencję. Wdziawszy z satysfakcją nową, zieloną suknię z błyszczącymi, wypukłymi aplikacjami z crêpe-satin, Klara stanęła w przedpokoju, aby witać wszystkich gości. Miała dwadzieścia cztery lata, ale poczuła się tak, jakby pierwsza młodość zaczynała się dopiero, rozkwitała jeszcze raz. Nadeszła jej chwila — była to właśnie obecna chwila, tylko ta. Przypominała sobie, że rano w momencie uniesienia

obiecała chyba Rościszławowi, że będzie na niego czekać. Czy to ona, tak zawsze niechętna dotknięciu cudzej ręki — czy to ona właśnie dziś wieczorem, witając w przedpokoju Aloszę, pozwoliła mu zatrzymać w ręku swoją dłoń? W ciągu ostatniego miesiąca ich stosunki stały się o wiele chłodniejsze, tymczasem dziś Alosza powiedział, nie puszczając jej ręki:

— Klaro! Myśl o mnie, co chcesz. Na wieczór noworoczny zamówiłem w „Aurorze” dwa miejsca. Pójdziemy tam razem? To nie w naszym stylu, ale chodźmy, przynajmniej dla żartu, dobrze?

Nie zdążyła powiedzieć mu „nie”. W ogóle nie zdążyła nic odpowiedzieć, bo wbiegł gruby Zeńka z prośbą, żeby znaleźć mu jakąś płytę. Od tej chwili nie byli już sami ani przez moment i przez pół wieczoru mieli oboje wrażenie, że ta rozmowa będzie jeszcze miała dalszy ciąg.

Zeńka, kolega Klary z tego samego roku i dwie dziewczyny z ich instytutu czuli się tu jeszcze studentami i zachowywali się z największą bezpośredniością nie bacząc na obecność wysoko postawionych osobistości. Zeńka dolewał sobie wina zupełnie bezwstydnie, prócz tego doprowadzał do paraksyzmów śmiechu jedną ze swoich sąsiadek, tak, że dziewczyna, cała w piasach, wykrzykując: „oj, nie mogę!” i krztusząc się musiała wyskoczyć zza stołu. Zatrzymał ją i zaczął bić po karku — żeby się nie udławiła — pewien młody lejtnant wojsk wewnętrznych, siostrzeniec pani prokuratorowej. (Wszyscy uważali go za oficera wojsk ochrony pogranicza, ponieważ miał zielone wypustki i zielony otok na czapce, ale w istocie mieszkał w Moskwie; służył w oddziałach sprawdzających dokumenty w pociągach).

Przy stole młodzieży znalazł się też Szczagow siedzący obok swojej Lizy. Usłużnie nakładał jej na talerz, dolewał do kieliszka, mówił coś do niej, ale właściwie myślał cały czas tylko o tym, co widział dookoła.

Z niezmiernie grzecznym wyrazem twarzy obserwował uważnie wszystko, co tu było ponastawiane, porozwieszane i porozkładane na podłodze, a także tych, którzy korzystali z tego w sposób tak naturalny. Od plecionych, generalskich epoletów służby sądownictwa i haftowanych palm dyplomatycznych w jednym kącie pokoju, aż do baretki orderu Lenina niedbale przyszpilonej do klapy ubrania bardzo młodego sąsiada (a on chciał tu błysnąć swoimi skromnymi orderkami!) Szczagow nie widział tu ani jednego frontowca, towarzysza wypraw przez pola minowe, brata po wstrętnym, drobnym, znużonym truchcie przez orne pola, truchcie zwanym szumnem — atakiem na bagnety. I na początku wieczoru specjalnie nawet wywoływał w pamięci

twarze towarzyszy zastrzelonych w konopiach, pod jakąś szopą, na szturmowych trawerkach. I właściwie miał ochotę szarpnąć obrus z zastawą i wrzasnąć: „Dranie! Gdzieście wtedy byli?!”

Ale wieczór miał swoim trybem, Szczagow wypił akurat tyle, że jeszcze nie był pijany, jednak nie czuł już w stopach ciężaru własnego ciała. I podobnie jak podłoga zaczęła wydawać się mu bardziej ustepliwa, tak też cała, jasna i ciepła teraz, rzeczywistość zaczęła mu się wydawać łatwiejsza do przyjęcia. Już go nie odpychała. Szczagow mógł łatwo przesuwac się po jej torach zarówno myślami, jak swoim ciałem, mimo ran, które jej pokrywały, mimo czczości, którą tyle lat czuł w żołądku.

Czy przypadkiem nie stał się już staromodny z tym dziełem ludzi na żołnierzy i nieżołnierzy? Przecież te orderzy frontowe, które tyle były warte i tak kiedyś pięknie błyszcząły — teraz omal że już nie krępują swoich właścicieli. I trudno przecież każdego łapać za kłapy: „A gdzieś ty był wtedy?” Jedni walczyli, inni wymigiwali się, ale teraz już się człowiek nie zorientuje, wszyscy się przemieszali. Istnieje prawo czasu, prawo niepamięci. Chwała padłym bohaterom, a żywym — życie.

On tu jeden jedyny wiedział, co wart jest dostatek i jeden jedyny naprawdę go był godzien. To jego pierwsza wizyta w tym świecie, ale jak wejść, to już raz na zawsze. I Szczagow myślał rozglądając się po mieszkaniu: „Oto moja przeszłość! Moja Przyszłość!”

Młodziutki sąsiad Szczagowa, ten z baretką, w krawacie w paski niebieskie i beżowe, z jasnymi, przylizanymi włosami, już dziwna rzecz, rzędącymi — przyglądał się otoczeniu bez szczególnego zaciekawienia. Miał dwadzieścia cztery lata, a starał się zachowywać tak, jakby miał co najmniej trzydzieści, bardzo powściągliwie gestykulował i z godnością wysuwał dolną wargę. Nie bacząc na swój młody wiek był już jednym z cenionych referentów w sekretariacie Prezydium Rady Najwyższej. Referent doskonale się orientował, że prokuratorowa chętnie by wydała Klarę za niego, ale Klara zaczęła już mu się zdawać zbyt drobną zdobyczą. Zresztą w ogóle najlepiej było nie spieszyć się z ożenkiem. Inna sprawa z Dinerą, która promieniowała czymś takim, no, czymś takim, co sprawiało, że czuł się przy niej szczęśliwym cielęciem. Bardzo podnosiła go na duchu sama myśl o możliwości flirtu z żoną tak znakomitego pisarza, nie mówiąc już o czymś poważniejszym. Nadskakiwał jej teraz starając się czasem dotknąć jej ręką i chętnie stanąłby w rozmowie po jej stronie, ale rozmowa przybrała niestety taki obrót, że wprost trudno było nie robić jej uwag.

— Ale w takim wypadku wchodzi pani w kolizję z Gorkim!



Pani podważa słowa samego Gorkiego! — bronił się Łanski przed Dinerą.

— Gorki jest twórcą realizmu socjalistycznego — przypomniął referent. — I podawać w wątpliwość słowa Gorkiego jest takim samym grzechem, jak...

(Jak... aż nie mógł tego wymówić — jak...)

Łanski poważnie skinął mu głową, Dinerą uśmiechnęła się.

— Mamo! — głośno, niecierpliwie zawołała Klara — czy nasz stół nie mógłby chwilowo dostać urlopu — aż do herbaty?

Przez ten czas pani prokuratorowa zdążyła już pójść do kuchni dla wydania nowych zleceń i wrócić stamtąd, nudna zaś jej przyjaciółka przyczepiła się do Dotnary i rozwlekłe opowiadała że w rejonie Zareczeńskim dzieci całego aktywu mają specjalną opiekę, że zawsze jest dla nich mleko i nie ma kłopotu z penicyliną. W ten sposób rozmowa przeszła na tematy lekarskie. Dotnara, chociaż jeszcze młoda, już zaczynała kwękać i chętnie mówiła o chorobach.

Aleutina Nikanorowna była zdania, że jeżeli ma się odpowiednią pozycję, to już nie trzeba troszczyć się o zdrowie. Wystarczy przecież nakręcić numer wybitnego profesora, najlepiej laureata nagrody stalinowskiej, profesor wypisze receptę i żaden zawał już nie straszny. Można też wykupić skierowanie do najlepszego sanatorium. Ani ona, ani mąż chorób się nie bali.

Słyszac okrzyk Klary macocha powiedziała z przyganą:

— Też mi, gospodyni! Masz częstować ludzi, a nie odpędzac od stołu!

— Nie, chcemy tańczyć! Chcemy tańczyć! — zawołał oficer ochrony pogranicza.

Żeńka szybko sobie dołał i wychylił jeszcze jedną szklankę.

— Tańczyć! tańczyć! — wołano zewsząd.

Młodzież porzuciła stół.

Ze sąsiedniego pokoju dobiegły głośne dźwięki muzyki z płyt. Grano tango „Jesienne liście”.

## LVII

### Z I Ę C I O W I E

Dotnara też poszła tańczyć, koleżankę zaprzęła gospodyni do noszenia talerzy i przy stole zostało teraz tylko pięciu mężczyzn: sam Makarygin; jego stary druh jeszcze z czasów wojny domowej, profesor dawno skasowanego Instytutu Czerwonej Profesury, Serb, Duszan Radowicz; inny przyjaciel, o wiele świeższej daty, z którym razem gospodarz ukończył Wyższe Kursy Prawnicze — też prokurator, też generał-major, Słowuta; i dwóch zięciów — Inocenty Wołodin w popielatym mundurze z haftowanymi palmami (teść koniecznie chciał widzieć go dzisiaj w tym mundurze) oraz laureat nagrody stalinowskiej, znany pisarz Mikołaj Gałachow.

Właściwie Makarygin wydał już przed dwoma dniami wystawny bankiet dla swoich współpracowników, dzisiaj zaś urządzić chciał przyjęcie rodzinnego typu, przede wszystkim dla młodzieży, ale Słowuta, ważna figura, nie mógł przyjść przed dwoma dniami, bo dopiero wczoraj wrócił z Dalekiego Wschodu (był jednym z głównych oskarżycieli na znanym procesie japońskich wojskowych, oskarżonych o przygotowywanie wojny bakteriologicznej). Trzeba go więc było zaprosić na dzisiaj. Jednakże na ten wieczór jeszcze wcześniej był zaproszony gość prawie że nielegalny — Radowicz, którego nie bardzo wypadało pokazywać kolegom z pracy. Tego wieczoru, na którym miała być przede wszystkim młodzież, Makarygin chciał sobie z nim po prostu pogwarzyć o starych dziejach. Odwołać wizytę Radowicza w ostatniej chwili można było, oczywiście, ale nie chciało się być tchórzem we własnych oczach. I Makarygin zdecydował, że w zamian za to odkuje się dzięki obecności obu zięciów — dyplomaty ze złotymi palmami — i pisarza z odznaką laureata.

Teraz, przy rozmowie, Makarygin lękał się, że Radowicz palnie coś ostrego (był wprawdzie mądrym człowiekiem, ale coś mogło mu się wypsnąć w ferworze) — i starał się skierować rozmowę na bezpieczne, obojętne tory. Dlatego też, gdy córki już odeszły, obniżył swój dudniący głos i zaczął żartobliwie wyrzucać Inocentemu, że nie dał mu dotąd satysfakcji i nie postarał się o wnuków.

— Co on sobie myśli z tą swoją żoną? — skarżył się prokurator. — Też mi para, ani słówka, młody baran i jałówka! Żyją, jakby sami byli na świecie, jedzą, piją, o nic się nie troszczą. Urządzili się! Używają sobie życia! Spytajcie go tylko, przecież z niego, łajdaka, e p i k u r e j c z y k. Dobrze? Inocenty, przyznaj się — wierzysz w Epikura?

Nie można było nawet żartem nazwać członka wszechzwiazkowej partii komunistycznej — młodo-heglistą, neokantystą, subiektywistą, agnostykiem, albo, nie daj Boże — rewizjonistą. „Epikurejczyk” natomiast było to określenie tak niewinne, że wcale nie przeszkadzało nikomu być dalej ortodoksyjnym marksistą.

W tym momencie Radowicz, na wylot znający każdy szczegół życia Twórców Ruchu zdążył się wtrącić:

— Cóż, Epikur to porządny człowiek, materialista. Sam Karol Marks napisał rozprawę o Epikurze.

Radowicz był chudy, wyschły i wydawało się że ciemny pergamin jego skóry naciągnięty jest wprost na kości.

Inocenty poczuł przyływ dobrego nastroju. Tu, w tym pokoju pełnym wesołego hałasu, śmiechu, żywych barw — nagłe arestowanie wydawało mu się czymś zupełnie niemożliwym. Rozproszyły się ostatnie ślady lęku, jakie czaiły się jeszcze gdzieś w głębi. Pił sporo, zrobiło mu się gorąco, błyszczącymi oczyma patrzył na niczego nie domyślających się sąsiadów. Wydawał się sobie w tej chwili ulubieńcem bogów. I Makarygin, i nawet Słowuta, którzy w jakiejś innej chwili mogli wzbudzić w nim pogardę, byli mu teraz po ludzku sympatyczni, byli gwarantami jego bezpieczeństwa.

— Epikur? — przyjął wyzwanie z iskrzącymi się już oczyma. — Jestem jego wyznawcą, nie wypieram się. Ale będziecie zapewne zdziwieni, jeśli powiem, że „epikurejczyk” jest to jedno z tych określeń, których się na ogół nie rozumie. Kiedy się chce powiedzieć, że dany człowiek lubi zbyt wiele mieć z życia, że jest lubieżny, rozpustny, że nawet po prostu świnią z niego, to się mówi: „epikurejczyk”. Nie, chwileczkę, ja mówię poważnie — nie pozwolił Makaryginowi przerwać sobie i pomachiwał w zapale pustym, złożonym f u ż e r e m , który trzymał w dłu-

gich, delikatnych palcach — tymczasem prawda o Epikurze jest zupełną odwrotnością tego, co myślimy o nim. Wśród trzech podstawowych przeszkód stojących na drodze do ludzkiego szczęścia Epikur wymienia nienasycone żądze! Co? Epikur powiada: właściwie człowiekowi potrzeba bardzo niewiele i właśnie dlatego jego szczęście nie jest zależne od fatum; Epikur wcale nie zaleca nam orgii. Powiada wprawdzie, że dobrem najwyższym jest zwyczajne ludzkie poczucie zadowolenia. Ale dodaje: zadowolenie nie jest osiągalne od razu i z początku trzeba przejść przez okres niezaspokojonych potrzeb, a więc braku zadowolenia — wobec tego lepiej powstrzymać się w ogóle od wszelkich dążeń, prócz najbardziej elementarnych. W ten sposób uwalnia on człowieka od lęku przed ciosami losu i dlatego nasz Epikur to wielki optymistą!

— Co ty powiesz?! — zdziwił się Gałachow i wydobyl skórzany notesik z białym kościanym ołówkiem. Bez względu na swój rozgłos, Gałachow miał prosty sposób bycia, mógł do rozmówcy mrugnąć, klepnąć go po ramieniu. Pierwsze siwe włosy błyszczały już malowniczo nad jego smagłąwą, trochę już tyjącą twarzą.

— Nalej mu, nalej! — powiedział Słowuta do Makarygina, wskazując na pusty pucharek Inocentego — bo nas tu zagada.

Teść nalał, Inocenty wypił z rozkoszą. Dopiero teraz, kiedy tak zgrabnie udało mu się wziąć ją w obronę, filozofia Epikura po raz pierwszy wydała mu się godna uznania.

Radowicz też uśmiechnął się słysząc nieszablonowe wyznanie wiary. Nie pił ani kropli alkoholu (nie wolno mu było) i w ogóle przez większą część wieczoru siedział nieruchomy, ciemnoskóry, w jakimś surowym, półwojskowym frenczu, w surowych okularach w taniej oprawie. (Wychodząc zaś na ulicę w Sterlitamaku aż do ostatniej chwili wdziewał sukienny hełm budionnowski — jak za czasów wojny domowej, albo NEP-u — tylko że teraz w ogóle nie można by tak wyjść na ulicę — ludzie już się śmiali, a psy bardzo szczekały. W Moskwie zaś milicja chyba by nie pozwoliła).

Słowuta z twarzą jeszcze nie starą, ale już nalaną, odnosił się do Makarygina trochę z wysoka (miał już przyznaną drugą gwiazdę generalską), ale ze znajomości z Gałachowem bardzo był zadowolony i wyobrażał sobie z góry, jak to dziś wieczorem w tym domu, dokąd miał jeszcze zamiar wstąpić, opowie tak po prostu że przed godziną pił sobie z Kolką Gałachowem i że ten mu opowiadał... ale Gałachow jakoś nic dzisiaj nie chciał opowiedzieć. Zachowywał się z rezerwą, na pewno obmy-

ślał jakąś nową powieść? I Słowuta, przekonany, że niczego więcej się nie dowie, chciał już zbierać się do odejścia.

Właśnie w tej chwili młodzież poszła tańczyć. Makarygin namawiał jak umiał Słowutę do pozostania i nareszcie przekonał go, że trzeba jeszcze przecież złożyć ofiarę na „ołtarzu tytoniowym” gospodarza. Makarygin dumny był ze swojej kolekcji tytoni, miał ją w gabinecie. Sam palił zwykle bułgarski fajkowy, którego dostarczali mu znajomi, wieczorami zaś, kiedy już był przepalony, przechodził na cygara. Ale lubił robić wrażenie na gościach, częstując ich po kolei coraz to innym gatunkiem.

Drzwi do gabinetu były zaraz obok, za plecami gospodarza. Makarygin otworzył je zapraszając zarówno Słowutę, jak zięciów. Jednak zięciowie odmówili — zostawili starszych panów własnemu losowi twierdząc, że trzeba mieć oko na żony. Prokurator poczuł się dotknięty, przede wszystkim zaś zaniepokoił się, żeby mu teraz Duszan nie wszedł w paradę. Dlatego przepuścił Słowutę przodem, odwrócił się w drzwiach gabinetu, zagroził drogę idącemu z tyłu przyjacielowi i wyraziście pogroził mu palcem podniesionym do wysokości piersi.

Szwagrowie nie poszli do gabinetu, ale wcale nie spieszyło im się do żon. Osiągnęli już ten szczęśliwy wiek (Gałachow był starszy o kilka lat), kiedy uchodzili jeszcze za młodych, ale już nie byli zmuszani do tańców — mogli więc oddać się rozkoszom męskiej rozmowy wśród niedopitych butelek, przy dźwiękach dalekiej muzyki.

Gałachow wpadł faktycznie przed tygodniem na pomysł pisania o spisku imperialistów i walce naszych dyplomatów o pokój, przy tym chciał napisać tym razem nie powieść, tylko sztukę — ponieważ w ten sposób łatwiej mógł prześliznąć się nad wieloma nieznanymi sobie okolicznościami, szczegółami wnętrza i ubiorów. Teraz miał akurat świetną okazję, aby dowiedzieć się czegoś od swojego szwagra, jednocześnie szukając w nim typowych cech dyplomaty sowieckiego i zbierając wiadomości o charakterystycznych przejawach życia na Zachodzie, gdzie toczyć się miała akcja sztuki i gdzie sam Gałachow był tylko bardzo krótko, na jednym z postępowych zjazdów. Gałachow zdawał sobie sprawę, że to nie całkiem w porządku — pisać o życiu, którego się nie zna, ale w ostatnich latach zaczęło mu się wydawać, że życie za granicą — albo jakieś historie sprzed wieków, albo nawet fantastyczne opowieści o mieszkańcach księżycy — wszystko to tematy łatwiejsze do opisanego, niż otaczająca go rzeczywistość, tak zawila, tak usiana minami, gdziekolwiek skieruje człowiek kroki w poszukiwaniu materiału.

Rozmawiali pochyliwszy ku sobie głowy nad stołem; służące

robiły hałas przy zmianie nakrycia, w sąsiednim pokoju głośno wydierał się adapter, a w jeszcze dalszym rozlegał się metalowy trajkot telewizora.

— Zadawanie pytań, to przywilej pisarzy — potakiwał Inocenty zachowując w oczach ten sam zwycięski błysk, z którym bronił Epikura.

— Może to raczej ich fatum — odparł Gałachow.

Jego płasciutki, biały, kościany ołówek z wysuniętym grafitem czekał już na serwecie...

— W każdym razie pisarze przypominają mi zawsze oficerów śledczych, tylko pracujących bez urlopu i wypoczynku: w pociągu i przy herbacie, na rynku i w łóżku, wciąż tropią kogoś, wciąż węższą jakieś odstępstwa od normy, prawdziwe i zmyślane.

— To znaczy, że są czymś w rodzaju sumienia?

— Czytając nasze pisma powiedziałbym, że n i e z a w s z e.

— My jednak szukamy w człowieku nie jego zbrodni, tylko jego zalet, jego pięknych cech.

— Właśnie dlatego wasza robota i wysiłek sumienia są sobie zupełnie przeciwstawne. Więc chcesz pisać książkę o dyplomatach?

Gałachow uśmiechnął się. Uśmiech miał męski, bardzo pasujący do jego twarzy o mocnych konturach, tak niepodobnych do wydelikacyjnych rysów Inocentego.

— „Chcesz” — „nie chcesz”... to nie wygląda tak po prostu, jak w noworocznych wywiadach dla prasy. Ale trzeba mieć w zapasie materiały... Nie z każdym dyplomata można sobie pogadać. Dobrze, że ma się kogoś takiego w rodzinie.

— Wybierając mnie dowiodłeś swojej przenikliwości. Inny dyplomata przede wszystkim nałgałby ci ile wlezie. Przecież mamy coś niecoś do ukrycia.

Patrzyli sobie w oczy.

— Rozumiem. Ale... tej strony waszej działalności... chyba nie trzeba będzie poruszać, tak że ona mnie...

— Aha. To znaczy, że interesujesz się przede wszystkim życiem codziennym naszych ambasad, rozkładem dnia, no, charakterem przyjęć, chcesz wiedzieć, jak się wręcza papiery uwieczniające...

— Nie, sięgnijmy głębiej! Jak przełamuje się się w duszy sowieckiego dyplomaty...

— Aaa, jak przełamuje się... no to już wiem! Zrozumiałem. Mogę ci o tym mówić aż do końca wieczoru. Tylko że... naprzód mi wytłumacz... Już całkiem porzuciłeś tematykę wojenną? Już ci się wydaje wyczerpana?

— Wyczerpać jej się nie da — Gałachow pokiwał głową.



— Tak, udało wam się z tą wojną. Koliduje, tragedie — skąd byście wzięli je w innych wypadku?

Inocenty patrzył z rozbawieniem.

Po czole pisarza przebiegł cień troski. Westchnął:

— Temat wojny jest utrwalony w moim sercu raz na zawsze.

— Bo też stworzyłeś w tej dziedzinie arcydzieła!

— I chyba już ten temat zawsze będzie moim. Aż do śmierci będę do niego wracał.

— A może lepiej nie wracać? — bardzo cicho i ostrożnie spytał Inocenty.

— Trzeba wracać! — twardo, stanowczo odparł Gałachow — dlatego, że wojna wydobywa z ludzkiej duszy na wierzch...

— Z duszy? — tu się zgadzam! — uciął szybko Inocenty. — Ale spójrz do czego sprowadziła się w końcu u nas frontowa i wojenna literatura. Oto co dla niej najważniejsze: jak zachowywać się na pozycjach, jak prowadzić ogień huraganowy, „nie zapomnimy, nie wybaczymy!”, rozkaz dowódcy jest dla podwładnych jedynym prawem. Ale to przecież o wiele lepiej jest powiedziane w regulaminie służbowym. Aha, jeszcze pokazujecie nam, jak to trudno tym biednym dowódcom wodzić palcem po mapie.

Gałachow nachmurzył się.

Inocenty szybko wyciągnął rękę, położył dłoń na jego ramieniu i powiedział bez cienia ironii:

— Mikołaju! Czy naprawdę literatura piękna powinna być powtórzeniem regulaminów służbowych? albo gazet? albo haseł? Na przykład Majakowski uważał za sprawę honoru, żeby wzmiankę gazetową brać jako motto do wiersza. To znaczy, że miał sobie za honor, żeby nie wznosić się ponad poziom gazety! Ale po co wtedy literatura? Przecież pisarz — to wychowawca innych ludzi, przecież tak myślano zawsze? A wielki pisarz, to — wybac mi takie zuchwalstwo, mówię to szeptem — jakby drugi rząd. I dlatego żaden reżym nigdy nie lubił wielkich pisarzy, lubił tylko małych.

Szwagrowie nie tak często się widywali, znali się mało. Gałachow odpowiedział ostrożnie:

— To, coś powiedział jest słuszne tylko w stosunku do władzy burżuazyjnej.

— No, pewno — łatwo zgodził się Inocenty. — U nas są w mocy zupełnie inne prawa. Stworzono u nas zadziwiający wzór literatury nie dla czytelników, tylko dla pisarzy.

— Chcesz powiedzieć, że jesteśmy mało czytani?

Gałachow mógł bez oporu wysłuchiwać i wypowiadać samemu bardzo gorzkie myśli o całej literaturze i o własnych

książkach, ale z jednym przeświadczeniem nie chciał się rozstać za żadne skarby, że jest czytany i to bardzo szeroko (podobnie jak Łanski był przekonany, że jego artykuły krytyczne formują smak, a nawet charakter mas). — Nie masz racji. Jesteśmy czytani — nawet bardziej, niż na to zasługujemy.

Inocenty pokręcił głową.

— Nie, nie to chciałem... pies to trącał... Teść dolewał mi za dużo, dlatego nie jestem konsekwentny. Kola, uwierz mi: nie dlatego, że rodzina, ja naprawdę dobrze ci życzę, czuję w tobie coś sympatycznego... I dlatego mam teraz wyjątkową chęć, żeby cię spytać... po przyjacielsku... Czy myślałeś o tym kiedy?... jak ty sam widzisz własną pozycję w rosyjskiej literaturze? Można już wydać twoje dzieła w sześciu tomikach. Masz trzydzieści siedem lat, Puszkina w tym wieku już był sprzątnięty. Nie grozi ci to niebezpieczeństwo. Ale wszystko jedno, nie uciekniesz przed tym pytaniem — kim właściwie jesteś? Jakimi nowymi myślami wzbogaciłeś swoją epokę?... Rzecz jasna, prócz tych bezdyskusyjnych, które ci daje realizm socjalistyczny.

— Dotykasz... drażliwej sprawy... — odparł, wbijając wzrok w serwetę. — Który z rosyjskich pisarzy nie przymierzał sobie po kryjomu puszkinowskiego fraka?... tołstojowskiej rubachy?... — Obrócił na serwecie dwukrotnie swój ołówek i spojrzał na Inocentego oczyma, które nie chciały nic ukrywać. Miał ochotę powiedzieć teraz to, czego nie mówił nigdy w towarzystwie pisarzy. — Kiedy byłem jeszcze szczeniakiem, na początku pięciolatek, wciąż mi się wydawało, że skonam ze szczęścia jeżeli zobaczę swoje nazwisko wydrukowane nad wierszem. I zdawało mi się, że to już będzie początek nieśmiertelności... ale...

Wymijając puste krzesła szła w ich stronę Dotnara.

— Ink! Kola! Nie odpędzicie mnie? Nie za mądra dla mnie wasza rozmowa? — powiedziała układając wargi w kółeczko.

Inocenty przyjrzał jej się badawczo. Jasne loki padały jej swobodnie na ramiona, tak samo, jak przed dziesięciu laty. Czekała na odpowiedź bawiąc się końcami paska swojej reglanowej bluzy. Wiśniowy kolor materiału podkreślał rumieńce na policzkach.

Inocenty dawno już jej nie widział w takim nastroju. W ciągu ostatnich miesięcy starała się podkreślić swoją niezależność od niego i samodzielność poglądów na życie. Ale teraz coś w niej jakby się załamało — może tknęło ją przeczucie rozstania? — stała się ustępliwa, łagodniejsza. I chociaż Inocenty nie mógł jej wybaczyć długiego okresu niechęci do porozumienia ani obcości, chociaż zdawał sobie sprawę, że nie mogła zmienić

się tak szybko — ale ta jej uległość grzała mu duszę i pociągnął ją za rękę, aby usiadła obok nich, chociaż w rozmowie mogło to tylko przeszkodzić. Demonstrując całą giętkość swego smukłego jeszcze ciała Dotti usiadła obok męża i przygłnęła do niego tak, by nie przekroczyć granic przyzwoitości, ale pokazać zarazem wszystkim, że męża kocha i że jest im dobrze razem. Inocentemu strzeżono do głowy, że dla przyszłości Dotti byłoby lepiej aby nie manifestowała zbyt tej nie istniejącej intymności. Jednak głąskał tylko miękkim ruchem jej ramię przez wiśniowy rękaw.

Biały, kościany ołówek czekał daremnie.

Gałachow wbił łokieć w serwetę, podparł się ciężko i patrzył nie na Wołodinów, tylko na duże okno oświetlone latarniami Kałuskiego placu. Spowiadać się przy b a b a c h — to już było w ogóle niemożliwe.

... Ale ... ale ... zaczęto drukować całe jego poematy; setki teatrów na prowincji wystawiały jego sztuki w ślad za stołecznymi; dziewczęta przepisywały jego wiersze i uczyły się ich na pamięć; podczas wojny centralne organy chętnie oddawały mu całe kolumny, wypróbował swoich sił jako reporter, nowelista i krytyk; ukazała się w końcu jego powieść i dostał nagrodę stalinowską. I cóż? Dziwna rzecz: rozgłos był, ale nieśmiertelności jakoś nie było.

Sam nawet nie zauważył czym i kiedy obciążył skrzydła, jak osadził na ziemi swojego ptaka nieśmiertelności. Być może wznosił on się w górę tylko w tych niewielu wierszach, które powtarzały dziewczęta. Zaś jego sztuki, jego opowiadania i jego powieść umierały w jego przytomności zanim sam autor zdążył skończyć trzydzieści siedem lat.

Ale czemu to koniecznie ma człowiekowi zależeć na nieśmiertelności? Większość kolegów Gałachowa nie uganiała się za żadną nieśmiertelnością, uważając, że o wiele ważniejsza jest pozycja w życiu doczesnym. Pies z nią tańcował, z tą całą nieśmiertelnością, czy nie ważniejsza to rzecz móc dzisiaj wpływać na bieg życiowych spraw? No i wpływali. Ich książki służyły masom, wydawane były w zawrotnych nakładach, zakupywane były z bieżących funduszy przez wszystkie biblioteki, dodatkowo jeszcze urządzano specjalne miesiące książki, żeby tylko więcej ich upchnąć. To prawda, że o wielu faktach pisać nie można. Ale oni pocieszali się w ten sposób, że przecież kiedyś warunki się zmienią i że będą mogli wrócić jeszcze raz do tych spraw, oświetlić je z właściwej strony, korygując stare książki i wydając je w nowej wersji. A teraz trzeba było opisywać choćby tę czwartą, ósmą, szesnastą, tę, bierz ją diabli, trzy-

dziestą drugą część prawdy, którą wolno było! — Zawszeć to lepiej, niż nic.

Ale Gałachowa gnębiło, że pisać — nawet tak! — stawało się coraz trudniej z każdą nową stronicą. Zmuszał się do pisania według rozkładu godzin, walczył z ziewaniem, z lenistwem umysłu, z ubocznymi myślami, z nasłuchiowaniem, czy ktoś nie przyszedł, zdaje się, że listonosz, warto by przerzucić gazetki. Starął się miesiącami nie zaglądać do Tołstoja, ponieważ tołstojowski, zaraźliwy styl sam mu się narzucał ledwo podniósł nad papierem swoje wieczne pióro. Dbał o to, żeby gabinet był przewietrzony i żeby temperatura nie przekraczała 18 stopni Celsjusza, żeby biurko było wypucowane. Bo inaczej w żaden sposób nie mógł pisać.

Zaczynając nowy, duży utwór za każdym razem się zapalał, przysięgał samemu sobie i przyjaciołom, że tym razem nikomu nie ustąpi pola, że teraz już na pewno napisze książkę, co się zowie. Z zapałem siadał do pisania pierwszych stronic. Ale bardzo prędko zdawał sobie sprawę, że pisze nie sam — że już się pojawiła obok i coraz jaśniej rysuje się przed oczyma postać istoty, dla której tę książkę pisze, której oczyma bezwiednie czyta każdy, dopiero co napisany, akapit. Tą Istotą nie był Czytelnik, brat, przyjaciel, rówieśnik, ani nie jakiś krytyk syntetyczny — tylko, nie wiedzieć czemu, bardzo znany, najważniejszy z krytyków — Żabow.

Gałachow wyobrażał sobie bardzo plastycznie, jak Żabow czyta jego nowy utwór, jak skrobie już przeciw niemu olbrzymi (już tak się zdarzało) artykuł, na całą kolumnę „Litieraturnej Gaziety”. Artykuł będzie nosił tytuł: „Zza jakich mórz wieją te wiatry?”, albo „Jeszcze raz o pewnych modnych tendencjach na naszej słusznej drodze”. Artykuł będzie się zaczynał nie od ataku czołowego, tylko od jakichś najświętszych cytatów z Bielińskiego lub Niekrasowa, z którymi chyba tylko łotr by się nie zgodził. I zaraz te słowa nieznacznie a sprytnie przekreśli, użyje ich w zupełnie innym sensie — i wtedy to się wyjaśni, że Bieliński albo Herzen świadczą jak najgoręcej przeciw nowej książce Gałachowa, wykazując, że jest to osobowość pisarska antysocjalna, antyhumanistyczna, o bardzo chwiejnym kośćcu światopoglądowym.

W ten sposób, akapit za akapitem, starając się odgadnąć możliwe zarzuty Żabowa i przygotować się do nich zawczasu, Gałachow przyzwyczajał się szybko do wygładzania ostrych kantów i książka sama przez się nabierała kształtów tchórzliwie opływowych, rozchodziła się miękkimi kręgami.

I, mając już za sobą połowę pracy, Gałachow widział, że książkę jakby mu ktoś zamienił, że znów się nie udało...

— A co do cech naszych dyplomatów? — ze smutnym uśmiechem mówił Inocenty gładząc z roztargnieniem dłoni żony. — Cóż. Sam możesz bez trudu je sobie wyobrazić. Wielka ideowość. Przywiązanie do zasad. Bezwarunkowe oddanie naszej sprawie. Osobiste głębokie przywiązanie do Josifa Wisarionowicza. Nieustępliwość w wykonywaniu instrukcji z Moskwy. U niektórych — doskonała, u innych nieco gorsza znajomość języków obcych. No, i niekiedy duża skłonność do uciech cielesnych. Ponieważ, jak to się mówi, ma się tylko jedno życie... Ale to już objaw nie typowy.

## LVIII

### Ż U B R

Radowicz był pechowcem z zasady i z tradycji; już w trzydziestych latach odwoływano mu wykłady, książki wycofywano z druku, prócz tego zaś dręczyły go jeszcze choroby: miał w klatce piersiowej odłamek kołczakowskiego pocisku, od piętnastu lat ślimaczyła mu się rana dwunastnicy i od długiego czasu już co rano sam sobie aplikował męczący zabieg płukania żołądka przez przełyk, bez czego nie mógł jeść, ani w ogóle żyć.

Ale los dbający przecież o umiar w rozdawnictwie łask i ciósów — uratował Radowicza właśnie przez nadmiar nieszczęść: mimo, że był znaną w kominternowskich kręgach osobistością, ocalał w latach najbardziej krytycznych właśnie dzięki temu, że prawie nie wychodził ze szpitala. Choroby pomogły mu też uniknąć najgorszego w zeszłym roku, kiedy to wszystkich zamieszkałych w ZSSR Serbów albo zmuszano do przystąpienia do ruchu anty-titowskiego, albo wsadzano do więzienia.

Bardzo dobrze zdając sobie sprawę ze swojej podejrzaney sytuacji, Radowicz kosztem największego wysiłku wciąż się hamował nie pozwalając sobie na otwarcie ust, nie dając innym wciągać się w fanatyczne spory i próbując prowadzić jedynie blady żywot inwalidy.

Teraz też trzymał się na wodzy i pomagał mu w tym stolik tytoniowy. Taki stolik — owalny, z mahoni, stał w gabinecie na osobnym miejscu i zastawiony był tutkami, maszynką do nabijania papierosów, kolekcją fajek na statywie oraz dużą popielnicą z perłowej masy. Koło stolika zaś stała jeszcze tytoniowa szafeczka z karelskiej brzozy, z mnóstwem szufladek (jak w aptece na proszki) a w każdej było miejsce na specjalny gatunek papierosów, cygaretek, cygar, tytoni fajkowych, a nawet tabaki. Wszystko to razem nosiło nazwę „tytoniowego ołtarza”.



Słuchając teraz w milczeniu opowiadania Słowuty o szczegółach przygotowań do wojny bakteriologicznej, o straszliwych zbrodniach japońskich oficerów przeciw ludzkości, o których Słowuta dowiedział się z przedłożonych mu materiałów śledztwa — Radowicz rozkoszował się zapachami bijącymi z szufladek tytoniowej szafki, nie mogąc się zdecydować na wybór. Palenie — to było dla niego samobójstwo, wszyscy lekarze kategorycznie zabraniali mu palenia, ale ponieważ tak samo nie wolno mu było pić, ani jeść (dziś przy kolacji też prawie wcale nie jadł) — to jego węch i smak były szczególnie wyczulone na różnice między różnymi gatunkami tytoniu. Życie bez palenia wydawało mu się bezskrzydłe. „Fumo, ergo sum” — palę, więc jestem — odpowiadał na perswazje, żeby rzucić palenie i skręcał sobie kozie nóżki z najordynarniejszej, rynkowej machorki, którą wolał palić będąc w trudnych warunkach materialnych. W Sterlitamaku, podczas ewakuacji chadzał do dziadków na ogródki działkowe, kupował li s t k i, sam je suszył i siekał. W jego starokawalerskim stanie, robota przy tytoniu też sprzyjała pracy myślowej.

Właściwie, gdyby nawet Radowicz wtrącił się do rozmowy — to nie powiedziałby nic strasznego, był bowiem marksistą z krwi i kości i poglądy miał na wszystko wyważone. Jednak stalinowska kohorta — nie znosząca najmniejszych różnic odcieni bardziej — niż zasadniczej odmienności kolorów — zaraz by mu ścięła łeb właśnie za te bagatelki, co do których się różnił.

Ale szczęśliwie jakoś Radowicz milczał i rozmowa przeszła od Japończyków do właściwości cygar, na których Słowuta zupełnie się nie znał i o mało nie stracił tchu nieostrożnie zaciągnąwszy się. Następnie zaczęli mówić o tym, że prokuratorzy z upływem lat wcale nie mają mniej roboty, tylko nawet więcej, chociaż ich liczba rośnie.

— A co mówi statystyka przestępstw — spytał Radowicz z pozorną obojętnością, zakuty w pancerz swojej pergaminowej skóry.

Statystyka nic nie mówiła; była niema i niewidzialna, nikt nie wiedział nawet, czy w ogóle jeszcze jest na świecie.

Ale Słowuta powiedział:

— Statystyka mówi, że liczba przestępstw u nas się zmniejsza.

Nie znał danych statystycznych, lecz właśnie z tym poglądem spotkał się na łamach prasy.

I dodał równie szczerze:

— Mimo wszystko, sporo jeszcze tego. Spadek po dawnym ustroju. Ludzie są bardzo zepsuci. Burżuazyjna ideologia ich psuje.

Trzy czwarte podsądnych wyrosło już po siedemnastym roku,

ale Słowucie to nawet nie przychodziło do głowy; nigdzie nie czytał o tym.

Makarygin potrząsnął głową — jego nie trzeba o tym przekonywać!

— Kiedy Włodzimierz Iljicz mówił nam, że rewolucja w dziedzinie kultury będzie o wiele trudniejsza niż Październikowa — tośmy sobie tego nie mogli wyobrazić! A teraz dopiero widzimy, jaki był przewidujący.

Makarygin miał stromo sklepioną czaszkę i odstające uszy. Palili wydmuchując dym w zgodnym rytmie.

Meble w gabinecie Makarygina nie pochodziły z jednego kompletu. Biurko — jakieś staroświeckie, z dwiema szafkami na ośmiu kulistych, krótkich nóżkach; przybór do pisania — najnowszego typu, z półmetrową prawie miniaturą wieży Spaskiej z zegarem i gwiazdą na czubku. W dwóch masywnych kałamarzach (na kształt innych wież kremlowskich) nie było atramentu — kandydat praw Makarygin dawno już nie miał okazji pisać w domu, na wszystko bowiem starczało mu czasu w biurze, listy natomiast pisał wiecznym piórem. W bibliotecznych szafach z Rygi stały za szklanymi drzwiami kodeksy, zbiory praw, komplety czasopisma „Sowieckie Państwo i Prawo”, zbierane przez wiele lat, Wielka encyklopedia sowiecka, stare wydanie (to błędne, z wrogami ludu), nowe wydanie Wielkiej sowieckiej encyklopedii (też z wrogami ludu) i Mała encyklopedia (też z pomyłkami, też z wrogami ludu).

Wszystkiego tego Makarygin dawno już nie brał do ręki, ponieważ wszystko — włącznie z obowiązującym obecnie, ale beznadziejnie już zapóźnionym w stosunku do życia kodeksem karnym z 1926 roku — wszystko więc zostało w praktyce zastąpione przez plik bardzo ważnych, a po większej części poufnych instrukcji, które znał wedle ich numerów — 083 albo 550 łamane przez 2742. Instrukcje te, w których skupione były wszystkie tajniki wymiaru sprawiedliwości, mieściły się w jednym niedużym skoroszycie, jaki miał w biurze. Tu zaś, w gabinecie trzymał książki nie po to, żeby je czytać — tylko żeby robiły wrażenie. Jedyne zaś książki, które Makarygin uznawał i czytał do poduszki, a także w pociągach i w sanatoriach, schowane miał w zamczystejszej szafie: były to kryminały.

Nad biurkiem prokuratora wisi wielki portret Stalina w mundurze generalissimusa, na etażerze zaś stał malutki biust Lenina.

Słowuta — brzuchaty, wylewający się z munduru, z karkiem opadającym wałkami na obcisły, wysoki kołnierz — rozejrzał się po gabinecie i powiedział z uznaniem:

— Pięknie mieszkasz, Makarygin! Starszy zięć ma dwie nagrody?

— Dwie — przytaknął prokurator z satysfakcją.

— A młodszy — jest radcą już pierwszej klasy?

— Chwilowo jeszcze drugiej.

— Ale żwawy, diabeł, dojdzie do ambasadora! A najmłodszą za kogo chcesz wydać?

— Kiedy uparta dziewczucha, Słowuta, jużem ją wydawał, ale nie chce iść za mąż. Za długo już jest panną.

— Wykształcona? Inżynierka sobie szuka? — kiedy Słowuta śmiał się, to jakby odpychał się brzuchem i całym ciałem od niewidzialnej ściany. — Osiemset rubelków miesięcznie? Ty ją lepiej za czekistę wydaj, za czekistę, to pewniejsze. No, dziękuję ci, Makarygin, ładnie, żeś nie zapomniał, ale nie trzymaj mnie już dłużej, bo czekają na mnie a zaraz będzie jedenasta. I profesor też niech będzie zdrowy, po co w ogóle chorować?

— Wszystkiego najlepszego, towarzyszu generale.

Radowicz wstał, żeby się pożegnać, ale Słowuta nie podał mu ręki. Radowicz pełnym obrazem i wzgardy spojrzeniem odprowadził szerokie, okrągłe plecy gościa, którego Makarygin odprowadził aż do samochodu.

Zostawszy sam na sam z książkami, Radowicz natychmiast się do nich zabrał. Przesunął ręką wzdłuż półki i po pewnym wahaniu wyciągnął jakiś tomik Plechanowa. Już szedł z nim do fotela, ale zauważył na stole książeczkę w pstrej, czerwono-czarnej okładce, więc ją też zabrał.

Ale ta książka sparzyła jego niezwywe, pergaminowe ręce. Była to nowość dopiero co wydana (i od razu w milionie egzemplarzy): „Tito — marszałek zdrajców” jakiegoś Renaud de Jouvenel’a.

W ciągu ostatnich dwunastu lat przeszły przez ręce Radowicza krocie i krocie książek chamskich, lokajskich, na wskroś kłamliwych, ale zdawało mu się, że takiego świństwa jeszcze w rękę nie trzymał. Przeglądając stronicę tej nowości doświadczonego spojrzeniem starego bibliofila, po dwóch minutach już miał pojęcie — komu i po co jest taka książka potrzebna, co za gadzina z jej autora i wiele też nowej złości nagromadzi ona w ludzkich duszach, przeciw niewinnej Jugosławii. I doszedłszy do zdania: „nie ma potrzeby zastanawiać się szczegółowo nad motywami, które skłoniły Laszlo Rajka do przyznania się do winy; skoro się przyznał — to musiał być winien” — Radowicz odrzucił książkę ruchem pełnym obrzydzenia.

A pewno! Nie ma potrzeby zastanawiać się szczegółowo nad motywami! Nie ma potrzeby szczegółowo się zastanawiać, jak oficerowie śledczy i oprawcy bili Rajka, jak morzyli go głodem,

bezsennością, jak — być może — rozciągali go na podłodze i czubkiem buta miażdżyli mu organy płciowe (w Sterlitamaku stary więzień Adamson, z którym Radowicz od pierwszej chwili znalazł wspólny język, zdążył mu opowiedzieć o tutejszych sposobach). Nie ma potrzeby! Skoro się przyznał — to musiał być winien!...

S u m m a stalinowskiej sprawiedliwości!

Ale zbyt bolesna, zbyt drażliwa teraz była sprawa Jugosławii, żeby dotykać jej w ogóle w rozmowie z Piotrem. I gdy Makarygin wrócił, z mimowolną czułością zerkając boczkiem na swój nowy orderek („nie tyle sam order, ile to, że nie zapominają o człowieku”), Duszan przycupnął już w fotelu, skurczony we dwoje, z nosem wetkniętym w tomik Plechanowa.

— No, to ładnie z twojej strony, Duszan, żeś niczego nie palnął. A miałem stracha, że palniesz jakieś głupstwo! — powiedział Makarygin, wyciągnął nowe cygaro i z rozmachem opadł na otomanę.

— A co ja mogłem palnąć? — Radowicz zdziwił się nawet.

— Co? — prokurator obciął czubek cygara. — A cokolwiek bądź! Ty ze wszystkim jesteś na bakier.

Zapalił.

— O, mówił tu nam Słowuta o Japończykach, a tobie już wargi drżały, żeby się sprzeciwić.

Radowicz wyprostował się:

— Bo pachnie prowokacją z dziesięciu tysięcy kilometrów!

— Chybaś zwariował, Duszan, przecież to partia robi, jak tu w ogóle możesz gadać o prowokacji?

— Żadna tam partia. Słowuty — to jeszcze nie partia! A dlaczegóż to my właśnie teraz, w czterdziestym dziewiątym roku bierzemy się do demaskowania jakichś przygotowań z czterdziestego trzeciego? Przecież faceci już cztery lata siedzą u nas w niewoli i jeżeli nawet, to kto podczas wojny nie przygotowuje się na jej narastanie? Ty wciąż we wszystko wierzysz? Stonkę ziemniaczaną też nam Amerykanie zrzucają z samolotów, co?

Odstające uszy Makarygina poczerwieniały.

— Uważam to za całkiem możliwe. A jak nawet nie zrzucają, to polityka państwowa musi być, jak w teatrze: mówić trzeba głośniej, szminki trzeba dodać, inaczej publika nie zrozumie.

Pergaminowy Radowicz znów zaczął wertować Plechanowa. Makarygin palił w milczeniu, szukając jakiejś myśli, która uciekła.

Przypomniał sobie. Chodziło o Klarę. Z pozoru wszystko było z córkami w porządku, tymczasem zaś z najmłodszą, ulubienicą, najpodobniejszą do matki — już od dawna działa się coś niedobrego, zwłaszcza w ostatnich miesiącach. Kiedy siadali

do stołu w trójkę, bez gości, to nie było mowy o sjeście czy rodzinnym cieple. Jakby stado psów się gryzło. Każdy zwyczajny, ludzki temat, który mógł być poruszony bez szkody dla czynności trawiennych, Klara zaraz torpedowała i kierowała rozmowę na tych swoich „nieszczęsnych”, z jakimi miała do czynienia przy pracy. Straciła widać przy nich wszelkie zastanowienie i czujność. Z patosem wykrzykiwała, że tam siedzą niewinni, nic ją nie kosztowało obrazić ojca, powtarzać, że to on rzekomo oskarża niewinnych, dławić się przy tym ze złości i uciekać od stołu przed końcem posiłku.

W tych zaś dniach ojciec przyłapał Klarę obok serwantki; na jej blacie położyła swój pantofel, lichtarzem wbijała gwóźdź w obcas i śpiewała przy tym jakieś bezmyślne słowa, coś jakby „Niech wszystkie bębny mocno biją!”, ale melodia była aż nazbyt znana. Powiedział więc starając się o opanowanie:

— Do takiej roboty mogłabyś sobie, Klaro, wybrać jakąś inną pieśń. „Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata” — z tą pieśnią na wargach ludzie umierali i szli na katorgę.

Ona zaś, przez upór, zresztą diabli wiedzą przez co, cała się zjeżyła:

— Też mi dobroczyńcy, pomyślałby kto! Na katorgę szli! Teraz też idą!

Jak to? Prokuratora aż замуrowało tak bardzo mu się ten wyskok wydał bezczelny i bezpodstawny. Do takiego stopnia stracić wszelkie zrozumienie perspektywy historycznej! Ledwie trzymając się na wodzy, żeby nie uderzyć córki, wyrwał jej pantofel z ręki i prasnął nim o podłogę.

— Jak w ogóle możesz porównywać?! Partia klasy robotniczej — i to śmiecie faszystowskie?!...

Kamienny łeb, uparta, choćby ją człowiek trzasnął — też nie zapłacze! Stoi ci tak przed nim, jedna noga obuta, druga w samej pończosze:

— Papo, dosyć tych deklamacji! Ty — i klasa robotnicza? Byłeś kiedyś dwa lata robotnikiem, a trzydzieści lat już jesteś prokuratorem! Robotnik — a w domu nawet młotka nie ma! Robotnik, tylko sam nie tknie kierownicy, boi się bez szofera! Byt określa świadomość, samiście nas nauczyli.

— Ale byt społeczny, idiotko! I świadomość — społeczna!

— Jaka tam znowu społeczna? Jedni mają pałace, inni budy, jedni mają auta, drudzy — w dziurawych butach chodzą, to jaka tu może być wspólna społeczna świadomość?

Ojcu nie starczyło tchu, jak to zwykle, żeby krótko i przy-

stępnie dać tym młodym durniom pojęcie o mądrości nabytej przez starsze pokolenie.

— Kretynka!... ty... nic nie rozumiesz i uczyć też się nie chcesz!...

— No to naucz mnie! Naucz! Skąd się biorą twoje zarobki? Za co ci płacą te tysiące, jeżeli niczego nie produkujesz?

Ciemna błyskawica przebiegła przez mroczną twarz Klary.

— P r a c a z a k u m u l o w a n a, idiotko! Poczytaj sobie Marksa! Wykształcenie, specjalne umiejętności — to praca zakumulowana, za to płacą więcej. A tobie w twoim instytucie płacą tysiąc osiemset — niby za co?

Tu wpadła żona słysząc krzyki i też wsiadła na Klarę, że trzeba było człowieka zawołać, można zapłacić, po to są szewcy, dlatego niszczy serwantkę i lichtarz?

...Siedząc teraz na kanapie Makarygin przymknął powieki i zaraz stanęła mu przed oczyma córka, kochana i znienawidzona. Z jaką to wynalazczością szukała wtedy obelżywych słów, jak podniosła swój pantofel, jak wyszła z pokoju, wciąż utykając!

— Duszanie, Duszanie — Makarygin westchnął z przygnębieniem. — Co mam robić z córką?

— Z jaką córką? — zdziwił się Radowicz. Wciąż wertował i przebiegał oczyma stronicę.

Twarz Makarygina prawie że się nie zwięzała ku dołowi. Szerokie i prostokątne kontury tej twarzy bardzo harmonizowały z surowymi obowiązkami publicznymi prokuratora. Wielkie zaś, odstające uszy były czymś w rodzaju skrzydeł sfinksa. Dziwnie było widzieć na tej twarzy wyraz konfuzji.

— Duszan! Jak mogło dojść do tego? Albośmy to mogli myśleć ścigając Kołczaka, że takiej wdzięczności doczekamy się od naszych dzieci?

Opowiedział historię z pantoflem.

Radowicz wydobył z kieszeni brudnawy strzęp irchy i zaczął przecierać nim szkła okularów, był widocznie przejęty. Bez okularów widać było jak krótki ma wzrok. Odpowiedział:

— Obok mnie mieszka pewien bardzo miły młodzieniec, zdemobilizowany oficer. Opowiedział mi między innymi, że zawsze mieszkał z żołnierzami w jednym bunkrze. Ale ktokolwiek go tam odwiedzał — podpułkownik, zastępca dowódcy do spraw politycznych — każdy powtarzał mu z przyganą: dlaczego nie każesz sobie robić oddzielnej ziemianki!? Dlaczego ordynans nie gotuje ci osobno? Widać sam się nie szanujesz! Przecież dostajesz oficerski przydział!... Chłopak wychowany po n a s z e m u, po leninowsku — ale nie pozwalają! Kłuje w oczy! Dowódca pułku rozkazał mu po prostu: „żebyś mi więcej nie



hańbił oficerskiego munduru!” Żołnierze znużeni po marszu, a on rokazuje: zbudujcie mi ziemiankę! zorganizujcie trochę sprzętów. A dowódcy go chwają — dawno tak trzeba było!

— Czego ty chcesz właściwie? — prokurator nachmurzył się. Niemiły robi się ten Duszan z upływem lat. Z zawiści, że sam nic nie ma, żgałby teraz każdego.

— Czego chcesz? — Radowicz nałożył okulary i podniósł się z fotela, chudy, wyprostowany. — Dziewczyna ma rację! Dawno nas o tym uprzedzano. Trzeba umieć uczyć się od wrogów.

— Apelujesz do anarchistów? — zdumiał się prokurator.

— Nie, Piotrze, apeluję do partyjnego sumienia — zawołał Duszan i podniósł rękę z wyciągniętym suchym palcem. — „Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata”? I — zakumulowana praca? A może dlatego, że jesteś ze swojej paczki? Ty dostajesz jakieś osiem tysięcy? A sprzątaczką dwieście pięćdziesiąt rubli?

Twarz Makarygina stała się zupełnie prostokątna. Policzek drgał mu w skurczu.

— Zupełnie zwariowałeś w tej swojej jaskini! Straciłeś kontakt z rzeczywistością! Może mam jutro iść i prosić, żeby mi też płacili dwieście pięćdziesiąt rubli? I jak potem będę żyć? Zresztą posłaliby mnie do czubków! Przecież nikt inny jeszcze się nie zrzekł!

Dźgając palcem jak piką Radowicz, cały zgorączkowany, podkreślał swoje tezy ostrymi ruchami ręki:

— Potrzebna jest żelazna miotła! Trzeba oczyścić się z tej burżuazyjnej zgnilizny! Spójrz, co na tobie narosło?! Piotrze! W kogoś ty się przekształcił?

Makarygin bronił się rozczapierzoną dłonią.

— Jaki cel miałoby życie? O co właściwie walczyliśmy? Przypomnij sobie Engelsa: równość, to nie znaczy, że wszyscy mają być równi zeru! Dążymy do tego, żeby wszyscy żyli w dostatku!

— Ty mi się nie chowaj za Engelsa! Lepiej do ciebie pasuje Feuerbach: „Twój pierwszy obowiązek to uczynić szczęśliwym samego siebie! Jeżeli jesteś szczęśliwy, to uszczęśliwiasz także innych...”

— Świetnie powiedziane — klasnął w dłonie Makarygin. — Nie znałem tego! Pokażesz mi to miejsce.

— Świetnie!... — ni to zaśmiał się, ni to zachłysnął się kaszlem Radowicz i cały jego szkielet zadygotał w tym okropnym śmiechu. — Toż to moralność młynarza z Oskara Wilde’a! Hu! Nie! Kto nie przecierpiał przynajmniej dwudziestu lat, temu bym zabronił bawić się w filozofa!

— Jesteś zasuszony fanatyk! Mumia! Prehistoryczny komunist!

— Jak szybko ty stałeś się historycznym! — Radowicz sięgnął na biurko po etui z fotografią jasnowłosej kobiety w skórzanej kurtce z mauzerem. — A Lena nie zgadzała się przypadkiem ze Szlapnikowem<sup>1</sup>, nie pamiętasz czasem? Podziękuj Bogu, że umarła. Jak by żyła, to z pewnością by ci nie dali prowadzić sprawy sabotażu w Szachtach<sup>2</sup>!

— Odstaw! — rozkazał pobladły Makarygin. — Ani mi się waży tykać jej pamięci! Żubr! Żubr!

— Nie, nie jestem żubrem! Chcę tylko leninowskiej czystości! — Radowicz zniżył głos. — U nas nic o tym nie piszą. Ale w Jugosławii — robotnicy sami kierują przedsiębiorstwami, tam...

Makarygin uśmiechnął się nieprzyjemnie.

— Jesteś Serbem, trudno wymagać obiektywizmu od Serba. Rozumiem to i wybaczam ci. Pamiętasz co Marks mówił o „bałkańskim prowincjonalizmie”? Bałkany to jeszcze nie cały świat.

— I mimo to... — zawołał Radowicz, ale nie dokończył. Doszedł do krawędzi, za którą mogło już nie być mowy o przyjaźni biorącej początek w czerwogwardyjskim oddziale. Tu była krawędź za którą Piotr Makarygin mógł przypomnieć sobie, że jest prokuratorem.

Radowicz przysnął, zamilkł i znów stał się skurczonym, pergaminowym człowieczkiem.

— No, kończ, kończ, ty żubrze! — podjudzał go Makarygin głosem pełnym wrogości. — Więc twoim zdaniem półfaszystowski reżym w Jugosławii — to jest właśnie socjalizm? A u nas co — zwyrodnienie? Termidor? Znamy skądś te słówka! Dawnośmy je słyszeli, tylko ci, co je pierwsi mówili, są już na tamtym świecie! Powinieneś jeszcze tylko powiedzieć, że w walce ze światem kapitalistycznym jesteśmy skazani na przegraną, prawda?

— Nie! Nie! — z przekonaniem, w proroczym natchnieniu zawołał Radowicz, znów zrywając się na równe nogi. — Nigdy do tego nie dojdzie! Świat kapitalistyczny przeżarty jest o wiele gorszymi, antagonistycznymi sprzecznościami. I jak przepowiadali wszyscy kominternowcy, jak też wierzę głęboko, że wkrótce będziemy świadkami zbrojnego starcia o rynki zbytu między Stanami Zjednoczonymi i Anglią!

---

1. Szlapnikow Aleksander Gawryłowicz, przywódca tzw. opozycji robotniczej w 1921 r., egalitarysta. Pierwszy komisarz pracy w I rządzie sowieckim.

2. Sprawa o sabotaż przypisywana członkom tzw. prompartii była początkiem ataku na inteligencję techniczną.

## LIX

### PIERWSI WDZIERALIŚMY SIĘ DO MIASTA

W salonie zaś tańczono przy dźwiękach adapteru, bardzo dużego, nowego typu. Makaryginowie mieli pełną szafkę płyt — były tam przemówienia Ojca Narodów z jego rozciąganiem głosek, postękiwaniem i akcentem gruzińskim (jak we wszystkich prawomyślnych domach, stały na półce, ale jak wszyscy normalni ludzie Makaryginowie nigdy ich nie nastawiali); i pieśni, że „Stalin naszą gwiazdą jest przewodnią...” i o samolotach, co to są „na pierwszym miejscu”, i o dziewczynach, co „dopiero później przyjdzie na nie czas” (ale słuchać tych płyt tutaj tak samo nie wypadało, jak w ziemiańskim salonie mówić serio o biblijnych cudach). Dziś natomiast nastawiano płyty importowane, nie sprzedawane w zwykłych sklepach, nie nadawane przez radio. Były wśród nich nawet emigracyjne z nagraniami Leszczenki.

W pokoju przylegającym do salonu nie zapalono żyrandola; stał tam telewizor i Klara go włączyła. Ozdobą tego pokoju było pianino, na którym od chwili zakupu nikt jeszcze nie grał i z którego wieka nigdy nie zdejmowano kolorowego kilimka. Telewizory pojawiły się dopiero niedawno i ekran miały wielkości koperty pocztowej. Klara nastawiła obraz niewyraźnie, wciąż uciekał jej z ekranu. Chociaż była inżynierem-radiowcem i powinna sama dać sobie radę z usterkami, jednak zawołała Żeńkę. Żeńka był bardzo pijany, ale znał się na rzeczy (pracował w radiostacji zagłuszającej o mocy wielu megawatów). Zdążył jeszcze naprawić telewizor, zanim go doszczętnie nie zamroczyło.

Oszklone drzwi prowadzące z salonu na balkon pozwalały po rozsunięciu jedwabnych firanek widzieć gęsty ruch na Kałuskiej Rogatce, światła samochodów, czerwone i zielone ognie

sygnalizacji ulicznej, czerwone światła hamulcowe — pod lotnym śniegiem, co wciąż prosił, a prosił.

Meble nie pozwalały tańczyć wszystkim ośmiu parom naraz, więc tańczono na zmianę. Obok ożywionych tańcem twarzy dziewczęcych i pełnego chętniej pilności oblicza lejtnanta służby wewnętrznej — raz po raz migał przepaszający uśmiech Łanckiego, który prosił jakby sąsiadów, aby wybaczyli mu zajęcie tak błahe. Młody referent nie odstępował Dinery nawet o krok, póki wreszcie, nacieszywszy się jego niezręcznym zachwytem, nie kazała mu zatańczyć z kimś innym. Jedna z koleżanek Klary, szczuplutka, sympatyczna, przez cały wieczór nie spuszczała oka z odpowiedzialnego młodziana. Chociaż nie zadawał się z byle kim ze swego pokolenia, ale tu, połączony mile, zgodził się leniwie obdarzyć tę szczuplutką jednym tańcem. Właśnie grano two-step. I zaraz potem rozległy się ogólne prośby o przerwę.

Jedna z młodych Baszkirek zaczęła roznosić lody.

Odpowiedzialny młodzian odprowadził swoją danserkę do balkonowej niszy, gdzie stały dwa krzesła, przyniósł lodów, powiedział komplement na temat jej umiejętności tanecznych. Uśmiechała się do niego i najwidoczniej chciała coś powiedzieć. Zmierzył wzrokiem jej nerwową szyję, jej niewysoką pierś, ledwie rysującą się pod cienką bluzką i korzystając z tego, że firanki częściowo ich zasłaniały, łaskawie przykrył ręką jej dłoń, którą trzymała na kolanie. Panienska zaczęła mówić z podnieceniem:

— Witalii Jewgeniewicz! Jaki to szczęśliwy przypadek — że mogłam pana tutaj spotkać! Niech się pan nie gniewa, że osmielam się przeszkadzać panu w trakcie wypoczynku. Ale w sekretariacie Rady Najwyższej w żaden sposób nie można do pana się dostać. — (Witali zdjął swoją rękę z dłoni panienski). — U was w sekretariacie już od pół roku leżą przysłane z obozu akta mojego ojca, którego w obozie tknął paraliż, jest też moja prośba o ulaskawienie. — (Witali bezradnie wcisnął się w głąb fotela i dłużył łyżeczką w lodowatej kulce. Panienska zapomniała o swoich lodach, trąciła w nieuwadze łyżeczkę, która zsunęła się zostawiając plamę na jej sukni i potoczyła się aż do drzwi balkonowych, gdzie już została). — Całą prawą stronę ciała ma sparaliżowaną! Jeszcze jeden udar — a umrze. Już i tak jest skazany, po co wam jeszcze trzymać go w obozie?

Wargi referenta skrzywiły się.

— To nietaktowne z pani strony zwracać się do mnie tutaj, wie pani? Numer telefoniczny naszej centrali nie jest dla nikogo tajemnicą, proszę zadzwonić, wyznaczę dzień,

kiedy będzie mogła być pani przyjęta. Zresztą z jakiego artykułu pani ojciec siedzi? Z pięćdziesiątego ósmego?

— Nie, nie, co też pan! — zawołała z ulgą panienka. — Alboż to bym ja śmiała w ogóle niepokoić pana, gdyby siedział z pięćdziesiątego ósmego? Chodzi o dekret z siódmego sierpnia!

— Wszystko jedno, z siódmego sierpnia też się nie rozpatruje.

— Ale to przecież okropne! On umrze w obozie! Po co trzymać w więzieniu kogoś, komu grozi pewna śmierć?

Referent podniósł oczy na panienkę.

— Jeżeli będziemy rozumować w ten sposób — co wtedy w ogóle zostanie z wymiaru sprawiedliwości? — uśmiechnął się. — Przecież został sądownie skazany! Niech się pani w to wmyśli! Co to znaczy wobec tego, że „umrze w obozie”? Ktoś w końcu musi umierać także w obozie. I jeśli czas mu już umrzeć, to czy nie wszystko jedno, gdzie umrze?

Wstał bardzo zagniewany i poszedł sobie.

W słowach jego dźwięczała ta pełna głębokiego przekonania prostota, na którą nie ma rady nikt, nawet najbieglejszy retor.

Nietaktowna panienka cichutko przemknęła przez salon, z dała od oczu Klary przekradła się do jadalni, gdzie właśnie podawano herbatę i torty, ubrała się w korytarzu i wyszła.

Klara dłużyła koło telewizora psując coraz bardziej obraz. (Żeńka wracał do przytomności w łazience).

Minąwszy w drzwiach strapioną, chudą panienkę Gałachow, Inocenty i Dotnara weszli do salonu. Na spotkanie im wyszedł Łanski.

Darzymy zawsze szczególną sympatią tych, którzy potrafią nas docenić. Łanski wysoko cenił to, co Gałachow zdążył już napisać i oczekiwał od niego jeszcze większych osiągnięć — z tym większą więc przyjemnością Gałachow współpracował z Łanskim i pomagał mu w karierze.

Aleksy był teraz w tym osobliwie lekkim, balowym nastroju, kiedy człowiek może sobie pozwolić nawet na nieduże zuchwalstwo, a jakoś w końcu wypada mu składnie.

— Mikołaj Arkadiewicz! — krzyknął cały promieniejąc. — Niech się pan przyzna! Przecież w najgłębszej głębi duszy pan wcale nie jest pisarzem! A kim?... (Brzmiało to jak powtórzenie pytania Inocentego i Gałachow zmieszał się). — Ż o ł n i e r z e m !

— A pewno, że żołnierzem! — odparł Gałachow z męznym uśmiechem.

I zmrużył oczy, jakby patrzył w dal. Żadne chwile pisarskiej sławy nie zostawiły mu w sercu takiego poczucia dumy, a przede

wszystkim — takiego wrażenia czystości, jak ten dzień, kiedy licho go poniosło z biurem Puszkina aż do sztabu półodciętego batalionu, żeby trafić pod nawałę artyleryjską i pod obstrzał z miotaczy min, a później w roztrzęsionym przez bomby bunkrze, późno wieczorem jeść z jednej menażki w czwórkę ze sztabem batalionu i czuć się z tymi bywałymi wojakami jak równy z równym.

— Wobec tego niech pan pozwoli przedstawić sobie mojego frontowego przyjaciela — kapitana Szczagowa!

Szczagow stał wyprostowany starając się, aby okazywaniem zbytniego szacunku nie ująć sobie nic z godności. Duży prosty nos i szeroka twarz nadawały mu wyraz otwartości.

Znakomity zaś pisarz na widok orderów bojowych, medali i dwóch naszywek za frontowe rany, z rozmachem wałnął go dłonią w dłoń przy powitaniu:

— Major Gałachow! — i uśmiechnął się. — Gdzie pan wojował? Siądźmy, proszę mi wszystko opowiedzieć.

I usiedli na tapczanie pokrytym kilimem, zmuszając Inocentego i Dotti aby skupili się ciasniej. Chcieli posadzić obok siebie również Łaskiego, ale ten dał im tajemniczy znak i zniknął. Istotnie, spotkanie frontowców nie mogło przecież obejść się bez butelki! Szczagow powiedział, że z Łaskim zaprzyjaźnili się w Polsce, tego obłądnego piątego września czterdziestego czwartego roku, kiedy nasi z marszu doszli aż do Narwi i przeprawili się przez nią, omal że na deskach, wiedząc, że pierwszego dnia zawsze łatwiej, a później nawet zębami człowiek nie da rady. Rwali bezczelnie naprzód przez niemieckie pozycje wąskim, kilometrowym korytarzykiem, a Niemcy parli, żeby go przeciąć, z północy trzysta czołgów — z południa — dwieście.

Ledwie zaczęły się frontowe wspomnienia — Szczagow zapomniał o tym języku, którym posługiwał się codziennie na uniwersytecie, Gałachow zaś o żargonie redakcji i sekcji literackich, tym bardziej zaś — o tym sztucznym, wysilonym języku, w którym pisane są książki, i tak oto obaj odrzucili język salonu, okazało się bowiem że po prostu nie można z pomocą tego wyświechtanego i tchórzliwego języka dać w rozmowie pojęcia o frontowym życiu, pełnym soku i dymu. I już po dziesiątym słowie poczuli, jak bardzo by im się przydały przekleństwa, niestety, tutaj niedopuszczalne.

Właśnie zjawił się Aleksy z trzema kieliszkami i z butelką niedopitego koniaku. Przyniósł sobie krzesło, żeby lepiej widzieć obu i nalał im do trzymanyh w rękę kieliszków.



— Za żołnierską przyjaźń! — powiedział Gałachow i przy-  
mrużył oczy.

Wypili.

— Jeszcze zostało! — powiedział Łanski z wyrzutem i po-  
trząsnął trzymaną pod światło butelką.

Dolał znowu.

— Za tych, co nie wrócili! — Szczagow podniósł swój kie-  
liszek.

Wypili. Łanski obejrzał się ukradkiem i schował pustą bu-  
telkę za tapczan. Nowy chmiel uderzył im do zamroczonych  
głów. Aleksy pchnął rozmowę w swoją stronę: jak to tego  
pamiętnego dnia właśnie on, świeżo upieczony korespondent  
wojenny, dopiero dwa miesiące po dyplomie uniwersyteckim,  
pierwszy raz w życiu jechał na pozycje i jak to przypadkową  
ciężarówką (ciężarówka ta wiozła miny przeciwczołgowe dla  
Szczagowa) przeskoczył pod niemieckimi miotaczami min z Dłu-  
gosiodła do Kabata korytarzykiem tak wąskim, że „północni”  
Niemcy śmigali minami w okopy Niemców „południowych”  
i właśnie w tym samym miejscu, tego samego dnia, pewien nasz  
generał, wracając z urlopu na front z całą rodziną, zająchał swoim  
Willisem prosto do Niemców. I ani śladu!

Przysłuchujący się ich rozmowie Inocenty zapytał, jak to  
jest ze strachem przed śmiercią. Łanski już się rozpedził i od-  
powiedział, że w takich desperackich sytuacjach człowiek śmierci  
się nie boi, że zapomina o niej. Szczagow podniósł brwi i sko-  
rygował go:

— Śmierci człowiek się nie boi, póki go nie rą b n ą. Z po-  
czątku rzeczywiście niczego się człowiek nie lęka, ale jak spró-  
buje czym to pachnie, — to lęka się wszystkiego. Ale można  
znaleźć pociechę w tym, że śmierć jest jakby czymś postronnym:  
póki żyjesz — to jej nie ma, a jak przyjdzie — to ciebie już  
nie będzie.

Ktoś nastawił płytę „Wróc do mnie, maleńka!”.

Dla Gałachowa wspomnienia Szczagowa i Łanskiego były  
nieciekawe — raz, że nie był świadkiem tej operacji, nie znał  
Długosiodła, Kabata i Nowego Miasta; dwa, że nie należał do  
podrzędnych korespondentów, jak Łanski, tylko do korespon-  
dentów strategicznych. Bitwy rysowały mu się nie jako walki  
o jakiś zgniły mostek drewniany, czy o wsiowe, konopne opłotki  
— tylko w szerokim zakresie, w generalsko-marszałkowskim  
aspekcie celowości.

I ściągnął rozmowie cugle:

— Tak. Wojenka, wojenka! Idziemy na nią jako niemrawe  
mieszczuchy, a wracamy mając w piersi serca z brązu... Aleksy!

Czy na waszym odcinku śpiewano „Pieśń korespondentów frontowych”?

— A jakże! — i Łanski zanucił początek.

— Nera! Nera! — zawołał Gałachow. — Chodź no tutaj! Zaśpiewamy o frontowych korespondentach — chodź na pomoc!

Kiedy w tej smagławej twarzy błyskały równe, białe zęby — przestawało się widzieć jak obwisłe ma już Gałachow policzki.

Dinera podeszła szybko.

— Proszę bardzo, przyjaciele! — i potrząsnęła głową. — Proszę bardzo! Ja też byłam na froncie!

Adapter wyłączono i zaczęli śpiewać we trójkę, przy czym braki muzykalności wynagradzała szczerłość:

*Od Moskwy do granicy  
Nie ma okolicy,  
Gdzieby nie widziano nas na froncie.  
Z notesem w plecaku,  
Z naganem — w ataku,  
Nam nie straszny jest mróz, ani słońce.*

Wszyscy się zeszli, żeby ich posłuchać. Młodzież z ciekawością przyglądała się znakomitemu człowiekowi; nie co dzień się takich spotyka.

*Od wiatru i gorzały  
Gardła nam zgorzały.  
Na morały odpowiemy zaś po krótcie:  
Trochę powojujcie,  
Trochę pokoczujcie,  
A na pewno dogadamy się przy wódce.*

Już przy pierwszych słowach piosenki, Szczagow, z tym samym uśmiechem na wargach, wewnątrznie zlodowaciał i zrobiło mu się wstyd niewczesnych zapędów przed tymi, których tu, rzecz jasna, nie było, którzy pili dniewprowską wodę jeszcze w Czterdziestym Pierwszym i żuli nowogrodzkie igliwie w Czterdziestym Drugim. Aleksy Łanski był miłym chłopcem, Gałachow zaś — bardzo godnym szacunku pisarzem, ale słabo znali ten front, z którego teraz robili przedmiot ubóstwienia. Nawet najodważniejsi z korespondentów, którzy pchali się w samo piekło (a tacy wcale nie stanowili większości) — tak czy siak różnili się od linio w c ó w, jak chodzący za pługiem hrabia różni się od chłopca-rolnika: żaden rozkaz ani regulamin nie zmuszał ich do pozostawiania na pozycjach, dlatego nikt im nie zabraniał — ani nie uznałby za zdradę — strachu, prób ratowania włas-

nego życia, ucieczki z pola bitwy. Dlatego istniała przepaść między sposobem myślenia żołnierza, któremu nogi wrosły w ziemię pierwszej linii okopów, który nie ma gdzie się podziać i może za chwilę tu właśnie zginąć — a skrzydlatego korespondenta, który za dwa dni może znaleźć się w swoim moskiewskim mieszkaniu.

*O, nie w czołgu srogim  
Szliśmy prosto w ogień.  
Zginie pismak? Szkoda też i basta!  
W aucie roztrzęsionym,  
Z piórem do obrony,  
Pierwsi wdzieraliśmy się do miasta.*

Z tym wkraczaniem do miast — rzecz sprowadzała się do dwóch, trzech anegdot, kiedy to, marnie orientując się w mapach sztabowych, korespondenci dobrymi szosami (osobowe samochody złych dróg nie znosiły) wpadali do „niczyjego” miasta i zaraz wyskakiwali stamtąd, jak oparzeni.

Przebierając w roztargnieniu żonine palce, Inocenty słuchał, rozumiejąc słowa piosenki też po swojemu. O wojnie nic nie wiedział, ale wiedział za to sporo o sytuacji naszych korespondentów. Nasz korespondent nie był bynajmniej tym reporterem hołyszem, o jakim mówiło się w piosence — reporterem, którego życia nikt rzekomo nie ceni i który może stracić swoją pracę w gazecie jeżeli spóźni się z sensacyjnym meldunkiem. Wystarczyło żeby nasz korespondent pokazał zaledwie rąbek swojej legitymacji, aby natychmiast przyjmowano go jako ważniaka, przed którym trzeba starać się ukryć wszystkie braki w swoim „gospodarstwie”, uwypuklając natomiast wszystkie sukcesy. Przyjmowano go tam, gdzie przyjeżdżał, prawie jak osobę mającą tytuł do dawania „wskazówek”. Sukces jego własnych zaś korespondencji zależał nie od szybkości i ścisłości informacji, lecz od właściwego ich naświetlenia, od prawidłowego światopoglądu. Mając zaś prawidłowy pogląd na sprawy, korespondent nie miał już właściwie specjalnych powodów, aby pchać się na pole bitwy, czy tym bardziej do samego piekła, bo właściwe formuły mógł znaleźć także na tyłach.

Doprowadziwszy jako tako telewizor do porządku i bardzo z tego dumna, Klara wyszła z półmroku sąsiedniego pokoju i stanęła w ten sposób, że Łanski zobaczył ją wreszcie. Z myślą, że Klara jest miła, że właściwie nawet bardzo zgrabna i że w ogóle naprawdę mu się podoba, uśmiechnął się do niej roz-

jaśnionymi oczyma i zaśpiewał z tym uśmiechem ostatnią zwrotkę, przy której już im obecni pomagali:

*A więc kielichy w górę!*

*Zaśpiewajmy chórem!*

*No, a jeśli przyjdzie złożyć głowę —*

*Ktoś się w końcu dowie,*

*Ktoś tam westchnie sobie,*

*Ktoś nas przecie wspomni dobrym słowem!...*

Ale nie zdążyli dośpiewać ostatnich słów, gdy gdzieś niedaleko rozległ się syk i całe mieszkanie pogrążyło się w mroku.

— Zaraz wybuchnie! — krzyknął ktoś i śmiech rozległ się wśród młodzieży. Ledwie przestali się śmiać, gdy ktoś zawołał żartem w ciemnościach:

— Mika! Co ty robisz? To nie Lusja, to ja!

Znów się zaśmiali. Później zaczęli mówić wszyscy naraz, nic jednak nie przedsiębiorąc. W różnych miejscach błyskały zapalniczki, dmuchano na nie i rzucono niedogaszone na podłogę.

Okna jaśniały. Baszkireczka z korytarza zawołała do gospodyni:

— Na schodach się pali.

— A gdzie Żeńka? Żeńka! Napraw światło!

— Żeńka jest bardzo zajęty — oznajmił z całym przekonaniem czyjś ponury głos.

— Trzeba zawołać montera! — zadysponowała z jadalni pani prokuratorowa. — Klaruniu, zadzwoń do elektrowni!

— Nie wypuszczajcie Klary! Po co monter! Sama przecież umie?

— To na pewno w telewizorze... — odezwała się Klara.

— Co to za głupstwa, kochani? — zapytała surowo żona prokuratora już gdzieś z bliska. — Chcecie, żeby mi córkę poraziło prądem? Proszę bardzo, jeśli ktoś ma chęć bawić się w reperację — to niech reperuje. Bo inaczej będę musiała za-telefonować.

Zapadło przykre milczenie. Coś tam mówiono o telewizorze, kto inny wspominał o korkach, tych spod sufitu. Ale ilu ich tu było — niezastąpionych członków społeczeństwa, ludzi dwudziestego wieku — dyplomatów, pisarzy, literackich krytyków, referentów najwyższych instytucji, aktorów, oficerów ochrony pogranicza, studentów prawa — żaden nie zgodził się na ochotnika. I rozległ się tylko głos frontowca w długich butach, którego obecność raziła tu niektórych:

— Proszę mi pozwolić. Panno Klaro, zechce pani wyłączyć telewizor.

Szczagow wyszedł do pierwszego przedpokoju i Baszkirki przyświecały mu tam kawałkiem świeczki parszkając raz po raz śmiechem. Gospodyni dziś je pochwaliła i obiecała dopłacić po dziesięć rubli dodatku. Bardzo im odpowiadała służba tutaj i miały nadzieję, że jak nie na tę, to na przyszłą wiosnę tyle sobie zarobią i tak się ubiorą, żeby znaleźć mężów w mieście i nie wracać już do domu.

Kiedy światło znów się zapaliło — Klary nie było wśród gości; Łanski zaciągnął ją w ciemnościach do drugiego, ślepego korytarza i tam stali oboje za szafą.

Łanski wyjednał już zgodę na wspólny wieczór sylwestrowy w „Aurorze”. Rozpierała go radość, że ta panna o tak żywym umyśle, tak drwiąca ze wszystkiego, będzie na pewno jego żoną, jego wymagającym przyjacielem, który nie pozwoli mu stanąć w miejscu, ani rozkleić się. Pochylony całował jej ręce i haftowane bransolety na długich rękawach.

Klara patrzyła nieco z góry na jego schyloną głowę i czuła, że brak jej tchu. Nie było jej winy w tym, że to byli dwaj różni ludzie, a nie jeden. Nie było jej winy w tym, że właśnie nadeszła pora ostatecznego jej dojrzewania i że na mocy żelaznego prawa przyrody musiała teraz — jak wrześniowe jabłko — spaść do rąk tego, który te ręce wyciągnie.

## LX

### POJEDYNEK WBREW REGUŁOM

Tam, na górnej koi, to oko w oko z krągłą, sklepioną powałą wznoszącą się nad nim jak kopuła niebios, to wciskając twarz w rozgrzaną poduszkę, która mu się wydawała łonem Klary, Rościśław omdlewał ze szczęścia. Pół dnia minęło już od pocałunku, który ściał go z nóg, a jemu wciąż jeszcze szkoda było kazić swoje szczęśliwe wargi pustą gadaniną albo żartocznąścią.

„Przecież mogłaby pani na mnie czekać!” — tak jej powiedział.

Ona zaś odpowiedziała mu tak:

„Czemu miałabym nie móc? M o g ł a b y m . . .”

... — I znowu wymigujesz się od uczciwego męskiego starcia! — rozległ się prawie że pod nim soczysty, dźwięczny, młodzieńczy głos. — Ty znowu wolisz obrzucać swojego rozmówcę p t a s i m i słowami!

— A ty znów nie rozmawiasz, tylko bawisz się w zaklinalnia! Pytia! Pytia z Mawrina! Dlaczego właściwie wyobrażasz sobie, że płonę chęcią dyskusowania z tobą? A może tak samo mnie to nudzi, jak wbijanie staremu piaskarzowi do głowy, że słońce nie krąży dookoła ziemi? A niech se stary do śmierci z tym żyje, *nechaj jomu bude!*

— Gdzie jeszcze sprzeczać się, jak nie w więzieniu? Gdzie masz na to miejsce? Na wolności zwawo cię wsadzą, gdzie trzeba. A tu spotykasz prawdziwych współzawodników! — i uchylasz się? Więc to tak?

Sołogdin i Rubin jakby zamknięci w magicznym kręgu swoich sporów, bojąc się oddać pole przeciwnikowi, aby kto czasem nie uznał tego za porażkę, wciąż jeszcze siedzieli przy pustym już stole imieninowym. Adamson dawno wrócił do swo-



jego „Monte Christo”, Priancykow pobiegł wertować zeszlóroczny „Ogoniok”, który pojawił się skądś. Nierzyn odprowadził Kondraszewa i poszedł w odwiedziny do stróża Spirydona. Potapow, do końca wierny obowiązkom gospodyni, umył naczynia, odstawił szafki na miejsca i położył się, przykrywając głowę poduszką, aby mu hałas i światło nie przeszkadzały. Wielu w izbie już spało, inni cicho czytali albo gwarzyli i nadeszła taka pora, kiedy człowiek nie wiedział dobrze, czy dyżurny nie zapomniał przypadkiem wyłączyć światła i zastąpić go niebieskimi, nocnymi lampkami. Ale Sołogdin z Rubinem wciąż siedzieli na pustej pościeli Priancykowa przy ostatniej, zostawionej im nocnej szafce.

Sołogdin nalegał, łagodniej już i ciszej:

— Prawdziwy spór, mówię ci to z doświadczenia, powinien być prowadzony na zasadzie pojedynku. Za obopólną zgodą wybieramy rozjemcę — możemy poprosić choćby Gleba. Bierzymy kawałek papieru, dzielimy go prostą linią na połowy. Na górze, przez całą szerokość stronicy piszemy, czego spór dotyczy. Następnie każdy na swojej połowie, w najjaśniejszym i najkrótszym kształcie, określa swoje stanowisko wobec wymienionego wyżej zagadnienia. Aby nie było przypadkowej omyłki w doborze słów — czas potrzebny na określenie stanowiska nie podlega ograniczeniom.

— Co ty durnia ze mnie robisz — półsennie odparł Rubin przymykając zmarszczone powieki. Na widocznej nad brodą części jego twarzy malowało się głębokie znużenie. — I co, do rana mamy tak się sprzeczać?

— Przeciwnie! — wesoło zawołał Sołogdin pobłyskując oczyma. Na tym polega wspaniała osobliwość prawdziwego męskiego starcia! Puste przepieranie się i młócka słomy — to może trwać całymi tygodniami, ale spór na papierze można skończyć nawet w ciągu szóstej części godziny; od razu staje się jasne, że przeciwnicy albo mówią o rzeczach rozmaitych, albo też, że nic ich nie różni. Gdy zaś okaże się, że przedłużenie sporu jest uzasadnione — wówczas zaczynają po kolei zapisywać swoje dowody na przydzielonych im połowach stronicy. Jak przy pojedynku: pchnięcie! — obrona! — wystrzał! — wystrzał! No i masz: niemożność wykręcenia się, wyparcia się użytych wyrażań, zastąpienia jednego słowa przez inne — doprowadza do tego, że po dwóch-trzech wymianach ciosów widać jasno, kto zwyciężył, a kto został pokonany.

— I czas nie podlega ograniczeniom?

— Aby dotrzeć do prawdy — nigdy!

— A potem na rapiery, co?

Zarumieniona twarz Sołogdina nachmurzyła się:

— Wiedziałem z góry. Pierwszy na mnie wjeżdżasz...

— A mnie się zdaje, że to ty pierwszy!...

— ... dajesz mi rozmaite przewiska, masz ich sporo w zapasie: wstecznik! zachowawca! — (unikał cudzoziemskiego, nieporęcznego słowa „reakcjonista”), odznaczony sługus duchowieństwa (znaczyć to miało „dyplomatyczny lokaj klerykalizmu”)!... Masz w zanadrzu więcej wyzwick, niż określeń naukowych. Kiedy zaś ja przyciskam cię do muru i przedkładam, abyśmy zaczęli wieść spór uczciwy — ty nie masz czasu, nie masz chęci, jesteś znudzony!

Sołogdina korciło, aby z kimś podyskutować, jak zwykle w niedzielne wieczory, które przeznaczył w swoich planach na rozrywki. Prócz tego miał dziś swój dzień tryumfów.

Rubin zaś rzeczywiście czuł znudzenie. Miał przed sobą nową, trudną i nie bardzo sympatyczną pracę. Jutro z samego rana trzeba będzie zabrać się samemu do tworzenia całej nowej dyscypliny wiedzy, więc warto było już tego wieczoruzczędzić sił. Listy też dawno już na niego czekały, powinien był pisać. A jeszcze wabiły Rubina słowniki: mongolsko-fiński, hiszpańsko-arabski i tyle innych, Czapek, Hemingway i Sinclair. Na domiar wszystkiego — odgrywając komedię sądu, przekomarzając się ze swoimi sąsiadami, biorąc udział w urodzinowym przyjęciu — przez cały wieczór nie mógł w żaden sposób przemyśleć do końca pewnego ważnego projektu o znaczeniu ogólnospołecznym.

Ale więzienne prawa dyskusji obowiązywały go. W żadnym sporze Rubin nie powinien był ponieść klęski, bo właśnie on tutaj, w *szaraszce*, reprezentował najbardziej postępową ideologię.

— No i o czym mamy dyskutować? — Rubin rozłożył ręce.  
— Jużesmy sobie wszystko powiedzieli.

— O czym? Masz prawo wyboru! — szarmanckim, szerokim gestem odpowiedział Sołogdin, jakby ustępując prawa do wyboru broni i miejsca pojedynku.

— Wobec tego już wybrałem: o n i c z y m !

— To wbrew zasadom!

Rubin z rozdrażnieniem szarpnął kosmyk czarnej brody:

— Wbrew jakim zasadom? Co to za jakieś zasady? Inkwizycja? Zrozum: aby dyskusja była owocna, przeciwnicy muszą mieć choćby jakąkolwiek wspólną platformę, zgadzać się choćby co do najogólniejszych spraw...

— Właśnie, właśnie! do tego właśnie jesteś przyzwyczajony! — spierać się tylko z własnymi stronnikami! A po męsku sprzeczać się nie potrafisz!

— No a my? Przecież czegokolwiek tkniemy, cokolwiek weźmiemy pod lupę... przecież dla ciebie na przykład, pojedynki nawet dzisiaj są najlepszym sposobem rozstrzygnięcia konfliktów!

— A spróbuj dowieść czegoś odwrotnego! — Sołogdin wyprostował się promieniejąc. — Gdyby istniały pojedynki, to kto by się ośmielił na oszczerstwa? Kto by miał czelność odpychać słabszych łokciami?

— Właśnie twoi pojedyńkowicze!... Dla ciebie w ogóle mroki średniowiecza, tępi, zarozumiali rycerze, wyprawy krzyżowe — to chyba zenit historii!

— To są szczyty ludzkiego Ducha! — przytaknął Sołogdin wypinając pierś. — Wspaniałe zwycięstwo ducha nad ciałem! To niepowstrzymane dążenie do świętości z mieczem w rękę!

— I pełne juki nagrabilonych łupów? Z ciebie po prostu konkwistador, rozumiesz?

— Pochlebiasz mi! — Sołogdin wyprężył się chępliwie.

— Pochlebiam?? Straszne! Straszne!! — Rubin demonstrując jak mu straszno chwycił się oburącz za włosy, na ciemieniu już rzednące. — Nieznośny hidalgo!

— A ty — biblijny fanatyk!... to znaczy opętaniec! — odparował Sołogdin.

— No i sam się teraz zastanów: o czym właściwie możemy dyskutować? O właściwościach słowiańskiej duszy wedle Chomiakowa? O tym, czy wolno odnawiać ikony?

— Zgoda — powiedział Sołogdin. — Późna już godzina i nie nalegam, abyśmy się zabierali do naczelných zagadnień. Ale pozwól że wypróbujemy samą zasadę takiego sporu-pojedynku, obierając sobie jakiś przedmiot łatwy, a wytworny. Dam ci do wyboru kilka spraw. Chcesz podjąć spór z dziedziny piśmiennictwa? To twoja dziedzina, nie moja.

— No i co tam można znaleźć w piśmiennictwie?

— No, na przykład — jak trzeba rozumieć postać Stawrogina?

— O tym już dziesiątki krytyków...

— Wszystko grosza nie warte! Czytałem. Stawrogin! Swi-drygajłow! Kirillow! — alboż to są zrozumiani? Są tak zawili i niełatwi do pojęcia, jak to bywa tylko w prawdziwym życiu! W życiu rzadko poznajemy człowieka od razu, nigdy nie poznajemy go do końca! Zawsze napotyka się jakieś niespodzianki. W tym właśnie zawiera się wielkość Dostojewskiego! A znawcy piśmiennictwa wyobrażają sobie, że mogą nam przeświecić człowieka na wskroś. Śmieszne.

Ale widząc, że Rubin już zbiera się do odejścia (była to

właśnie chwila, w której można się było wycofać, nie narażając się na niesławę), Sołogdin szybko dorzucił:

— Zgoda! Zagadnienie z nauki o obyczaju: o znaczeniu dumy w ludzkim życiu!

Rubin wzruszył ramionami ze znudzeniem:

— Przecież nie jesteśmy pensjonarkami.

I wstał. Była to ostatnia honorowa chwila.

— Zgoda, więc takie zagadnienie... — Sołogdin chwycił go za ramię.

— A idźże ty — Rubin opędził się od niego ręką bez gniewu. — Nie mam czasu na kpiny, a dyskutować z tobą poważnie? Toż jesteś dzikus! Jaskinowiec! Masz w głowie wszystko przekrecone! Jesteś chyba ostatnim na całej planecie, który nie uznaje trzech zasad dialektyki. A z nich przecież wszystko bierze początek.

Sołogdin odsunął ten zarzut ruchem swojej jasnej, różowej dłoni:

— Dlaczego nie uznaję? Już uznałem.

— Cooo?? Ty uznałeś dialektykę? — Rubin ułożył swoje grube mięsiste wargi w ryjek i słodko zaseplenił: — Cacuś! Niech cię ucałują! Uznałeś?

— Nie tylko — uznałem — ja myślałem nad nią! Dwa miesiące rozmyślałem co rano! A ty nigdyś nie myślał!

— Nawet r o z m y ś l a ł e ś? Złotko! Komilfonsio! — Rubin wciąż robił z warg ryjek. — A może ty, wręcz boję się zapytać, uznałeś również kryterium praktyki w gnoseologii?

Sołogdin spochmurniał:

— Umiejętność przymierzania wniosków do działań? To jest właśnie wiedza rzeczowa.

— No to z ciebie żywiolowy materialista! — Rubin jeszcze nie całkiem zrezygnował ze swojego ryjka. — No, powiedzmy, że trochę prymitywny. Ale o co wtedy mamy się sprzeczać?

— Cooo?! — oburzył się Sołogdin. — Znowu nie ma o co? Jak brak wspólnej podstawy — to nie ma co się sprzeczać, jak jest wspólna podstawa — to nie ma o co się sprzeczać! Niee, teraz to już racz przystąpić do sporu!

— Ale co to za przymus? O czym właściwie mamy dyskutować?

Sołogdin podniósł się z miejsca w ślad za Rubinem i z zapamiętym wymachiwał rękoma:

— Bądź łaskaw! — Przyjmuję walkę w najbardziej dla mnie trudnych warunkach. Będę bić się bronią wyrwaną z twoich własnych łap! Będziemy wiedli spór o to, że ty sam nie rozumiesz trzech wielkich praw! Wykułeś je jak papuga, a nad

istotą rzeczy nie zastanawiałeś się. Mogę ci tego dowieść na każdym kroku, na każdym!

— No to spróbuj! — nie mógł nie zawołać Rubin, wściekły na siebie, że znów dał się wplątać w spór.

— Ależ proszę. — Sołogdin usiadł. — Siadaj.

Rubin stał dalej, nie tracąc nadziei, że zaraz uda mu się odejść.

— No, od czego by tu najlepiej zacząć! — delectował się Sołogdin. — Te zasady wskazują nam kierunek rozwoju? Czy tak?

— Kierunek?

— Tak!! W jakim kierunku będzie rozwijać się ten... eee (zakrztusił się) ... proces?

— Oczywiście.

— W czym ty to widzisz? Gdzie właściwie? — chłodno dopytywał się Sołogdin.

— No, w samych tych prawach. Są one odbiciem ruchu.

Rubin także usiadł. Zaczęli rozmawiać ciszej, rzeczowym tonem.

— Które właściwie prawo określa ten kierunek?

— No, pewno, że nie pierwsze... drugie. Chyba również trzecie.

— Mhmm. Trzecie — określa? Więc jak go określić?

— Co?

— Jak to co? Ten kierunek!

Rubin nachmurzył się:

— Słuchaj, a po co w ogóle ta scholastyka?

— To ma być scholastyka?? Nie znasz się na naukach ścisłych. Jeżeli prawo nie mówi nam nic o stosunkach wielkości, wymiernych liczbowo a nadto jeszcze nie znamy kierunku zmian — to wtedy nic nie wiemy, ni cholery. Dobrze. Weźmy z innej strony. Ty tak łatwo i tak często powtarzasz „zaprzeczenie zaprzeczenia”. Ale co ty rozumiesz pod tymi pojęciami? Na przykład, czy możesz mi odpowiedzieć: czy zaprzeczenie zaprzeczenia zdarza się z a w s z e w przebiegu rozwoju, czy nie zawsze?

Rubin zamyślił się w głębi ducha na chwilę. Pytanie było nieoczekiwane. Zwykle nie stawiano tak tej kwestii. Ale jak to przyjęte jest w dyskusji, nie okazując po sobie, że się stropił, odparł szybko:

— W zasadzie — tak... Przeważnie.

— Tu cię mam!! — radośnie ryknął Sołogdin. — Masz cały swój żargon „w zasadzie”, „przeważnie”; tak sprawę zapłaczesz, że nikt nie rozwikła. Powiedzieć ci tylko „zaprzeczenie

zaprzeczenia”, a w głowie masz już odbity wzór: ziarno — źdźbło — a z niego dziesięć nowych ziaren. Już obrzydło! Uprzykrzyło się! — Zdawało się, że wymachuje mieczem wśród tłumu Saracenów. — Odpowiedz mi wprost: kiedy twoja „negacja negacji” ma miejsce, a kiedy — nie ma miejsca? Kiedy wolno jej oczekiwać, a kiedy jest niemożliwa?

Rubin nie czuł już ani śladu ospałości i znużenia, cały się sprężył i starał się skupić wszystkie swoje rozproszone myśli, aby dotrzymać pola w tym niepotrzebnym nikomu, ale przecież ważnym sporze.

— No, jakie to ma praktyczne znaczenie „kiedy ma miejsce”, „kiedy nie ma miejsca”!

— Ładne rzeczy! Jakie rzeczowe znaczenie ma jedno z trzech zasadniczych praw, z których pono wszystko bierze początek! No jak tu z tobą rozmawiać?!

— Ty stawiasz wóz przed koniem! — oburzył się Rubin.

— Znowu żargon! żargon! To znaczy, chciałem powiedzieć, język o c h w e ś n y . . .

— Wóz przed koniem! — upierał się Rubin. — A my uważalibyśmy za hańbę wyprowadzanie analizy konkretnych zjawisk wprost z gotowych praw dialektyki. I dlatego wcale nie musimy wiedzieć „kiedy ma miejsce” i „kiedy nie ma miejsca”...

— A ja ci tu zaraz odpowiem! Tylko, że ty mi z miejsca odpalisz, żeś już to wiedział, że to jasne, że samo przez się... Słuchaj więc: jeżeli odtworzenie dawnej jakości przedmiotu możliwe jest przez ruch w o d w r o t n y m kierunku, to w ogóle nie ma żadnego „zaprzeczenia zaprzeczenia”! Na przykład, jeżeli nakrętka jest mocno zakręcona i trzeba ją odkręcić — to odkręcaj sobie. Masz tu proces odwrotny, przejście ilości w jakość i żadnego tam zaprzeczenia zaprzeczania. Jeżeli zaś — przy ruchu w odwrotnym kierunku — okazuje się niemożliwością odtworzenie poprzedniego posiadanej jakości, to rozwój może przejść przez stopień zaprzeczenia, ale tylko wtedy, jeżeli dopuszczalne w nim są takie powtórzenia. Inaczej mówiąc: zmiany nieodwracalne będą nosić cechy „zaprzeczenia” tylko tam, gdzie możliwe jest zaprzeczenie samych tych zaprzeczeń!

— Iwan — to człowiek, nie-Iwan — to nie człowiek — mruknął Rubin — gimnastyka na poręczach...

— Wróćmy do nakrętki. Jeżeli przy jej zakręcaniu zerwałeś ...ee... gwint, to przy odkręcaniu już jej nie przywrócisz dawnej jakości — całości tego... gwintu. Odtworzyć tę jakość można teraz tylko w jeden sposób: oddać nakrętkę do przetopienia, następnie wykonać w walcowni sześciograniasty pręt, odciąć, wytoczyć i wreszcie nagwintować nową nakrętkę.



— Słuchaj, Mitia — wtrącił Rubin pojednawczym tonem — no przecież nie można wykładać na serio zasad dialektyki za pomocą nakrętki.

— Dlaczego nie można? Czy nakrętka gorsza jest od ziarna? Bez nakrętek żadna... maszyna nie będzie trzymała się kupy. Tak więc, każdy z wyliczonych tu stanów jest nieodwracalny, jest więc zaprzeczeniem stanu poprzedniego, a nowa nakrętka w stosunku do starej, zepsutej, jest zaprzeczeniem zaprzeczenia. Czy to proste? — i wzniósł ku górze ostrą, francuską bródkę.

— Chwileczkę! — spróbował połapać się Rubin. — W czym właściwie zadałeś kłam moim zasadom? Przecież z twoich własnych słów wynikało, że trzecie prawo wskazuje kierunek procesów rozwojowych?

Z dłonią przyłożoną do piersi Sołogdin skłonił się nisko:

— Lewku, gdyby ci nie była właściwa bystrość myślenia, to pewno nie miałbym zaszczytu rozmawiać z tobą! Owszem, wskazuje! Ale to, co prawo wskazuje, trzeba jeszcze nauczyć się p o j m o w a ć! Czy potrafisz? Nie bić czołem przed prawem, tylko pracować z jego pomocą? O, wnioskujeś, że twoje prawo jednak wskazuje ten kierunek. Ale powiedzmy sobie: czy zawsze? W przyrodzie ożywionej — zawsze: narodziny, rozwój, zagłada. A w przyrodzie nieożywionej — wcale nie zawsze.

— Ale nas przede wszystkim interesuje społeczeństwo.

— Kogóż to — nas? Ja nie zajmuję się społeczeństwem. Ja — jestem n a r z ę d z i o t w ó r c a. Społeczeństwo? — wołę towarzystwo — i to pięknych pań. — Żartobliwie musnął wąsy i sam się zaśmiał.

— No, cóż — powiedział Rubin z namysłem. — Może w tym wszystkim jest jakieś racjonalne ziarno. Ale tak w ogóle — pachnie igraszkami słownymi. Jakoś nie widzę żadnego wzbogacenia dialektyki.

— Toż słyszysz, że nie wyprowadzamy!

— Nie wyprowadzacie z praw? — zdumiał się Sołogdin.

— Nie!

— Więc czym są dla was — piątym kołem u woza?

— Słuchaj! — Rubin zaczął klarować partnerowi zajadle, z zaśpiewem w głosie. — Coś ty — pień dębowy, czy człowiek? Przy rozpatrywaniu każdej kwestii wychodzimy z konkretnej analizy materiału, rozumiesz? Cała ekonomia ma za podstawę pojęcie jednostki towarowej. Każda kwestia społeczna da się wyprowadzić z analizy stosunków klasowych.

— Więc na co je macie? — darł się Sołogdin nie zwracając

uwagi na ciszę panującą w izbie. — Te trzy zasady? — w ogóle wam nie potrzebne?!

— Nie, dlaczego, bardzo potrzebne — szybko zastrzegł się Rubin.

— Ale po co?! Jeżeli żadnych wniosków z nich nie wyciągacie? Jeżeli nawet kierunku rozwoju z nich nie trzeba odczytywać, bo to wszystko igraszki słowne? Jeżeli wystarczy tylko powtarzać jak papuga „negacja negacji” — to na diabła one potrzebne?...

... Potapow, który daremnie próbował odgrodzić się poduszką od ich coraz głośniejszej rozmowy, zerwał wreszcie poduszkę z ucha i podniósł się z pościeli rozsierdzony:

— Słuchajcie no, przyjaciele! Nie chce się wam spać, to szanujcie cudzy sen, jeżeli już... — i wskazał palcem na leżącego ukosem na górnej koi Ruśkę — jeżeli już nie możecie znaleźć odpowiedniejszego miejsca.

I gniew Potapowa, lubiącego spokój i porządek, i głęboka już cisza w całej półkolistej izbie, z której dopiero teraz dobrze zdali sobie sprawę, i obecność konfidentów (Rubin mógł zresztą swoje twierdzenia wykrzykiwać bez żadnego lęku) — wszystko to zmusiłoby do otrzeźwienia każdego normalnego człowieka.

Ale ci dwaj otrzeźwieli tylko odrobinę. Ich długi — nie pierwszy, i nie dziesiąty — spór dopiero się zaczynał. Zrozumieli, że lepiej wyjść z izby, ale nie mogli już ani zamilknąć, ani dać się rozdzielić. Wychodząc, żgali się po drodze słowami, póki nie połknęły ich drzwi na korytarz.

I prawie zaraz po ich wyjściu zgasło białe światło, zapaliło się nocne, niebieskie.

Ruśka Doronin czuwał najbliżej obu dysputantów, był jednak jak najdalszy od tego, aby zbierać na nich „materiały”. Usłyszał niedopowiedzianą aluzję Potapowa, zrozumiał, chociaż nie widział jego wyciągniętego palca — i poczuł, jak dławi go obraza nie do odparcia, najgorsza, z ust człowieka, na którego zdaniu nam zależy.

Kiedy rozpoczynał tę ostrą, podwójną grę z pełnomocnikiem operacyjnym, sądził, że przewidział wszystko. Zmylił czujność Szykina, był teraz w przededniu oczywistego tryumfu z tymi stucztęrdziesiąt siedmiu rublami — ale był bezbronny wobec podejrzliwości przyjaciół! Samotny jego spisek, właśnie dlatego, że był tak niezwykle i tak dobrze ukryty — stał się przedmiotem pogardy i powodem hańby. Dziwiło go jak mogli ci dojrzały, rozsądni, doświadczeni ludzie nie mieć w sobie dość wielkoduszności, aby zrozumieć go i uwierzyć, że nie jest zdrajcą.

I jak to zawsze bywa, kiedy tracimy ludzkie względy — staje się nam potrójnie drogi ten, co mimo wszystko kocha nas dalej.

A jeżeli to jeszcze kobieta!?!...

Klara... Ona zrozumie! Zaraz jutro wyzna jej swój szalony zamiar — a ona zrozumie.

I bez żadnej nadziei, bez żadnej zresztą chęci na sen, wił się w swojej rozgrzanej pościeli, to przypominając sobie badawczy wyraz oczu Klary, to z coraz większą śmiałością obmyślając plan ucieczki pod drutami, jarem w stronę szosy — a tam od razu autobusem do samego centrum.

A dalej Klara mu już pomoże.

W siedmiomilionowej Moskwie trudniej znaleźć człowieka, niż na całej gołej Workucie. Do Moskwy właśnie trzeba uciec...

## LXI

### CHODZENIE W LUD

Przyjaźń Nierżyna ze stróżem Spiryonem Rubin i Sołogdin pobłażliwie nazywali „chodzeniem w lud” i poszukiwaniem tej wielkiej siermiężnej prawdy, której jeszcze przed Nierżynem daremnie szukali Gogol, Niekrasow, Herzen, słowianofile, narodnicy, Dostojewski, Lew Tołstoj i wreszcie — Wasisuali Łochankin<sup>1</sup>.

Rubin i Sołogdin sami nie szukali rzeczonoj siermiężnej prawdy, znaleźli już bowiem Prawdę Absolutną, całkowicie jasną.

Rubin dobrze wiedział, że pojęcie l u d u jest pojęciem pozornym, jest nieprawomocnym uogólnieniem, bowiem każdy lud dzieli się na klasy, a nawet te klasy z biegiem czasu ulegają zmianom. Szukać wyższych pojęć o życiu u przedstawicieli klasy chłopskiej było zajęciem żałosnym, bezpłodnym, tylko bowiem proletariat jest bez reszty konsekwentny i rewolucyjny, do niego to należy przyszłość i tylko jego kolektywizm oraz bezinteresowność może stać się źródłem wyższych pojęć o życiu.

Ze swej strony, Sołogdin był wcale niemniej przekonany, że „lud” jest pojęciem określającym zbiór ludzi mało ciekawych, szarych, pospolitych, zajętych wyłącznie przyziemną krzątaniem koło spraw swego bytu codziennego. Kolos Ducha nie z ich liczebności bierze siłę. Jedyne samotne, wybitne jednostki, jak rozdzwonione gwiazdy rzucone na ciemny nieboskłon życia, promieniują owymi wyższymi pojęciami.

I obaj byli pewni, że Nierżyn przejdzie przez to, jak przez chorobę, że wydorosleje, że się opamięta.

---

1. Jeden z bohaterów wybitnej powieści satyrycznej z okresu NEP-u „Dwanaście krzesel” I. Ilfa i E. Pietrowa.

I rzeczywiście, Nierżyn wpadał już w najrozmaitsze skrajności i to na długo.

Cierpiąca za udręczonych braci rosyjska literatura zeszłego wieku wyryła w jego wyobraźni — podobnie jak to było ze wszystkimi jej oddanymi czytelnikami — wizerunek Ludu siwowłosego, łączącego w sobie mądrość, czystość moralną i wielkość duchową, wizerunek w srebrnej okładzinie i z aureolą.

Ale to wszystko było gdzieś osobno — na półkach bibliotecznych, czy gdzieś tam — we wsiach, na polach, na rozstajach dziewiętnastego wieku. Niebiosa zaś nad tym wszystkim były z wieku dwudziestego i gdy się rozwarły, okazało się, że dawno już tych wszystkich miejsc nie ma w Rosji.

Nie było zresztą już żadnej Rosji, tylko Związek Sowiecki i było w tym państwie duże miasto. W mieście owym żył młodzieniec imieniem Gleb. Z rogu obfitości nauk sływały na niego wszelkie dary, spostrzegł iż dana mu jest bystrość myśli, ale że są tacy, co potrafią myśleć jeszcze bystrzej i przewyższają go zasobami swojej wiedzy. I Lud dalej stał sobie na półce, a rzecz tak się rozumiała: liczą się tylko ci ludzie, którzy zawarli w swojej głowie skarby kultury światowej, encyklopedyści, znawcy starożytności, wielbiciele piękna, mężowie uczeni i różnorako uzdolnieni. I trzeba należeć do tych wybrańców! A komu szczęście nie dopisze, ten niech sobie płacze.

Ale zaczęła się wojna i Nierżyn trafił zrazu jako koniuch do taborów. Dławiąc się poczuciem krzywdy, nie umiając sobie poradzić, uganiał się na popasie za końmi, żeby je zapędzić krzykiem, albo skoczyć któremu na grzbiet. Nie potrafił jeździć konno, nie umiał zakładać uprzęży, nie umiał brać siana widłami i nawet gwóźdź pod jego młotkiem zawsze musiał się skrzywić, jakby ze śmiechu nad niezgrabiaszem. I czym przykrzejsze życie pędził Nierżyn, tym głośnie rżał nad nim cały niegolony, sypiący wyzwiskami, bezlitosny, bardzo nieprzyjemny Lud.

Później Nierżyn dochrapał się stopnia oficera artylerii. Znów odmłodził, nabrał pewności w ruchach, chodził obciśnięty pasem i wdzięcznie pomachiwał zerwaną witką, bo nic innego nie miał do dzwigania. Chwacko jeździł na stopniu pędzącej ciężarówki, kłął z tupetem na przeprawach, zawsze — choćby i po północy czy podczas ulewy — gotów był do marszu i prowadził za sobą posłuszny, oddany, sprawny i dlatego bardzo miły Lud. I ten jego własny, niewielki Lud słuchał zgodliwie pogadanek politycznych Nierżyna o tamtym wielkim Ludzie, co to piersią własną...

A później Nierżyn został aresztowany. Od razu w pierwszych więzieniach śledczych i etapowych, w pierwszych obozach,

które ogłuszyły go tępymi, morderczymi ciosami, przeraziła go ukryta istota niektórych „wybrańców”: tam, gdzie tylko wytrwałość, silna wola i wierność wobec przyjaciół stanowiły o prawdziwej pozycji więźnia i decydowały o losie jego towarzyszy — ci subtelni, wrażliwi, wykształceni wielbiciele piękna bardzo często okazywali się tchórzami, gotowymi do pośpiesznej kapitulacji, wprawnymi w wynajdywaniu usprawiedliwień dla własnej podłości; szybko potrafili przekształcać się w zdrajców, żebraków i obłudników. Nierżynomalże i samego siebie nie zobaczył takim samym jak tamci. Wtedy odwrócił się od tych, do których zaliczać się uważał za honor. Teraz zaczął nienawistnie wyśmiewać to, co niedawno wielbił. Teraz chciał jak najprędzej stać się kimś zwyczajnym, wytrzebić w sobie ostatnie ślady inteligentkiej uprzejmości i mięczakowatości. W okresie swoich czarnych kłesk, w lochach swojego kalekiego losu Nierżyn doszedł do wniosku, że cenni i warci uwagi są tylko ci ludzie, którzy własnymi rękoma rąbią drzewo, skrawają metale, orzą glebę i leją żelazo. Od ludzi pracujących w najzwyczajniejszy sposób Nierżyn starał się teraz nauczyć i tego, co umiały ich mądre, do wszystkiego sposobne ręce, i jeszcze ich filozofii życiowej. W ten sposób krąg zamknął się dla Nierżyna i doszedł on do przekonania modnego w ubiegłym wieku, że trzeba iść w lud, zstąpić ku niemu ze swoich wyżyn.

Ale za tym zamkniętym kręgiem ciągnął się jeszcze ogonek spirali — dla naszych dziadów niepojętej. Inaczej niż tamci, wykształceni panicze z dziewiętnastego wieku — wykształcony zek Nierżyn nie musiał po to aby iść w lud, przebierać się i szukać stopą szczebelków drabiny: całkiem po prostu szurnięto go w ten lud, w dziurawych, watowanych portkach, w zasmolonym waciaku — i kazano wypełniać normę. Los zwyczajnych ludzi Nierżyn dzielił nie jako pobłażliwy, zawsze czymś się różniący i dlatego obcy, pan — lecz jako jeden z wielu, niczym się nie różniący, równy wśród równych.

I nie po to, aby bardziej upodobnić się do chłopów, tylko po to, żeby zdobyć swoją codzienną kromkę mokrego chleba, musiał Nierżyn nauczyć się wbijać prosto gwoździe i przycinać deski tak, żeby pasowały. I po tej okrutnej, łagrowej nauce pozbył się jeszcze jednego złudzenia. Zrozumiał, że zstępować dalej nie miał po co ani do kogo. Okazało się, że Lud nie miał nad nim żadnej przedwiecznej, siermiężnej przewagi. Razem z tymi ludźmi siadając w śniegu na rozkaz konwojenta i razem chowając się przed dziesiątnikiem w ciemnych zakamarkach budowy, razem dźwigając nosze z cementem na mrozie i susząc onuce w baraku — Nierżyn zobaczył z całą jasnością,



że ci ludzie wcale nad nim nie górują. Nie bardziej wytrwale niż on znosili głód i pragnienie. Z nie większą siłą ducha stawali przed kamiennym murem dziesięcioletniego wyroku. Nie byli ani bardziej przewidujący ani bardziej obrotni w ciężkich chwilach etapów i rewizji. Byli za to bardziej ślepi i ufni w stosunku do kapusiów. Łatwiej szli na lep ordynarnych matactw zwierzchności. Wyczekiwali amnestii, na którą Stalinowi trudniej było się zgodzić, niż na własną śmierć. Jeżeli jakiś łagrowy dzierzymorda uśmiechnął się — bo był w lepszym nastroju — prześcigali się, żeby odpowiedzieć uśmiechem na ten uśmiech. Nadto byli o wiele bardziej łasi na byle drobnostki: na „dodatkowe” sto gramów skisłej kaszy, pokraczne, łagrowe portki, byle trochę nowsze albo kolorowe.

Większości z nich brak było tego własnego punktu widzenia, który staje się dla człowieka droższy, niż życie.

Co mu zostało? Być sobą.

Po raz nie wiadomo który odchorowawszy swoją kolejną pasję, Nierzyn — czy aby raz na zawsze? — zaczął pojmować Lud w inny jeszcze sposób, o jakim nigdzie nie czytał: Lud — to nie wszyscy mówiący naszym językiem, ale też nie wybrańcy, naznaczeni ognistym piętnem geniuszu. Nie urodzenie, nie dzieła rąk własnych i nie skrzydła wykształcenia rozstrzygają, czy ktoś staje się członkiem ludu.

Tylko — dusza.

Duszę zaś każdy sam sobie wykuwa, rok po roku.

Trzeba się starać tak zahartować, tak wyszlifować duszę, żeby się stać człowiekiem.

A przez to dopiero — częstką swojego ludu.

## LXII

### S P I R Y D O N

Rudego, krągłogłowego Spirydona, z twarzy którego (jeśli nie znało się go dobrze) nie można było w żaden sposób wy-  
czytać, czy kpi, czy komu świadczy, Nierżyn chciał sobie zjed-  
nać zaraz po jego przybyciu do *szaraszki*. Chociaż byli tu inni  
cieśle, ślusarze, tokarze, ale Spirydon tak zdecydowanie różnił  
się od nich czymś swoistym, że nie mogło być wątpliwości, iż  
właśnie on jest tym przedstawicielem Ludu, od którego należało  
przejmować.

Jednak Nierżyn natrafił na trudności: nie mógł znaleźć pre-  
tekstu, aby zbliżyć się do Spirydona, nie miał jeszcze o czym  
z nim mówić, nie spotykali się przy pracy a mieszkali też  
osobno. Nieduża grupa robociarzy mieszkała w osobnej izbie,  
wypoczywała też na osobności i kiedy Nierżyn zaczął odwiedzać  
Spirydona — Spirydon, a także jego sąsiedzi doszli do zgod-  
nego wniosku, że Nierżyn — *świruje* i szuka żeru dla  
kuma.

Chociaż sam Spirydon uważał się za ostatniego z więźniów  
*szaraszki* i chociaż nie można było sobie wyobrazić po co by  
oper miał go *obstawiać* jednak wiadomo było, że nie  
brzydzą się oni żadną *padliną* i dlatego warto było mieć się  
na baczności. Przy wejściu Nierżyna do izby Spirydon udawał,  
że promienieje, prosił siadać na pryczy i z głupawą miną zaczy-  
nał opowiadać coś, co miało się do polityki jak piernik do  
wiatraka: jak ryby można łowić ościeniem podczas tarła, jak  
na cichych rozlewiskach dają się brać pod skrzela rohatynką  
z łoziny, albo łapać na podrywkę; jak to on sam chodził „na  
łosia, na rudego miszkę” (a znów czarnego niedźwiedzia z bia-  
łym krawatem to już lepiej się strzec!); jak trawa miodunka  
źmije precz odgania, a znowu trawa ostnica bardzo łatwa do

koszenia. Miał jeszcze długie opowiadanie, jak to w dwudziestych latach zalecał się do swojej Marfy Ustinowny, kiedy grała w kółku dramatycznym, w wiejskim klubie; raili jej jednego bogatego młynarza, ale ona ze samej miłości dogadała się ze Spiryonem, że z nim ucieknie — i na święty Piotr pożenili się ukradkiem i już było po wszystkim.

Nieruchawe, chore oczy Spirydona dodawały przy tym od siebie spod gęstych, rudawych brwi: „no i co tu łazisz, wilcze nasienie? Nic się nie dowiesz, widzisz przecie”.

Rzeczywiście, każdy kapuś dawno już by zrezygnował i odczepił się od nieustępliwej ofiary. Nikomu by cierpliwości nie starczyło, żeby chodzić do Spirydona w każdy niedzielny wieczór i wysłuchiwać jego myśliwskich wynurzeń. Ale Nierzyn, z początku odwiedzający Spirydona z pewnym skrępowaniem, właśnie Nierzyn, pragnący zachłannie tu, w więzieniu, uporządkować sobie w głowie wszystko, czego nie zdążył na wolności — nie dał się zrazić choć mijał miesiąc po miesiącu i nie tylko nie sprzykrzył sobie opowiadań Spirydona, ale czuł, że go orzeźwiają, że tchną wilgocią wschodów nadrzecznych, świeżością polnych wiatrów; przenosiły go też w ten okres, jedyny w dziejach Rosji — w siedmioletni okres NEP-u, który nie miał sobie równego ani podobnego na rosyjskiej wsi — od pierwszych karczowisk w dziewiczej puszczy, jeszcze przed Rurykiem, aż do ostatniej komasacji kołchozów w wielkie jednostki. W czasie tego siedmioletnia Nierzyn był jeszcze dzieciakiem i bardzo żałował, że nie urodził się wcześniej.

Wysłuchując się w ciepły, schrypnięty głos Spirydona, Nierzyn nigdy, żadnym chytrym pytaniem nie próbował przeskoczyć na teren polityki. I Spiryon stopniowo zaczął nabierać ufności, sam się nieznacznie wciągał w swoje opowiadania o dawnych czasach, napięcie stałej czujności zluźniło się, głębokie bruzdy na czole zaczęły się wygładzać, czerwona twarz zaczęła jaśnieć spokojem.

Jedynie nadwątłony wzrok przeszkadzał Spiryonowi czytać książki w *szaraszce*. Starając się przystosować do Nierzyna, wtrącał czasami (najczęściej — nie w porę) takie słowa, jak „pryncypialne”, „piriod” i „analogicznie”. W czasie gdy Marfa Ustinowna grywała w wiejskim kółku dramatycznym, słyszał te słowa ze sceny, a także zapamiętał nazwisko Jesienina.

— Jesienin? — Nierzyn był zaskoczony. — Ale fajnie! Mam go tutaj w *szaraszce*, a to teraz rzadkość.

I przyniósł malutką książeczkę w obwolucie osypanej jesiennymi klonowymi liśćmi, jak z wycinanki. Był ciekaw, czy

zdarzy się teraz cud — czy półpiśmienny Spirydon zrozumie i doceni Jesienina.

Żaden cud nie nastąpił. Spirydon nie pamiętał ani linijki z tego, co kiedyś usłyszał, ale odniósł się z uznaniem do „Bardzo piękna była Tania” i do „Młócki”.

A po jeszcze dwóch dniach major Szykin wezwał Nierżyna i kazał oddać Jesienina do cenzury. Kto doniósł, tego Nierżyn się nie dowiedział. Ale doznawszy szykan od kuma i straciwszy Jesienina trochę jakby przez Spirydona, Gleb ostatecznie zyskał jego zaufanie. Spirydon zaczął mówić mu „ty” i swoje rozmowy toczyli teraz nie w izbie, tylko w niszy pod schodami więziennymi, gdzie nikt ich nie słyszał.

Od tej chwili, w ciągu ostatnich pięciu-sześciu niedziel, opowieści Spirydona nabrały dawno oczekiwanej głębi. Wieczór po wieczorze przesuwano się przed Nierżynem życie jednego, jedynego ziarnka piasku — rosyjskiego chłopca, który w roku rewolucji miał siedemnaście lat i przekroczył już czterdziestkę, gdy zaczynała się wojna z Hitlerem.

Jakież wodospady zwały się na niego! Jakie fale przetaczały i starały się zetrzeć rudy łeb Spirydona! Mając czternaście lat musiał zostać gospodarzem (ojca wzięto na niemiecki front, tam zginął) i wyszedł ze starymi do koszenia („przez pół dnia jużem się kosić nauczył”). Mając lat szesnaście pracował w szklanej hucie i chodził na wiece pod czerwonym sztandarem. Jak ziemię dano chłopom — wrócił na wieś i wziął, co mu przydzielono. W roku tym on z matką, z małymi braćmi i z siostrami dobrze się natrudzili i na Zwiastowanie już mieli ziarno w sąsięku. Tyle, że po Godach zaczęto to ziarno mocno doić z miasta — żeby oddać i oddać. A po Wielkiej Nocy — rocznik Spirydona, który skończył już osiemnaście lat, zaczął dziewiętnasty — zabrali do Czerwonej Armii. Iść do wojska i zostawiać ziemię na łasce boskiej było głupio, więc Spirydon razem z innymi chłopakami poszedł do lasu i tam byli sobie za zielonych („daj nam spokój, to i tobie spokój damy”). Potem w lesie też zrobiło się ciasnawo i tak jakoś trafili do białych (biali wpadli w ich strony na krótko). Biali wciąż chcieli się dowiedzieć, czy nie ma wśród nich komisarza; nie mieli komisarza, ich prowodyra biali rąbnęli na postrach, pozostałym kazali nałożyć na czapki trój kolorowe kokardy i wydali karabiny. A w ogóle to porządek u białych był przedwojenny, jak za cara. Powojowali kapkę za białych — aż tu wzięli ich do niewoli czerwoni. (Zresztą nie bronili się tak bardzo, sami poszli). Czerwoni oficerów rozstrzelali, a żołnierzom kazali zdjąć z czapek kokardy i nałożyć czerwone wstęgi. I Spirydon utrzymał się

u czerwonych aż do końca wojny domowej. Na Polskę też maszerował, a po polskiej wojnie armię ich przechrzcili na armię pracy, nijak do domu nie chcieli puścić, a jeszcze później, na Popielec, zawieźli ich do Pitra i w pierwszy tydzień postu chodzili prosto przez morze, po lodzie, jakisś fort kazano im brać<sup>1</sup>. Ale już potem Spirydon wyrwał się do domu.

Wrócił na wieś wiosną i od razu zabrał się do tej kochanej, odwojowanej roli. Wrócił z wojny nie taki, jak inni, nie rozruszczony, nie jak byle wietrznik. Szybko stanął na nogi („Jak gospodarz dobry — to przez dziedziniec idąc, też rubla znajdzie”), ożenił się, konia sobie sprawił...

Chociaż władza opierała się na biedocie, ale w tych czasach ludzie woleli nie biednieć, tylko bogacić się i biedota, taka jak Spirydon, też tylko o tym myślała, żeby przecie czegoś się dochrapać — ma się wiedzieć, ci co się roboty nie bali. I puścili wtedy w świat takie słówko *intensywnik*. Słowem tym nazywano takich, co chcą gospodarować dobrze, ale bez parobków (z parobkami — to rozumu nie potrzeba) tylko naukowym sposobem, ze smykałką. I wtedy też stał się Spirydon Jegorow z żoniną pomocą właśnie takim intensywnikiem.

„Kto się dobrze ożeni, ma pół życia w kieszeni” — zawsze powtarzał Spirydon. Marfa Ustinowna była największym szczęściem i największym sukcesem w jego życiu. Dzięki niej Spirydon nie pił i unikał jałowych zbiegowisk. Co rok rodziła mu dzieci, dwóch synów, później córkę — ale ich pojawienie się nawet na piędź nie oderwało jej od męża. Ciągnęła jakby w jednym zaprzęgu — żeby się tylko zagospodarować! Była piśmienna, czytała pismo „Domowy Agronom” — i w ten sposób Spirydon został intensywnikiem.

Intensywników starano się zachęcić, dawano im pożyczki, ziarno siewne. Powodziło im się, pieniądz lgnął do pieniędzy, zamierzali już nawet z Marfą wybudować dom z cegieł, ani wiedząc, że ich dobrobyt zaraz się skończy. Spirydon był szanowany, zapraszano go do stołów przydialnych, bo też — i bohater wojny domowej, i członek partii.

I właśnie wtedy spaliło im się wszystko — ledwie dzieci zdążyli z ognia wynieść. I stali się teraz golcami, byli niczym.

Ale czasu nie stało na biadanie. Ledwie pogorzelnicy zaczęli wygrzebywać się ze swojej niedoli — przyszło z dalekiej Moskwy rozporządzenie o rozkułaceniu. I wszystkich tych intensywników, co ich bez umiaru namnożono — teraz bez żadnego

---

1. Mowa o powstaniu marynarzy w Kronsztacie w marcu 1921, stłumionym krwawo podczas dziesiątego kongresu RKP.

umiaru przechrzczono na kułaków i doprowadzono do zguby. Marfa ze Spirydonem musieli się cieszyć, że nie zdążyli wybudować sobie domu z cegieł.

Drugi już raz los zadawał im zagadki i bieda obracała się w zysk.

Zamiast żeby pod konwojem GPU jechać na pewną śmierć do tundry — Spirydon Jegorow sam został wyznaczony „komisarzem do spraw kolektywizacji” miał pchać ludzi do kołchozów. Zaczął na postrach nosić rewolwer u pasa, sam wyganiał ludzi z domów i odsyłał pod strażą milicjantów — z pustymi rękoma, bez dobytku, kułaków i niekułaków, kogo tam wyznaczono podług spisu.

Jak na tym, tak i na innych zakrętach swojej drogi życiowej Spirydon nie dawał się rozgryźć tak od razu, nie był łatwym obiektem analizy klasowej. Nierzyn nie robił mu teraz wyrzutów, nie jątrzył go, ale mógł się domyślać, że ciężko było wtedy Spirydonowi na duszy. Zaczął pić i to tak, jakby cała wieś dawniej do niego należała, i jakby ją teraz przepuszczał. Przyjął urząd komisarSKI, ale rządził źle. Nie widział, że chłopci wyrzynają bydło, że przychodzą do kołchozu bez żywego rogu i kopyta.

Za to wszystko Spirydona przepędzono z komisarSKiego stolca, ale tego było im mało, zaraz kazanó mu skrzyżować ręce na plecach i dwaj milicjanci z naganami w ręku, jeden z przodu, drugi z tyłu, odprowadzili go do więzienia. Pod sąd poszedł szybko („u nas przez cały ten piriód wszystkich bardzo pędko sądzą”), dostał dziesięć lat za „kontrewolucję gospodarczą” i zesłano go do kopania Kanału Białomorskiego, a kiedy ten Białomorkanał został skończony — to go przerzuciono na kanał Moskwa-Wołga. Przy kopaniu kanałów Spirydon pracował już to jako robotnik ziemny, już to jako cieśla, p a j k ę dostawał dużą i tylko turbował się o Marfę, która została z trojgiem dzieci.

Później sprawę Spirydona rozpatrzone na nowo. Gospodarczą kontrewolucję zmieniono mu na „nadużycie” i przez to z obcego socjalnie elementu przeszedł on do elementów socjalnie bliskich. Wezwali go i oznajmili, że teraz można mu powierzyć karabin samoochrony. I chociaż wczoraj dopiero Spirydon, jako porządny zek, wyzywał konwojentów od ostatnich, a członków samoochrony — jeszcze gorzej, to dziś przyjął ten wręczony mu karabin i zabrał się do konwojowania swoich wczorajszych towarzyszy, ponieważ to zmniejszało termin jego kary i pozwalało posyłać czterdzieści rubli miesięcznie do domu.



Wkrótce naczelnik łagru, który miał dwa romby na kołnierzu, złożył mu gratulacje z powodu zwolnienia. Spirydon wymeldował się — nie z powrotem do kołchozu, tylko na fabrykę, zabrał Marfę z dziećmi i wkrótce już jego nazwisko znalazło się na honorowej tablicy najlepszych dmuchaczy szkła. Starał się o nadgodziny, żeby odkuć się za wszystko co stracił od samego pożaru. Już myśleli o małej chatce z ogródkiem i czego by tu uczyć dzieci. Dzieci miały piętnaście, czternaście i trzynaście lat kiedy zaczęła się wojna. Front bardzo szybko zbliżył się do ich osady.

Na każdym takim zakręcie losu, Nierzyn pilnie teraz wypatrywał, co jeszcze nowego zmaluje ten Spirydon. Spodziewał się już, że zostanie żeby doczekać się Niemców, bo miał przecież żal o te obozy. Ale nie! Spirydon zachowywał się z początku, jakby wyszedł z najlepszej patriotycznej powieści; co miał majątku — to zakopał w ziemi, a jak tylko fabryczne maszyny odesłano pociągami, a robotnikom rozdano wozy — posadził na taką furę troje dzieci i żonę i — „nie moje konie, nie mój wóz, co tam, byle by mnie wiozł!” — od Poczepu cofał się aż do samej Kaługi, jak wiele tysięcy innych.

Ale pod Kaługą coś trzasło, coś się załamało, potok uchodźców jakoś się rozbił, już ich były nie tysiące, tylko setki, zresztą mężczyźni spodziewali się, że w pierwszej z brzegu komendzie uzupełnień wezmą ich do wojska, a rodzinom każą jechać dalej.

I wtedy ledwie się tylko okazało, że będzie musiał teraz rozstać się z rodziną, Spirydon, jakby zupełnie nie mając wątpliwości co do słuszności swoich poczynań — skręcił w stronę lasu, przeczekał, aż się front przetoczy i na tej samej furze z tym samym koniem, zawiózł rodzinę z powrotem, od Kaługi do Poczepu. Wrócił do swojej rodzinnej wsi i zamieszkał w czyjejs pustej chacie. I wtedy im powiedzieli: z ziemi, co należała do kołchozu, każdy może brać ile zdoła obrobić — i niech obrabia. I Spirydon wziął i zabrał się do orki i zasiewów bez żadnych wyrzutów sumienia, nie bardzo tam przejmując się komunikatami wojennymi, pracując starannie i z zapałem, jakby to były jeszcze dawne lata, kiedy nie było ani kołchozów, ani wojny.

Przychodzili do niego partyzanci, powiadali — chodź Spirydon, teraz trzeba walczyć, a nie orać. — Ktoś musi orać — odpowiadał Spirydon. I nie dał się ruszyć z ziemi.

Wtedy partyzanci umyślili zabić niemieckiego motocyklistę i to nie za opłotkami, tylko pośrodku ich wsi. Partyzanci znali niemieckie porządki. Niemcy zaraz przyjechali, wszystkich wypędzili z domów i spalili całą wieś do fundamentów.

I znowu Spirydon nie miał żadnych wahań co do tego, że przyszedł czas aby porachować się z Niemcami. Odwiózł Marfę z dziećmi do teściowej i bez chwili zwłoki poszedł do lasu, do tych samych partyzantów. Dano mu automat, granaty i Spirydon sumiennie, z pojęciem, tak jak pracował w fabryce, albo u siebie na roli — strzelał niemieckich wartowników przy torach, odbijał transporty, pomagał wysadzać mostki a w święta chodził do rodziny. I wychodziło na to, że jednak — jest z rodziną.

Ale front wracał. Spirydon miał nawet obiecane, że dostanie partyzancki medal, jak nasi przyjdą. I powiedziane też było, że ich teraz przyjmą do sowieckiej armii, koniec ich leśnego życia.

Ale z tej wsi, gdzie Marfa teraz mieszkała, Niemcy wysiedlili wszystkich, chłopak przybiegł z tą nowiną.

I w jednej chwili, nie czekając na powrót naszych, na nic już więcej nie czekając, nic nikomu nie mówiąc, Spirydon zostawił automat i dwa bębny do niego i popędził za swoją rodziną. Zmieszał się z potokiem wysiedlonych jako cywil i znowu obok tej samej fury, smagając tego samego konika, posłuszny oczywistej dla niego racji tego nowego postanowienia — ruszył dobrym krokiem zatłoczoną szosą od Poczepu na Słuck.

Tu Nierzyn wziął się tylko za głowę, kołyszając ją na boki. Przestał już cokolwiek rozumieć. Ale jako że nie miał Spirydona wychowywać, tylko chodziło mu o eksperyment społeczny — więc dalej go nie szarpał, tylko pytał:

— No i co dalej, Daniłycz?

Co dalej! Mógł, ma się rozumieć, znowu skrócić do lasu i już nawet raz skrócić ale niedobre miał spotkanie z bandytami, ledwie uratował przed nimi córkę. Więc dalej ruszył z ludzką falą. A już potem przyszło mu na myśl, że nasi mu nie uwierzą, tak czy owak sobie przypomną, że do partyzantów poszedł nie od razu, że uciekł od nich, zresztą siedem grzechów, jeden sąd — więc dojechał do Słucka. A tam podstawiali wagony i dawali talony na wyżywienie aż do Reńskiego okręgu. Z początku rozeszła się taka plotka, że z dziećmi nie będą zabierać i Spirydon już się rozglądał, jakby tu zawrócić. Ale wszystkich zabrali, oddał więc za byle co furę z koniem i wyjechał. Pod Moguncją skierowali go z chłopcami do fabryki, a Marfę z córką posłali do roboty do bauera.

I w tej właśnie fabryce pewnego dnia niemiecki majster uderzył synka Spirydona, tego młodszego. Spirydon niewiele myśląc rzucił się z toporem na majstra. Wedle praw niemieckiej Rzeszy — już mówmy tylko o prawach — za samo takie pod-

niesienie topora, należało Sipyrydona rozstrzelać. Ale majster się opanował, sam podszedł do buntownika i powiedział, jak to teraz powtarzał Sipyrydon:

— Ja sam — fater. Ja cie ferszteje, rozumiem.

I nie zameldował wyżej! A wkrótce Sipyrydon dowiedział się, że tego samego ranka majster dostał wiadomość o śmierci syna w Rosji.

Zahartowany, dobrze nieraz bity, Sipyrydon wspominał tego reńskiego majstra i ocierał łzę rękawem bez żadnego wstydu:

— Po tym to już nie mam przeciw Niemcom zajadłości. Że chatę spalili, i że tyle zła — ale to wszystko ten fater przeważył. Przecież jednak wzięto człowieka! — no i masz Niemca...

Ale to był jeden z tych rzadkich, bardzo rzadkich momentów wahań co do własnej słuszności w duszy rudego, upartego chłopca. W ciągu wszystkich tych ciężkich lat, podczas których tak okrutnie szedł na dno i wynurzał się znowu, żadne tam wątpliwości nie odbierały Sipyrydonowi sił w decydujących chwilach. W ten sposób codzienna praktyka Sipyrydona zaprzeczała najlepszym stronicom Montaigne'a i Charrona.

Nie bacząc na straszliwą ignorancję Sipyrydona Jegorowa i brak zdolności do pojmovania wyższych emanacji ludzkiego ducha i społeczeństwa — jego działania i decyzje cechowała zawsze dobrze wyważona trzeźwość. I skoro wiedział, że wszystkie wioskowe psy zostały wystrzelane przez Niemców, to chociaż nie miał na to ogólnego poglądu, a tylko tyle zrozumiał, co sam zobaczył, jednak odrąbany krowi łeb kładł spokojnie w śnieg, czego by nigdy nie zrobił w innych warunkach. I chociaż nigdy, rzecz jasna, nie uczył się on ani geografii, ani języka niemieckiego, to przecież — kiedy bardzo ciężko im już było ze starszym synem przy budowie okopów w Alzacji (jeszcze Amerykanie szyli do nich z samolotów) — uciekł z synem i nikogo nie pytając, ani nie czytając niemieckich drogowskazów, za dnia chowając się gdzieś, idąc tylko nocą, przez nieznanomy kraj, na przelaj, jakby wronim lotem przebył dziewięćdziesiąt kilometrów i dom w dom trafił do tego bauera spod Mogucji, u którego pracowała żona. Tam doczekali się w bunkrze, w ogrodzie, przybycia Amerykanów.

Żadne z wiecznych i przeklętych pytań o kryteria prawdziwości wrażeń zmysłowych, o wzajemną zgodność naszego poznania z cechami poznawanego przedmiotu — nie odbierało spokoju Sipyrydonowi. Był przekonany, że widzi, słyszy, chwytą węchem i rozumie wszystko — nieomylnie.

Tak samo w dziedzinie nauk moralnych wszystko u Spirydona było dopasowane do siebie bez żadnych tarć. Nikogo nie obmawiał. Nigdy nie świadczył fałszywie przeciw nikomu. Kłął i złorzeczył tylko, kiedy musiał. Zabijał tylko na wojnie. Bił się tylko o narzeczoną. Nie mógł nikomu ukraść choćby szmatki, choćby kruszyny. A że opowiadał jak to przed ślubem „używał sobie z babami” — to przecież również pan naszych rojeń, Aleksander Puszkin przyznawał się, że przykazanie „nie będziesz pożądał żony bliźniego swego” wydaje mu się wyjątkowo trudne do wypełnienia.

I teraz, pięćdziesięcioletni, zamknięty w więzieniu, prawie ślepy, skazany chyba na to aby tu, za kratami, umrzeć — Spirydon nie wykazywał żadnej tendencji do świętości, albo do melancholii, albo do skruchy, ani tym bardziej do poprawy (jak to się nazywało w nomenklaturze łagrów) — tylko ze swoją pracowitą miotłą w ręku codziennie od świtu do nocy zamiatał podworec i w ten sposób bronił swego życia przed administratorem i pełnomocnikiem operacyjnym.

Tym, co Spirydon kochał — była ziemia.

Tym, co miał swojego — była rodzina.

Pojęcia „ojczyzna”, „religia” i „socjalizm”, których nie używało się w zwykłych, codziennych rozmowach, zdawały się być Spirydonowi zupełnie nieznane — uszy miał jakby niedrożne dla tych słów, a język jakby mu się nie nagiął, żeby je wymówić.

Jego ojczyzną była — rodzina.

Jego religią była — rodzina.

I socjalizm też dla niego mieścił się w pojęciu rodziny.

I wszystkim carom, przewodniczącym, popom i siewcom tego-co-rozumne-dobre-i-wieczne, pisarzom i mówcom, pismakom i krzykaczom, prokuratorom i sędziom, którzy w ciągu tych wszystkich lat wtrącali się do życia Spirydona proponował on — z musu nie mówiąc tego głośno, ale za to z pasją:

— A może byście tak poszli do jasnej i ciężkiej?...

## LXIII

### KRYTERIUM SPIRYDONA

Nad ich głowami stopnie drewnianych schodów huczały i poskrzypywały od stapań i szurgotu. Czasami sypał się z góry miałki kurz i kruszyny brudu, ale ani Spirydon, ani Nierzyn prawie na to nie zwracali uwagi.

Siedzieli na dawno nie sprzątej podłodze w swoich wybrudzonych, znoszonych, ze stwardniałymi już tyłkami, granatowych kombinezonach spadochroniarskich i obejmowali kolana rękoma. Siedzieć tak, nie mając nawet polan na podpórkę nie bardzo było im wygodnie, trochę ciągnęło do tyłu, dlatego ramionami i grzbietami starali się znaleźć oparcie w ukośnie biegnących listwach przybitych od spodu do schodów. Patrzyli przed siebie, ale widzieli tylko oblażłą, boczną ścianę klozetu.

Nierzyn, jak zwykle kiedy trzeba było w coś się wgłębić, lepiej pojąć — dużo palił i porozgniatane niedopałki układał rządkiem obok nadgniętego gzymsu od którego w górę aż do schodów ciągnął się trójkąt brudnej ściany z odbitym tynkiem. Spirydon zaś, chociaż dostawał jak i wszyscy papierosy „Biełomorkanał”, przypominające mu jeszcze raz rysunkiem na pudełku zatraconą robotę w zatraconym kraju, gdzie o mało nie posiadał własnych kości — stanowczo wymawiał się od palenia, ściśle stosując się do zakazu niemieckich lekarzy, co przywrócili mu trzy dziesiąte wzroku w jednym oku, co zwrócili mu światło dzienne.

Spirydon zachowywał wdzięczność i szacunek dla tych niemieckich lekarzy. Kiedy już byś ślepy bez żadnych nadziei, wtykali mu oni długą igłę między kręgi, długo kazali nosić opatrunki z maścią na oczach, potem zdjęli te opatrunki w półciemnym pokoju i rozkazali — „patrz!” I świat znów wyłonił się z ciemności! Przy świetle małej lampy nocnej, która wydawała

się Spirydonowi jaskrawsza od słońca, rozróżnił jednym okiem ciemny zarys głowy swojego zbawcy, pochylił się i pocałował go w rękę.

Nierzyn wyobraził sobie skupioną zwykle, a w tym momencie złagodniałą nagle twarz reńskiego doktora. Tak, wydał mu się chyba rudym barbarzyńcą ze wschodnich stepów ten człowiek, któremu zdjął właśnie opatrunki. Jego ciepły głos, jego pełna uniesienia wdzięczność tak bardzo kontrastowały z barbarzyńskim postępkiem, który go sprowadził do szpitala.

Było to już po wojnie. Spirydon z całą rodziną mieszkał w amerykańskim obozie dla wysiedleńców. I spotkał jednego kumotra z tej samej wsi, którego Spirydon nazywał „kum-suczka” za jakieś tam wyczyny przy zakładaniu kołchozu. Z tym kumotrem-suczka razem jechali niegdyś do Słucka, w Niemczech zaś ich rozdzielono. Ale teraz trzeba było oblać jakoś szczęśliwe spotkanie, a że nic innego nie było pod ręką, więc przyniósł ten krajan butelkę spirytusu. Nikt tego spirytusu nie próbował i niemieckiego napisu nikt nie przeczytał, ale napój miał tę zaletę, że był bezpłatny. Cóż, ostrożny, nieufny, wyratowany z takich opałów Spirydon też przecież nie był wolny od rosyjskiego „jakoś to będzie” — dobra, odbijaj flachę, kumotrze! Wydułił Spirydon pełną szklanę, a resztę wypił kum-suczka duszkiem. Dobrze chociaż, że nie było przy tym synów, bo też by dostali po kieliszku. Zbudziwszy się po południu, Spirydon przestraszył się, że tak wcześnie zrobiło się ciemno w pokoju, wyjrzał przez okno, ale tam też niewiele światła zobaczył i długo nie mógł zrozumieć, dlaczego wartownik pod amerykańskim sztabem po drugiej stronie ulicy nie ma górnej połowy ciała, a dolną ma. Chciał jeszcze ukryć nieszczęście przed Marfą, ale pod wieczór całun zupełnej ślepoty zasłonił również dolną część pola widzenia.

A kumowi-suczce się zmarło.

Po pierwszej operacji okuliści powiedzieli: trzeba rok przeżyć w zupełnym spokoju. — Później zrobią ci jeszcze jedną operację; na lewe oko będziesz widział jak dawniej, a na prawe pół na pół. Obiecali to zupełnie poważnie i lepiej było zaczekać — ale rodzina Spirydona zdecydowała się na powrót.

Nierzyn spojrział na Spirydona z uwagą.

— Daniłycz, ale tak w ogóle to rozumiałeś, co cię tu czeka?

Wszystko dookoła oczu Spirydona — i powieki, i skronie, i policzki pokryło się drobnymi zmarszczkami. Uśmiechnął się.

— Ja?... Ja, Glebie, pewien byłem, że pójde do paki. To prawda, w naszych ulotkach stało napisane tyle, że trudno zliczyć: i że wszystko będzie wybaczone, i że bracia z siostrami



czekają, że dzwony już biją, i że kołchozów tak, jakby miało wcale nie być z musu, jedno dla tych, co zechcą. Tylko buty zzuwać i na bosaka lecieć... Ale tym ulotkom tom wcale nie wierzył i wiedziałem, że przed ciupą się nie uchronię.

Krótkie, szorstkie jego wąsy, rude z siwizną, drgały, kiedy to wspominał.

— Od razu powiedziałem do Marfy Ustinowny: dziewczucho, całe jezioro ci obiecują, a czy pozwolą chociaż z kałuży siorbnąć?... A ona mnie tylko tak lekko po łbie poklepała i powiada: chłopcze, żebyś tylko znowu miał swoje oczki, to resztę już się zobaczy. Poczekajmy do drugiej operacji. Ale u wszystkich trojga dzieci raptem jakby się zapaliło: tatusiu! mamusiu! a do domu! a do kraju! Co tu czekać na operację, czy to u nas w Rosji mało doktorów? toć rozbiliśmy Niemców, a kto rannych leczy? chcemy skończyć rosyjską szkołę!... Ten starszy to już tylko dwa lata miał do ukończenia. A córeczka, Wiera, omal oczu nie wypłacze — co wy chcecie, żebyśmy ja za Niemca wyszła? Wciąż się dziewczuszyńnie wydaje, że tego najważniejszego narzeczonego przegapi... A ja w łeb się drapię, ech, dzieci-dzieci, doktorów to w Rosji dosyć, tylko czy aby trafimy do tych doktorów, co trzeba?... Alem sobie myślał, że ostatecznie całą winę na mnie jednego da się zwalić, bo też co tu dzieci winne? Mnie tam więzienie pisane, ale dzieci — niechta sobie żyją.

I pojechali. Na stacji granicznej mężczyźni zostali od razu oddzieleni od kobiet i wieźli już ich dalej osobno. Rodzina Jegorowów, która przez całą wojnę trzymała się razem, teraz została rozproszona. Nikogo nie pytano, czy z Briąńska rodem, czy spod Saratowa. Żonę z córką bez żadnego sądu zesłali do permskiego obwodu, gdzie córka pracuje teraz w gospodarstwie leśnym przy pile mechanicznej. Spirydona zaś i obu jego synów posłali za druty, oddali pod sąd, i za zdradę Ojczyzny wlepili wszystkim trzem po dziesięć roku. Z młodszym synem Spirydon trafił razem do solikamskiego łagru i mógł się nim jeszcze chociaż przez dwa lata opiekować. Drugiego syna cisnęli gdzieś aż za Kołymę.

Taki był dom. Taką szkołę miały dzieci. Takiego narzeczonego — córka.

Przez przeżycia podczas śledztwa, a później przez obozowe niedojadanie (oddawał jeszcze codziennie synkowi pół swojej p a j k i) oczy Spirydona nie tylko nie odzyskały zdrowia, ale ostatnie, lewe, też już gasło. Wśród tej wilczej szarpaniny w jakimś głuchym, leśnym pod-obozie prosić lekarzy, żeby ratowali mu wzrok — znaczyło prawie tyle, co modlić się o wniebowstąpienie za życia. Nie tylko leczyć wzrok Spirydona, ale nawet

zastanowić się, gdzie by można było to zrobić — było ponad siły szarego, łagrowego szpitalika.

Sciskając głowę rękoma, Nierzyn starał się zgłębić zagadkę swego przyjaciela. Nie z góry i nie z dołu patrzył teraz na tego chłopca, którego los przycisnął do muru — tylko ramieniem dotykając ramienia i zaglądając prosto w oczy. Wszystkie ich rozmowy już od dawna i to z coraz większą siłą skłaniały Nierzyna do pewnego pytania. Całe życie Spiryдона prowokowało to pytanie. I dziś chyba nadszedł czas, aby je zadać.

Zawiła droga życiowa Spiryдона, jego ciągłe wędrówki z jednej strony frontu na drugą — czy to nie było czymś więcej niż zwykłym przejawem instynktu samozachowawczego? Czy nie zbiegło się to jakoś z tołstojowskim twierdzeniem, że nie ma na świecie ani winnych, ani niewinnych?... Czy nie przejawiała się w tych prawie instynktownych postępkach rudego chłopca — wszechobejmująca filozofia sceptycyzmu?...

Eksperyment socjalny, zaplanowany przez Nierzyna mógł dać dziś — tu, pod schodami — zupełnie nieoczekiwane i wspaniałe wyniki!

— Frasuję się, Glebie — mówił tymczasem Spirydon i zrogowaciała, stwardniała dłońią przeciągnął po twarzy, jakby chciał siłą zedrzyć skórę z policzka — już cztery miesiące przecież nie miałem listów z domu, co powiesz?

— Toż mówiłeś, że list jest u Gada?

Spirydon spojrział z wyrzutem (oczy miał przygaszone, ale nigdy nie wydawały się szkliste, jak u ślepych od urodzenia i dlatego ich wyraz był zrozumiały):

— Po czterech miesiącach czekania? Co wszystko może być w takim liście?

— Jak jutro dostaniesz — zaraz przyjdź, przeczytam.

— Już ja tam duchem przylecę.

— Może na poczcie zawieruszył się któryś? Może kum jeden z drugim schował pod sukno? Daniłycz, nie szarp sobie nerwów bez powodu.

— Jak to, bez powodu, kiedy w sercu coś mnie gniecie. Boję się o Wierkę. Dziewczyna ma dwadzieścia jeden lat, bez ojca, bez braci, matka też nie tak blisko.

Nierzyn widział fotografię Wiery Jegorowej, zrobioną poprzedniej wiosny. Duża dziewczyna, tęgawa, z wielkimi, ufnymi oczyma. Ojciec przeprowadził ją przez całą światową wojnę i uchronił od wszelkiego bólu. Ręcznym granatem bronił jej w mińskich lasach, kiedy źli ludzie chcieli ją, piętnastoletnią, zgwałcić. Ale co mógł dla niej zrobić teraz — tu, za kratami?

Nierzyn wyobraził sobie nieprzebyte, permskie lasy; strze-

laninę pił benzynowych; ohydny ryk traktorów wyciągających pnie z kniei; ciężarówki ryjące zadami błoto i podnoszące w górę chłodnice, jakby z błaganiem; rozwścieczonych, czarnych traktorzystów, co to oduczuli się już odróżniać przekleństwo od ludzkiego słowa — a wśród nich dziewczyninę w brezentowej kurcie, w portkach, podkreślających drażniąco jej kobiece kształty. Śpi wśród nich przy ogniskach, żaden nie przepuści okazji, żeby ją pomacać. Pewno, że nie daremnie serce Spirydonowi się ściska.

Ale co tu mogły dać słowa nędznej pociechy? Lepiej już oderwać go od tych myśli i podbudować w nim to, czego Nierzyn szukał jako przeciwwagi dla swoich wykształconych przyjaciół. Może usłyszy tu dzisiaj ludowe, siermiężne uzasadnienie sceptycyzmu i może wtedy sam umocni się w tej wierze?

Położywszy dłoń na ramieniu Spiryдона, opierając się dalej plecami o ukośną listwę schodów, Nierzyn z oporami, kołując, zaczął formułować swoje pytanie:

— Już dawno chciałem cię zapytać, Spirydonie, tylko zrozum mnie właściwie. Słucham ja, słucham o tej twojej tułaczce. Ciężkie masz życie, no ale chyba nie ty jeden, więcej jest takich... więcej. Wędrowałeś, niosło cię to tu, to tam, wciąż szukałeś piątego kąta — ale chyba nie bez powodu?... Albo inaczej, jak myślisz, Daniłycz, — jakie... (o mało nie powiedział „kryterium”) ... jaką miarkę powinniśmy przykładać do życia, żeby je zrozumieć? No, na przykład, czy są ludzie na świecie, którzy umyślnie chcą zła? Co właśnie tak myślą: a no, wyrządzą ludziom krzywdę? Tak ich przycisnę, żeby im się żyć odechciało? Chyba nie ma takich, prawda? A może wszyscy ludzie chcą tylko dobra — myślą raczej, że chcą tego, tylko że nie są przecież bez grzechu, popełniają omyłki, a zdarzają się też całkiem opętani, rozwydrzeni. No i w końcu tyle zła sobie nawzajem czynią. Wmawiają w siebie, że postępują dobrze, a w gruncie rzeczy postępują źle. No, jak ty lubisz powtarzać, że siali żyto, a wyrosła lebioda?...

Chyba niezbyt jasno się wyrażał. Spirydon patrzył boczkiem, pochmurnie, węsząc może jakiś podstęp.

— No, a teraz powiedzmy, że ty się w czymś mylisz, a ja chcę tę pomyłkę poprawić, mówię ci o tym, jak umiem, a ty nie chcesz słuchać, usta mi nawet zatykasz — to co mam robić? Może dać ci pałką w łeb? Jeszcze pół biedy, jeżeli mam rację, ale jeżeli mi się to tylko zdaje, jeżeli wbiłem sobie do głowy, że to ja mam słuszność? Albo, może tam miałem kiedy słuszność, ale dawno to było i teraz nic z mojej słuszności nie zostało, przecież życie wciąż się zmienia, nie? No, jednym sło-

wem chodzi o to: jeżeli nie można mieć pewności, że ma się zawsze słuszność — to czy wolno wtrącać się do innych, czy nie? Czy to w ogóle możliwe, żeby człowiek na tym świecie się dowiedział, kto jest w swoim prawie, a kto nie ma racji? Kto to może powiedzieć?

— A ja ci powiem! — odezwał się z gotowością Spiridon. Zajaśniał radością i mówił z taką ochotą, jakby go pytano, jaki dyżurny przyjdzie na służbę jutro rano. — Ja ci powiem: wilczur jest w swoim prawie, a ludożerca — nie!

— Jak-jak-jak? — Nierzynowi zaparło aż dech od prostoty i siły tego twierdzenia.

— A tak — z surowym przekonaniem powtórzył Spiridon obracając się ku Nierzynowi i dysząc mu spod wąsów w twarz gorącym oddechem: — wilczur ma rację, a ludożerca nie ma.

## LXIV

### ZACISKAJĄC PIĘŚCI

Obejmujący dyżur w niedzielny wieczór skromny młody lejtnant z kwadratową plamką wąsików pod nosem osobiście przeszedł się po dzwonku dolnym i górnym korytarzem specwięzienia zapędzając więźniów do cel, do spania (w niedziele zwykle na to nie mieli ochoty). Być może że odbyłby jeszcze drugą taką przechadzkę, ale nie mógł więcej się oderwać od młodej, jędrnej felczerki z działu sanitarnego. Felczerka miała w Moskwie męża, ale była dla niego niedostępna przez całą dobę swego dyżuru w zonie, więc lejtnant bardzo poważnie liczył, że tej nocy dopnie swego, ona zaś z hałaśliwym chichotem wciąż mu się wrywała i powtarzała tylko:

— Co za figle?!

Dlatego też na powtórny obchód posłał swojego pomocnika, podoficera. Podoficer wiedział, że lejtnant aż do białego rana nie wychyli nosa z działu sanitarnego i że nie będzie go kontrolować — niebardzo więc się starał zapędzić więźniów do łóżek, bo w ciągu wielu lat służby sprzykrzyło mu się być psem i dlatego, że sam rozumiał: dorośli ludzie nie zapomną się przespać przed jutrzejszą robotą.

Nie wolno zaś było gasić światła w korytarzach i na schodach specwięzienia, mogło to bowiem okazać się okolicznością sprzyjającą przy buncie albo próbie ucieczki.

W ten więc sposób nikt nie przepędził Rubina i Sołogdina, podpierających ścianę w dużym, głównym korytarzu. Była już pierwsza, ale o śnie zapomnieli.

Wciągnął ich beznadziejny, zaciekły spór, którym — jeśli tylko nie bójką — zwykły się kończyć rosyjskie radosne obrzędy.

Nie doszło jakoś do sporu-pojedyunku na papierze. W ciągu tej godziny — a może więcej czasu upłynęło — Rubin i Sołogdin już przewentylowali dwa pozostałe prawa dialektyki, a

także przywołali na świadków cienie Hegla i Feuerbacha. Jednak na tych mroźnych i dalekich wyżynach ich dyskusja nie mogła znaleźć żadnego punktu zaczepienia, nie potrafiła zwolnić biegu na żadnej połoninie — więc objając się tylko o ich piersi staczała się coraz szybciej aż na dno wulkanicznego krateru.

— Wykopalisko! Ichtiozaur! — wydziwiał Rubin. — Jak ty będziesz mógł żyć na wolności mając tak barbarzyńskie poglądy? Czy społeczeństwo w ogóle może cię przyjąć?

— Jakie znowu społeczeństwo?! — na twarzy Sołogdina malowało się największe zdziwienie. — Jak długo pamięcią sięgam, widzę siebie nie wśród społeczeństwa, tylko w więzieniu! Mam wokół siebie tylko druty kolczaste i nadzorców! Od tego społeczeństwa, które bytuje na zewnątrz, jestem oderwany, mówiąc rzeczowo — na zawsze, więc czemuż to mam przygotowywać się do życia w nim?...

Już mieli za sobą spór o to, czy młodzież jest taka czy o w a k a.

— Ależ jak ty śmiesz wydawać opinie o młodzieży?! — gniewał się Rubin. — Ja razem z młodzieżą walczyłem na froncie, chodziłem z nią na wyprawy zwiadowcze, a ty o niej słyszałeś najwyżej od jakiegoś zafajdanego świszczypały na etapie. Dwanaście lat kiśniesz już w tych łągrach, zresztą przedtem też — coś ty właściwie widział w kraju? Patriarsze Stawy w Moskwie? Albo wyjeżdżałeś w niedzielę na wieś do Kołomieńskoję.

— Kraj?! Ty mi tu będziesz wygłaszać sądy o kraju? — wołał Sołogdin tłumiąc krzyk, jakby go kto dusił. — Wstyd! Powinieneś się wstydić! Ilu to ludzi przeszło przez Butyrki, przypomnij sobie — Gromow, Iwantiejew, Jaszyn, Błochin, wszyscy naświetlali ci bardzo trzeźwo sprawy, wszyscy, opowiadali, jak ich własne życie się toczyło — i alboś ty ich słuchał? A tu? Wartapetow, albo nawet ten, jak mu tam...

— Ktoo? A po co mam ich słuchać? Zaślepieńcy! Wycie zwierzęcia, któremu przytraśnięto łapę. Swoją własną pech życiowy usiłowali zaprezentować jako ogólny krach... ładu wszechświata. Ich obserwatorium — to kibel w celi, ich punkt widzenia to punkt obrzydzenia!

I tak już brnęli dalej, i dalej, nie dbając o porządek argumentów, o zgodność przesłanek i wniosków, nie czując nic i nie widząc tego korytarza, w którym prócz nich zostało jeszcze tylko dwóch półsfiksowanych szachistów ze swoimi figurami i kaszlący bez przerwy stary kowal z papierosem, i gdzie tak dobrze widoczne były ich niespokojne, gestykulujące ręce, rozpalone twarze i mierzące w siebie wzajem ukośnie dwie brody — wielka, czarna i jasna, starannie przystrzyżona.



Każdy z nich marzył tylko o jednym, tylko na jedno czyhał: znaleźć taki punkt, gdzie by można najdotkliwiej, najboleśniej ukłuć partnera.

Gdyby nasze oczy miały właściwość topienia się od żaru wyrażanych uczuć — to oczy Sołogdina dawno by już wyciekły, z taką furią wpatrywał się w Rubina.

— Gadaj tu z tobą! Żaden głos rozsądku do ciebie nie dociera! Nic cię nie kosztuje podstawianie czarnego na miejsce białego! I oto co mnie szczególnie oburza: przecież ty wewnętrznie jesteś wyznawcą dewizy — (w gorączce sporu wyrwało mu się obce słowo, ale należało do rycerskiego leksykonu) — „cel uświęca środki”. A jak zapytać się wprost — czy uznajesz tę zasadę, to będziesz się zarzekał! Będziesz się zarzekał, jestem pewien!

— Nie, dlaczego właściwie? — odparł nagle Rubin z chłodnym spokojem. — Jako dyrektywy dla mnie osobiście — nie uznaje. Ale jeśli rozpatrzyć rzecz w społecznym aspekcie? Nasz cel jest pierwszym w historii ludzkości celem tak szlachetnym, że możemy sobie nawet powiedzieć: ten cel uświęca środki użyte dla jego osiągnięcia.

— Ach, nawet tak! — Sołogdin dostrzegł odsłonięte miejsce i natychmiast wbił klingę. — Więc zapamiętaj: im cel jest szlachetniejszy, tym szlachetniejsze powinny być też środki! Perfidne środki niweczą sam cel!

— Co to znaczy właściwie — perfidne? Jakie to są te perfidne środki? A może ty w ogóle negujesz środki rewolucyjne? Może negujesz konieczność dyktatury?

— Nie wciągaj mnie w spór polityczny! — Sołogdin wyciągnął rękę i wymachiwał wskazującym palcem jak ostrzem szpady, przed samym nosem Rubina. — Siedzę z pięćdziesiątego ósmego artykułu, ale nigdy polityką nie zajmowałem się i nic mnie nie obchodzi. O, tu masz niepiśmiennego kowala, on też siedzi z pięćdziesiątego ósmego.

— Nie, odpowiedz bez wykrętów! — atakował Rubin. — Uznajesz dyktaturę proletariatu?

— O wszechmocy robotniczej nawet się nie zająknąłem. Zadałem ci pytanie wyłącznie z dziedziny ogólnych zasad postępowania: czy cel uświęca środki, czy też nie? I odpowiedziałeś mi! I zerwałem ci z twarzy maskę!

— Nie powiedziałem, że stosuję to osobiście!

— A choćby i nie osobiście! — zduszonym głosem krzyczał Sołogdin. — Zasada postępowania nie powinna tracić siły przy rozszerzeniu jej zakresu! Więc to znaczy, że jeśli sam kogoś zabijesz, albo zdradzisz — to będzie przestępstwo. Ale jeżeli

Jedyny i Bezgrzeszny wygubi pięć-dziesięć milionów ludzi — to będzie zgodnie z prawem i z postępem, prawda?

— To są rzeczy nieporównywalne! To są wartości zupełnie innego rzędu!

— Nie udawaj! Jesteś zbyt mądry, żeby wierzyć w to draństwo! Człowiek zdrowy na umyśle nie może tak myśleć! Po prostu łiesz!

— Ty łiesz! To ty wciąż pozujesz! Cały ten idiotyczny „język krańcowej jasności” i ta zabawa w rycerzy! I ta gęba wymodelowana na Aleksandra Newskiego! Wszystko poza, bo masz w życiu pecha. Nawet piłowanie — też poza!

— O, teraz wiem, dlaczego ty przestał piłować! Bo tam rękoma trzeba machać, nie ozorem!

— Kiedy przestałem? Od całych trzech dni?

Ich sprzeczka, nigdzie się nie zatrzymując, jak nocny ekspres waliła obok stacji, latarni, to przez bezludny step, to przez rozjarzone miasta, mknęła przez ciemne i jasne okolice ich pamięci — i wszystko, co na chwilę wychynęło z niebytu, chwiejnym światłem, albo niewyraźnym echem zabarwiało rozdygotaną szamotaninę ich wczepionych w siebie myśli.

— Może byś tak przede wszystkim na sobie sprawdził te zasady etyczne? — Rubin nie posiadał się z oburzenia. — Jak tam u ciebie z celami i środkami? W osobistym aspekcie? Przypomnij sobie od czegoś ty zaczynał karierę inżyniera! O czym marzyłeś? Jak Korejko<sup>1</sup> chciałeś koniecznie zbić milion...?

— I ty sobie przypomnij, jak uczyłeś wiejskie dzieci, żeby donosiły na własnych rodziców!...

Znali się już od dwóch lat. I teraz wszystko, czego dowiedzieli się o sobie w przyjacielskich, poufnych rozmowach — starali się obrócić przeciw partnerowi i to w sposób najbardziej krzywdzący, najbardziej dotkliwy. Wszystko sobie teraz potrafili przypomnieć i cisnąć przyjacielowi w twarz. Ich pojedynek nie wznosił się już ku kwestiom ogólnym, ale schodził coraz niżej i niżej do spraw prywatnych, tam, gdzie można było dręczyć się wzajemnie z osobliwym okrucieństwem.

— To są twoi kompani ideowi, to są twoi najlepsi przyjaciele! — szalał Sołogdin. — Szyszkin-Myszkin! Nie rozumiem, dlaczego wymawiasz się od tego towarzystwa! Co za obłuda!

— Coś ty?... — zachłysnął się Rubin. — Ty to mówisz... serio?

Nie, w głębi duszy Sołogdin doskonale wiedział, że Rubin

---

1. Bohater innej wybornej powieści Ilfa i Pietrowa „Złoty Cielec”, tajny milioner sowiecki.

nie jest szpiclem i że nie będzie nim nigdy, ale zbyt wielka była pokusa, żeby pchnąć go ze złości na jedną kupę z operami.

— W każdym razie — upierał się Sołogdin — byłoby to o wiele bardziej zgodne z twoimi własnymi wytycznymi. Skoro zakładasz, że więzienni nadzorcy działają na rzecz słusznej sprawy — to twoim obowiązkiem jest pomagać im w miarę sił. Więc dlaczego nie p o k a p o w a ć? A Szyszkin wypisze ci dobrą opinię. I twoja sprawa zostanie rozpatrzona jeszcze raz...

— Słuchaj, to pachnie krwią! — Rubin zacisnął swoje nie-małe pięści i podniósł je jak do bójki. — Za takie słowa leje się w mordę!

— Ja mówię tylko — starając się o spokój odparł Sołogdin — że to byłoby z twojej strony bardziej zgodne z własnymi wytycznymi. Skoro cel uświęca środki.

Rubin opuścił pięści i spojrział na przeciwnika z pogardą:

— Naprzód trzeba mieć zasady! Ty nie masz zasad! Oderwana gadanina o Dobrze i Złe...

Sołogdin dalej mówił swoje:

— No bo jak to? Zastanów się. Skoro my wszyscy siedzimy za służenie, a tylko ty — niewinnie, to znaczy, że łapsy mają słuszość. Co roku dwukrotnie składasz prośbę o ułaskawienie...

— Łżesz. Nie proszę o ułaskawienie, tylko o powtórne rozpatrzenie sprawy.

— Co za różnica?! Spotykasz się z odmową i mimo to dopraszasz się dalej. Nie chciałeś prowadzić sporu na temat znaczenia dumy w życiu ludzkim, a bardzo by ci się przydało trochę więcej dumy! Gotów jesteś na wszelkie ponizenie dla zewnętrznej wolności! Jesteś jak psina na łańcuchu — władzę nad tobą ma ten, kto trzyma łańcuch w ręku!

— A ty nie jesteś w ich ręku? — wściekł się Rubin. — Ty byś nie dopraszał się wolności?

— Nie!

— Bo po prostu nie masz możliwości zdobycia tej wolności! A gdybyś miał jakąkolwiek możliwość, to byś nie tylko błagał, ale byś...

— Nigdy!

— Jakoś za bardzo mi jesteś szlachetny! Wyśmiewasz się z Siódemki, że ta się stara, a gdybyś sam mógł się czymś wyróżnić — to pełzałbyś na brzuchu!

— Nigdy!! — Sołogdin aż się zatrząsł.

— A ja ci to mówię! — tryumfował Rubin. — Po prostu brak zdolności nie pozwala ci szukać sobie zasługi. Kwaśne winogrona! A gdybyś mógł coś wymyśleć... A jak cię zawezwą — to na brzuchu będziesz się czołgał!

— Spróbuj tego dowieść! — teraz Sołogdin zaciskał pięści.  
— O, za to właśnie leje się w mordę!

— Daj mi trochę czasu — to ci dowiodę. Daj mi... rok.  
Daj rok!

— A choćby dziesięć lat!

— Już ja cię przyłapię! Ale wtedy, ma się rozumieć, zaczniesz wykრęcać się dialektyką, że niby „wszystko płynie, wszystko się zmienia”!

— To dla takich jak ty „wszystko płynie, wszystko się zmienia”! Nie sądź według siebie!

## LXV

### D O T T I

Dziwne zaiste są stosunki wzajemne kobiet i mężczyzn — nic tu nie poddaje się przewidywaniom, nie da się określić ich kierunku; nie uznają żadnych praw. Czasami znajdzie się człowiek w ślepych zaułku i wydaje się, że można już tylko sięgnąć i wyć: wszystko zostało już powiedziane i nie dało żadnego skutku, wszystkie argumenty były już użyte i obalone. Ale wystarczy jakaś przypadkowa wymiana spojrzeń i mur nie wali się w gruzy, tylko jakby topnieje, tam zaś, gdzie było ciemno — pada teraz jasne światło na łatwą ścieżkę otwierającą się przed dwojgiem ludzi

Chociaż ta ścieżka — też może tylko na chwilę.

Inocenty już dawno pogodził się wewnętrznie z tym, że wszystko między nim a Dotti jest skończone — nie mogło przecież być inaczej z winy jej obcości i miałości duchowej. Ale ciepły odruch wywołany dzisiaj jej uległością w domu teścia — wcale nie minął, kiedy już porzucili towarzystwo i wracali do domu samochodem. Przyjaznym tonem, czego dawno już nie bywało, wymieniali uwagi o przyjęciu, Inocenty słuchał opinii Dotti o zamierzonym zamążpójściu Klary, bezwiednie otoczył plecy żony ramieniem i wziął ją za rękę.

Przyszła mu nagle do głowy następująca myśl: a gdyby ta kobieta nie była nigdy jego żoną, ani kochanką, należała natomiast do kogoś innego — to co by czuł teraz w stosunku do niej? Nie było wcale wątpliwości: nie żałowałby wysiłku, aby ją zdobyć.

Czemu to, jeśli chodzi o własną żonę — uważa się za coś hańbiącego pożądanie jej ciała w takich warunkach?

Najdziwniejsze i najbardziej zawstydzające było to, że właśnie taka, jaka była — zepsuta kobieta, która przeszła przez wiele

już rąk — podniecała go teraz, pociągała i to nie tak tylko, po prostu, ale nieodparcie. Było tak, jakby to on powinien był w ten sposób czegoś dowieść, coś wykazać. Co? Komu?...

Żegnając się z mężem w saloniku, Dotti z wyrazem winy przytuliła głowę do jego piersi, pocałowała go gdzieś w kołnierzyk i odeszła chyląc dalej głowę. Inocenty poszedł do swojego pokoju, rozebrał się, włożył piżamę i nagle poczuł, że musi pójść do Dotti.

Miał jeszcze jeden powód. Przez cały wieczór tłum rozspiewanych, rozgadanych, roześmianych ludzi odgradzał go jakby pancierzem od myśli o aresztowaniu — teraz natomiast, w samotnej ciszy gabinetu, znów zdjął go strach i ten strach też kazał mu szukać ciepła i obrony.

W szlafroku z jedwabnym szamerunkiem, w domowych papuciach-cichostępach stał teraz przed drzwiami sypialni żony i wciąż się wahał. Nie zdecydowany jeszcze czy ma zapukać, czy nie, pchał leciutko drzwi palcem. Dotnara miała zawsze jakieś strachy i zamykała się na noc. Ale dzisiaj drzwi ustąpiły pod naciskiem palca.

Inocenty wszedł bez pukania, odsunął portierę i od razu zobaczył Dotti w łóżku pod fioletowo-srebrzystym pledem o długim, miękkim włosie.

Powinna się była przestraszyć, ale nawet nie drgnęła.

Lampka nocna paliła się na niskim stoliczku obok łóżka i wydobywała z ciemności jej delikatną twarz, jasne, rozsypane włosy, ramiona, dłonie i piersi w złoto-cielistej koszuli, w której każda fałdka, rozcięcie i koronkowy rąbek wymyślone zostały przez nieznanego mistrza po to, aby uczynić kobietę wielokrotnie bardziej pociągającą, niż gdyby była naga.

W sypialni było trochę za gorąco, ale Inocentemu nie sprawiało to przykrości, był dziwnie zziębnięty. Słabo pachniały perfumy.

Poszedł do pokrytego azurowego serwetą stolika — który stał pośrodku pokoju — i stojąc do niej bokiem, bawiąc się oceaniczną muszlą, odezwał się nieprzyjaźnie:

— Sam się dziwię, że przyszedłem do ciebie. Nie mogę sobie wyobrazić żeby między nami kiedykolwiek cokolwiek jeszcze mogło się zdarzyć. (Tego, że sam zdradził żonę w Rzymie Inocenty nie mówił i nie brał w rachubę). — Ale nagle mi tak przyszło do głowy — no, a co, jeżeli pójde?

Nerwowo bawiąc się muszlą, obrócił głowę w stronę żony. Pogardzał teraz sobą.

Zsunęła nieco niżej skroń i policzek na poduszkę, uważnie i czule patrząc na niego z dołu, chociaż nie mogła chyba widzieć

jego twarzy w półmroku, w świetle nocnej lampki krytej abażurkiem. W zwisającej lekko ręce otoczonej na ramieniu sutymi marszczeniami koszuli i bezradnie gołej od łokcia, trzymała końcami palców książkę.

— Lepiej chodź do mnie po prostu, poleżymy razem trochę — powiedziała z rozczulającą bezpośredniością.

Po prostu? A czemu by nie położyć się po prostu? To, że mężczyzna nie może wybaczyć wszystkiego, co się zdarzyło — nie miało z tym nic wspólnego.

Na leżąco nawet lepiej się mówi. Nie wiedzieć czemu, można powiedzieć o wiele więcej, zwierzyć się z najtajniejszych myśli — jeśli ludzie nie siedzą na fotelach twarzą w twarz, tylko obejmują się pod kołdrą.

Więc postąpił parę niepewnych kroków w jej stronę.

Ona zaś uniosła jeden róg kołdry odsłaniając ciepłą głębię.

Nie czując nawet, że depcze po książce upuszczonej przez żonę na dywan, Inocenty położył się w tym ciepłe. Nakryła go pledem.



## LXVI

### RAPIERU OSTRY BRZESZCZOT

Nareszcie cała szaraszka spała.

Dwustu osiemdziesięciu zeków spało przy niebieskim świetle, z twarzą wbitą w poduszkę, albo z poduszką pod karkiem, dysząc cicho, obrzydliwie chrapiąc, albo krzycząc coś bez związku, kuląc się z zimna, albo rozkopując się z gorąca. Spali na obu piętrach budynku, na swoich dwupiętrowych pryzkach. Widzieli we śnie: starcy — swoich bliskich, młodzi — kobiety, jedni — to co stracili, inni — pociągi, jeszcze inni — cerkiew, a inni znów swoich sędziów. Sny mieli rozmaite, ale we wszystkich tych snach nie zapominali ani na jedną nieznośną chwilę, że są więźniami, że jeżeli wałęsają się po zielonej trawie, albo po mieście, to znaczy, że uciekli, że kogoś wyprowadzili w pole, że zdarzyło się jakieś nieporozumienie, że już ich gonią. To zupełne, szczęśliwe wyzwolenie od kajdan, które wymyślił Longfellow w „Śnie niewolnika” — nie było im dane. Szok po niezasłużonym aresztowaniu, po dziesięcio- i dwudziestopięcioletnim wyroku, i szczekanie psów strażniczych, i młotki konwojentów, i szarpiący nerwy dzwonek rannej pobudki w łagrze — przesaczyły się aż do szpiku ich kości poprzez wszystkie warstwy narosłe w ciągu życia, przez wszystkie odruchy warunkowe i nawet bezwarunkowe — do tego stopnia, że śpiący więzień przede wszystkim pamięta, że jest w więzieniu, a potem dopiero czuć może, że coś go przypieka, czy że dym dusi i dopiero wtedy zrywa się, bo pożar.

Spał zdegradowany Mamurin w swojej pojedynce. Spali strażnicy z drugiej, wypoczywającej zmiany. Spali również strażnicy ze zmiany dyżurującej, mającej czuwać. Dyżurna felczerka w punkcie sanitarnym, co to przez cały wieczór opędzała się przed

lejtnantem z kwadratowymi wąsikami, niedawno ustąpiła mu nareszcie i teraz oboje spali już spokojnie na wąskiej kozetce w opatrunkowej. I w końcu, pilnujący żelaznych okutych drzwi między klatką schodową a skrzydłem więziennym, mały, szary nadzorca widząc, że nikt nie przychodzi na kontrolę i że nikt nie odpowiada na sygnały telefoniczne — też zasnął na siedząco złożony głowę na blacie stolika i nie zaglądając już więcej, przez judasza w drzwiach na korytarz specwięzienia — choć robić mu to kazano.

I doczekawszy się wreszcie tej późnej nocnej godziny, kiedy więzienny ład w Mawrinie uległ zawieszeniu — dwieście osiemdziesiąty pierwszy więzień cicho wyszedł z półkolistej izby mrużąc oczy przed ostrym światłem i depcząc po stertach niedopałków. Buty wzuł byle jak, bez onuc, miał na sobie stary, wyszargany frontowy płaszcz, narzucony na bieliznę. Jego mroczna, czarna broda była potargana, rzędzące włosy na ciemieniu opadały w różne strony, twarz miała wyraz cierpiący.

Daremnie próbował zasnąć! Teraz wstał, żeby przejść się trochę po korytarzu. Nie jeden już raz stosował ten środek: dzięki przechadzce ustępowało rozdrażnienie, przechodził palący ból w karku i ściskanie w okolicach wątroby.

Ale chociaż wyszedł na spacer, bibliofilskim zwyczajem zabrał ze sobą kilka książek. Jedna była założona ołówkowym brulionem „Projektu Przybytków Świeckich”. Miał też ze sobą niedbale zatemperowany ołówek. To wszystko, jak również pudełko lekkiego tytoniu i fajkę Rubin położył na długim, brudnym stole i zaczął równym krokiem chodzić po korytarzu tam i z powrotem, przytrzymując poły rękoma.

Zdawał sobie sprawę, że wszystkim innym więźniom też tu ciężko — zarówno tym, którzy siedzą nie wiadomo za co, jak tym, którzy są nastroszeni wrogo i których wrogowie tu wsadzili. Ale swoją własną sytuację uważał za tragiczną w arystotelesowskim sensie. Cios zadały mu te ręce, które ukochał najbardziej. Obojętni biurokraci za to właśnie go wsadzili, że kochał wspólną sprawę — i to tak mocno, że aż to żenowało. Oficerom straży więziennej i więziennym nadzorcom, których działania były konsekwencją zupełnie słusznego, sprawiedliwego, postępowego p r a w a — Rubin musiał na mocy tragicznej sprzeczności codziennie się przeciwstawiać broniąc ludzkiej godności własnej i swoich towarzyszy. Ci zaś t o w a r z y s z e — najczęściej nie byli wcale jego towarzyszami i we wszystkich celach robili mu wyrzuty, wyzywali go, omal nie kęśali — dlatego, że widzieli tylko swoje nieszczęście i nie chcieli widzieć wielkiej Zgodności z Prawem. I w każdej celi, przy każdym nowym

spotkaniu i każdej dyskusji Rubin czuł się zobowiązany, lekceważąc sobie ich złorzeczenia, wykazywać niestrudzenie, że w porcjach wielkich liczb i w ramach zasadniczego nurtu wszystko idzie właśnie, jak należy, że kwitnie przemysł, że rolnictwo daje coraz wspanialsze plony, burzliwie rozwija się nauka i kultura gra wszystkimi kolorami tęczy.

Jego przeciwnicy często interpretowali swoją znaczną liczbę w celach w ten sposób, że to oni — są l u d e m, a Rubinowie to tylko jednostki. Ale wszystkie fibry jego duszy mówiły mu, że to kłamstwo! Lud był poza więzieniem, z tamtej strony drutów kolczastych. Lud zdobywał Berlin, spotkał się nad Łabą z Amerykanami, lud ciągnął na wschód pociągami demobilizacyjnymi, poszedł rekonstruować Dnieproges, przywrócić życiu Donbas, odbudować Stalingrad. Poczucie solidarności z tymi milionami nie pozwoliło mu właśnie poddawać się uczuciu samotności w zajadłej, więziennej walce przeciw dziesiątkom kolegów z celi.

Często czepiali się go wcale nie dlatego, że chodziło im o prawdę, a tylko po to, żeby powetować sobie jego kosztem to wszystko, czego nie mogli zrobić strażnikom. Dręczyli go, nie martwiąc się, że każde takie starcie wywraca mu na nice wewnętrżności i przybliża do grobu.

Ale trzeba było toczyć te spory, bo na odcinku frontu „Szaraszka Mawrino” tylko niewielu potrafiło tak bronić socjalizmu, jak on.

Rubin zapukał w szklaną szybkę w żelaznych wrotach, raz, drugi, za trzecim razem — już silniej. Dopiero wtedy twarz zaspanego, szarego klawisza pokazała się w okienku.

— Źle się czuję — powiedział Rubin. — Muszę dostać proszek. Zaprowadźcie mnie do felczera.

Klucznik zamyślił się.

— Dobrze, zadzwonię.

Rubin kontynuował spacer.

Był rzeczywiście postacią tragiczną.

W całym więzieniu nie było nikogo, kto by wcześniej od niego przestąpił próg aresztu.

Dorosły kuzyn, którego szesnastoletni Lewek uwielbiał, zlecił mu przechowanie czcionek drukarskich. Lewek podjął się tego z zachwytem. Ale nie ustrzegł się wścibstwa chłopca od sąsiadów. Chłopak go podpatrzył i sypnął Lewka. Lewek nie zdradził kuzyna — wymyślił historyjkę o znalezieniu czcionek pod schodami.

Pojedyncza cela charkowskiego więzienia wewnętrznego sprzed

lat dwudziestu przypomniła się teraz Rubinowi, podczas gdy wciąż tak samo miarowo i ciężko spacerował po korytarzu.

Tamto więzienie zbudowane było na wzór amerykański — otwarta, wielopiętrowa studnia z żelaznymi pomostami, wzdłuż pięter i takimiż schodami; na dnie — strażnik regulujący ruch za pomocą chorągiewek. Każdy dźwięk rozchodził się tu gromkim echem. Lewek słyszy jak kogoś z łoskotem wloką po schodach — i nagle rozdzierający krzyk wstrząsa całym więzieniem:

— Towarzysze! Pozdrowienia z zimnej kabaryny! Precz ze stalinowskimi katami!

Biją go (ten charakterystyczny dźwięk przy waleniu w coś miękkiego!), zatykają mu usta, wycie jest teraz przerywane i w końcu już go nie słychać — ale trzystu więźniów w trzystu pojedynkach rzuca się do drzwi, łomocze i wrzeszczy zaciekle.

— Precz z krwawymi psami!

— Smakuje robotnicza krew?

— Znów jak za cara?

— Niech żyje leninizm!

I nagle z kilku różnych cel rozlega się opętańczy śpiew:

*„Wyklęty powstań ludu ziemi...”*

I oto cały już niewidzialny tłum więźniów śpiewa z zapamiętaniem:

*„Bój to jest nasz ostatni,  
Krwawy skończy się trud!...”*

Nie widać tego, ale wielu musi mieć, jak Lewek, łzy uniesienia w oczach.

Więzienie huczy jak podrażniony rój. Garstka kluczników przyczała się na schodach, nieśmiertelny, proletariacki hymn napełnił ich zgrozą...

O, jakie fale bólu w karku! Jak ściska pod żebrami, z prawej strony!

Rubin znów zapukał w okienko. Zrobił to raz i drugi — i wreszcie w polu widzenia pojawiła się zaspana twarz tego samego strażnika. Odsunął ramkę ze szkłem i burknął:

— Już dzwoniłem. Nikt nie odpowiada.

I chciał już zasunąć ramkę, ale Rubin przeszkodził mu w tym przytrzymując szkło ręką.

— Więc idźcie tam, przecież macie nogi! — krzyknął z męką i rozdrażnieniem. — Ja się źle czuję, rozumiecie? Nie mogę spać! Wezwijcie felczera!

— No, dobra — zgodził się klawisz.

I zasunął szkło.

Rubin zaczął znowu swój spacer, wciąż tak samo beznadziejnie mierząc krokami zapluta, zaśmieconą podłogę smrodliwego korytarza; czas mijał tak samo powoli.

I w ślad za obrazem charkowskiego więzienia wewnętrznego, które wspominał zawsze z dumą, chociaż to dwutygodniowe zamknięcie w pojedynce wisiało później nad wszystkimi jego ankietami, nad całym jego życiem i przyczyniło się do zaostrenia obecnej kary — stanęły mu teraz w pamięci inne sceny, ukrywane, na wspomnienie których palił się ze wstydu.

... Któregoś dnia wezwano go do gabinetu partyjnego w wytwórni traktorów. Lewek uważał się za jednego z twórców wytwórni. Pracował w redakcji gazetki zakładowej. Wciąż latał po oddziałach, zachęcał do pracy młodych, dodawał otuchy starym robotnikom, wywieszał na ścianach „błyskawice” o sukcesach brygad wyczynowych, o lukach w produkcji i o skutkach niedbalstwa.

Miał dwadzieścia lat. Wszedł do gabinetu partyjnego w swojej rubaszce z wysokim kołnierzem zapinanym z boku. Wszedł z tą samą bezpośredniością z jaką zdarzyło mu się wejść kiedyś do gabinetu sekretarza KC Ukrainy. Podobnie jak wtedy gdy powiedział po prostu: „witaj, towarzyszu Postyszew!” — wyciągając przy tym prawicę na powitanie, tak samo tutaj zawołał do czterdziestoletniej kobiety z przyszczyżonymi włosami, przykrytymi czerwoną chusteczką:

— Witaj, towarzyszko Bachtina! Wzywałaś mnie?

— Dzień dobry, towarzyszu Rubin — uściśnęła jego dłoń.

— Siadaj.

Usiadł.

W gabinecie był jeszcze ktoś trzeci, nie wyglądający na robotnika. Nosił krawat, garnitur i żółte półbuty. Siedział z boku, przglądał jakieś papiery i nie zwracał na nich uwagi.

Gabinet komitetu partyjnego był surowy, jak kościelna kruchta, dominowały w nim dwa kolory — ogniecie-czerwony i czarny, bardziej poważny.

Kobieta rozpoczęła z zażenowaniem, jakoś niemrawo mówić z Lewkiem o fabrycznych sprawach, o których zwykle dyskutowali z ferworem. Nagle wyprostowała się i powiedziała twardo:

— Towarzyszu Rubin! Powinieneś rozbroić się przed partią!

Lew był zdumiony. Jak to? Czy nie oddaje partii wszystkich swoich sił i zdrowia, nie odróżniając już przy pracy dnia od nocy?

Nie! To za mało.

Więc co jeszcze ma robić?!

Ten trzeci wtrącił się teraz grzecznym tonem. Zwracał się per „wy” — to także drażniło proletariackie uszy. Oświadczył, że trzeba rzetelnie i niczego nie ukrywając opowiedzieć wszystko, co Rubinowi jest wiadome o jego kuzynie, który zdążył się tymczasem ożenić; czy to prawda, że był dawniej aktywnym członkiem opozycyjnej organizacji a teraz ukrywa to przed partią?

Oczekiwali odpowiedzi już, zaraz, natychmiast i oboje wlepili w niego wzrok...

Oczywiście właśnie tego brata ciotecznego Lewek uczył się patrzeć na rewolucję. Właśnie od niego dowiedział się, że nie wszystko wygląda tak pięknie i beztrudnie jak na manifestacji pierwszomajowej. Tak, Rewolucja była wiosną — dlatego wiele w niej było błota i trzeba było w tym błocie brodzić szukając ukrytego pod nim, twardego gruntu.

Ale przecież minęły już cztery lata. Przecież zamilkły już wszelkie spory wewnątrz partii. Zaczęto już zapominać, kto był opozycjonistą. Z tysięcy kruchych „członek” chłopskich gospodarstw zdołano już przecież — gorzej, czy lepiej, to mniejsza — skonstruować „transatlantyk” kolektywizacji. Już dymiły wielkie piece Magnitogorska, a traktory z czterech pierwotnych fabryk przeorywały kołchozową glebę. Typy „518” i „1040” były już tak, jakby skonstruowane. Wszystko to obiektywnie służyło Rewolucji Światowej — czy warto więc było teraz wojować z powodu brzmienia nazwiska tego człowieka, którego imię nosić będą wszystkie te olbrzymie dokonania? (Lewek zmusił się zresztą do tego, by pokochać nawet to imię. A tak, już je kochał!) I po co teraz właśnie aresztować, mścić się na tych, którzy kiedyś tam pozwalali sobie na spory?

— Nie wiem. On nigdy nie był w żadnej opozycji — mówiły usta Lewka, ale rozsądek mu podpowiadał, że — rozpatrując rzecz dorosłym okiem, bez chłopięcego, romantyzmu z poddasza rodem — wypieranie się nie miało już sensu.

Krótkie, energiczne gesty towarzyszek z partkomu. Partia! Czy istnieje w ogóle cokolwiek, co moglibyśmy postawić ponad Partią? Jak można kłamać... przed obliczem Partii?! Jak można ukrywać cokolwiek... przed Partią?! Partia nie karze, ona jest tylko naszym sumieniem. Przypomnij sobie, co mówił Lenin...

Dziesięć łuf pistoletowych wymierzonych prosto w twarz nie napędziłyby strachu Rubinowi. Żaden zimny karcer, ani zesłanie na wyspy Sołowieckie nie zmusiłyby go do mówienia prawdy. Ale przed obliczem Partii?! — nie był w stanie ukryć niczego, ani kłamać w tym czarno-czerwonym konfesjonale.

I Rubin powiedział — kiedy i gdzie był czynny cioteczny brat, co robił.

Kobieta-spowiednik zamilkła.

A ugrzecznony jegomość w żółtych półbutach powiedział: — A więc, jeżeli tylko dobrze was zrozumiałem... — i odczytał to, co zdążył zapisać na arkuszu.

Rubin aż się poderwał:

— Kim jesteście?! Przecież wy — to nie Partia!

— Dlaczego nie partia — gość poczuł się obrażony. — Też jestem członkiem partii. Jestem funkcjonariuszem śledczym GPU. ... Rubin znów zapukał w okienko. Strażnik, widać dopiero co wyrwany ze snu, sapnął:

— No i czego pukasz? Tylem razy dzwonił, a nikt nie odpowiada.

Oczy Rubina zapłonęły oburzeniem:

— Prosiłem, żebyście tam poszli, a nie dzwoniли! Serce mi bardzo dokucza!! Mogę przecież umrzeć!

— E tam, nie umrzesz — tonem pojednawczym, a nawet współczującym zaśpiewał klucznik. — Do rana jakoś dociągniesz. No, sam pomyśl — mam pójść i opuścić posterunek?

— Ależ jaki idiota zajmie wam tymczasem posterunek! — krzyknął Rubin.

— Nie o to chodzi, że zajmie, tylko że regulamin zabrania. Służyłeś ty w wojsku?

Rubin czuł tak silnie pulsowanie w głowie, że omal sam nie uwierzył w możliwość swojej nagłej śmierci. Widząc zmienioną jego twarz strażnik jednak się zdecydował:

— No, dobra, odejdz od o k a, nie pukaj więcej. Przelece się.

I chyba poszedł. Rubinowi zdawało się, że ból też stopniowo ustępuje. Znów zaczął przemierzać korytarz.

Przed oczyma pamięci snuły mu się dalej wspomnienia, których nie chciał budzić. Gdyby zdołał o nich zapomnieć — to wróciłby do zdrowia.

Wkrótce po tym charkowskim więzieniu, chcąc się zrehabilitować w oczach komsomołu oraz pragnąc sobie i jedynej, prawdziwie rewolucyjnej klasie dowieść, jak być potrafił pożyteczny — Rubin z mauzerem u boku pojechał na kolektywizację wsi.

A kiedy uciekał trzy wiorsty na bosaka, odstrzeliwując się przed rozwścieczonymi chłopami — co też widział wtedy w tym fakcie? „Wreszcie i mnie udało się łyknąć trochę wojny domowej”. I to wszystko.

To rozumiało się samo przez się! — rozkopywać doły ze



schowanym ziarnem, nie pozwalać gospodarzom mieć mąki i wypiekać chleba, nie pozwalać im nabrać wody ze studni. I jeżeli nawet chłopskie dziecko umierało — to zdechnijcie lepiej, nicponie, razem ze swoim dzieckiem, a chleba napiec wam się nie da. I już nie budziła współczującej grozy, tylko stała się czymś tak powszednim, jak tramwaj w mieście, ta samotna fura zaprzężona w chabetę z opuszczonym łbem, która ciągnęła o świcie przez przyczajoną, zmartwiałą wieś. Biczyskiem po furtce:

— Nieboszczyki są? Wynoście.

I w następną furtkę:

— Nieboszczyki są? Wynoście.

A wkrótce już nawet tak:

— Ej! Jest tam jeszcze kto żywy?

A teraz to wpiło się w głowę. Wypalone jest rozżarzonym stemplem. I dalej pali. I czasami jakby słyszał: twoje rany — właśnie za to! Więzienie — też za to! I twoje choroby — za to!

A niech tam. Zasłużenie. Ale jeżeli zrozumiął, że to była okropność, jeżeli by nigdy więcej nie chciał tego powtórzyć, jeżeli już to odpokutował? — to jak oczyścić się z tego? Komu ma powiedzieć: o, tego nigdy nie było! Będziemy odtąd uważać, że tego wszystkiego nie było! Zrób tak, żeby tego wszystkiego nie było!...

Czego też nie wyciśnie jedna bezsenna noc ze smutnej, pomnej na swoje pomyłki duszy?...

— ... Tym razem sam strażnik odsunął szybkę. Odważył się jednak opuścić posterunek i pójść do sztabu. Okazało się, że tam wszyscy się pospali i nikt nie podchodził do brzęczącego telefonu. Zbudzony podoficer wysłuchał raportu, sklął strażnika za opuszczenie posterunku i wiedząc, że lejtnant śpi z felcerką, nie ośmielił się ich budzić.

— Nic się nie da zrobić — powiedział strażnik przez okienko. — Sam poszedłem i meldowałem. Powiedzieli, że nie wolno. Trzeba odłożyć do rana.

— Ale ja umieram! Ja umieram! — chrypiał mu Rubin przez okienko. — Bo rozbiję tę szybę! Zawołajcie zaraz dyżurnego! Ogłoszę głódówkę!

— Jaką znowu głódówkę? Czy ci teraz jeść dają, czy co? — odparł mu klawisz roztropnie. — Rano przyniosą śniadanie — to sobie ogłosisz... Pospaceruj sobie jeszcze, pospaceruj. Zadzwonij jeszcze raz.

I trzeba było wznieść się także ponad to!

Walcząc z mdłościami i bólem, Rubin starał się chodzić po korytarzu tak samo miarowo, jak przedtem. Przypomniała mu

się baśń Kryłowa, „Brzeszczot”. Baśń ta na wolności jakoś nie zrobiła na nim wrażenia, ale w więzieniu zafrapowała go.

*„Rapieru ostra klinga, już sędziwa,  
Trafiła do lamusa, stąd — do kosza.  
I nabył Brzeszczot z kupą żelaziwa  
Chłopina na jarmarku, za pół grosza”.*

Chłopina Brzeszczotem obrzywał łyko, strugał łuczywa. Stał była teraz cała w szczerbach i rdzy. Pewnego dnia Jeż zobaczył Brzeszczot w chacie pod ławą i spytał:

*„... Czemuż to takie życie musisz pędzić?  
... Czy nie wstyd ci, Brzeszczocie jeszcze krzepki,  
Strugać łuczywa, albo łupać szczepki?”*

I Brzeszczot odpowiedział Jezowi tak, jak to setki razy odpowiadał sobie samemu Rubin:

*„W rękę rycerza wrogów bym przerażał!  
Tu — moje cnoty mierzą gospodarza...  
Nie ja się tego wstydzę muszę, lecz  
Ten, co nie pojął mego przeznaczenia!...”*

## LXVII

### PRZYBYTKI ŚWIECKIE

Rubin poczuł słabość w nogach i usiadł, ciężko wspierając pierś w ostrą krawędź stołu.

Chociaż z całą zajadłością odrzucał argumenty Sołogdina, jednak dosięgły go one tym boleśniej, że musiał w głębi ducha uznać ich częściową słuszność. Owszem, szczególnie wśród młodszego pokolenia zręby moralności zachwiały się, ludzie przestali już rozumieć co to jest postęp moralny, postęp piękny.

W dawnych systemach społecznych wiedzano, że dla podtrzymania moralności potrzebna jest cerkiew i cieszący się autorytetem pop. A nawet i dziś — jaka polska chłopka pozwoli sobie na poważny krok życiowy nie zasięgając przedtem rady księdza?

Dziś dla państwa sowieckiego ważniejsze może od budowy kanału Wołga-Don albo Angarstroju — jest podniesienie poziomu moralnego obywateli!

Jak to osiągnąć? — Ma temu służyć „Projekt utworzenia przybytków świeckich”, którego szkic Rubin już przygotował. Właśnie tej nocy, korzystając z bezsenności trzeba ostatecznie go wyszlifować, a przy najbliższym widzeniu postarać się przetrzucić na tamtą stronę. Zostanie przepisany na maszynie i przesłany do KC partii. Autor nie może posłać projektu oczywiście, pod własnym nazwiskiem — bo w KC jeszcze poczują się dotknięci, że takich rad udziela im więzień polityczny. Ale nie można również posłać anonimowo. Niech więc podpisze się któryś z frontowych przyjaciół — dla wspólnego dobra Rubin chętnie zrezygnuje z autorskiej sławy.

Starając się przezwyciężyć pulsujący ból głowy, Rubin nabił fajkę „Złotym Runem” zresztą odruchowo, bo nie chciało mu

się teraz wcale palić, czuł nawet wstręt do tytoniu — jednak zapalił i zaczął przeglądać projekt.

W płaszczu narzuconym na bieliznę, przy gołym, źle wyheblowanym stole, zasypianym kruszynami chleba i popiołem z papierosów, w stęchłym powietrzu zaśmieconego korytarza, przez który od czasu do czasu przebiegał za swoją nocną potrzebą któryś z zaspanych zeków — bezimienny autor przegląda swój bezinteresownie sporządzony projekt, rozwinięty na wielu arkuszach papieru, pokrytego szerokim, pośpiesznym pismem.

W uwagach wstępnych była mowa o konieczności podniesienia jeszcze wyżej — już i tak wysokiego — poziomu moralności publicznej i o potrzebie nadania jeszcze większego znaczenia obchodom rocznic rewolucyjnych i świętom państwowym a także o niezbędności jeszcze bardziej uroczystego traktowania momentów zawarcia małżeństwa, nadawania imion noworodkom, osiągnięcia pełnoletności a także — obrządków pogrzebowych. (Autor delikatnie dawał do zrozumienia, że zarówno ślub i narodziny dziecka, jak zgon, są zdarzeniami, które upamiętnia się u nas w sposób zbyt powszedni, szary, w rezultacie zaś obywatele niewielką przywiązują wagę do więzów rodzinnych i społecznych).

W charakterze środka zaradczego wysunięta była w projekcie propozycja wybudowania w całym państwie serii Przybytków Świeckich, majestatycznych i wzniesionych w punktach panujących nad całą okolicą.

Następnie — w kilku rozdziałach dzielących się z kolei na paragrafy, opisana została strona organizacyjna sprawy: gdzie należy budować przybytki świeckie — na jaką ilość mieszkańców w ośrodkach miejskich i na ile jednostek podziału terytorialnego przypadać ma każdy z nich; jakie mianowicie ważne rocznice powinny być obchodzone w tych przybytkach przy masowym udziale miejscowej ludności; przypuszczalny czas trwania poszczególnych obrzędów. Zawarcie małżeństwa miało być poprzedzone przez zaręczyny i zapowiedzi z dwutygodniowym terminem oczekiwania na ślub. Obchód dośnięcia do pełnoletności miał być celebrowany — również przy masowym udziale publiczności — w ten sposób, że młodzieńcy mieli składać grupami specjalną przysięgę, zawierającą formuły przerweczeń odnoszących się do ojczyzny, rodziców i ogólnych zasad etycznych.

W projekcie podkreślało się, że obrzędowa strona wszystkich tych ceremonii wcale nie jest obojętna. Że stroje personelu powinny być niezwykle, odznaczać się podniosłą wspaniałością i unaoczniać niejako śnieżną czystość tych, którzy mieli je nosić. Że formuły obrzędowe powinny być wygłaszane rytmicznie

z podkreśleniem ich ładunku emocjonalnego. Że nie należy lekceważyć możliwości oddziaływania na żaden z organów zmysłów: od pięknych woni unoszących się w powietrzu świątyni, od melodyjnej muzyki i chórów, od olbrzymich witraży i reflektorów, od artystycznych fresków, mających nadto służyć sprawie rozwoju zainteresowań artystycznych u publiczności — aż do całej architektury świątynnej, która powinna wyrażać ideje wielkości i wieczności.

Każde słowo w tym projekcie trzeba było dobierać z wielką męką i subtelnością spośród wielu synonimów. Ograniczeni, powierzchowni ludzie mogliby z byle nieostrożnego słowa wyciągnąć wniosek, że autor proponuje po prostu budowę świątyni chrześcijańskich — tylko że bez Chrystusa. A tu wcale nie o to chodziło! Amatorzy historycznych analogii mogliby zarzucić autorowi, że naśladuje robespierreowski kult Najwyższej Istoty — ale, ma się rozumieć, to było zupełnie co innego!!

Za najbardziej oryginalną część projektu autor uważał rozdział dotyczący nowych... nie, nie duchownych, ale — wedle jego nomenklatury — służebników przybytku. Autor był zdania, że główny warunek powodzenia projektu sprowadza się do tego, czy uda się (albo nie uda) stworzyć w całym kraju korpus służebników, cieszących się autorytetem, otoczonych miłością i zaufaniem mas ze względu na ich zupełnie nieskazitelne, przykładne, wolne od wszelkiej prywaty życie. Proponował, aby instancje partyjne przeprowadziły selekcję kandydatów na kursy służebników, stosując surowe kryteria moralne i gwarantując uwolnienie z wszelkich innych prac, którymi owi kandydaci musieli dotychczas się trudnić. Po wstępnym okresie, który cechować będzie ostry niedobór kadr, kursy te, mające z upływem lat zwiększyć swój zakres czasowy i programowy, powinny dawać w końcu elewom świetne i szerokie wykształcenie, czyniąc z nich ponadto wybitnych krasomówców. (Nieulekły autor projektu utrzymywał, że krasomówstwo w naszym kraju znalazło się w upadku — zapewne dlatego, że nie trzeba już nikogo p r z e k o n y w a ć, ponieważ cała ludność i tak bez żadnych zastrzeżeń popiera ukochaną swoją władzę).

I tak wielka była energia tego pracowitego umysłu, że korekta projektu pozwoliła Rubinowi się skupić i jeśli nawet nie zapomniał o bólu, to mógł teraz traktować go jako czynnik postronny.

A że wciąż jeszcze nikt nie przyszedł do więzienia umierającego o niewłaściwej godzinie — to wcale Rubina nie dziwiło. Dostyc się napatrzył podobnych wypadków w celach kontrwywiadu i więzień przejściowych.

Dlatego też, kiedy klucz zazgrzytał w drzwiach, pierwszym odruchem Rubina był lęk, że w środku nocy zastaną go teraz przy niedozwolonym zajęciu, co pociągnie za sobą nieuchronną, nudną karę, więc szybko zgarnął swoje papiery, książkę, tytoń i już chciał ukryć się w pokoju, ale było za późno; przysadzisty, tęgomordy podoficer już go zobaczył i stojąc w drzwiach zawołał.

Rubin oprzytomniał. I od razu znów poczuł cały ciężar swojego osamotnienia, chorobliwej bezradności i zranionej godności.

— Słuchajcie — powiedział idąc powoli w stronę zastępcy dyżurnego, — trzecią godzinę z rzędu nie mogę się doprosić felczera. Złożę skargę do departamentu więziennictwa MGB i na was, i na felczera.

Podoficer odparł pojednawczym tonem:

— Rubin, w żaden sposób nie można było wcześniej, to nie ode mnie zależało. Chodźmy.

To prawda — od niego zależało tylko tyle, żeby wywołać lejtnanta, skoro już się dowiedział, że podnosi r a b a n nie byle kto, tylko jeden z najbardziej niebezpiecznych zeków. Dłuższą chwilę nie miał żadnej odpowiedzi, później wysunęła nos felczera i zaraz schowała się za drzwiami. Następnie lejtnant z chmurną miną wyszedł z punktu sanitarnego i pozwolił podoficerowi przyprowadzić Rubina.

Teraz Rubin wdział wojskowy płaszcz jak należy i zapiął na guziki, żeby nie widać było bielizny. Podoficer poprowadził go podziemnym korytarzem więzienia, po czym wyszli na dziedziniec po schodni pokrytej już śnieżnym puchem. Noc była jak z obrazka, cicha, szczodre białe płatki wciąż padały, mętne i ciemne zatoki nocnych ciemności i cały skraj nieboskłonu wydawały się pokreskowane mnóstwem białych smug. Podoficer i Rubin przecięli podworec zostawiając głębokie ślady w sypkim, puszystym śniegu.

Tu, pod tym miłym, pełnym chmur, szaro-burym, prześwitującym w blasku nocnych latarni niebem, czując na zadartej w górę brodzie i na rozpalonej twarzy dziecinne, niewinne dotknięcia sześciopromiennych, zimnych gwiazdek, Rubin zamarł, zamknął oczy. Przeszło go poczucie spokojnej błogości, tym ostrzejsze, im krócej trwało — cała słodycz bytowania, całe szczęście płynące stąd, że się nigdzie nie idzie, o nic nie prosi, niczego nie chce — tylko by stać tak całą długą noc w osłupieniu, w zachwyceniu, w stanie łaski, jak stoją drzewa — i niech śnieg dalej tak pada.

W tej samej chwili od strony torów, które biegnęły niespełna kilometr od Mawrina, rozległ się długi, zachłystujący się gwizd parowozu — ten szczególnie, sam jeden wśród nocy, chwytający

za serce gwizd parowozu, który w zenicie naszych lat każe wspomnieć o dzieciństwie, bo w dzieciństwie obiecywał nam że osiągniemy tak wiele w zenicie lat.

Gdyby chociaż z pół godziny mógł tak postać sobie — to zupełnie by wrócił do równowagi, znów byłby zdrow na duszy i ciele i napisałby najczulszy wiersz o gwiazdzie nocnych parowozów.

Ach, gdyby nie musiał iść za konwojentem!...

Ale konwojent obejrzał się już podejrzliwie — czy aby więzień nie zaplanował sobie nocnej ucieczki.

I Rubin skierował swoje kroki tam, gdzie mu kazano.

Felczerka aż poróżowiła bo sen miała młodzieńczy i zdrowy. Krew biła jej do policzków. Miała na sobie biały fartuch, ale widać było, że wdziała go nie na wojskową bluzę i spódnicę, tylko na gołe ciało. Każdy inny więzień o dowolnej godzinie, Rubin zaś — o każdej innej porze, na pewno by to zauważył i postarałby się jak najdokładniej obejrzyć zarysy jej figury — ale w tej chwili Rubin był myślami daleko od tej ordynarnej baby, która kazała mu się całą noc męczyć.

— Proszę o proszki przeciwbólowe i o coś na bezsenność, byle nie luminal, bo muszę zasnąć szybko.

— Nic nie ma na bezsenność — odmówiła mu machinalnie.

— Ja proszę was! — powtórzył Rubin z naciskiem.

— Mam jutro od samego rana robotę zleconą przez ministra. A nie mogę zasnąć.

Napomknienie o ministrze i świadomość, że Rubin nie odejdzie, tylko będzie stać i molestować o ten proszek (a sądząc z pewnych oznak liczyła, że lejtnant zaraz tu wróci) — skłoniły felczerkę do postąpienia wbrew jej zwyczajom.

Zdecydowała się dać mu lekarstwo.

Wydostała z aptecznej szafki proszki i zmusiła Rubina do połknięcia ich na miejscu (więzienny regulamin sanitarny kazał uważać każde lekarstwo za narzędzie ewentualnej walki i nie pozwalał dawać ich więźniom do rąk — musieli od razu je zżywać).

Rubin spytał, która godzina, dowiedział się, że już pół do czwartej i wyszedł. Przecinając znowu podworec spojrzął z czułością na nocne lipy, oświetlone z dołu blaskiem pięćset- i dwustuwatowych lamp zony, głęboko, bardzo głęboko wciągnął w płuca pachnące śniegiem powietrze pochylił się, pełną garścią kilka razy nabrał gwiazdziastego puchu i tym puchem, nieważkim, bezcielesnym, lodowatym otarł twarz, szyję, nabrał go pełne usta.

I dusza jego pojednała się z całą świeżością świata.



## LXVIII

### K O S M O P O L I T A

Drzwi ze stołowego do sypialni były niedomknięte i wyraźnie rozległo się pojedyncze, głośne uderzenie ściennego zegara; dźwięk jeszcze chwilę gubił się w pogłosach zanim ugasł.

W pół do jakiejś godziny. Adam Rojtman miał ochotę spojrzeć na ręczny zegarek, przyjaźnie tykający na nocnym stoliku, ale bał się że obudzi żonę zapalając światło. Żona spała w pozie pełnej wdzięku, trochę na boku, trochę na brzuchu, przypadła twarzą do mężowskiego ramienia, i Adam czuł jej pierś na łokciu.

Byli już piąty rok po ślubie, ale nawet w północy Rojtman czuł jak przepenia go tkliwość, że ma ją obok siebie, że ona śpi tak jakoś śmiesznie, grzejąc między jego łydkami swoje malutkie, wciąż ziębące stópki.

Adam dopiero co zbudził się z jakiegoś głupiego snu. Chciał zasnąć znowu, ale już zdążył mu się przypomnieć wieczorny dziennik radiowy, później — biurowe przykrości, zaczęły tłoczyć się myśli jedna po drugiej, otworzył oczy na dobre i w końcu naszła go ta nocna trzeźwość przy której sensu już nie mają żadne próby zaśnięcia.

Hałas, tupot i zgrzyt przesuwanych mebli, które przez cały długi wieczór dochodziły z góry, z mieszkania Makaryginów — zdążyły już dawno ucichnąć.

W szparze między firankami widać było przez okno słabiutką, szarawą poświatę nocną.

W nocnej bieliźnie, leżąc na wznak bez snu, Adam Beniaminowicz Rojtman nie czuł w sobie tej stanowczości, którą daje pozycja służbowa i tego prawa do rozkazywania ludziom, które we dnie dawały mu epolety majora MGB i znaczek laureata nagrody stalinowskiej. Leżał na wznak i jak każdy

zwykły śmiertelnik czuł, że świat jest pełen ludzi, że jest okrutny i że żyć na nim nie jest łatwo.

Wieczorem, właśnie gdy u Makaryginów tak wesoło się bawiono, przyszedł do Rojtmana pewien jego dawny przyjaciel, też Żyd. Przyszedł bez żony, markotny i mówił o niewesołych rzeczach.

To nie było nic nowego. To zaczęło się jeszcze zeszłej wiosny. Z początku rozgrywało się na terenie krytyki teatralnej i wyglądało na niewinne wymienianie w nawiasach dawnych, żydowskich nazwisk. Później prześliznęło się do literatury. W jakiejś drugorzędnej gazecie, zajmującej się wszystkim, prócz bezpośrednich swoich zadań, ktoś użył cichcem jadowitego słóweczka — *k o s m o p o l i t a*. Znalezione termin! Wspaniałe, dumne słowo, jednoczące wszystkie kręgi wszechświata, słowo, którym zaszczycano geniuszy najbardziej szlachetnych — Dantego, Goethego, Byrona — słowo to w gazecie wyleniało, zeszło się, pomarszczyło, zasyczało i zaczęło znaczyć tyle, co *g u d ł a j*.

A później popełzło już dalej i wstydliwie poszukało schronienia w teczkach personalnych za dobrze zamkniętymi drzwiami.

A teraz to zimne tchnienie przesaczyło się już do kręgów technicznych. Rojtman, który dotychczas niepowstrzymanie, błyskotliwie kroczył ku sławie — dobrze odczuł jak chwiejna stała się jego pozycja właśnie w ciągu ostatniego miesiąca.

Czyżby pamięć go zawiodła? Przecież podczas rewolucji i długo jeszcze po niej słowo „Żyd” uchodziło za o wiele bardziej prawomyślne od słowa „Rosjanin”. Rosjanina trzeba było jeszcze sprawdzać — a kim byli jego rodzice? czym się trudnili przed siedemnastym rokiem? Żyda zaś nie było co sprawdzać: Żydzi wszyscy jak jeden mąż sprzyjali rewolucji, która wyzwoliła ich od grozy pogromów i zniosła linię osiedlenia.

I oto... ukrywając się za plecami drugorzędnych postaci, Josif Stalin brał teraz do ręki bicz prześladowcy Żydów.

Kiedy jakaś grupa ludzi jest dyskryminowana bądź za to, że jej członkowie byli ciemżycielami, albo tworzyli kastę panującą — bądź za ich polityczne poglądy, czy nawet za podejrzane znajomości, zawsze można to usprawiedliwić w sposób racjonalny (albo pseudo-racjonalny?). Bo wtedy człowiek wie, że sam sobie wybrał ten los, że mógł przecież w końcu nie należeć do tej grupy. Ale — narodowość?...

(Wewnętrzny, nocny oponent natychmiast przypomniał Rojtmanowi: ale przecież pochodzenia społecznego też nikt sobie nie wybierał? A jednak było się za nie prześladowanym).

Nie, największa krzywda, według Rojtmana na tym polegała, że człowiek z całej duszy chce być *s w o i m*, takim jak

wszyscy, a tu właśnie go nie chcą, odpychają, powiadają mu: ty jesteś obcy. Przybłąda. Gudłaj.

Scienny zegar w jadalni zaczął bić bez pośpiechu, z godnością, ale po czterech uderzeniach zamilkł. Rojtman oczekiwał piątego uderzenia i ucieszył się, że to dopiero czwarta. Zdaży jeszcze pospać.

Poruszył się lekko. Żona zamruczała przez sen, odwróciła się na drugi bok, ale plecami też się instynktownie przytuliła do męża. Obrócił się na poduszce twarzą do niej, kuląc się, tak, jak ona. Objął ją ramieniem. Uspokoiła się, ucichła.

Synek też spał cichutko w jadalni. Nigdy nie krzyknie w nocy, nie zawoła.

Trzyletni mądrała był dumą młodych rodziców. Adam Beniaminowicz opowiadał z zachwytem o jego figlach i przyzwyczajeniach nawet więźniom w Akustycznej, z typową dla ludzi szczęśliwych niedelikatnością nie zdając sobie sprawy, jak to może boleć ich, pozbawionych radości ojcostwa. Synek trajkotał dziarsko, ale wymowę miał niepewną, we dnie — naśladował matkę (pochodziła znad Wołgi i ze szczególnym naciskiem wymawiała samogłoskę „o”), wieczorem zaś ojca, gdy ten wracał z pracy (Adam zaś nie tylko grassejował, lecz w ogóle miał liczne wady wymowy).

Jak to w życiu bywa, skoro szczęście już się zdarzy, to nie chce znać granic. Miłość i ożenek, później przyjsie na świat synka — to wszystko zbiegło się dla Rojtmana z końcem wojny i z przyznaniem mu nagrody stalinowskiej. Zresztą, wojna też mu nie dokuczyla: w spokojnej Baszkirii, mając zapewniony przydział żywnościowy wysokiej klasy, Rojtman i jego koledzy, dziś pracujący w Mawrinie, zajęci byli konstruowaniem pierwszego systemu szyfracji telefonicznej. Dziś ten system wydaje się prymitywny, ale wtedy zostali dzięki niemu laureatami.

Z jakim zapałem pracowali wtedy! Gdzie się podział ówczesny entuzjazm twórczy, pęd do poszukiwań, chwile uniesień?

Z jasnością, która dana jest człowiekowi tylko przy czuwaniu w ciemnościach, kiedy nic z zewnątrz nie przeszkadza zajrzeć w głąb własnego jestestwa, Rojtman zrozumiał raptem — czego właściwie brak mu było w ciągu ostatnich lat. Tak, na pewno — to mu dokuczało, że wszystko robił teraz już nie własnymi rękoma.

Rojtman nie zauważył nawet kiedy i jak przestał być twórcą i stał się tylko zwierzchnikiem innych twórców...

Jak oparzony cofnął ramię, którym żonę obejmował, poprawił sobie poduszkę i znów położył się na grzbiecie.

Tak, tak, tak! to łatwe, to ńęci! — w sobotę wieczorem jadąc do domu na całe półtorej doby, myśląc już tylko o rozkoszach domowego zacisza i o planach na niedzielę — móc powiedzieć: „Walenty Martynycz! Więc jutro pan przemyśli jeszcze sprawę usunięcia ekstralinearnych wad fonii? Panie Lwie! Przejrzy pan sobie jutro ten artykuł z „Proceedings”? Zechce pan zasadnicze myśli ująć na piśmie w tezy?” W poniedziałek rano człowiek wraca wypoczęty do pracy — a na biurku czeka już na niego, jak w bajce — napisane po rosyjsku streszczenie artykułu z „Proceedings”, Priancykow zaś referuje, w jaki sposób można usunąć wady ekstralinearne, a może nawet sam już je usunął w niedzielę.

Duża wygoda!...

I więźniowie nie mają pretensji do Rojtmana, lubią go nawet. Dlatego że zachowuje się wobec nich nie jak strażnik, tylko po prostu jak przyzwoity człowiek.

Ale radość tworzenia, błysk zjawiających się nagle rozwiązań i gorzyc niespodzianych porażek — to wszystko już go opuściło!

Zrzucił kódrę, usiadł na łóżku, objął rękoma kolana, przycisnął do nich brodę.

Czym właściwie zajmował się przez te wszystkie lata? Intrygami. Walką o pierwszeństwo w instytucie. Razem z grupą przyjaciół robił wszystko, żeby oczernić i zepchnąć ze stolca Jakonowa — bo byli zdania, że wykorzystuje mir, jakim się cieszy i swoją pewność siebie, aby usunąć ich w cień i samemu zdobyć nagrodę stalinowską. Wiedząc, że Jakonow ma masło na głowie z powodu swojej przeszłości, że nie przyjęto go właśnie dlatego do partii, mimo, że bardzo się o to starał — „młodzi” wykorzystywali do ataku teren zebrzań partyjnych: czynili przedmiotem dyskusji jego sprawozdanie, a gdy już je wygłosił — prosili, aby wyszedł z sali obrad, albo też w jego obecności („głosują tylko członkowie partii”) debatowali i proponowali własną rezolucję. I zawsze Jakonow był w takich rezolucjach przedmiotem krytyki. Rojtmanowi było go nawet chwilami żal. Ale nie widział innego wyjścia.

Jakiego złowieszczego znaczenia nabrało nagle to wszystko! Prowadząc nagonkę przeciw Jakonowowi „młodzi” nie pomyśleli nawet, że spośród ich pięciu — czterech jest żydowskiego pochodzenia. Jakonow teraz nie omija żadnej okazji, aby przypominać z trybuny, że kosmopolityzm jest najgorszym wrogiem socjalistycznej ojczyzny.

Wczoraj, po burzy rozpetanej przez ministra, owego fatalnego dla Mawrina dnia, więzień Markuszew wysunął pomysł połączenia obu systemów — klippera z wokoderem. Najprawdopo-

dobniej to idiotyzm, ale mógł być zaprezentowany kierownictwu jako zasadnicza reforma — dlatego też Jakonow rozkazał natychmiast przenieść cały wokoder do Siódemki i przydzielił też do niej Priancykowa. Rojtman w obecności Sewastianowa zaczął protestować, wdał się w spór, ale Jakonow pobłażliwie, jakby mitygując zbyt zapalczego przyjaciela, poklepał go po ramieniu.

— Panie Adamie! Niech pan nie każe towarzyszowi wiceministrowi myśleć, że swoje prywatne interesy stawia pan ponad interesami Departamentu Techniki Specjalnej.

Na tym właśnie polegał tragizm obecnej sytuacji: bili człowieka po mordzie — a nie wolno było płakać. Dusili w biały dzień — i jeszcze żądali, żeby ofiara biła brawo w pozycji na baczność!

Zegar wybił piątą — ale Rojtman nie słyszał nawet połowy uderzeń.

Nie tylko spać mu się nie chciało. Ale nawet łóżko już robiło się za ciasne.

Bardzo ostrożnie, noga za nogą Adam wysliznął się z pościeli, wsunął stopy w nocne pantofle. Starając się nie robić żadnego hałasu wyminął krzesło stojące na drodze, podszedł do okna i rozchylił jedwabne firanki.

O-o, ile śniegu napadało!

Naprzeciw, po drugiej stronie dziedzińca rozciągał się odległy, zapuszczony kąk Parku Nieskucznego — jar o stromych, zaśnieżonych zboczach, na których wznosiły się uroczyście sosny, całe w bieli. Wzdłuż ram okiennych też już narosły z zewnątrz skośnie pasemka puszystego śniegu.

Ale śnieżycy już kończyła się.

Czuł kolanami gorąco bijące z kaloryferów pod oknem.

Co również mu przeszkadzało w nadążaniu za postępem w nauce, to te ciągłe posiedzenia, te papierki, które zupełnie go zadreżyły. Co poniedziałek — szkolenie polityczne, co piątek — szkolenie techniczne, dwa razy na miesiąc — zebrania partyjne, dwa razy posiedzenia egzekutywy, a jeszcze co miesiąc trzeba dwa-trzy wieczory spędzić w ministerstwie, bo wzywają, raz na miesiąc specjalne zebrania w sprawie przestrzegania czujności, co miesiąc trzeba składać kolejny plan pracy naukowej, co miesiąc musi się wysyłać sprawozdania z wykonania tego planu, raz na trzy miesiące trzeba, diabli wiedzą po co, pisać charakterystyki wszystkich więźniów (roboty na cały dzień), a jeszcze co pół godziny ktoś z podwładnych przychodzi z zapotrzebowaniem do podpisu — byle kondensatorek wielkości irysa, każdy metr drutu i każda lampa radiowa muszą mieć kontrasygnatę kierownika pracowni, bo inaczej magazyn nic nie wyda.

Ach, dość tej mitręgi, i tej całej walki o pierwszeństwo! — posiedziałyby lepiej człowiek nad schematami, pottrzymałby w ręku kolbę lutowniczą, zobaczyłby w zielonkawym okienku elektronicznego oscylografu swoją wytęsknioną krzywą — i mógłby wtedy beztrudnie sobie śpiewać „boogie-woogie”, jak Priancykow. Ma trzydzieści jeden lat — a już uważałby to za szczęście: — żeby nie czuć już więcej ciężaru epoletów, zapomnieć o powadze, wrócić do zainteresowań z chłopięcych lat — coś konstruować, fantazjować trochę.

Pomyślał o chłopięcych czasach i kaprys pamięci kazał mu — z bezlitosną jasnością nocnych dumań — przypomnieć sobie pewien epizod zapomniany dawno, od wielu lat niedopuszczany do świadomości.

Dwunastoletni Adam z pionierską chusteczką na szyi, ze szlachetnym oburzeniem, od którego aż głos mu drgał, stał przed przybyłymi na zebranie pionierami z całej szkoły — i oskarżał, i żądał usunięcia z pionierskich szeregów a także z sowieckiej szkoły chłopca, który okazał się agentem wroga klasowego. Przemawiali przed nim i po nim — Mitia Sztitelman, Miszka Luksemburg i wszyscy oni demaskowali swego szkolnego kolegę, Olega Roźdiestwieńskiego, zarzucając mu antysemityzm, chodzenie do cerkwi, obce klasowo pochodzenie. Raz po raz rzucali uniestwiające spojrzenia na podsądnego, drżącego chłopca. Był to koniec lat dwudziestych, chłopcy entuzjastowali się jeszcze polityką, gazetkami ściennymi, samorządem szkolnym, publicznymi dyskusjami. Wszystko to działo się w południowym mieście, Żydzi stanowili chyba połowę klasy. Chociaż byli przeważnie synami prawników, dentystów, a nawet drobnych kupców, — wszyscy oni mieli się za proletariuszy i bronili tego przekonania z całą zaciekłością.

Oleg — błądy, chudziutki, pierwszy uczeń, unikał wszelkich rozmów o polityce i z jawną niechęcią wstąpił do zastępu pionierskiego. Chłopcy z kółka entuzjastów nabrali podejrzania, że Oleg — to obcy element. Zaczęli go śledzić, starali się na czymś przyłapać. Pewnego razu Oleg dał się złapać; powiedział mianowicie: „każdy człowiek ma prawo mówienia wszystkiego, co myśli”. — „Jak to wszystkiego? — rzucił się na niego Sztitelman. — O, Nikoła woła na mnie 'żydowska mordą' — to też ma być dozwolone?” — „Mówić? — nie ustępował Oleg kręcąc swoją chudziutką szyją — mówić każdy ma prawo, co tylko zechce”.

I od tego rozpoczęła się sprawa Olega! Znaleźli się kompani-donosiciele — Szurik Burikow i Szurik Worozbit, którzy widzieli, jak oskarżony wchodził z mamą do cerkwi i że przy-

szedł pewnego razu do szkoły z krzyżykiem na szyi. Zaczęły się zebrania, posiedzenia komitetu uczniowskiego, komitetu klasowego, apele pionierskie, masówki — i wszędzie przemawiali dwunastoletni robespierzy, piętnując w obliczu uczniowskich mas tego współnika antysemitów i przemytnika religijnego opium, który od dwóch tygodni nie mógł jeść ze strachu, ukrywał w domu, że wyrzucono go z zastępu i że wkrótce będzie wylany ze szkoły.

Adam Rojtman nie był wodzirejem w tej sprawie, inni go wciągnęli — ale nawet teraz wstyd palił mu policzki.

Błędne koło krzywdy! błędne koło! I nie ma z niego wyjścia, jak nie ma wyjścia z pieniackich sporów z Jakonowem.

Trzeba by naprawić świat, ale od czego zacząć? — od innych? A może od siebie?...

W głowie czuł już ten ciężar, a w piersi — tę pustkę, które pozwalają człowiekowi zasnąć. Odwrócił się i cichutko wsunął się pod kołdrę. Trzeba koniecznie zasnąć zanim wybije szósta.

A od samego rana — skoncentrować się na fonoskopii! To jest wielki atut! W razie powodzenia ten projekt może się rozrósć aż do rozmiarów instytutu nauko...



## LXIX

### W PONIEDZIAŁEK RANO

Pobudka w *szaraszce* wypadła o siódmej.

Ale w poniedziałek jeszcze grubo przed pobudką, do izby, w której umieszczono robotników, wszedł strażnik, chwycił stróża za ramię i potrząsnął. Spirydon chrapnął ciężko, zbudził się i przy świetle niebieskiej żarówki przyjrzał się strażnikowi.

— Ubieraj się, Jegorow. Lejtnant wzywa — powiedział strażnik cicho.

Ale Spirydon leżał z otwartymi oczyma i nawet nie drgnął.

— Słysz, powiadam ci, że lejtnant woła.

— A co mu jest? Usnął się? — leżąc dalej bez ruchu zapytał Spirydon.

— Wstawaj, wstawaj — tarmosił go strażnik. — Nie wiem co tam takiego.

— Eeee-eee-eeech! — Spirydon przeciągnął się szeroko, założył porośnięte ręką szczecina rękę za kark i przeciągle ziewnął. — I kiedyż nareszcie taki dzionek przyjdzie, że nie wstanie już człowiek z ławy!... Która będzie godzina?

— A niedługo już szósta.

— Jeszcze szóstej nie ma?! No idź już, dobra.

I leżał dalej.

Strażnik zerknął jeszcze na niego boczkiem i wyszedł.

Niebieska lampka oświetlała poduszkę Spiryдона aż do skośnej krawędzi cienia górnej koi. Tak, w półcieniu i w półświecie Spirydon leżał z rękoma pod głową i wcale się nie ruszał.

Żał mu było snu, którego nie obejrzał do końca.

Jechał na wozie wyładowanym chrustem (a pod warstwą chrustu — schowane przed okiem leśnika — leżały okrągłaki), jechał tak jakby ze swojego lasu do swojej wsi, ale nieznaną drogą. Droga była nieznaną, ale wszystko na niej Spirydon

obojiem oczu (oba oczy tak jakby były zdrowe!) widział we śnie bardzo wyraźnie: i korzenie wzdymające się w poprzek drogi, i drzewo niegdyś piorunem rozszczerzone, i sosnową drągowinkę, i głęboki piach, w którym grzęzły koła. Czuł jeszcze Spirydon we śnie wszystkie różnorakie zapachy przedjesiennego lasu i oddychał nimi głęboko. Dlatego tak oddychał, bo dobrze pamiętał we śnie, że jest zekiem, że dostał dziesięć lat i piątkę na przytarcie rogów, że uciekł widać z *szaraszki*, że już go na pewno szukają i że póki psów jeszcze za nim nie posłano — trzeba zdążyć zawieźć żonie i dzieciom trochę drzewa na opał.

Ale najwięcej radości w tym śnie miał stąd, że koń był nie byle jaki, tylko najulubieńszy ze wszystkich jakie Spirydon miał w życiu — kobyłka Grzywna, różowej maści — pierwszy jego koń, kupiony gdy miała trzy lata, do jego własnego gospodarstwa, zaraz po wojnie domowej. Byłaby cała siwa, gdyby w tej siwiźnie nie rozsiała się równomiernie gniada szerstka mieniająca się czerwienią; dlatego mówiono, że jest różowej maści. Dzięki temu koniowi stanął Spirydon na nogi, tę też kobyłkę zakładał do dyszla kiedy potajemnie wiózł do ślubu swoją narzeczoną, Marfę Ustinowną. I jadąc teraz Spirydon czuł radosne zdumienie, że Grzywna żyje aż do dzisiaj, że wciąż tak samo jest młoda, tak samo bez zatrzymania wciąga wóz pod górkę i tak samo gorliwie wyszarpuje go z piachu. Całą mądrość Grzywna miała w uszach — wysokich, siwych, wrażliwych uszach. Ich drobnymi ruchami, nie obracając łba mówiła gospodarzowi, że rozumie czego mu od niej teraz trzeba i że da sobie radę. Pokazać Grzywnie bat, nawet z daleka i ukradkiem, to by znaczyło ciężko ją obrazić. Powożąc Grzywną, Spirydon nigdy ze sobą nie brał bata. We śnie chciał już prawie zleźć z kozła i pocałować Grzywnę w chrapy, taki był rad, że Grzywna jeszcze młoda i że chyba teraz doczeka się końca jego kary, ale nagle na zjeździe do brzegu rzeczki Spirydon zauważył, że wóz ma załadowany nieporządnie, że przykrycie z chrustu mu się roztrzęsło i że wszystko do reszty może mu się rozwalić, właśnie jak będzie jechał przez bród.

Zeskoczył z wozu jakby go kto zepchnął — a to właśnie strażnik szturchnął go w ramię.

Spirydon leżał teraz i wspominał nie tylko swoją Grzywnę ale dziesiątki koni, w które zdarzyło mu się orać i jeździć w ciągu całego życia (każdy z nich wbił mu się w pamięć jak żywy człowiek) i jeszcze tysiące innych koni, którym się tylko przyglądał z boku — i ciężko mu było, że tak niepotrzebnie, bez żadnego rozumu wytępiono u nas najlepszych chłopskich pomocników — bo jedne zdechły bez owsa i siana,

inne zatłuczono przy robocie, jeszcze inne sprzedano Tatarom na mięso. To co robiono z jakąś myślą — Spirydon mógł zawsze zrozumieć. Ale nie mógł zrozumieć, dlaczego pomarnowano konie. Bajali wtedy, że zamiast konia będzie pracować traktor. Tymczasem wszystko spadło na babskie barki.

Ale żeby to tylko konie! A czy to aby nie sam Spirydon wyrąbywał sady owocowe na futorach, żeby ludziom nie żal tam było niczego, żeby łatwiej dali się zebrać do kupy?...

— Jegorow! — głośno już krzyknął strażnik przez drzwi, jeszcze dwóch więźniów wyrываяc ze snu.

— Toć idę, idę, kurтка na wacie! — natychmiast odpowiedział mu Spirydon, opuszczając bosc nogi na podłogę. I powłócił się w stronę kaloryfera, na którym wisały suche już onuce.

Drzwi zamknęły się za strażnikiem. Sąsiad — kowal zapytał:

— Dokąd to?

— Państwo wołają. Żebym chleba darmo nie żarł — odpowiedział rozeźlony stróż.

U siebie w domu Spirydon nie potrafił się wylegiwać, w więzieniu zaś nie lubił zrywać się o ćmaku. Wstawać przed brzaskiem i pod batem — dla więźnia nie może być nic gorszego.

Ale w Siewurallagu pobudka jest o piątej.

Tak, że tu trzeba było kłaść uszy po sobie.

Okręciwszy żołnierskimi owijaczami skraj watowanych spodni i górną część cholewki żołnierskich buciorów — Spirydon, już obuty i kompletnie ubrany wlaźł jeszcze w granatowy kombinezon, na wierzch nałożył czarny kaftan, nasadził na łeb czapkę z nausznikami, przepasał się przetartym, brezentowym pasem i wyszedł. Został wypuszczony za okute drzwi więzienia i dalej nikt mu już nie towarzyszył. Spirydon ruszył podziemnym korytarzem szurając żelaznymi podkówkami po cemencie, wreszcie wyszedł na podworec po schodni.

Nic nie widząc w śnieżnej pomroce, Spirydon wymacał nogami, że śniegu napadało dokładnie na półtora łokcia. To znaczy, że padał całą noc i to gęsto. Brodząc w śniegu Spirydon poszedł tam, gdzie światło mżyło przez uchylone drzwi sztabu.

Na próg więziennego sztabu wyszedł właśnie dyżurny — lejtnant z plugawymi wąsikami. Opuściwszy niedawno pokój felczerki, skonstatował fatalny nieporządek: wszędzie pełno śniegu. Dlatego kazał zawołać stróża. Założywszy teraz obie dłonie za pas, lejtnant zawołał:

— Dawaj, Jegorow, prędzej! Od głównego wejścia w stronę wartowni, a potem oczyść między sztabem, a kuchnią. No i tu... na spacerniku... Dawaj!

— Jak wszystkim dawać — nic dla męża nie zostanie — mruknął Spirydון skręcając tam, gdzie była łopata i zapadając się w świeżym śniegu po kolana.

— Co? Coś ty powiedział? — spytał go lejtnant groźnym tonem.

Spirydון obejrzał się:

— Ja mówię — j a w o l, szefie, j a w o l! (Niemcy też tak czasem „gyr-gyr”, a Spirydון im tylko — „jawol”). — Proszę tam powiedzieć w kuchni, żeby mi trochę kartofli podrzucili.

— Dobra, sprzątaj już.

Spirydון zachowywał się zawsze rozsądnie, zwierzchności nie drażnił, ale dzisiaj był w osobliwie cierpkim nastroju — i dlatego, że w poniedziałek od samego rana, nawet jeszcze nie ocknąwszy się dobrze, znów musiał harować, i z powodu tego listu z domu, a Spirydון przeczuwał że są w nim złe wieści. I gorycz całego jego pięćdziesięcioletniego dreptania po ziemi zebrała się teraz razem, i paliła w piersi jak zgaga.

Śnieg przestał już sypać. Lipy stały bez drgnienia. Bieleły w ciemności. Ale nie był to już wczorajszy szron, który stopniał w południe, tylko śnieg który spadł w nocy. Ale ciemne niebo i cicha pogoda kazały Spirydonowi przypuszczać, że ten śnieg długo się nie utrzyma.

Spirydון był ponury, kiedy się zabierał do pracy, ale jak się rozgrzał, jak odwalił pierwsze półsetki łopat, poszło mu jakoś sporzej i nawet jakby chęć do pracy się znalazła. I Spirydון, i jego żona już tacy byli: gdy im ciężko było na sercu, ulgi szukali w pracy. Zaraz było lżej.

Spirydון zaczął oczyszczać nie drogę dla panów naczelników, tę od wartowni, jak mu kazano, tylko jak mu własny rozum podpowiadał: najprzód ścieżynkę do kuchni, a potem kolistą drogę na szerokość trzech drewnianych łopat — dla swoich, dla zeków, na spacerniku.

Wciąż myślał o córce. I on, i żona już mieli życie za sobą. Synowie, chociaż za drutami, ale to mężczyźni. Jak się młody nauczka zaciskać zęby — to mu się kiedyś jeszcze przyda. Ale córka?...

Chociaż Spirydון nic nie widział jednym okiem, a drugim — ledwie na trzydzieści procent, ale rozejrzał się po całym obszarze podwórca, jakby kto cyrklem zakreślił — jeszcze w półmroku, akurat o siódmej zobaczył na schodni pierwszych amatorów przechadzki. Byli to Potapow i Chorobrow, którzy wstawali wcześniej od innych i zdążyli umyć się jeszcze przed pobudką.

— Powietrze wydawało się posilne, warte było każdej ceny.

— Daniłycz, co to ma być — zapytał Chorobrow podnosząc kołnierz czarnego wyświechtanego paltota, w którym niegdyś został aresztowany — w ogóle spać się nie kładłeś?

— A bo to pozwolą spać gady? — odparł Spiridon. Ale nie miał już w sobie porannej złości. W ciągu tej godzinnej, milczącej pracy wszystkie ponure myśli o tych, co go tu trzymali, gdzie się rozplynęły, została tylko jasna determinacja człowieka, co przyzwyczał się już do cierpienia. Nie mówiąc tego wyraźnie, słowami — Spiridon w głębi serca już sobie przełożył, że jeżeli nawet córka sama sobie jakiej biedy napytała, to jej też teraz nie łatwo, i odpowiedzieć trzeba będzie łagodnie, bez złorzeczeń.

Ale nawet ta najważniejsza myśl o córce, która spłynęła na niego z nieruchomych, przedrannych lip, też już zaczęła być wypierana przez drobne, codzienne myśli — o dwóch deskach, które gdzieś śnieg zasypał, i o tym, że miotłę trzeba by teraz osadzić na grubszym stylisku. Tymczasem przyszła już pora, żeby oczyścić drogę od wartowni — dla samochodów i dla wolniaków. Spiridon wziął łopatę na ramię i zniknął za węglem *szaraszki*.

Sołogdin, stąpając lekko i zręcznie, w waciaku narzuconym tylko na niebojące się mrozu ramiona, wyszedł żeby popracować przy drwach. Po wczorajszej bezsensownej szamotaninie z Rubinem, po wysłuchaniu jego denerwujących zarzutów, pierwszy raz od dwóch lat spał w *szaraszce* źle — i teraz rankiem szukał powietrza, samotności i przestrzeni, bez której źle się myśli. Napiłował sporo klocków, teraz tylko rąbać.

Potapow w żołnierskim płaszczu, zafasowanym jeszcze przy szturmie Berlina, kiedy posadzili go na czołgu razem z innymi desantowcami (zanim poszedł do niewoli, był oficerem, ale byłym jeńcom żadnych rang nie uznawano) — powoli spacerował z Chorobrowem przypadając na poranioną niegdyś nogę.

Chorobrow dopiero co zdołał zwalczyć senność i umyć się, ale już jego myśli były pełne właściwej mu, stale czujnej uwagi. Słowa, jakie z siebie wyrzucał zdawały się opisywać czczą pętlę w ciemnym powietrzu, wracały jak bumerang i godziły w piersi samego Chorobrowa:

— Czyśmy to dawno temu czytali, że fordowski konwejer przekształca robotnika w maszynę i że jest to najbardziej nieludzki symbol kapitalistycznego wyzysku? Ale minęło piętnaście lat i ten sam konwejer pod nazwą *produkcji taśmowej* jest u nas sławiony jako najdoskonalsza i najnowsza forma wytwarzania! Gdyby trzeba było teraz przeprowadzić jeszcze jeden

powszechny chrzest Rusi — Stalin już by na pewno potrafił powiązać go z ateizmem.

Potapow bywał rankami zawsze w melancholijnym nastroju. Ranek był jedyną porą dnia, kiedy mógł pomyśleć o zmarnowanym życiu, o synu rosnącym bez ojcowskiej opieki, o żonie usychającej w samotności. Później kołowrotek pracy wciągał go i nie było już czasu na żadne dumania.

W słowach Chorobrowa było, jak mu się zdawało, zbyt wiele rozdrażnienia, a to z kolei też może zbić człowieka z pantałyku. Dlatego niezdarnie wyrzucając do przodu okaleczoną stopę, kroczył w milczeniu i starał się tylko oddychać jak najgłębiej i jak najbardziej miarowo.

Robili krąg za kręgiem.

Spacerujących było już więcej. Przechadzali się samotnie, albo parami, czy we trzech. Z różnych powodów woleli treści swoich rozmów nie rozgłaszać i dlatego nie starali się deptać sobie po piętach, czy wyprzedzać się bez potrzeby.

Dopiero świtało. Zaciągnięte śniegowymi chmurami niebo nie kwapiło się z odbijaniem światła brzasku. Latarnie rzucały jeszcze żółte kręgi na śnieg.

W powietrzu stała ta świeżość, którą daje tylko dopiero co spadły śnieg. Pod nogami nie skrzypiał, tylko zbijał się miękko.

Wysoki, tyczkowaty Kondraszew w pilśniowym kapeluszu (jeszcze nie był w łagrach) przechadzał się w towarzystwie malutkiego, szczupłego Gerasymowicza (ten nosił cyklistówkę) swego sąsiada z celi. Gerasymowicz nie sięgał Kondraszewowi nawet do ramienia.

Gerasymowicz zupełnie zgębiony wczorajszym widzeniem, aż do końca niedzielnego dnia przeleżał w łóżku, jakby był chory. Pożegnalny krzyk żony wstrząsnął nim. Dzisiejszego ranka zmusił się do wyjścia na dziedziniec, zziębnięty, opatulony i chciał zaraz wracać do więzienia. Ale spotkawszy Kondraszewa zgodził się zrobić z nim kółeczko — i wciągnął się w rozmowę, której starczyło na cały spacer.

— Jak to?! Pan nic nie wie o Pawle Dmitriewiczu Korinie? — dziwił się Kondraszew tak, jakby każdy uczeń musiał to wiedzieć. — Ooo! Podobno namalował — tylko nikt tego nie oglądał — niezwykły obraz „Ruś niktąca”! Jedni mówią, że ma sześć metrów długości, inni — że dwanaście. A na tym obrazie...

Zaczynało już szarzeć.

Strażnik chodził po dziedzińcu i krzyczał, że spacer skończony.

W podziemnym korytarzu powracający, rześcy więźniowie niechcący szturchali przepychającego się ku wyjściu, chorobliwie



bladego Rubina z brodą na kształt chmury. Przespał dzisiaj nie tylko piłowanie (niesposób było tam iść po kłótni z Sołogdinem) ale również poranny spacer. Po krótkim, wymuszonym śnie czuł w całym ciele ciężar i otępienie, jakby nabite było watą. Czuł nadto niedobór tlenu, jakiego nie znają ci, którzy mogą oddychać kiedy chcą. Próbował teraz wyrwać się na dwór po jeden choćby haust świeżego powietrza i przygarść śniegu do nacierania.

Ale strażnik stojący u szczytu schodni już go nie puścił.

Rubin zatrzymał się tuż pod schodnią, w zalanej cementem jamie, do której jednak nawiało trochę śniegu i dokąd dochodziło świeże powietrze. Tutaj też trzykrotnie zakręcił wyprostowanymi ramionami oddychając przy tym głęboko, następnie nabrał śniegu z dna jamy, obtarł nim twarz i powłókł się z powrotem do więzienia.

Szedł za nim jeszcze zgłodniały, rozgrzany Spirydon, który oczyścił już drogę dla samochodów aż do samej wartowni.

W sztabie więzienia dwaj lejtnanci — przekazujący dyżur, ten z kwadratowymi wąsikami i obejmujący służbę lejtnant Żwakun, otworzyli kopertę, aby zapoznać się z przysłanymi im przez majora Myszyzna zleceniami.

Lejtnant Żwakun — ordynarny, szerokomordy, bardzo małomówny chłop, służył podczas wojny jako sierżant sztabowy pełniąc funkcję „wykonawcy wyroków sądu wojskowego” dywizji i tam dosłużył się awansu. Bardzo cenił sobie swoją służbę w specywiezieniu i niebardzo dowierzając swoim umiejętnościom, przeczytał dwukrotnie rozporządzenie Myszyzna, żeby tylko czego nie pomylić.

Za dziesięć dziewiąta zaczęli obaj obchód cel sprawdzając listę obecności. Wszędzie też obwieścili to, co im kazano:

„— Wszyscy więźniowie w ciągu trzech dni mają dać majorowi Myszynowi spis swoich krewnych w linii prostej według następującego schematu: kolejny numer, nazwisko, imię oraz imię ojca krewnego, stopień pokrewieństwa, miejsce pracy i adres domowy.

Za krewnych w linii prostej uważani są: matka, ojciec, żona ślubna, syn i córka z legalnego związku. Wszyscy pozostali — bracia, siostry, ciotki, kuzynowie, wnuczeta i babki uważani są za krewnych w linii nieprostej.

Od pierwszego stycznia na korespondencje i widzenia będzie zezwalać się jedynie krewnym w linii prostej wymienionym w spisie, który więzień przedstawi.

Ponadto, od pierwszego stycznia rozmiary comiesięcznego lis-



tu zostają unormowane i nie mogą przewyższać podwójnej strony z zeszytu”.

Była to tak zła wiadomość, takie to było bezwzględne, że nie można było tego od razu objąć myślą. Dlatego nikt nie rozpaczał, ani nie oburzał się głośno. Jedyne gniewne i drwiące okrzyki ścigały Żwakuna:

— Dosiego roczku!

— Wszystkiego najlepszego!

— Ku-ku!

— Piszcie donosy na rodzinę!

— A szpicle sami znaleźć nie mogą?

— Dlaczego wielkość liter jeszcze nie unormowana? Jakże duże mają być litery?

Żwakun licząc więźniów starał się jednocześnie zapamiętać co i kto wykrzykiwał, żeby później donieść majorowi.

Zresztą, więźniowie są wiecznie niezadowoleni, wszystko jedno, czy im dobrze, czy źle...

Szli do pracy w przynębieniu.

Nawet ci z nich, którzy dawno już siedzieli — też byli oszołomieni okrucieństwem nowego przepisu. Okrucieństwo miało tu dwie strony. Jedna na tym polegała, że zachować ciekawą, życiodajną nitkę kontaktu z najbliższymi będzie można teraz tylko za cenę policyjnego donosu na nich. A przecież wielu z nich na wolności potrafiło ukryć aż do dziś, że mają kogoś bliskiego za kratami — i tylko to zapewniało tamtym pracę i mieszkanie. Po drugie — okrucieństwo polegało na tym, że usuwano za nawias nie zarejestrowane urzędowo żony i dzieci, a także braci, siostry tym bardziej kuzynów. Ale po wojnie z jej bombardowaniami, ewakuacją, głodem — niektórym zekom zostali tylko tacy krewni. A ponieważ do aresztowania nikomu nie pozwalają się przygotować, nikt się przed nim nie spowiada, nie przystępuje do komunii, nie rozlicza się z życiem — więc też wielu zostawiło na wolności wierne swoje przyjaciółki, zostawiło je bez czarnego stempla urzędu stanu cywilnego w paszporcie. I oto takie przyjaciółki uznano teraz za obce osoby...

Nawet najbardziej zaprzysiężeni entuzjaści pracy opuścili teraz ręce. Po dzwonku snuli się jeszcze długo, zbierali się grupami w korytarzach, palili, rozmawiali. Gdy zasiedli zaś przy swoich biurkach i warsztatach, znów zabierali się do palenia, znów prowadzili rozmowy, a wszystkich najbardziej absorbowowało takie pytanie: czy to możliwe, że w centralnej kartotece aż do tej pory nie są skompletowane i usystematyzowane informacje o wszystkich krewnych zeka? Nowicjusze i naiwni nie chcieli w to wierzyć. Ale starzy, kuci na cztery nogi więźniowie po-

ważnie kiwali głowami: tłumaczyli, że kartoteka krewnych wcale nie jest uporządkowana; że za obitymi czarną skórą drzwiami często nikomu się nie chce bawić w „łapanie pcheł” i zajmować wyłuskiwaniem danych z niezliczonych kwestionariuszy; że kancelarie więzienne nie robią na czas zestawień z ksiąg widzeń i paczek; że dzięki temu spis krewnych, którego żądają Klimentiew i Myszyn jest najbardziej skutecznym ze śmiertelnych ciosów, jakie więzień może zadać swoim najbliższym.

Taki był przedmiot tych rozmów — a pracować nikomu się nie chciało.

Ale tego poranka rozpoczynał się ostatni tydzień roku w trakcie którego — było to pragnieniem więziennej zwierzchności — trzeba było zdobyć się na heroiczny wysiłek, aby wykonać roczny plan 1949 roku, jak również plan z grudnia — a także rozpracować i zatwierdzić roczny plan na 1950 rok, dalej — plan pierwszego kwartału, podobnie jak plan na miesiąc styczeń i wreszcie plan na pierwszą dekadę stycznia. Wszystko co było tej pracy częścią papierową — miała wykonać zwierzchność sama. Wszystko, co było robotą — mieli wykonać więźniowie. Dlatego takie dzisiaj było ważne, żeby więźniowie kipieli entuzjazmem.

Kierownictwo instytutu nie miało żadnego pojęcia o katastrofalnym porannym oświadczeniu kierownictwa więzienia, działającego w zgodzie z własnym planem rocznym.

Nikt nie mógłby oskarżyć ministerstwa bezpieczeństwa państwowego o trzymanie się zasad Ewangelii! A przecież miało ono pewną cechę ewangeliczną: nie wiedziała prawica, co czyni lewica.

Na twarzy majora Rojtmana po goleniu nie widać już było śladów nocnej rozterki. Zwołał on naradę produkcyjną Pracowni Akustycznej z udziałem wszystkich zeków i wszystkich wolnych pracowników właśnie po to, aby poinformować ich o nowych planach. Rojtman miał murzyńskie usta i podłużną, rozumną twarz. Jego chuda pierś w zbyt dużej bluzie przekreślona była na ukos paskiem koalicyjnym, który wydawał się szczególnie niepotrzebny, nie na miejscu. Major chciał sam nabrać otuchy i dodać jej podwładnym, ale miazmaty rozkładu przeniknęły już pod sklepienie pracowni: w samym jej środku ziała pustka, tam, gdzie stał niedawno wokoder; nie było już Priancykowa, perły w koronie Akustyki; nie było Rubina, który zamknął się w towarzystwie Smołosidowa na trzecim piętrze; sam Rojtman zresztą chciał jak najprędzej zakończyć zebranie i też tam iść.

Z wolniaków brak było Símoczki, która znów wzięta za kogoś zastępstwo i miała przyjść dopiero po obiedzie. Dobrze,

że chociaż jej nie ma! chociaż to jedno sprawiało ulgę Nierzynowi! — Jak mógłby porozumiewać się z nią teraz znakami i karteczkami?

Podczas zebrania Nierzyn siedział wpiernając plecy w sprężyste, giętkie oparcie swojego krzesła i trzymając nogi na dolnej poprzeczce cudzego biurka. Przeważnie wyglądał przez okno.

Za oknami zaczął wiać zachodni wiatr, bardzo chyba wilgotny. Zachmurzone niebo nabrało barwy ołowiu, śnieg zaczął mięknąć i zapadać się. Nadciągała jeszcze jedna, bezsensowna, zgniła odwilż.

Nierzyn siedział niewyspany, oklapnięty. Bruzdy na jego twarzy były w tym szarym świetle ostrzejsze, kąty warg opuszczone. Opanował go znany wielu więzniom nastrój poniedziałkowego ranka, kiedy człowiekowi się wydaje, że nie ma już wcale sił, aby ruszać się i żyć. Zwężonymi oczyma bezmyślnie wpatrywał się w ciemny płot i stojącą na wprost okna wieżyczkę z siedzącym w niej k o g u c i k i e m.

Co to znaczy jedno widzenie na rok! Miał to widzenie dopiero wczoraj. Wydawało się, że to co najważniejsze, najniezbędniejsze, zdoła powiedzieć tak, aby na długo starczyło! I oto już dziś...?

Kiedy jej znowu o tym będzie mógł powiedzieć? Napisać? Ale jak? Czy wolno mi ujawnić twoje miejsce pracy?... Po tym co było wczoraj i tak jest jasne — że nie można.

Czy tak to jej wyjaśnić: ponieważ nie mogę im podać twoich danych, więc korespondencję musimy przerwać. Ależ adres na kopercie sam już będzie donosem! W ogóle nic nie pisać? Ale co ona sobie pomyśli? Dopiero wczoraj uśmiechałem się do niej, a od dziś zamilknę na wieki?

Poczuł nagle jak imadło — ale nie żadne poetycko-metaforyczne, tylko olbrzymie, ślusarskie z ząbkowanymi szczękami, z obustronnym wgłębieniem na ludzką szyję — ściska mu coraz bardziej pierś i już odbiera dech.

Nie można było znaleźć wyjścia! Każde było złe.

Uprzejmy, krótkowzroczny Rojzman miękko patrzył przez swoje astygmatyczne szkła i tonem wcale nie rozkazującym, tylko znużonym i przechodzącym czasem w błagalny — mówił o planach, o planach, o planach.

Był to jednak siew na kamieniu.

## LXX

### BECZKA NA PODWORCU

W biurze konstruktorskim również zwołano zebranie w poniedziałek rano. Wolniaki i zeki skupili się i siedzieli razem koło kilku biur.

Chociaż okna biura wychodziły na południe i to na górnym piętrze, ale szary poranek niewiele dawał światła i przy kilku stołach kreślarskich paliły się lampy.

Podpułkownik, szef biura, bez wstawania z krzesła i szczególnego nacisku mówił o wypełnieniu planów, o nowych projektach i o kontr-zobowiązaniach socjalistycznych. Wstawił ten punkt do planu, ale sam nie wierzył, że pod koniec przyszłego roku gotowy już będzie techniczny projekt absolutnego szyfratora i teraz kreślił perspektywy tak, aby zostały jakieś zapasowe furtki dla jego konstruktorów.

Sołogdin siedział w tylnym rzędzie i nad głowami siedzących patrzył w ścianę swoimi jasnymi oczyma. Cerę miał gładką, świeżą, nikt nie mógłby przypuścić, że Sołogdin myśli teraz o czymkolwiek, albo że jest zatroskany. Wyglądało raczej na to, że wykorzystuje zebranie tylko dla odpoczynku.

A tymczasem — myślał bardzo intensywnie. Zostało mu wszystkiego kilka godzin, albo nawet minut — nie wiedział dokładnie, na bezbłędne rozwiązanie najważniejszego w całym życiu zadania. Rąbiąc drwa przez cały ranek nie zdołał zapamiętać ani jednego polana, ani jednego własnego uderzenia — bo rozmyślał. I podobnie jak w przyrządach optycznych obracają się pryzmaty, coraz to inną swoją płaszczyzną odbijając promienie, tak samo w nim przez cały ten czas obracały się na nierównoległych i nieprzecinających się osiach i sypały skrami — jego własne myśli.

Poranny komunikat więzienny powitał Sołogdin z uśmiechem.

Dawno już przewidział takie obostrzenie. Przygotował się do niego wcześniej od innych: sam zaprzestał korespondencji. Poranny komunikat przekonał go tylko, że słusznie przewidywał stałe zaostrenie więziennego reżymu. Naturalny sposób wyjścia na wolność zwany „końcem kary” nie będzie stosowany.

Ale najwięcej przykrości i goryczy czuł wtedy, gdy przypominał sobie, jak to wczorajszy spór z Rubinem bezsensownie zmienił kierunek, jak Rubin zaczął zachowywać się tak, jakby miał prawo być sędzią Sołogdina. Można było wykreślić Lewka Rubina z tablicy honorowej przyjaciół, postarać się go zapomnieć — ale niesposób było zapomnieć rzuconego przezeń wyzwania. Już zostało w pamięci i jątrzyło.

Narada skończyła się, uczestnicy wrócili do swoich biur.

Biurko Laryssy nie było zajęte: miała dyżur w niedzielę, więc za to dzisiaj odpoczywała.

Tym lepiej. Jak to zawsze się zdarza, kobieta wczoraj dopiero zdobyta, dziś by mu już przeszkadzała.

Sołogdin zdjął stary, brudny arkusz przyszpilony do jego stołu pluskiewkami; rozłożony był pod nim rysunek techniczny centralnego węzła mechanizmu szyfrującego.

Wsparty na poręczy krzesła Sołogdin dłuższą chwilę stał nad projektem.

Im dłużej wchłaniał oczyma szczegóły swojego dzieła — tym był spokojniejszy. Pryzmatyczne zwierciadła wirowały w nim coraz wolniej i wolniej. Ich osie stawały się jakby coraz bardziej równoległe.

Jedna z kreślarek, jak to robiła co tygodnia, obchodziła stoły konstruktorów i odbierała stare, niepotrzebne arkusze, aby je zniszczyć. Arkuszy nie wolno było drzeć i wrzucać do kosza. Spisywało się komisyjnie ich ilość, następnie zaś palono je na podwórku.

Sołogdin wziął gruby, miękki ołówek, przekreślił nim nie dbale swój projekt parę razy i zasmarował go tu i ówdzie grafitem.

Później odczepił pluskiewki, naderwał papier z jednej strony, złożył go razem z brudnym arkuszem ochronnym, dodał jeszcze jeden, już niepotrzebny, zmiął wszystko razem i podał kreślarce:

— Bardzo proszę, trzy arkusze.

Potem usiadł, dla picu otworzył repertorium techniczne i zerkał ostrożnie, co dalej dzieje się z jego arkuszem.

Dwie kreślarki liczyły zgromadzone papiery i pisały protokół.

Sołogdin wypatrywał, czy aby ktoś z konstruktorów nie podejdzie, żeby przejrzeć arkusze.

Nie podszedł nikt.

O, to było wyraźnie niedopatrzenie ze strony Szyszkiń-Myszkiń; zanadto ufali ogniovi! Cemu to nie stworzyli równoległe z biurkiem konstruktorskim jeszcze jednego — operkonstruktorskiego, które zajmowałoby się rozpatrywaniem i studiowaniem wszystkich projektów skazanych w pierwszym z tych biur na spalenie?

Nie miał z kim się podzielić tym konceptem i sam do siebie uśmiechnął się pod wąsem.

Nareszcie kreślarki wyszły, zwinawszy przedtem wszystkie zaprotokołowane arkusze w rulon i wzięwszy zapałki od kogoś z palaczy.

Sołogdin rytmicznie stawiał krechy na papierze kalkulując w milczeniu: teraz zeszyły ze schodów wdziewają płaszcz; teraz powinny zjawić się na podwórku.

Postawiony sztorcem kreślarski stół zasłaniał go tak, że prawie był niewidoczny dla obecnych w pokoju, sam zaś miał dobry widok na ten właśnie kąt podwórca, gdzie była postawiona żelazna, zakopcona beczka. Obrotny Spiridon zdążył przeczeć rankiem drózkę nawet do niej. Ponadto śnieg zwilgotniał, zbił się i obie kobiety bez trudu doszły do beczki w swoich botach.

Ale długo nie potrafiły zapalić pierwszego arkusza. Z początku zapalały po jednej zapałce, później chyba kilka naraz, ale albo wiatr je gasił, albo im łamały się, to znów odłamana główka leciała wstecz, więc ze strachem strząsały żużelek z płaszczu. Już mało co zostało w pudełku, żeby tylko nie trzeba było iść po inne.

Czas mijał, Sołogdin zaś mógł być lada chwila wezwany do Jakonowa.

Ale kobiety krzyknęły coś, zamachały rękoma i podszedł do nich Spiridon z miotłą, w uszastej czapce na głowie.

Zjął czapkę, żeby jej nie opalić, położył obok na śniegu, obie ręce i ryży łeb wsunął w beczkę razem z arkuszem, chwilę tam grzebał, wreszcie wysunął głowę — ale jej rudziczna przeszła teraz na papier. Papier zajął się, zaczął płonąć. Spiridon zostawił go w beczce i żwawo zaczął podrzucać tam następne arkusze, jeden po drugim. Płomień strzelał z beczki, arkuszom czerniały rogi, zapadały się w głąb.

Wtedy właśnie ktoś wymienił głośno nazwisko Sołogdina.

Wezwano go do podpułkownika.

Z pracowni filtrów przysłano kogoś ze skargą, że dotychczas jeszcze nie mają w ręku dawno zamówionego rysunku technicznego dwóch małych wsporników.

Podpułkownik nie był grubianinem, skrzywił się tylko i powiedział:

— No, panie Dymitrze, czy to naprawdę takie zawile? Zamówienie przyszło jeszcze w czwartek.

Sołogdin wyprężył się:

— Przepraszam. Są już prawie skończone. Za godzinę będą gotowe.

Nawet się jeszcze do nich nie zabrał, ale nie można przecież było się przyznać, że ma tam roboty wszystkiego na godzinę.



## LXXI

### ULUBIONE ZAJĘCIE

Dwaj operczekiści dzielili między siebie pracę w obiekcie Mawrino — major Myszyn był więziennym kumem, major Szykin był kumem działu naukowo-produkcyjnego. Należąc do dwóch rozmaitych pionów służbowych i otrzymując gażę z różnych kas, nie byli dla siebie konkurentami. Ale jakieś lenistwo, czy co, przeszkadzało im we współpracy: każdy z nich miał gabinet w innym budynku i na innym piętrze, telefonicznie operczekiści nie rozmawiają o sprawach służbowych, będąc zaś tej samej rangi, każdy z nich uważał, że to ten drugi powinien pierwszy się kłaniać. Tak jakoś pracowali; jeden panował nad nocnymi duszami, drugi nad dziennymi — i całymi miesiącami nie stykali się ze sobą, chociaż w kwartalnych sprawozdaniach i planach każdy z nich pisał o konieczności ścisłego skoordynowania całej roboty operacyjnej w obiekcie Mawrino.

Czytając pewnego dnia „Prawdę” major Szykin zadumał się nad tytułem artykułu „Ulubione zajęcie”. (W artykule mowa była o agitatorze, który najbardziej w świecie ukochał zajęcie polegające na wyjaśnianiu czegoś innym ludziom: robotnikom — jak ważne jest zwiększenie wydajności pracy, żołnierzom — jaką cnotą jest ofiarność, wyborcom — jak słuszna jest polityka bloku komunistów i bezpartyjnych). Szykinowi spodobał się ten termin. Doszedł do wniosku, że sam chyba też nie omylił się wybierając drogę życiową; nie ciągnęło go do żadnego innego zawodu nigdy w życiu; lubił swoje zajęcie, a ono jego lubiło.

Swego czasu Szykin skończył szkołę specjalną GPU, następnie — kursy doskonalenia oficerów śledczych, ale niezbyt długo trudnił się pracą śledczą, dlatego też nie mógł uważać się za specjalistę w tej dziedzinie. Zajmował się pracą operacyjną w kolejowym GPU, podczas wojny był szefem wojennej cenzury

w sztabie armii, później działał w komisji repatriacyjnej, następnie w obozie kontrolno-filtracyjnym, potem został spec-instruktorem do spraw wysiedlania Greków<sup>1</sup> z Kubania do Kazachstanu, by wreszcie zostać pełnomocnikiem operacyjnym w instytucie naukowo-badawczym Mawrino.

Zawód Szykina miał wiele zalet. Po pierwsze, od czasów wojny domowej dawno już przestał być zawodem niebezpiecznym, każda operacja wykonywana była tak, aby należna przewaga była zapewniona: dwóch albo trzech uzbrojonych ludzi przeciwko jednemu nieuzbrojonemu, zaskoczonemu, czasem wyrwanemu ze snu wrogowi.

Następnie — praca ta była doskonale opłacana, dawała prawo do najlepszych, wydzielonych sklepów, do najlepszych mieszkań — skonfiskowanych skazańcom, do gaź wyższych niż w wojsku i do pierwszorzędných sanatoriów.

Praca ta nie była wyczerpująca: o żadnych normach nie było mowy. Wprawdzie przyjaciele opowiadali Szykinowi, że w trzydziestym siódmym i czterdziestym piątym funkcjonariusze śledczy harowali, jak konie, ale sam Szykin nigdy nie był w takim kołowrocie i nie bardzo wierzył w te opowieści. Zdarzały się szczęśliwe okresy, kiedy można było miesiącami drzemać przy biurku. Ogólną cechą tej roboty był brak pośpiechu. Do naturalnej powolności, właściwej każdemu systemowi człowiekowi, dochodziła tu jeszcze opieszałość celowa, stosowana po to, aby większy mieć wpływ na psychikę więźnia i uzyskać od niego zeznania. Służyło temu powolne temperowanie ołówków, wybór pióra, wybór papieru, cierpliwe notowanie wszelkich drobiazgów i danych osobistych w protokole. Ta wszechobecna powolność w pracy bardzo korzystnie odbijała się na systemie nerwowym i była przyczyną długowieczności pracowników resortu.

Wcale nie mniej cenił sobie Szykin sam tryb swojej pracy. Cała ona składała się właściwie z prostych czynności rejestracyjnych, z gołej ewidencji. Żadna rozmowa nie kończyła się tak, jak to z rozmowami bywa, tylko musiała prowadzić do napisania donosu albo podpisania protokołu, bądź zobowiązania — do zachowania milczenia, nie opuszczania danej miejscowości, nie udzielania informacji, nieskładania fałszywych zeznań — lub wreszcie do podpisania kwitu, że się to lub owo otrzymało. Właśnie ta cierpliwa uwaga, ta pedanteria, którą odznaczał się Szykin, były tu potrzebne aby nie zakradł się do tych papierków

1. Niewielka mniejszość grecka i tzw. greko-tatarska zamieszkiwała na wybrzeżu krymskim, azowskim i kubańskim jeszcze od czasów starożytnych i zwiększyła swój stan liczebny w okresie Bizancjum.

chaos, aby je odpowiednio podzielić, wciągnąć do skoroszytów i zawsze móc odnaleźć. (Sam Szykin, jako oficer nie mógł wykonywać fizycznych prac i dlatego zszywała te papiery specjalnie skierowana z wydziału ogólnego, wyszkolona w metodyce spraw poufnych, chuda i wysoka pannica z bielmem na oku).

Ale najprzyjemniejszą dla operczekisty Szykina cechą tej pracy było to, że dawała ona władzę nad ludźmi, poczucie potęgi własnej i że otaczała człowieka nimbem tajemniczości.

Dumę Szykina łechtał ten szacunek, to onieśmienie, jakie budził w swoich współpracownikach, również czekistach, ale przecież nie operacyjnych. Wszyscy oni — w ich liczbie inżynier pułkownik Jakonow, na każde żądanie Szykina musieli здаwać mu sprawę ze swoich czynności, Szykin natomiast przed nikim z tych ludzi nie był odpowiedzialny. Kiedy kroczył — z tą swoją sinawą twarzą, z ostrzyżoną na jeża, siwiejącą głową, z dużą teczką pod pachą — po chodniku szerokich schodów, gdy dziewczęta-lejtnantki MGB skromnie ustępowały mu z drogi nawet na tych szerokich stopniach, kiedy witały go pierwsze — Szykin z dumą czuł, że jest kimś ważnym i wyjątkowym.

Gdyby ktoś powiedział Szykinowi — ale nikt mu tego nigdy nie mówił — że zasłużył sobie rzekomo na nienawiść, że jest dręczycielem innych ludzi — Szykin zareagowałby niekłamanym oburzeniem. Nigdy dręczenie innych ludzi nie stanowiło dla niego przyjemności, ani celu. To prawda, zdarzają się tacy, widział ich w teatrze, w kinie, to sadyści, namiętni miłośnicy tortur, nie ma w nich nic ludzkiego — ale są to z reguły białogwardziści albo faszyci. Przecież Szykin tylko wykonywał swój obowiązek i jedynym jego celem było, aby nikt nie mógł zrobić niczego szkodliwego i żeby nie miał żadnych szkodliwych myśli.

Pewnego razu na głównych schodach *szaraszki*, z których korzystali zarówno wolni jak więźniowie, znaleziono pakiecik, w którym było sto pięćdziesiąt rubli. Znaleźli go dwaj technicy-lejtnanci i nie mogli ani schować, ani odszukać chyłkiem właściciela, właśnie dlatego, że ich było dwóch. Zanieśli więc pieniądze do majora Szykina.

Pieniądze na schodach, po których chodzą więźniowie, pieniądze rzucone pod nogi tym, którym surowo zabrania się je mieć — to była już sprawa państwowej wagi! Ale Szykin wolał jej nie rozdmuchiwać, tylko wywiesił w klatce schodowej ogłoszenie:

„Kto zgubił pieniądze — 150 rubli na schodach,  
może odebrać je u majora Szykina  
w dowolnej porze”.

Była to niemała suma. Ale taki respekt i onieśmielenie budził Szykin, że mijały dni i tygodnie a nikt nie zgłaszał się po przeklętą zgubę, ogłoszenie wyblakło, zakurzyło się, jeden róg już się oderwał, aż wreszcie ktoś dopisał niebieskim ołówkiem, drukowanymi literami:

„ŻRYJ SAM PSIE!”

Dyżurny zdał ogłoszenie i odniósł je majorowi. Długo jeszcze po tym fakcie Szykin myszkował w laboratoriach i porównywał odcienie niebieskich ołówków. Ordynarne wyzwisko sprawiło Szykinowi ból, jakże niezasłużony. Przecież wcale nie chciał przywłaszczać sobie cudzych pieniędzy. O wiele bardziej sobie życzył, żeby ten człowiek się zgłosił i żeby można było rozpracować sprawę, bardzo pouczającą, taką którą można by później błysnąć na wszystkich zebraniach poświęconych problemowi czujności — a pieniądze — oddać mu, proszę bardzo.

Ale z drugiej strony, nie ma powodu wyrzucać ich na ulicę! — i po upływie dwóch miesięcy Szykin podarował je tej właśnie tyczkowanej pannicy z bielmem, która raz w tygodniu zszywała u niego papiery.

Wzorowego dotąd małżonka i ojca, Szykina, jakby jakiś diabeł opętał i przykuł do tej sekretarki z jej trzydziestoma ośmioma latkami, z grubymi, nalanymi łydami, a sięgał jej major zaledwie do ramienia. Znalazł w niej coś, czego mu dotąd brakowało. Ledwie mógł się doczekać dnia, gdy przychodziła i tak zapomniał o ostrożności, że podczas remontu, kiedy przeniesiono go tymczasowo do innego gabinetu, nie ustrzegł się wyspy: słyszeli i nawet przez dziurkę od klucza widzieli wszystko dwaj więźniowie — cieśla i tynkarz. Wieść szybko się rozeszła i więźniowie mieli dużo uciechy obgadując swojego pasterza. Chcieli nawet napisać list do żony Szykina, ale nie znali jej adresu. Wobec tego donieśli zwierzchności.

Ale nie udało im się wysiudać opera. Generał-major Oskolupow udzielił wtedy Szykinowi upomnienia, ale nie za flirty z sekretarką (było to sprawą zasad moralnych sekretarki) i nie za to, że do zbliżeń między nimi dochodziło w godzinach pracy (Szykin miał bowiem nienormowany dzień pracy), tylko za to, że dowiedzieli się o tym więźniowie.

W poniedziałek 26 grudnia (pozwolił sobie tej niedzieli na wypoczynek) major Szykin przyszedł do pracy parę minut po dziewiątej rano. Gdyby nawet przyszedł w porze obiadowej, też nikt by nie śmiał mu tego wytknąć.

Na drugim piętrze, naprzeciw gabinetu Jakonowa była w murze nisza, wgłębienie nigdy nie oświetlane elektryczną lampą, z którego prowadziło dwoje drzwi — jedno do gabinetu Szykina, drugie do lokalu partyjnego. Każde z tych drzwi obciągnięte były czarną skórą i nie miały napisów. To sąsiedztwo i ciemności panujące w niszy bardzo były dla Szykina wygodne: nie można było podpatrzeć z boku, w której z tych izb znikają ludzie.

Wchodząc do gabinetu Szykin spotkał się z sekretarzem egzekutywy Stiepanowem, chorowitym, szczupłym jegomościem w okularach pobłyskujących mętnie, jak ołów. Uścisnęli sobie dłonie. Stiepanow zaproponował cicho:

— Towarzyszu Szykin! (nigdy do nikogo nie zwracał się inaczej, niż po nazwisku). Wpadnijcie, stukniemy parę bil?

Mowa była o bilardzie stołowym, należącym do majątku organizacji partyjnej. Szykin czasem rzeczywiście wpadał, żeby pobawić się bilami, ale dzisiaj czekało na niego mnóstwo ważnych spraw, więc z godnością pokręcił tylko przecząco swoją srebrną głową.

Stiepanow westchnął i poszedł grać w bilard sam ze sobą.

Szykin wszedł do gabinetu i położył pedantycznie teczkę na stole. (Wszystkie papiery Szykina były tajne albo super tajne, zamykał je w kasie pancерnej i nigdy z gabinetu nie wynosił — ale straciłby autorytet, gdyby chodził bez teczki. Dlatego wynosił w teczce do domu „Oganiok”, „Krokodyla” i „Dookoła świata”; gdyby abonował je sam, to sporo musiałby płacić). Następnie przeszedł się po dywanie w stronę okna, postać chwilę i wrócił do drzwi. Sprawy jakby czekały na niego, przyczajone tu, w tym gabinecie, za kasą, za szafą, za otomaną, a teraz wszystkie go opadły i domagały się jego uwagi.

Spraw miał, a spraw!...

Potań rękoma swoją krótką, siwiejącą czuprynę.

Po pierwsze — trzeba było skontrolować pewne ważne przedsięwzięcie, obmyślane przez niego w ciągu długich miesięcy, zatwierdzone niedawno przez Jakonowa, wprowadzone do regulaminu, znane już personelowi, ale wciąż jeszcze kulejące. Był to nowy tryb prowadzenia tajnych dzienników pracy. Wnikliwie analizując sprawę czujności w instytucie Mawrino, major Szykin doszedł do wniosku z którego bardzo był dumny, że wciąż jeszcze nie ma mowy o prawdziwej tajności! Wprawdzie w każdej pracowni stoją ogniotrwałe, stalowe szafy wysokie na chłopca z górą; jest ich pięćdziesiąt sztuk, zostały przywiezione jako trofea z jakiejś niemieckiej firmy. To prawda, że dokumenty

poufne, półpoufne i leżące obok poufnych zamykane są w tych szafach w obecności specjalnych dyżurnych na przerwę obiadową, na przerwę kolacyjną i na noc. Ale tragiczne niedopatrzenie polega na tym, że chowa się tylko prace zakończone i znajdujące się w stadium końcowym. Do stalowych szaf wciąż jeszcze nie chowa się pierwszych błysków myśli, pierwszych hipotez, niejasnych propozycji — właśnie więc tego, z czego brać się mają tematy przyszłorocznych prac, to znaczy — te, co decydują o perspektywach. Sprytnemu szpiegowi orientującemu się w technice wystarczy tylko przekraść się przez druty kolczaste do zony, znaleźć gdzieś na śmietniku strzępek bibuły z odbiciem takiego rysunku technicznego, albo schematu, następnie wykraść się z zony — i już amerykański wywiad zdołał się dowiedzieć, jaki jest kierunek naszych prac. Będąc człowiekiem sumiennym, major Szykin pewnego razu zmusił stróża Jegorowa, aby ten w jego obecności wywalił na ziemię i rozsortował całą zawartość śmietnika na podwórku. Przy tej okazji znalezione zostały dwie mokre, wytarzane w popiele i w śniegu kartki papieru, na których na pewno kiedyś wyrysowane były schematy. Szykin bez śladu obrzydzenia wziął to świństwo za rożki i położył przed Jakonowem na biurku. I Jakonow nie wiedział gdzie oczy schować!

W ten sposób włączono też do planu projekt Szykina dotyczący wprowadzenia indywidualnych, poufnych dzienników pracy. Odpowiednie bruliony zostały natychmiast sprowadzone ze składów MGB; każdy z nich zawierał dwieście dużych stron. Ponumerowano je, zszyto sznurem, końce zaś tego sznura zalakowano. Dzienniki miały być teraz rozdane wszystkim, prócz ślusarzy, tokarzy i stróża. Więźniowie zostali zobowiązani do pisania wyłącznie na stronicach dziennika — i więcej na niczym innym. Dawało to nie tylko tę korzyść, że odtąd miało już więcej nie być brudnopisów, tak bardzo przecież niebezpiecznych, lecz ponadto jeszcze osiągnięty mógł być ważniejszy cel: kontrola myśli! Ponieważ w tym dzienniku każda notata musiała być zaopatrzona w datę, major Szykin mógł teraz kontrolować każdego więźnia — ile i nad czym myślał w środę i co nowego wymyślił w piątek. Dwieście pięćdziesiąt takich dzienników to jakby dwustu pięćdziesięciu majorów, nieznuzenie pochylonych nas głową każdego zeka. Wszyscy więźniowie są chytry i leniwi, zawsze starają się odsunąć na bok robotę, jeżeli to im tylko umożliwić. Mieć pod kontrolą inżynierów, mieć pod kontrolą uczonych — na tym właśnie polegał wynalazek majora Szykina (niestety, operczekiści nie dostają nagród stalinowskich!). Dziś właśnie należało skontrolować, czy dzien-



niki zostały już rozdane i czy pojawiły się w nich pierwsze notatki.

Drugą ze spraw, które czekały dziś na Szykina — była kwestia skompletowania spisu więźniów do transportu zapowiedzianego przez departament więziennictwa w tych dniach. Należało też ustalić ścisłą datę.

Absorbowała jeszcze Szykina zaczęta z rozmachem, ale tymczasem słabo się rozwijająca „Sprawa uszkodzenia warsztatu tokarskiego”, która wynikła przy okazji przenoszenia przez dzieściu zeków tego warsztatu z trzeciej pracowni do działu mechanicznego, kiedy to wykryto pęknięcie wspornika. W ciągu tygodniowego śledztwa zapisano już osiemdziesiąt stron protokołów, ale w żaden sposób nie można było dojść prawdy: wszyscy podejrzeni byli starymi wygami.

Trzeba było jeszcze przeprowadzić śledztwo, by wyjaśnić skąd wzięła się powieść Dickensa; Doronin doniósł, że czytano ją w półkolistej celi i że widział ją w rękach Adamsona. Wezwać na rozmowę samego Adamsona, drugo w r o c z n i a k a, to byłaby strata czasu. Należało więc wezwać wolnych z jego otoczenia i od razu nastraszyć, że wszystko się wykryło.

Mnóstwo miał dziś Szykin do roboty! (A przecież nie wiedział jeszcze, co nowego przyniosą mu konfidenci! Nie wiedział też, że wypadnie mu rozpatrzyć sprawę natrząśania się z procedury sądowej — pod maską przedstawienia „Sąd nad księciem Igorem!”). Szykin w desperacji znów potarł skronie i czoło, żeby mu ten nadmiar kłopotów jakoś utrząsł się, uporządkował.

Niepewny jeszcze od czego zacząć, Szykin postanowił przede wszystkim wejść w kontakt z masami, to znaczy przejść się trochę korytarzem w nadziei, że spotka kogoś ze swoich konfidentów, a ten ruchem brwi da mu do zrozumienia, że ma pilną wiadomość i nie może czekać aż przyjdzie jego wyznaczona w planie godzina.

Ale zaledwie doszedł do stolika dyżurnego, już usłyszał, jak ten rozmawia przez telefon o jakimś nowym zespole.

Co? Skąd ten pośpiech? Więc w ciągu jednego niedzielnego dnia, kiedy Szykina tu nie było, już zdążyli uformować nowy zespół?

Dyżurny wszystko mu opowiedział.

O, to był cios! — przyjechał wiceminister, zjechali generałowie — a Szykina nie było w zakładzie! To była wielka przykrość dla majora. Żeby wiceminister mógł sobie pomyśleć, że Szykin mało dba o czujność! I żeby nie uprzedzić, nie ostrzec zawczasu; nie wolno przecież do tak odpowiedzialnego zespołu angażować tego przekłętę Rubina — dwulicowca, człowieka na wskroś



fałszywego; zaklina się, że wierzy w zwycięstwo komunizmu — a nie chce zostać konfidentem! I do tego wszystkiego jeszcze nosi, łajdak, tę demonstracyjną brodę! Vasco da Gama! Zgolić!!

Z ukrywanym pośpiechem, ostrożnie przebijając stópkami w dziecinnych bucikach, krągłogłowy Szykin udał się do pokoju numer dwadzieścia jeden.

Miał zresztą bat na Rubina: w tych dniach złożył on (dwa razy do roku składa) podanie do Sądu Najwyższego z prośbą o ponowne rozpatrzenie swojej sprawy. Od Szykina zależało, czy podanie będzie opatrzone charakterystyką pozytywną, czy też obrzydliwie negatywną (jak to dotychczas miało miejsce).

Drzwi numer dwadzieścia jeden były drewniane, bez szyb. Major pchnął je, lecz nie ustąpiły. Zapukał. Nie było słyhać kroków, ale drzwi nagle się otworzyły. Na progu stał Smołosidow ze swoim czarnym, nie wróżącym nic dobrego czubem. Nawet nie drgnął widząc Szykina i drzwi szerzej nie otworzył.

— Dzień dobry — powiedział Szykin niewyraźnie, bo nie był przyzwyczajony do takiego traktowania. Smołosidow był operczekistą w jeszcze ściślejszym sensie, niż sam Szykin.

Czarniawy Smołosidow stał pochylony, z podniesionymi lekko krzywymi rękoma. Przypominał boksera. I milczał.

— Ja... mnie... — Szykin był skonfundowany. — Proszę mnie wpuścić, muszę zapoznać się z waszym zespołem.

Smołosidow zrobił pół kroku wstecz i tarasując dalej wejście do pokoju kiwnął zgiętym palcem na Szykina. Szykin przecisnął się przez pół otwarte drzwi i spojrzął na to, co mu teraz wskazywał Smołosidow. Na drugiej połowie drzwi, od wewnątrz, zawieszony był papierek:

„Spis osób mających prawo wstępu do pokoju 21:

- 1) Wiceminister MGB — Sewastianow
- 2) Szef departamentu — generał major Bulbaniuk
- 3) Szef departamentu — generał major Oskołupow
- 4) Szef zespołu — inż. major Rojtman
- 5) Lejtnant Smołosidow
- 6) Więzień Rubin

z a t w i e r d z i ł

Minister Bezpieczeństwa Państwowego Abakumow”.

Szykin przejęty nabożnym szacunkiem wycofał się do korytarza.

— Kiedy... chciałem tylko wezwać Rubina... — powiedział szeptem.

— Nie ma mowy! — odparł Smołosidow takim samym szeptem.

I zatrzasnął drzwi.

## LXXII

### ETATOWY SEKRETARZ

Z początku w życiu mawrińskich wolniaków znaczną i zasadniczą rolę grał związek zawodowy. Ale któregoś dnia dowiedział się o tym pewien bardzo wysoko postawiony towarzysz (taki, że nawet nie bardzo wypadało nazywać go „towarzyszem”). I tak powiedział: „Co wam się ubrdało?” (nie dodał — „towarzysze”, będąc zdania, że podwładnych rozpieszczać nie należy). „Przecież Mawrino — to jednostka wojskowa. Jaki tam związek zawodowy? Wiecie, czym to pachnie?” I tego samego dnia związek zawodowy w Mawrino przestał istnieć.

Ale jakoś nie wpłynęło to wcale na tryb życia w Mawrinie.

Nadzwyczajnie tylko wzrosło znaczenie organizacji partyjnej, które i tak już było niemałe. I w obwodowym Komitecie partii uznano za rzecz konieczną, aby mieć w Mawrino etatowego sekretarza.

Przejrawszy kilka ankiet personalnych nadesłanych z oddziału kadr, biuro obkomu postanowiło polecić na to stanowisko:

Stiepanowa Borysa Siergiejewicza, urodzonego w roku 1900, we wsi Łupacze powiatu Bobrowskiego, pochodzenie społeczne — proletariat wiejski, po rewolucji — wiejski milicjant, bez zawodu, obecna kategoria społeczna — urzędnik, wykształcenie — 4 klasy i dwuletnia szkoła partyjna, należy do partii od 1921 roku, funkcje partyjne pełni od 1923 roku, wahań przy realizacji linii partii — nie miewał, do opozycyjnych grup — nie należał, w armiach i urzędach białogwardyjskich — nie służył, w ruchu rewolucyjnym i partyzanckim udziału nie brał, języków obcych — nie zna, języków narodowości ZSSR — nie zna, był kontuzjowany w głowę, posiada order „Czerwonej Gwiazdy” oraz medal „Za zwycięstwo nad Niemcami w Wielkiej Wojnie Narodowej”.

W chwili, gdy obkom zalecił kandydaturę Stiepanowa, znajdował się on w rejonie wołokołamskim, był agitatorom w czasie kampanii żniwnej. Wykorzystując każdą chwilę wypoczynku kołchożników, nawet przerwy na obiad, czy papierosa, Stiepanow natychmiast kazał im się zbierać przy biwaku polowym (ponadto wieczorami zwoływał ich do kancelarii kołchozu) i nieustannie wyjaśniał im, jak wielkie ma znaczenie aby rola zasiewana była rok rocznie i to ziarnem wysokiej jakości; żeby później z tego ziarna wyrosły kłosa i żeby w nich nowego ziarna było, o ile możliwości, więcej, niż tego, co zasiano; żeby następnie ziarno to zebrano w czasie żniw bez żadnych strat i żeby w całości, bez manka oddano je państwu jak najszybciej. Nie znając spoczynku, zaraz potem szedł do traktorzystów i wyjaśniał im całe znaczenie oszczędności paliwa, dbałości o wyposażenie, podkreślał, że przestoje są zupełnie niedopuszczalne, ponadto zaś — bez szczególnej chęci odpowiadał na ich pytania dotyczące niedbalstwa przy remoncie ich maszyn oraz braku odzieży ochronnej.

W tym samym czasie zebranie ogólne organizacji partyjnej obiektu Mawrino z wielkim entuzjazmem przyjęło zalecenia obkomu i jednogłośnie wybrało Stiepanowa na stanowisko swojego etatowego sekretarza, nie wiedząc jeszcze nawet jak on wygląda. Właśnie w tym czasie posłany został do rejonu wołokołamskiego na stanowisko agitatora pewien działacz spółdzielczy, którego trzeba było usunąć ze stanowiska w rejonie jegorowskim, z powodu wykrytych przy remanencie braków. W Mawrinie zaś urządzono Stiepanowowi gabinet tuż obok gabinetu pełnomocnika operacyjnego — i zaraz mógł zabrać on się do swoich kierowniczych funkcji.

Rozpoczął od przejęcia wszystkich spraw od poprzedniego, nieetatowego sekretarza. Poprzednim sekretarzem był lejtnant Kłykaczow. Kłykaczow był szczupły — zapewne dlatego, że bardzo ruchliwy i że nie pozwalał sobie ani na chwilę wypoczynku. Równocześnie kierował pracownią łamania szyfrów, kontrolował grupę kryptograficzną i statystyczną, prowadził seminarium komsomolskie, był duszą grupy młodych, a prócz tego jeszcze sekretarzem egzekutywy. I chociaż zwierzchność uważała go za wymagającego pracownika, więźniowie zaś — za przyczepnego, nowy sekretarz od razu nabrał podejrzeń, że sprawy partyjne w instytucie Mawrino są zapuszczone.

Tak się też okazało.

Zaczął się przekazywanie akt. Trwało przez tydzień. Stiepanow, nie wychodząc w ogóle z gabinetu, przejrzał wszystkie papiery, co do jednego, poznając każdego członka partii —

naprzód dzięki teczce personalnej i fotografii, a dopiero później — osobiście. Kłykaczow poczuł na sobie ciężką rękę nowego sekretarza.

Jedno niedopatrzenie po drugim wychodziło na jaw. Nie mówiąc już o lukach w materiale ankietowym członków, o niedoborze zaświadczeń w teczkach personalnych, nie mówiąc już o braku wyczerpujących charakterystyk w aktach każdego członka i kandydata — dał się zaobserwować wadliwy sposób traktowania wszystkich w ogóle inicjatyw; wprowadzono je w życie, ale nie dokumentowano ich formalnie, przez co same te inicjatywy przybierały charakter widmowy.

— Ale kto uwierzy? Kto uwierzy wam teraz, że naprawdę to przeprowadziliście?! — mówił Stiepanow, trzymając rękę z dymiącym się papierosem nad łysiną.

I cierpliwie wyjaśniał Kłykaczowowi, że wszystko tu robione było na papierze (dlatego że tylko ustnie można to było poświadczyć), a nie w rzeczywistości (to znaczy nie na papierze, nie formalnie).

Na przykład, co z tego, że drużyna sportowa instytutu (mowa była, ma się rozumieć nie o więźniach) w ciągu każdej przerwy obiadowej rżnie sobie w siatkówkę (mając już nawet zwyczaj zarywać czas pracy)? Może tak jest naprawdę. Może tam rzeczywiście sobie grają. Ale ani my sami, ani nikt z kontroli nie będzie przecież wychodzić na podworec, żeby popatrzeć czy tam piłka sobie skacze. A dlatego ci siatkarze, co tyle już się nagrali i tyle mają doświadczenia — dlaczego właściwie nie mają podzielić się tym doświadczeniem w specjalnej sportowej gazecie ściennej „Czerwona piłka”, albo powiedzmy, „Honor dynamowca”? Gdyby później Kłykaczow taką gazetkę ścienną jak najstaranniej zdjął ze ścianki i włączył do dokumentacji partyjnej, to jaka jeszcze inspekcja mogłaby w ogóle wątpić, że inicjatywa „gra w siatkówkę” została rzeczywiście zrealizowana i że działa się to pod kierunkiem partii? A w aktualnych warunkach — kto się zgodzi wierzyć Kłykaczowowi na słowo?

Tak było ze wszystkim, ze wszystkim. „Słowo to nie żaden dokument!” — z tym arcymądrym powiedzonkiem na ustach Stiepanow rozpoczął urzędowanie.

Jak ksiądz nie wierzy, że można kłamać w konfesjonale — podobnie Stiepanowowi nie przychodziło do głowy, że można łąć również na piśmie.

Jednakże Kłykaczow, chłopak o wąskiej czaszce, osadzonej na długiej szyi, nie zamierzał sprzeczać się ze Stiepanowem, tylko nieprzerwanie i z manifestacyjną wdzięcznością w oczach

potakiwał i gotów był uczyć się od niego. Stiepanow szybko więc zaczął Kłykaczowa traktować łagodniej, zdradzając tym samym, że nie jest złym człowiekiem. Z uwagą wysłuchał obaw Kłykaczowa, odnoszących się do tego, że na czele tak ważnego, tajnego instytutu, stoi inżynier-pułkownik Jakonow, który nie tylko ma dosyć mętne dane personalne, lecz jest po prostu byłym wrogiem. Stiepanow zakonotował to sobie dobrze. Kłykaczowa zaś zrobił swoją prawą ręką, kazał mu przychodzić jak najczęściej i z całą życzliwością udzielał mu rad opartych na tak cennym doświadczeniu własnym.

W ten sposób Kłykaczow szybciej i bliżej niż inni poznał nowego partorga. To za jego złośliwym przykładem młodzi zaczęli nazywać partorga „Pastuchem”. Ale właśnie dzięki Kłykaczowowi „młodzi” mieli z Pastuchem wcale niezłe stosunki. Szybko zrozumieli, że o wiele lepiej dla nich będzie mieć na tym stanowisku nie członka własnej grupy, tylko postronnego, obiektywnego legalistę.

A był z niego legalista! Gdy mówiono mu, że kogoś tam szkoda, że w stosunku do kogoś jeszcze warto być pobłażliwym nie stosując prawa w całej jego surowości — bolesna zmarszczka przecinała wyniosłe, bo sięgające aż do ciemienia czoło Stiepanowa, barki Stiepanowa pochylały się, jakby mu ktoś zadał na plecy nowy ciężar. Ale, czując w sobie święty ogień głębokiego przekonania, znajdował siły aby się wyprostować i zwrócić się do swoich rozmówców kolejno patrząc im w oczy, dzięki czemu białe kwadraciki — odbicia okien — ostro przesuwwały się po ołowianej powierzchni jego szkieł:

— Towarzysze! Towarzysze! Co ja słyszę? Jak mogliście w ogóle powiedzieć coś podobnego? Zapamiętajcie — trzeba bronić prawa w każdych okolicznościach! trzeba bronić prawa, nawet, kiedy to nie jest łatwe!! Bronić prawa nawet ostatkiem sił!! — i tylko tak, tylko w ten sposób można naprawdę pomóc temu, dla kogo człowiek ma ochotę od prawa odstąpić! Dlatego, że przepisy prawne właśnie tak są ułożone, żeby służyć społeczeństwu i człowiekowi, my zaś tego często nie rozumiemy i krótkowzrocznie chcemy prawo obejść!

Ze swojej strony Stiepanow był zadowolony z „młodych”, z ich zamiłowania do zebrzań partyjnych i do partyjnej krytyki. W nich też widział załączek tego z d r o w e g o k o l e k t y w u, jaki starał się utworzyć wszędzie, gdzie pracował. Jeżeli kolektyw nie demaskował przed kierownictwem gwałcicieli prawa w swoim środowisku, jeżeli kolektyw wołał na zebraniach milczeć — taki kolektyw Stiepanow z całym przekonaniem uważał za niez d r o w y. Jeżeli zaś kolektyw całą hurmą rzucał się

na jednego ze swoich członków i właśnie na takiego, co było trzeba — taki kolektyw uważany był za zdrowy nie tylko przez Stiepanowa; także przez ludzi stojących wiele wyżej od niego.

Stiepanow miał wiele ugruntowanych przekonań, z których nie potrafiłby zrezygnować. Na przykład był przekonany, że każde zebranie powinno kończyć się przyjęciem grzmiącej rezolucji, biczującej poszczególnych członków kolektywu i mobilizującej cały kolektyw do nowych sukcesów produkcyjnych. Bardzo lubił otwarte zebrania partyjne, na których bywali też wszyscy bezpartyjni i gdzie można było z całym przekonaniem wymyślać im ile wlezie, oni zaś nie mieli prawa ani głosować, ani się bronić. Jeżeli zaś przed głosowaniem rozlegały się rozżalone, albo nawet oburzone głosy: „Co to takiego? To zebranie? Czy może sąd?”

— Chwileczkę, towarzysze, chwileczkę! — władczym tonem osadzał Stiepanow każdego z mówców, czy nawet przewodniczącego zebrania. Drżącą ręką wsypywał sobie na przedce prosek do ust (po kontuzji miewał silne bóle głowy przy każdym zdenerwowaniu, a denerwował się, gdy ktoś targał się na słuszną sprawę), wychodził na środek sali, stawał pod samym żyrandolem tak, że każdy mógł widzieć wielkie krople potu na jego wyniosłej łysinie — jak to, więc występujecie przeciw krytyce i samokrytyce? I wymachując ostro pięścią, tak jakby wbijał swoje myśli słuchaczom do głowy, klarował: — Samokrytyka jest najwyższym prawem, siłą napędową naszego społeczeństwa, głównym motorem postępu! Czas już zrozumieć, że kiedy krytykujemy członków naszego kolektywu, to nie po to, by oddać ich pod sąd, tylko po to, żeby utrzymywać każdego z naszych pracowników w ciągłym, bezustannym napięciu twórczym! I tu nie może być dwóch zdań, towarzysze! Ma się rozumieć, nie każda krytyka jest nam potrzebna, to już na pewno! Potrzebna jest nam krytyka k o n s t r u k t y w n a, to znaczy, krytyka nie wymierzona przeciwko naszej doświadczonej kadrze kierowniczej! Nie należy mylić wolności krytyki z wolnością dla anarchistycznych, drobnomieszczańskich wyskoków!

Podchodził później do karafki z wodą, by zapić jeszcze jeden prosek.

I tak się zawsze zdarzało, że cały zdrowy kolektyw, nie wyłączając tych członków, których biczowała i mieszała z błotem rezolucja („przestępcze niedbalstwo w stosunku do prowadzonych prac”, „graniczące z sabotażem lekceważenie wyznaczonych terminów”) — jednomyślnie głosował z a rezolucją.



Czasami nawet tak się zdarzało, że Stiepanow, lubiący rezolucje szeroko rozbudowane, Stiepanow, który dziwnym przypadkiem zawsze znał zawczasu temat zapowiedzianych przemówień, a także końcową opinię zebranych — nie dążył jednak w pośpiechu napisać rezolucji jeszcze przed zebraniem. W takich wypadkach, po słowach przewodniczącego:

— Głos dla zreferowania projektu rezolucji ma towarzysz Stiepanow! — etatowy sekretarz ocierał pot z czoła i z łysiny i odzywał się w takie słowa:

— Towarzysze! Byłem bardzo zajęty i dlatego w projekcie rezolucji nie zdążyłem ująć w ścisłą formę niektórych okoliczności, nazwisk i faktów.

Albo:

— Towarzysze! Zostałem dziś wezwany do Naczelnego Zarządu i z tego powodu nie wykończyłem jeszcze projektu rezolucji...

I w obu wypadkach:

— Dlatego proponuję, abyśmy przegłosowali rezolucję w ogólnych zarysach, a jutro ja już ją w spokoju dopracuję.

I kolektyw mawriński okazywał się na tyle zdrowym, że bez sprzeciwu podnosił ręce, wcale nie wiedząc (i nie dowiadując się nigdy) kogo mianowicie będą w tej rezolucji łąać, a kogo wychwalać.

Pozycję nowego partorga bardzo umacniała jeszcze ta okoliczność, że jego siły moralnej nie osłabiały żadne przyjacielskie stosunekki. Wszyscy zwali go z szacunkiem „Borys Siergieicz”. Traktując to jak rzecz naturalną, nigdy jednak nikogo w ten sposób nie nazywał i nawet przy bilardzie (którego sukno zawsze zieleniało pośrodku stołu w lokalu egzekutywy), w zapale gry wykrzykiwał:

— Łup w tę bilę, towarzyszu Szykin!

— Lu go od bandy, towarzyszu Kłykaczow!

Stiepanow w ogóle nie lubił, aby ludzie apelowali do jego wyższych, najlepszych pobudek. Jednocześnie, sam też nie liczył na te pobudki u innych. Dlatego też, gdy tylko wyczuł w kolektywie jakieś niezadowolenie, albo sprzeciw wobec swoich inicjatyw, to nie bawił się w oracje, nie usiłował nikogo przekonać, tylko brał duży arkusz papieru, pisał u góry dużymi literami: „Proponuję wymienionym niżej towarzyszom wykonać w takim a takim terminie, takie a takie partyjne zadania”, następnie kreślił na papierze rubryki: kolejny numer, nazwisko, własnoręczny podpis — i kazał sekretarce obejść z tym arkuszem wszystkich zainteresowanych. Wymienieni towarzysze czytali, w



rozmaity sposób dawali wyraz swojej wściekłości, ale nie mogli nie podpisać się na białym, obojętnym arkuszu, skoro zaś już się podpisali, to nie mogli się wymówić od wykonania zlecenia.

Etatowy sekretarz wolny był od wszelkich wahań i błąkań we mgle. Wystarczyło oznajmić przez radio, że nie ma już więcej bohaterskiej Jugosławii, jest natomiast klika Tito, jak już po pięciu minutach Stiepanow tłumaczył ludziom tę decyzję z taką dobitnością, z takim przekonaniem, jakby już całe lata ona w nim dojrzewiała. Jeśli zaś ktoś nieśmiało zwracał uwagę Stiepanowa na sprzeczność między wczorajszymi a dzisiejszymi instrukcjami, na złe zaopatrzenie instytutu, na niską jakość krajowej aparatury, albo na kłopoty mieszkaniowe — etatowy sekretarz aż się uśmiechał i okulary aż mu zaczynały błyszczeć, wiedział bowiem z góry, co miał teraz do powiedzenia:

— Co robić, towarzysze. Wciąż ta biurokratyczna mitrega. Ale jest przecież jakiś postęp w tej dziedzinie, temu nie można zaprzeczyć!

A jednak pewne ludzkie słabostki miał nawet Stiepanow, co prawda, w bardzo ograniczonym zakresie. Tak na przykład, lubił, kiedy wysoka zwierzchność go chwaliła i kiedy szeregowi członkowie partii podziwiali jego doświadczenie. Lubił, bo też należało mu się to sprawiedliwie.

Prócz tego — pijał wódkę, ale tylko jeśli go częstowano, albo stawiano na stole i zawsze skarżył się przy tym, że wódka jest zabójcza dla jego zdrowia. Dlatego też nigdy sam jej nie kupował i nigdy nią nikogo nie częstował. To już były chyba wszystkie jego wady.

„Młodzi” spierali się czasem w swoim gronie, kim właściwie jest „Pastuch”. Rojzman mawiał:

— Przyjaciele! To jest prorok kałamarza. To zmaterializowany duch drukowanej instrukcji. Tacy ludzie zjawiają się nieuchronnie w okresach przejściowych.

Ale Kłykaczow uśmiechał się krzywo:

— Żółtodzioby! Niechby któryś z was trafił mu na talerz, to zaraz zeżre, gównojad. Nie myślcie sobie, że on głupi. W ciągu tych pięćdziesięciu lat nieźle nauczył się żyć! Wam się wydaje, że to tak sobie — po każdym zebraniu mieć w ręku ostrą rezolucję przeciw komuś? On w ten sposób pisze historię Mawrina! Po prostu bar-dzo prze-zor-nie kolekcjonuje sobie materiały: w przypadku jakichkolwiek zmian, każda inspekcja będzie mogła się przekonać, że etatowy sekretarz dawno już sygnalizował i starał się zwrócić uwagę opinii na braki.

W stronniczej interpretacji Kłykaczowa Stiepanow był intry-

gantem, człowiekiem fałszywym, myślącym tylko o tym, aby za wszelką cenę postawić na nogi swoich trzech synów.

Stiepanow rzeczywiście miał trzech synów, którzy nieustannie domagali się od ojca pieniędzy. Wszystkim trzem kazał studiować na uniwersytecie historię. Była to rachuba niby słuszna, ale Stiepanow nie wziął pod uwagę, że tymczasem zostały obsadzone wszystkie etaty nauczycieli historii we wszystkich szkołach, uczelniach technicznych i na kursach krótkoterminowych, z początku w Moskwie, później w obwodzie moskiewskim, a później do samego Uralu. Pierwszy syn skończył studia i nie został w Moskwie, żeby wziąć z czasem rodziców na utrzymanie, tylko pojechał do Chanty-Mansyjska. Drugiemu zaproponowano Ułan-Ude, kiedy zaś trzeci dorośnie, to nie będzie mógł chyba znaleźć niczego odpowiedniego bliżej, niż na wyspie Borneo.

Tym zazdrośniej ojciec trzymał się swojej pracy — i małego domku na przedmieściach Moskwy, z dwunastoma setnymi hektara sadu, z beczkami kiszzonej kapusty i z dwiema, trzema świniami, przeznaczonymi na upas. Żona Stiepanowa, niewiasta trzeźwa, być może nawet trochę zacofana, widziała w hodowli świń główny cel życia i podstawę rodzinnego dostatku. Dawno już powzięła stanowczy zamiar, żeby pojechać w niedzielę z mężem w teren i tam kupić prosię. Właśnie z powodu tej (udanej) operacji Stiepanow nie przyszedł ostatniej niedzieli do pracy, chociaż czuł niepokój w sercu po pewnej sobotniej rozmowie i ciągnęło go do Mawrina.

W sobotę, w Zarządzie Politycznym dosięgnął Stiepanowa bolesny cios. Pewien działacz, bardzo odpowiedzialny, ale — nie bacząc na odpowiedzialne swoje troski — także bardzo korpułentny (miał tak na oko ze sześć, siedem pudów) popatrzył na chudy, wyźłobiony przez okulary nos Stiepanowa i spytał leniwym barytonem:

— Aha, Stiepanow — a jak tam u ciebie z guďfajami?

— Z gu... z kim? — Stiepanowowi wydawało się, że nie dosłyszał.

— Z żydkami. — I widząc, że Stiepanow dalej nie rozumie, wyjaśnił: — No z parchami, rozumiesz?

Zupełnie zaskoczony i bojąc się nawet powtórzyć to obseczne słowo, za które jeszcze tak niedawno dawano dziesięć lat, jak za agitację antysowiecką, Stiepanow mruknął niewyraźnie:

— A są...

— No, to co ty tam tak długo myślisz?...

Ale tu zadzwonił telefon, odpowiedzialny towarzysz podniósł słuchawkę i więcej już ze Stiepanowem nie rozmawiał.

Zdezorientowany Stiepanow przerzucił w Zarządzie całą paczkę dyrektyw, instrukcji i wskazówek, ale czarne litery na białym papierze chytrze omijały szerokim łukiem kwestię żydowską.

Przez całą niedzielę, podczas wyprawy po prosię, Stiepanow rozmyślał, rozmyślał i z desperacji wciąż drapał się po piersiach. To starość chyba przytępiła mu zdolność przewidywania! Ale co tu można było przewidzieć, jeżeli w ciągu tylu lat pracy Stiepanow przyzwyczał się, że żydowscy towarzysze byli zawsze najbardziej ideowi. A teraz — co za wstyd! — taki doświadczony pracownik, jak Stiepanow przegapił jakąś ważną nową kampanię i nawet w pośredni sposób okazał się wpłątany we wraże intrygi, bo przecież ta cała grupa Rojtmana i Kłykaczowa...

W poniedziałek rano Stiepanow przyjechał do pracy bardzo zdenerwowany. Kiedy Szykin odmówił mu rozegrania partyjki w bilard (Stiepanow miał nadzieję, że dowie się czegoś od Szykina) duszący się z braku instrukcji etatowy sekretarz zamknął się w lokalu partyjnym i przez bite dwie godziny zawzięcie szturchał metalowe bile grając sam przeciw sobie i wysyłając je czasami aż za burtę. Olbrzymia wisząca na ścianie, kryta brązem płaskorzeźba była świadkiem kilku wspaniałych zagrań, kiedy to po dwie i po trzy bile na raz szły do dziury. Ale postacie rzeźbione nie podpowiedziały Stiepanowowi w jaki sposób ma on nie tylko uratować zdrowy kolektyw, ale nawet umocnić go w danych okolicznościach.

Całkiem zmordowany, usłyszał wreszcie dzwonek i przypadł do słuchawki.

Dawano mu znać, że do Mawrina jedzie już samochód z dwoma towarzyszami, którzy udzielą mu odpowiednich wskazówek w sprawie walki z czołobitnością wobec Zachodu.

Etatowy sekretarz ożywił się, poweselał, wbił dubleta i schował kij bilardowy za szafę.

To jeszcze podnosiło go na duchu, że kupione wczoraj różnouchy prosię bardzo chętnie, bez żadnych grymasów zjadło porcję parzonych kartofli rano, a także wieczorem. Pozwalało to mieć nadzieję, że da się utuczyć i dobrze, i tanio.

## LXXIII

### DWAJ INŻYNIEROWIE

Major Szykin siedział w gabinecie inżyniera-pułkownika Jakonowa.

Rozmawiali jak równy z równym, w zupełnie przyjaznej atmosferze, chociaż każdy z nich pogardzał swoim partnerem i znieść go nie mógł.

Jakonow lubił używać na zebraniach terminu „my, czekałsi”. Ale w oczach Szykina był jak dawniej — wrogiem ludu, szwendającym się po zagranicach, odsiadującym później wyrok, ułaskawionym, przyjętym nawet w poczet pracowników bezpieczeństwa, ale nie wolnym od winy! Nieuchronnie, nieuchronnie musi znowu nadejść dzień, w którym organy zdemaskują Jakonowa i znowu go zaaresztują. Szykin gotów był z rozkoszą zerwać mu wtedy epolety osobiście! Pedantycznego majora, pokurcza o wielkim łbie, obrażała po prostu wielkopańska pobłażliwość inżyniera-pułkownika, ta dygnitarska pewność siebie, z którą dźwigał on brzemię władzy. Dlatego Szykin zawsze starał się podkreślić znaczenie swojej osoby i roboty operacyjnej, niedocenianej przez pułkownika.

Zaproponował, aby na najbliższym zebraniu poświęconym sprawom czujności uwzględnić w porządku dziennym referat Jakonowa o problemach czujności w Instytucie z ostrą krytyką wszelkich braków. Dobrze byłoby powiązać takie zebranie ze sprawą odesłania niesumiennych zeków do obozów i z wprowadzeniem nowych, tajnych dzienników pracy.

Inżynier-pułkownik Jakonow, wycieńczony wczorajszym atakiem, z niebieskimi workami pod oczyma, ale z twarzą, jak dawniej, mile zaokrągloną — potakiwał majorowi, w głębi zaś duszy, za rzędami murów i okopów, dokąd nie wtargnęło jeszcze niczyje spojrzenie, jeżeli nie liczyć żony, myślał właśnie,

jaka to obrzydliwa, szarowłosa, posiwiata nad donosami wesz z tego majora Szykina, jak idiotycznie małosłowne są wszystkie jego czynności, jakie kretyńskie są jego propozycje.

Jakonow miał do rozporządzenia tylko jeden, jedyny miesiąc. Za miesiąc jego głowa mogła znaleźć się na pieńku. Trzeba by wyrwać się z urzędowego pancerza, zerwać z bezwładem uprzywilejowanej pozycji — usiąść samemu nad technicznymi rysunkami, pomyśleć trochę w ciszy.

Ale skórzany fotel nienaturalnej wielkości, który zajmował inżynier-pułkownik, był przykładem pewnej sprzeczności wewnętrznej; pułkownik, odpowiadając za wszystko, nie mógł zarazem tknąć niczego własnymi rękoma. Mógł tylko podnosić słuchawkę i podpisywać papiery.

Także ta babska wojenka z grupą Rojtmana kosztowała go wiele sił. Wojnę tę prowadził z musu, niechętnie. Nie był w stanie przepędzić ich z instytutu, chciał tylko zmusić do bezwzględnego posłuszeństwa. Oni natomiast chcieli go wyrzucić i zdolni byli go unicestwić.

Szykin mówił dalej. Jakonow ominął wzrokiem jego twarz i patrzył gdzieś obok. Oczy miał otwarte, ale duchem był nieobecny; duch ten opuścił na chwilę mdłe ciało Jakonowa ściśnięte frenczem i przeniósł się do jego domu.

Mój dom! Mój dom — to moja twierdza! Jak mądrzy są Anglicy, którzy pierwsi zrozumieli tę prawdę! Na twoim małym, własnym terytorium ważne są tylko twoje prawa. Cztery ściany i dach szczelnie odgradzają cię od reszty świata, który wciąż domaga się czegoś, tarmosi, dręczy człowieka. Na progu domu witają cię uważne, promieniejące cichym blaskiem oczy żony. Pełne wciąż nowych pomysłów, zabawne dzieci (jak to dobrze, że jeszcze nie chodzą do szkoły!) rozśmieszają człowieka i przywracają mu pogodę ducha właśnie, gdy jest już całkiem zmordowany wiecznym szczuciem i szarpaniną. Żona już nauczyła obydwóch angielskiego. Usiądzie przy pianinie i zagra miłego walczyka Waldteufła. Krótkie są te chwile, ma się je tylko podczas obiadu i późnym wieczorem, już na progu nocy — ale za to nie ma w twoim domu ani dostojnych, nadętych durniów, ani wścibskich i złośliwych smarkaczy.

Wszystko, co składało się na pracę Jakonowa pełne było takich udręk, poniżeń, gwałtów nad własną wolą, administracyjnego bałaganu — ponadto Jakonow czuł już tak bardzo ciężar lat — że z wielką chęcią wyrzekłby się tej pracy, gdyby mógł, po to żeby zamknąć się wyłącznie w swoim małym, przytulnym świątku, w swoim domu.

Nie, nie znaczyło to wcale, że świat zewnętrzny nie intere-

sował go — przeciwnie, interesował, nawet bardzo. Trudno mu było nawet wskazać w historii świata jakiś okres, który by wart był większej uwagi, niż nasz. Polityka międzynarodowa była dla niego rodzajem szachów — ustokrotnionych Szachów. Tylko że Jakonow wcale nie chciał siadać do gry, albo, co gorsza, być pionkiem w tej grze, główką pionka, filcową podeszwą pionka. Jakonow chciał tylko przyglądać się grze z boku, delektować się nią — w wygodnej piżamie, w starym krześle na biegunach, w pokoju pełnym książek.

Jakonow miał wszystkie dane, by prowadzić taki tryb życia. Znał dwa obce języki i zagraniczne radio bez chwili przerwy udzielało mu wszelkich informacji. Ministerstwo, abonując zagraniczne czasopisma techniczne i wojskowe, bez żadnej zwłoki rozsyłało je do swoich tajnych instytutów naukowych. Czasopisma zaś te miały zwyczaj częstego drukowania artykułików o polityce, o następnej wojnie światowej, o przyszłym ustroju politycznym naszej planety. Obracając się wśród wyższych kręgów, Jakonow chcąc nie chcąc też musiał słyszeć o pewnych sprawach nieznanymi gazetom. Chętnie brał też do ręki tłumaczone na rosyjski książki o dyplomacji i pracy wywiadu. Nadto miał jeszcze na karku własną głowę, a w niej sporo ostrych myśli. Jego gra w Szachy polegała na tym, że ze swojego krzesła na biegunach przyglądał się partii Wschód-Zachód i starał się z zaobserwowanych ruchów wyciągnąć wnioski na przyszłość.

Komu sprzyjał? Kiedy sprawy służbowe były w porządku — Wschodowi, ma się rozumieć. Kiedy biurowych kłopotów było szczególnie dużo — to chyba lepiej życzył Zachodowi. Ostateczny zaś jego wniosek brzmiał tak: zwycięży ten, komu więcej starczy sił i okrucieństwa. Przekonywała go o tym, niestety, cała historia i wszyscy prorocy.

We wczesnej młodości usłyszał był i dobrze zapamiętał popularne powiedzonko „wszyscy ludzie — to łajdaki”. I przez całe swoje późniejsze życie widział wciąż tylko dowody słuszności tej maksymy. Im bardziej też wkorzeniała mu się w duszę, tym więcej znajdował dowodów na jej rzecz i tym łatwiej jakoś mu się żyło. Jeżeli bowiem wszyscy ludzie są łajdakami, to nigdy nic nie wolno robić „dla ludzi”, trzeba myśleć tylko o sobie. I nie ma żadnych tam „społecznych ołtarzy” i niech nikt nie śmie żądać, abyśmy na nich cokolwiek składali w ofierze. I wszystko to bardzo dawno i bardzo niezawile sformułował sam lud: „koszula bliższa ciału”.

Dlatego urzędowi strażnicy ankiet i dusz nie mieli żadnego powodu, aby obawiać się Jakonowa ze względu na jego przeszłość. Rozmyślając nad życiem, Jakonow doszedł do wniosku:



do więzienia trafiają tylko ci, którym w jakiejś chwili nie starczyło rozsądku.

Kto jest naprawdę mądry, ten potrafi wszystko przewidzieć i tak się wykręcić, żeby zawsze cieszyć się wolnością. No i po co spędzać za kratami to życie, które trwa tylko tak długo, jak długo człowiek oddycha? Nie! Jakonow zerwał ze światem zeków nie tylko na pokaz, ale również wewnątrz. Swoich czterech pięknych pokoi z balkonem i siedmiu tysięcy miesięcznie nie dostałby z innych rąk, albo nie tak prędko by się ich dochrapał. Owszem, zrobili mu wiele złego, postępowali wobec niego bezmyślnie, często nieudolnie, zwykle okrutnie — ale przecież w tym okrucieństwie była siła, to był jej najbardziej oczywisty przejaw!

Szykin tymczasem podał mu spis zeków wyznaczonych do jutrzejszego transportu. Uzgodnionych zawczasu kandydatów było szesnastu, teraz zaś Szykin z aprobatą dopisał jeszcze dwa nazwiska wzięte z biurkowej agendy Jakonowa. W korespondencji z Zarządem Więziennictwa była mowa o dwudziestu. Brakującą jeszcze dwójkę trzeba było wyznaczyć szybko, aby nie później niż o piątej wieczór móc przekazać spis podpułkownikowi Klimentowowi.

Ale jakoś opornie im szło z tymi nowymi kandydaturami. Tak już zawsze się składało, że najlepsi specjaliści i pracownicy byli bardzo podejrzani z operacyjnego punktu widzenia, zaś ulubieńcami opera byli durnie, szalapaty i nieroby. Właśnie dlatego trudno było uzgadniać spisy przeznaczonych do wysyłki.

Jakonow rozłożył ręce.

— Zostawcie mi spis. Jeszcze pomyślę. I wy też nad tym pomyślcie. Stelefonujemy się.

Szykin bez pośpiechu podniósł się z krzesła i (powinien był się powstrzymać, ale przecież nie zdołał) temu niegodnemu zaufania człowiekowi poskarżył się na dziwne kroki ministra; do dwudziestego pierwszego pokoju wpuszcza się więźnia Rubina, wpuszcza się Rojtmana — a właśnie jego, Szykina podobnie zresztą jak pułkownika Jakonowa w ich własnym obiekcie się nie wpuszcza, dobre co?

Jakonow podniósł brwi przyjmując równocześnie powieki, tak, że na chwilę zupełnie zaniewidział. Mówił jakby:

„Tak, majorze, tak, przyjacielu, to mnie też boli, nawet bardzo, ale nie śmiem podnosić oczu na słońce”.

W rzeczywistości zaś Jakonow uważał całą sprawę dwudziestego pierwszego pokoju za niepewny interes. Rojtman to gorączka, może nareszcie skręci kark.

Szykin wyszedł. Jakonow zaś przypomniał sobie najprzyjem-



niejszą ze spraw jakimi dziś miał się zająć, bo wczoraj nie zdążył. A przecież, jeżeli dobrze pchnąć naprzód sprawę absolutnego szyfratora, to właśnie ona może uratować go w oczach Abakumowa za miesiąc.

Zadzwoił do biura konstruktorskiego i zlecił, aby Sołogdin zjawił się u niego z nowym projektem.

Nie minęły dwie minuty, a Sołogdin już zapukał i wszedł do gabinetu z pustymi rękoma — przystojny, z kędzierzawą bródką, w zatłuszczonym kombinezonie.

Jakonow prawie nigdy dotąd nie rozmawiał z Sołogdinem; nie było dotąd powodu aby wzywać go do tego gabinetu. A podczas wizyt w biurze konstruktorskim, albo gdzieś na korytarzu inżynier-pułkownik nie dostrzegał nawet osoby tak mało znaczącej. Ale teraz (zerknąwszy przedtem do spisu imion i patronimików, leżącego pod szkłem) z całą serdecznością i wielkopańską gościnnością Jakonow spojrzął na wchodzącego i powiedział podkreślając słowa szerokim gestem:

— A, Dymitr Aleksandrowicz? Bardzo rad jestem pana widzieć.

Sołogdin podszedł bliżej z rękoma jakby przyspawanymi do boków, uklonił się w milczeniu, wyprostował się i stanął bez ruchu.

— A więc pan przyszykował nam w tajemnicy niespodziankę? — zagruchał Jakonow. — W tych dniach, bodaj że w sobotę zobaczyłem u Włodzimierza Erastowicza pański projekt głównego węzła absolutnego szyfratora. (Czemu pan nie siada?...)

Obejrzałem go tylko pobieżnie i szalenie chciałbym rozpatrzyć go bardziej szczegółowo.

Patrząc prosto w pełne sympatii oczy Jakonowa, stojąc w pół-obrocie, nieruchomo jak podczas pojedynku, kiedy za chwilę strzelać ma przeciwnik, Sołogdin odparł dzieląc słowa:

— Myli się pan, pułkowniku. Istotnie, pracowałem nad szyfratorem, ile mi na to siły pozwalały. Ale to, co z moich wysiłków wynikało i co pan widział jest tworem pokracznie niedoskonałym, zresztą na miarę moich bardzo przeciętnych zdolności.

Jakonow wyprostował się w swoim fotelu i życzliwym tonem zaprotestował:

— Noo, chyba nie, mój kochany, tylko bez tej fałszywej skromności. Chociaż pracę pańską tylko pobieżnie przejrzałem, ale jestem o niej bardzo wysokiego zdania. A Włodzimierz Erastowicz, który dla nas obu jest sędzią najwyższym, wyraża się o niej w sposób zdecydowanie pochwalny. Teraz każę, żeby nam tu nikt nie przeszkadzał, niech pan przyniesie swój arkusz,

podzieli się swoimi uwagami i nad resztą zastanowimy się wspólnie. Jeżeli pan chce, to zaprosimy Włodzimierza Erastowicza?

Jakonow nie był tępym kierownikiem przedsiębiorstwa, którego interesuje jedynie wynik albo ilość produkcji. Był inżynierem, niegdyś nawet pełnym fantazji, więc teraz już cieszył się z góry na tę subtelną przyjemność, której dostarczyć może kontakt z długo hołubioną ludzką myślą. Była to jedyna przyjemność, którą miał jeszcze ze swojej pracy. Patrzył na Sołogdina błagalnie i uśmiechał się łakomie.

Sołogdin też był inżynierem, już od czternastu lat. Więziem zaś był od dwunastu.

Zaschło mu w gardle i mówił z trudem:

— Niemniej, pułkowniku, pan myli się całkowicie. To był tylko szkic wcale niewart pańskiej uwagi.

Jakonow sposepniał i sierzdząc się już trochę powiedział:

— No dobrze, zobaczymy, zobaczymy, proszę przynieść arkusz.

Na jego epoletach, złotych z błękitnym kantem, widniały trzy gwiazdy, trzy duże gwiazdy ustawione w trójkąt. Starszy lejtnant Kamyszian, oper z Górnej Zakrytki, w okresie, w którym bijał Sołogdina, też dostał zamiast dawnych kubików, takie same złote z niebieskim kantem, rozstawione w trójkąt trzy gwiazdy, tylko mniejsze.

— Ten szkic więcej nie istnieje. — Głos mu zadrział. — Znalazłszy w nim ogromne, niemożliwe do poprawienia błędy, ja go... spaliłem.

Pułkownik zbladł. W złowróźbnej ciszy słycać było jak ciężko sapie. Sołogdin starał się oddychać cicho i spokojnie.

— To znaczy... Jak?... Własnymi rękoma?

— Nie, dlaczego. Oddałem do spalenia. Według przepisów. — Mówił głucho, niewyraźnie. Nie było w tym ani śladu jego butnej pewności siebie.

— To może jeszcze nie został spalony? — zawołał Jakonow z żywą nadzieją.

— Spalony. Widziałem przez okno — odparł Sołogdin jak nożem uciął.

Jedną ręką zaciskając poręcz krzesła, drugą wpijając się w marmurowy przycisk, jakby chciał rozbić nim głowę Sołogdinowi — pułkownik z wysiłkiem dźwignął duże swoje ciało i pochylił się nad biurkiem, cały podany naprzód.

Z lekko odrzuconą wstecz głową Sołogdin stał w swoim granatowym kombinezonie jak na piedestale.

Obu inżynierom nie trzeba już było żadnych pytań, ani wy-

jaśnień. Patrzyli sobie w oczy tak, jakby przebiegały między nimi prądy niesłuchanej częstotliwości i niewymiernego napięcia.

— „Ja cię zniszczę!” — bluzgało z oczu pułkownika.

— „A zasuń mi ten trzeci wyroczek, draniu!” — krzyczały oczy więźnia.

Wydawało się, że za chwilę grom tu strzeli.

Ale Jakonow ścisnął dłonią czoło i oczy, jakby światło go raziło, odwrócił się i podszedł do okna.

Opierając się mocno o najbliższe krzesło Sołogdin opuścił oczy; ogarnęła go niemoc.

„Miesiąc. Tylko miesiąc. Więc jestem zgubiony?” — pułkownik nagle zobaczył to jasno, ze wszystkimi detalami.

„Trzeci wyrok. Już bym tego nie przeżył”. — Sołogdinowi serce zamierało.

Jakonow znowu odwrócił się i patrzył na Sołogdina.

„Jesteś przecież inżynierem! Jak mogłeś?!” — pytał spojrzeniem.

Ale oczy Sołogdina też rozbłysły:

„Byłeś przecież więźniem! Już zapomniałeś wszystko?!”

Spojrzeniem pełnym nienawiści i fascynacji, bo widzącym w tym drugim własny, niespełniony jeszcze los, patrzyli na siebie obaj i nie mogli oczu oderwać.

Jakonow mógł teraz krzyczeć, walić pięścią, telefonować, pisać do więzienia — Sołogdin był przygotowany na to także.

Ale Jakonow wyciągnął czystą, miękką, białą chusteczkę i przetarł nią powieki. I spojrzął na Sołogdina jasnymi oczyma.

Sołogdin starał się wytrzymać jeszcze właśnie tych kilka minut.

Jedną ręką inżynier-pułkownik oparł się o parapet, drugą zaś w milczeniu kiwnął na Sołogdina.

Sołogdin zrobił w jego stronę trzy twarde kroki.

Garbiąc się trochę, jakby ciążyły mu już lata, Jakonow zapytał:

— Jesteście z Moskwy, Sołogdin?

— Owszem. — Sołogdin patrzył mu prosto w oczy.

— Spójrzcie no tam — powiedział Jakonow. — Czy widzicie na szosie przystanek autobusowy?

Było go dobrze widać z okna.

Sołogdin spojrzął w tym kierunku.

— Stąd jest tylko pół godziny do centrum Moskwy — powiedział Jakonow cicho.

Sołogdin znów obrócił się ku niemu.

I nagle Jakonow zarzucił obie dłonie Sołogdinowi na barki, jakby miał upaść.

— Sołogdi-in! — powiedział śpiewnie i z męką w głowie. — Do tego autobusu moglibyście sami wsiąść w czerwcu — w lipcu tego roku. Aleście tego nie chcieli. — Wolno mi sądzić, że w sierpniu już byście mogli wyjechać na pierwszy urlop, chyba nad morze Czarne? Kąpać się, kąpać! Ileście lat już nie wchodzili do wody? Przecież więźniów nigdy się nie puszcza!

— Dlaczego? Przy spalwaniu drzewa — powiedział Sołogdin.

— Ładna kąpiel! — Jakonow ciągle jeszcze trzymał ręce na ramionach Sołogdina, a może po prostu wspierał się na nim. — Ale was posła na taką północ Sołogdin, gdzie rzeki nigdy nie odmarzają... Słuchajcie, mnie się nie mieści w głowie, żeby mógł istnieć na świecie człowiek sam dla siebie niezycliwy. Proszę mnie objaśnić: dlaczegoście spalili rysunek??

Błękit oczu Dymitra Sołogdina był wciąż tak samo nieugięty, nieprzekupny, nieskalany. A w czarnym kółeczku jego źrenicy Jakonow widział swoją dorodną głowę.

Błękitny krążek z czarną dziurką pośrodku — a za nimi cały, nieodgadniony świat przeżyć tego właśnie, pojedynczego człowieka.

— A jak myślicie? — odpowiedział Sołogdin pytaniem. Jego soczyste wargi, różowiejące między wąsami a bródką, wygięły się odrobinę, jakby miał się uśmiechnąć.

— Nie rozumiem. — Jakonow zdjął ręce z jego ramion i poszedł w stronę biurka. — Samobójców nie rozumiem.

I usłyszał za plecami głos znowu dźwięczny i pewny siebie:

— Obywatelu pułkownika! Człowiek ze mnie mało znaczący, nikomu nie znany. Nie chciałem swojej wolności oddać za byle co.

Stojąc już przy swoim biurku Jakonow szybko odwrócił się ku niemu.

— ... Gdybym nie spalił rysunku, tylko położył go tu w gotowej formie — nasz podpułkownik, wy sami, Foma Gurianowicz, zresztą każdy, mogliby mnie jutro wypchnąć do transportu a rysunek podpisać dowolnym nazwiskiem. Znamy podobne przykłady. A z więzień etapowych, pozwolę sobie panu powiedzieć, bardzo nieporęcznie jest wysyłać skargi: ołówki zabierają, papieru nie dają, podania posyłają nie tam gdzie trzeba... Więzień odesłany transportem nie może w niczym mieć racji...

Jakonow słuchał Sołogdina prawie że z zachwytem (ten człowiek spodobał mu się z punktu, kiedy tylko przestąpił próg).

— Więc pan by się zgodził zrekonstruować swój projekt?! — to nie inżynier-pułkownik pytał, tylko zdesperowany, zadreńczony, nad niczym już nie władny człowiek.

— To, co było na moim arkuszu — w ciągu trzech dni! — błysnął oczyma Sołogdin. — A za pięć tygodni dostarczę panu pełny projekt ze wszystkimi obliczeniami i technicznymi wskazówkami. Czy to pana urządza?

— Miesiąc! Miesiąc! To musi być miesiąc!! — nie nogami po podłodze, tylko rękoma po biurku przebierał Jakonow starając się zbliżyć do tego piekielnego inżyniera.

— Zgoda, będzie pan miał za miesiąc — chłodno zapewnił go Sołogdin.

Ale tu ogarnęła Jakonowa nieufność.

— Chwileczkę — powiedział. — Dopiero co mi pan mówił, że to był nędzny szkic, że znalazł pan w nim poważne, nie dające się naprawić błędy...

— Oo! — szczerze zaśmiał się Sołogdin. — Płata mi czasem figle brak fosforu, tlenu i barwnych wrażeń, wkraczam wtedy w jakieś pasmo mroku. Ale w tej chwili zgadzam się z profesorem Czełnowem: tam jest wszystko w porządku!

Jakonow też się uśmiechnął, czując ulgę, ziewnął sobie, nie wiadomo dlaczego i usiadł na fotelu. Delektował się opanowaniem Sołogdina, sposobem, w jaki prowadził on tę rozmowę.

— Ryzykowna to była gra, szanowny panie. Przecież to mogło skończyć się zupełnie inaczej.

Sołogdin lekko rozczapierzył palce.

— Chyba nie, pułkowniku. Mam wrażenie, że prawidłowo oceniłem sytuację instytutu i... pańską zarazem. Pan przecież zna francuski? *Sa Majesté le Cas!* Jego Wysokość Przypadek! Bardzo rzadko zdarza się nam w życiu — a wtedy trzeba w odpowiedniej chwili dosiąść go — i to skacząc dokładnie na sam grzbiet!

Sołogdin mówił i zachowywał się tak po prostu, jakby rozmawiał z Nierzynelem przy drwach.

Teraz on z kolei usiadł, wciąż spoglądając wesoło na Jakonowa.

— Więc co jest do zrobienia? — spytał inżynier-pułkownik przyjaznym tonem.

Sołogdin odpowiedział jak z nut, jakby dawno już wszystko było zdecydowane:

— Fomę Gurianowicza wolałbym ominąć przy pierwszych krokach. Jest to właśnie ta osoba, która lubi dopisywać się w charakterze współautora. Z pańskiej strony podobnych chwytów nie przewiduję. Chyba się nie mylę?

Jakonow radośnie kiwnął głową. O, jak wiele zyskiwał nawet bez tego!

— Ponadto przypominam, że arkusz chwilowo nie istnieje, spalony. Teraz, jeżeli panu na moim projekcie zależy — to proszę, aby znalazł pan sposób zameldowania o mnie bezpośrednio ministrowi, w najgorszym razie — wiceministrowi. I niech rozkaz o mojej nominacji na funkcję głównego konstruktora podpisze on osobiście. Będzie to dla mnie gwarancja i wtedy wezmę się do roboty. Podpis ministra potrzebny mi jest tym bardziej, że w swojej grupie mam zamiar zaprowadzić nie całkiem zwykły porządek. Nie jestem zwolennikiem tych nocnych wacht, niedzielnych szturmów, nie pochwalam przekształcania pracowników naukowych w umysłowych mużłomanów. Ludzie powinni rwać się pracy jak... na spotkanie z dziewczyną. — Sołogdin mówił coraz weselej, z coraz większą bezceremonialnością, tak jakby znali się z Jakonowem od dzieciństwa. — A w tym celu powinni być wyspani, powinni móc się zabawić. Kto chce — ten niech piłuje drwa dla kuchni. Trzeba także o kuchni pomyśleć, zgodzi się pan chyba?...

Drzwi gabinetu nagle się otwały. Wszedł bez pukania łysy, chudy Stiepanow. Jego szkła pobłyskiwały martwo.

— Antoni Nikołajewicz! — oznajmił surowo. — Musimy porozmawiać, ważna sprawa.

Stiepanow mówił do kogoś nie po nazwisku! To było wprost niewiarygodne.

— A więc mam czekać na rozkaz? — Sołogdin podniósł się z krzesła.

Inżynier-pułkownik skinął głową. Sołogdin wyszedł stąpając lekko i twardo.

Jakonow nie od razu potrafił się zorientować, o czym właściwie z takim ożywieniem mówi partorg.

— Towarzyszu Jakonow! Dopiero co byli u mnie towarzysze z Zarządu Politycznego i nielicho zmyli mi głowę. Popełniłem duże i poważne błędy. Dopuszczałem, aby w naszej organizacji partyjnej zagnieździła się grupa, nazwijmy to tak — kosmopolitów, przybłądów. A ja tymczasem przejawiałem polityczną krótkowzroczność, ja was nie poparłem wtedy, kiedy próbowali was zaszczyć. Ale powinniśmy z całą odwagą przyznawać się do swoich pomyłek! Więc my teraz sobie z wami przygotowujemy rezolucję, później zwołamy otwarte zebranie partyjne — i wymierzmy potężny cios w czołobitność.

Pozycja Jakonowa, wczoraj jeszcze tak beznadziejnie zachwiana, poprawiła się nagle i zdecydowanie.

## LXXIV

### STO CZTERDZIEŚCI SIEDEM RUBLI

Przed przerwą na obiad dyżurny Żwakun wywiesił w korytarzu specwężenia spis osób wezwanych do majora Myszyzna w godzinach przerwy. Według wersji oficjalnej, w takich spisach wymienieni byli więźniowie, na których imię nadeszły z zewnątrz listy i przekazy pieniężne.

Procedura wydawania zekowi listu otoczona była w specwężeniach nimbem tajemnicy. Zadanie to nie mogło być — w tak trywialny sposób jak na wolności — powierzone byle włóczędze — listonoszowi. Za szczelnie zamkniętymi drzwiami, w cztery oczy k u m, który list już przeczytał i sprawdził, że nie ma w nim żadnych grzesznych ani buntowniczych myśli — wręczał go więźniowi, dodając odpowiednie pouczenia. List był oddawany w kopercie z całą szczerością otwartej, co dobijało w nim ostatnie ślady intymności łączącej krewnego z krewnym. List po przejściu przez wiele rąk, posiekany na cytaty do dossier, opatrzony czarną, rozmazaną pieczęcią cenzury — tracił swój nędzny sens osobisty a zyskiwał ważną rangę dokumentu państwowego. (W niektórych *szaraszkach* tak dobrze to pojmowano, że w ogóle nie oddawano listu więźniowi, tylko pozwalano mu go przeczytać, w zasadzie tylko raz, w gabinecie kuma, każąc w końcu listu stwierdzić podpisem fakt przeczytania; jeżeli zaś zek, czytając list od żony, czy matki, próbował coś sobie z niego wypisać dla pamięci — budziło to takie podejrzenia, jakby ośmielił się kopiować dokumenty Sztabu Generalnego. Na przysyłanych z domu fotografiach zek z takiej *szaraszki* też musiał stwierdzić podpisem, że je widział, po czym zdjęcia były wszywane do jego więziennych akt).

Tak więc spis został wywieszony — i sformowała się kolejka po listy. Stawali w tym ogonku również ci, którzy



nie odebrać listy chcieli, tylko nadać — według przepisu należało wręczać listy osobiście kumowi, a wolno było pisać raz na miesiąc. Wszystkie te operacje dawały majorowi Myszynowi dogodną możliwość spotkań z jego konfidentami, którzy też mogli zjawiać się wtedy u niego dodatkowo i bez obawy. Żeby zaś nie wyszło na jaw, z kim prowadzi dłuższe rozmowy, więzienny kum zatrzymywał czasem w swoim gabinecie także uczciwych zeków, co innych zbijało z tropu.

Stojący w ogonku podejrzewali się więc nawzajem. W niektórych wypadkach wiedzieli dokładnie kto na nich donosi, ale uśmiechali się tylko przymilnie, żeby nie drażnić takiego syna.

Po dzwonku na obiad sznur zeków wyskoczył z podziemnego korytarza na dziedziniec. Przecinali go bez waciaków i czapek, bo nie chłodem wiało, tylko wilgocią i znikali w drzwiach sztabu więziennego. Ponieważ tego ranka ogłoszono nowe przepisy w sprawie korespondencji, ogonek był szczególnie długi — ze czterdziestu ludzi; nie mieścili się już w korytarzu. Pomocnik dyżurnego *sucherny* podoficer, komenderował nimi gorliwie, nie szczczędając swego kwitnącego zdrowia. Odliczył dwudziestu pięciu ludzi, pozostałym kazał odejść i wrócić podczas przerwy na kolację, tych zaś, co już byli w korytarzu ustawił wzdłuż ściany z daleka od gabinetów kierownictwa i sam cały czas cyrkulował pilnując porządku. Każdy zek po kolei musiał minąć kilkoro drzwi, zapukać do gabinetu majora Myszyzna i wchodzić dopiero po uzyskaniu zezwolenia. Następny ruszał dopiero po jego powrocie. Gorliwy podoficer dyrygował tym ruchem przez całą przerwę obiadową.

Chociaż Spirydon długo prosił, żeby wydano mu list już rano, Myszyn powiedział stanowczo, że dostanie dopiero podczas obiadu, razem z innymi. Ale pół godziny przed przerwą wezwał do siebie Spirydona major Szykin. Gdyby Spirydon zeznał co trzeba, gdyby się przyznał — to przecież zaraz dostałby swój list, zdążyłby. Ale się uparł, zapierał się — i major Szykin nie mógł go puścić, póki nie skruszał. Dlatego też odzalaował swoją przerwę obiadową (do stołówki dla wolniaków major i tak chodził nie podczas przerwy, nie lubił tłoku) — i dalej sondował Spirydona.

Pierwszym w kolejce po listy był Dyrsin, wynędzniały inżynier z Siódemki, jeden z jej najlepszych pracowników. Nie dostawał listów już przeszło trzy miesiące. Daremnie pytał o nie Myszyzna. Wciąż słyszał od niego, że „nie”, „nie piszą”. Daremnie prosił Mamurina, żeby interweniować na poczcie — nikt nie interweniował. I oto dzisiaj zobaczył swoje nazwisko w spisie. Walcząc z bólem świdrującym mu piersi, zdążył przybiec jako

pierwszy. Z całej rodziny została mu tylko żona, zadreńczona przez dziesięcioletnie oczekiwanie, tak samo jak on.

Podoficer machnięciem ręki pozwolił Dyrsinowi iść do majora — i pierwszym z kolei okazał się uśmiechnięty łobuzersko Ruśka Doronin ze swoją gęstą, falującą, jasną czupryną. Widząc, że zaraz za nim stoi w kolejce Łotysz Hugo, jeden z tych, którym się zwierzył, Ruśka potrząsnął głową, mrugnął i powiedział szeptem:

— Idę po pieniądze. Ciężko zapracowane.

— Możecie iść! — zakomenderował podoficer.

Doronin ruszył z kopyta mijając powracającego, przygnębionego Dyrsina.

— No i co? — już na podwórzu spytał Dyrsina jego kolega z pracy i przyjaciel, Amantaj Bułatow.

Niedogolona, zawsze zatroskana twarz Dyrsina, jeszcze bardziej się wyciągnęła.

— Nic nie wiem. Powiedział — że list jest, ale żebym po przerwie przyszedł porozmawiać.

— A to kurwy! — z całym przekonaniem powiedział Bułatow i oczy błysnęły mu za okularami. — Dawno to mówię, listy kładą ci pod sukno. Powiedz, że odmówisz pracy!

— To drugi wyrok wlepią — westchnął Dyrsin. Garbił się zawsze i wciągał w ramiona głowę, jakby ktoś go kiedyś dobrze huknął po niej z tyłu. Bułatow też westchnął. Był taki wojowniczy, bo miał jeszcze długo siedzieć. Ale zek staje się tym bardziej potulny, im mniej zostało mu do końca kary. Dyrsin ostatni już rok rozmieniał na drobne.

Niebo było jednolicie szare, bez ciemnych nawarstwień i prześwitów. Nie czuło się jego głębi, nie wydawało się kopułą, tylko brudną, brezentową płachtą naciągniętą nad ziemią. Pod ostrym, wilgotnym wiatrem śnieg osiadał, otwierały się w nim brudne pory, jego poranna biel już nieznacznie żółkła. Zbijał się pod nogami w bure, śliskie gule.

Więzienny spacer szedł zwykłą koleją. Nie można wyobrazić sobie pogody tak złej, żeby więdnących z braku powietrza więźniów *szaraszki* skłoniła do rezygnacji ze spaceru. Po długim siedzeniu w zamkniętych izbach, sprawiały im nawet przyjemność te ostre podmuchy wilgotnego wiatru, wypierały im z płuc zatechłe powietrze i zatechłe myśli z głów.

Wśród spacerujących miotał się grawer. Brał pod rękę to jednego, to drugiego zeka, robił z nim parę okrążeń i prosił o radę. Jego sytuacja była wyjątkowo okropna, jak mu się zdawało; przecież siedząc w więzieniu nie mógł zawrzeć ślubu ze swoją pierwszą żoną — i teraz będzie ona traktowana, jak

nieślubna; nie miał prawa więcej do niej pisać. Nawet o tym napisać, że więcej nie napisze — też nie mógł, bo wyczerpał już w grudniu swój miesięczny limit. Wszyscy mu współczuli. Rzeczywiście, był w absurdalnej sytuacji. Ale każdemu własny ból przesłaniał cudze zmartwienia.

Skłonny do skrajności Kondraszew, wysoki, trzymający się tak prosto, jakby kij połknął, kroczył powoli patrząc zniechęcającymi oczyma ponad głowami kolegów i w ponurym upojeniu mówił do profesora Czełnowa, że przy takim deptaniu godności ludzkiej — żyć dalej, to znaczy poniżać się samemu. Każdy odważny człowiek ma zaś prosty sposób przerwania tego łańcucha udręczeń.

Profesor Czełnow w swojej odwiecznej włóczkowej czapeczce i w pledzie narzuconym na ramiona, spokojnie cytował malarzowi „Więzienne konsolacje” Boecjusza.

Pod drzwiami sztabu skupiła się już grupa ochotnicza łowców szpicli — był w niej Bułatow, którego głos rozlegał się po całym dziedzińcu; Chorobrow; dobroduszny Ziemiela; starszy technik z pracowni próżniowej, Dwojetiosow, noszący z zasady tylko dziurawą, obozową fufajkę; bystry, wścibski Priancykow; Maks — z ramienia Niemców; jeden z Łotyszów.

— Ojczyzna powinna znać swoich kapusiów! — powtarzał Bułatow podtrzymując w nich zamiar wytrwania na miejscu.

— Kiedy my w zasadzie i tak wiemy — odpowiadał Chorobrow, stojąc na progu i przesuwając wzrokiem po stojących w ogonku. O niektórych z nich mógł powiedzieć z dużym prawdopodobieństwem, że stoją tu, by odebrać swoje judaszowe srebrniki. Ale wzbudziła podejrzenia, oczywiście, najmniej zręczni.

Ruśka wrócił do kolegów wesoły, ledwie się powstrzymując od wymachiwania nad głową swoim przekazem pieniężnym. Natychmiast pochyłili się nad blankietem stykając się głowami; przekaz pochodził od mitycznej Klaudii Kudriancew, która pożyła Rościszławowi Doroninowi 147 rubli.

Wracając z obiadu i stając na samym końcu ogonka, przyjrzał się tej grupie swoim przymglonym okiem ober-kapusia król konfidentów, Artur Syromacha. Przyjrzał się im, bo miał przyzwyczajenie, żeby rejestrować wzrokiem, co tylko można, ale nie przypisał jeszcze znaczenia, temu, co zobaczył.

Ruśka zabrał swój przekaz i oddalił się, jak to było umówione.

Jako trzeci podszedł do kuma inżynier-energetyk, mężczyzna czterdziestoletni, który wczoraj w zamkniętej „arce” zanudzał Rubina nowymi projektami socjalizmu; później bawił się na górnych kojach w dziecinną bitwę na poduszki.

Jako czwarty szybkim i lekkim krokiem wszedł Wiktor Lubimiczew, chłopak „swój w dechę”. Pokazywał w uśmiechu duże, równiutkie zęby i wszystkich więźniów, młodych i starych zjednywał sobie, mówiąc każdemu „braciszku”. W tym bezpretensjonalnym zwrocie przejawiała się czystość jego duszy.

Energetyk wyszedł na próg z otwartym listem w ręku. Pograżony w czytaniu nie od razu znalazł stopą schodki. Nic dalej nie widząc, odszedł na bok i nikt z grupy „myśliwych” go nie zaczepił. Bez palta i czapki, na wietrze rozwiewającym mu włosy, nieposiwiacie jeszcze mimo przeżyć, czytał po ośmiu latach rozłąki pierwszy list od córki Ariadny. Idąc w czterdziestym pierwszym roku na front (a z frontu do niewoli, a z niewoli — do więzienia), zostawił w domu jasnowłosą, sześćioletnią dziewczynkę, która nie chciała puścić jego szyi przy pożegnaniu. I kiedy w jenieckim baraku trzeba było chodzić po warstwie tyfusowych wszy, trzeszczących pod nogą, kiedy cztery godziny trzeba było stać w kolejce po chochlę mętnej i śmierdzącej bałandy — jasny, kochany kłębuszek wiązał go nitką Ariadny i kazał mu przecież dotrzeć do końca i wrócić. Ale gdy wrócił do kraju i od razu poszedł do więzienia — nie zdołał zobaczyć córki; została z matką w Czelabińsku, dokąd ich ewakuowano. I matka Ariadny znalazłszy sobie na pewno już kogoś innego, długo nie chciała wyjawić córce, że jej ojciec żyje.

Pochyłym, starannym, szkolnym charakterem pisma bez poprawek i skreśleń córka pisała mu teraz:

„Kochany papo!

Nie odpowiadałam ci dlatego, że nie wiedziałam od czego zacząć i co ci pisać. Chyba mi to wybaczysz, bo bardzo dawno cię nie widziałam i przyzwyczaiałam się do myśli, że mój ojciec zginął. Nawet mi jakoś dziwnie, że mam teraz nagle ojca.

Pytasz, jak mi się żyje. Żyje mi się tak, jak innym. Możesz mi pogratulować — zostałam przyjęta do komsomołu. Prosisz, żebym napisała ci, czego mi potrzeba. Mam, oczywiście, chęć na wiele rzeczy. Teraz skadam pieniądze na boty i na uszycie wiosennego płaszcza. Papo! Prosisz, abym przyjechała do ciebie na widzenie. Czy to na pewno takie pilne? Jechać gdzieś tak daleko i szukać tam ciebie — musisz przyznać, że to nie należy do przyjemności. Kiedy będziesz mógł — to przecież sam przyjedziesz. Życzę ci sukcesów na polu zawodowym. Chwilowo tyle i do zobaczenia.

Całuję.

Ariadna.

Papo, czy widziałeś film „Pierwsza rękawiczka”? Wspaniały! Staram się nie przepuścić ani jednego filmu”.

— Sprawdzimy Lubimiczewa? — spytał Chorobrow, czekając na wyjście Wiktora.

— No wiesz, Terentiicz! Lubimiczew — to swój chłopak! — zakrzyczeli go.

Ale Chorobrow górnym węchem wyczuł coś w tym człowieku. I właśnie teraz Lubimiczew dziwnie długo siedział u kuma.

Wiktor Lubimiczew miał oczy jelenie, pełne otwartości. Natura obdarzyła go zwinnym ciałem sportowca, żołnierza i kochanka. Życie jednym szarpnięciem zabrało go z bieżni dla młodych lekkoatletów i rzuciło do obozu koncentracyjnego w Bawarii. W tym ciasnym przybytku śmierci, dokąd wpełnęli rosyjskich żołnierzy wrogowie, a Stalin nie dopuścił Czerwonego Krzyża — w tym małym, wypełnionym do ostatka siedlisku grozy przetrwać mogli tylko ci, którzy najostrej się odcięli od ograniczonych i względnych pojęć, takich, jak dobro i sumienie. Ci, którzy potrafili zdradzić własnych towarzyszy, będąc tłumaczami; ci, co umieli walić pałką po twarzy swoich rodaków, gdy zostali kapo; ci, którzy potrafili odbierać od ust chleb umierającym z głodu, gdy zostali kucharzami, albo rozdawcami chleba. Były jeszcze dwie inne możliwości przetrwania — przy kopaniu grobów i czyszczeniu latryn. Za kopanie mogli i czyszczenie klozetów hitlerowcy dawali dodatkową chochlę bałandy. Ale z latrynami dawało sobie radę dwóch ludzi. Grabarzy zaś trzeba było z pięćdziesięciu. Codziennie dziesięć fur wywoziło trupy. Latem czterdziestego drugiego przyszła kolej na samych grabarzy. Wiktor Lubimiczew chciał żyć, z całą niewyżytą jeszcze pasją młodego ciała. Postanowił, że jeśli ma umrzeć, to niech będzie ostatni i już zaczynał dogadywać się z nadzorcami, ale tu zdarzyła się szczęśliwa okazja — do obozu przyjechał jakiś typ i chociaż w Czerwonej Armii był politrukiem — teraz swoim nosowym, bełkotliwym głosem namawiał jeńców, żeby poszli walczyć przeciw sowieckiej władzy. Niektórzy zapisywali się. Wśród nich — również komsomolcy... Za wrotami obozu stała niemiecka kuchnia polowa i ochotników natychmiast karmiono kaszą po samo gardło. Lubimiczew wszedł w skład włosowskiego legionu i wojował we Francji; wyłapywał w Wogezach partyzantów z ruchu oporu, a później bronił Wału Atlantyckiego przeciw aliantom. W czterdziestym piątym roku, podczas wielkich łowów, udało mu się jakoś przecisnąć przez oczka sieci. Przyjechał do domu, ożenił się z dziewczyną o takich samych

jasnych oczach i takim samym zwinnym, młodym ciele i musiał zostawić ją zaraz po miesiącu, bo został aresztowany za dawne grzechy. Więzienia akurat w tym czasie gościły uczestników tego samego ruchu oporu, z którym Wiktor wojował w Wogezach. W Butyrkach różni sobie w domino, wspominali dni spędzone we Francji, bitwy, w których razem brali udział — i czekali na paczki od rodzin. Następnie zaś wszyscy dostali tak samo po dziesięć lat. W ten sposób całe życie Lubimiczewa nauczyło go i wychowało w tym duchu, że chyba nikt żadnych „przekonań” nie miał i mieć nie może — nie wyłączając tych, którzy ich wszystkich sędzili.

Nie podejrzewając niczego, z oczyma pełnymi otwartości, trzymając w ręku papierek przypominający pocztowy przekaz pieniężny, Wiktor nie tylko nie usiłował ominąć grupy „myślicy” ale sam do nich podszedł i zapytał:

— Braciszkwowie! Kto już był na obiedzie? Co tam na piecyste? Warto iść?

Wskazując palcem blankiet, który Wiktor trzymał w opuszczonej dłoni, Chorobrow spytał:

— Co, dużoś pewno pieniędzy dostał? Już ci nasz obiad niepotrzebny?

— Gdzie tam dużo! — chciał wykręcić się Lubimiczew, próbując schować blankiet do kieszeni. Nie zadał sobie trudu, żeby schować go wcześniej, bo wszyscy bali się jego siły i nikt by nie śmiał żądać odpowiedzi. Ale podczas gdy rozmawiał z Chorobrowem, Bułatow pochylił się i niby żartem, wyginając skosem szyję, przeczytał:

— Fuu! Tysiąc czterysta siedemdziesiąt rubli! Możesz sobie teraz gwizdać na garkuchnię pana Jakonowa!

Gdyby to zrobił inny zek, Wiktor dałby mu żartem b l a c h ę w czoło, wcale nie pokazując blankietu, ale z Amantajem nie mógł sobie na to pozwolić, bo Amantaj obiecał wciągnąć go do Siódemki, i już nawet zaczął starania. Byłby to uśmiech losu, szansa wyjścia na wolność. Więc Lubimiczew powiedział:

— Jaki tam tysiąc, patrz!

I wszyscy zobaczyli: 147 r. 00 k.

— Patrzcie! To nie mogli przysłać równo sto pięćdziesiąt! — zauważył Amantaj z zimną krwią. — No to idź, na drugie szynceł.

Ale Lubimiczew nie zdążył jeszcze stąpić kroku, jeszcze nie zamilknął głos Bułatowa — jak Chorobrow zatrzęsł się cały. Chorobrow wypadł z roli. Zapomniał, że trzeba trzymać się na wodzy, uśmiechać się i dalej ciągnąć polowanie. Zapomniał, że najważniejsze — to r o z p o z n a ć kapusiów, że wytrzebić



ich nie można i tak. Po tym, co sam wycierpiał przez szpiclów, napatrzywszy się ilu jego kolegów przez nich zginęło — Chorobrow nienawdził tych skrytych zdrajców bardziej niż kogokolwiek w świecie. Chłopak, który mógł być synem Chorobrowa, młodzian mogący służyć rzeźbiarzom za model — okazał się z dobrowoli taką gadziną!

— Tty ddraniu! — powiedział Chorobrow drżącymi ustami. — Naszą krwią chcesz sobie zarobić na zwolnienie? Czego ci tu brakowało?

Lubimiczew, zawsze w sportowej formie, odwrócił się i podniósł pięść, aby wymierzyć krótki, boksinerski cios.

— Uch, ty ścierwo wiackie! — powiedział.

— Terentiicz, co ty wyprawiasz! — Bułatow jeszcze wcześniej rzucił się, żeby odciągnąć Chorobrowa.

Olbrzymi, niezgrabny Dwojetiosow w dziurawym waciaku chwycił lewą dłonią podniesioną prawicę Lubimiczewa i wpił się w nią.

— Chłopczyku, chłopczyku! — powiedział z pobłażliwym uśmiechem, tym pieszczotliwym prawie szeptem, któremu towarzyszy napięcie całego ciała.

Lubimiczew ostro odwrócił się do napastnika i jego otwarte, jelenie oczy znalazły się naprzeciw krótkowzrocznych, wysadzonych oczu Dwojetiosowa.

I nie podniósł już drugiej ręki. W tych sowych oczach i w sile, z jaką chłopska łapa trzymała jego pięść wyczuł, że jeden z nich za chwilę nie runie zwyczajnie, tylko padnie trupem.

— Chłopczyku, chłopczyku! — powtórzył Dwojetiosow. — Na drugie sznycel. Idź, sznycel stygnie.

Lubimiczew wyrwał się i z dumnie podniesioną głową poszedł w stronę schodni. Jego atłasowe, duże policzki płonęły. Myślał, jak tu porachować się z Chorobrowem. Nie zdał sobie jeszcze sprawy, jak głęboką ranę zadało mu oskarżenie. Gotów był z każdym iść o zakład, że dobrze rozumiał mechanizm życia, a tu się okazało, że jeszcze go nie rozumie.

Jak mogli się domyśleć? Jakim cudem?

Bułatow odprowadził go spojrzeniem i złapał się za głowę:

— Mamo kochana! Komu teraz wierzyć?

Cała ta scena ograniczyła się do kilku drobnych ruchów i nie zwróciła uwagi ani zeków spacerujących po dziedzińcu, ani dwóch nieruchomych strażników na skrajach spacernika. Tylko Syromacha mrużąc ze znużoną miną swoje leniwe oczy, widział zdarzenia po kolei przez drzwi, przypomniał sobie zachowanie Ruśki — i zrozumiał wszystko!

Porwał się jak oparzony.



— Chłopaki! — zwrócił się do stojących przed nim — zostawiłem schemat pod napięciem. Puśćcie mnie bez kolejki! Ja raz dwa!

— Każdy ma schemat pod napięciem!

— Każdy ma dziecko! — odpowiedziano mu ze śmiechem. Nikt nie chciał go puścić.

— To polecę, żeby wyłączyć! — oznajmił zatroskany Syromacha i ominąwszy dużym łukiem myśliwych zniknął w głównym budynku. Bez tchu wbiegł na drugie piętro. Ale gabinet majora Szykina był zamknięty od wewnątrz, klucz tkwił w dziurce. Mogło tam właśnie odbywać się badanie. Albo czułe spotkanie z tyczkowatą sekretarką. Syromacha wycofał się, czując, że opuszczają go siły.

Z każdą chwilą topniały teraz najlepsze kadry — i nic nie można było zaradzić!

Powinien był wrócić teraz do ogonka, ale instynkt tropionego zwierzęcia okazał się silniejszy od chęci zdobycia zasługi; strach go zdejmował na myśl o przejściu obok tej rozwścieczonej grupki na podwórku. Mogli zaczepić Syromachę nawet bez powodu. Zbyt dobrze znano go już w *szaraszce*.

Tymczasem na dziedzińcu doktor chemii Orobincew, mały, w okularach, w pięknym futrze i w czapce, które nosił na wolności (nie zdążył być nawet w etapowym więzieniu i jeszcze nikt go nie obróbił) po wyjściu od Myszyzna zebrał wokół siebie takich samych naiwniaków, w tej liczbie również łysogo konstruktora i dawał im interwiew. Wiadomo, że ludzie wierzą przede wszystkim w to, w co chcą wierzyć. Ci, którzy chcieli wierzyć, że wymagany od nich spis krewnych nie jest żadnym donosem, tylko rozsądnym zarządzeniem rejestracyjnym — zbrali się właśnie teraz dookoła Orobincewa. Orobincew już zaniósł swój pedantycznie podzielony na rubryki spis, oddał go, porozmawiał sam z majorem Myszyinem i teraz autorytatywnym tonem powtarzał jego wyjaśnienia: gdzie wpisywać nieletnie dzieci i co robić, kiedy ma się ojczyma. W jednym tylko punkcie Myszyin uraził właściwe Orobincewowi poczucie dobrego tonu. Orobincew zwierzył mu się mianowicie, że nie pamięta dobrze miejsca urodzenia żony. Myszyin zaśmiał się, szeroko otwierając gębę: „Toście ją z burdelu wzięli, czy co?”

Teraz łatwowiejne króliki słuchały Orobincewa, nie chcąc mieć nic wspólnego z drugą grupą, która zebrała się wokół Adamsona, koło trzech lip osłaniających ich przed wiatrem.

Adamson paląc leniwie papierosa po obfitym obiedzie pouczał swoich słuchaczy, że wszystkie te zakazy korespondencji nie są żadną nowością, że zdarzały się już gorsze, że ten zakaz

też nie jest na wieki wieczne, tylko aż do najbliższej zmiany na stanowisku jakiegoś ministra, czy generała, dlatego też nie trzeba upadać na duchu, o ile możności — powstrzymać się od składania tych spisów, a z czasem wszystko rozejdzie się po kościach. Adamson miał od urodzenia oczy podłużnie i wąsko wycięte, kiedy więc zdejmował okulary, wzmagało się wrażenie, że znudzony jest już oglądaniem więziennego świata; wszystko powtarzało się wciąż od nowa, i żadną niespodzianką nie mógł go zadziwić archipelag GUŁ-ag.

Adamson tak długo już siedział, że wrażliwość jego uległa jakby przytępieniu, i to, co dla innych było tragedią, odczuwał zaledwie jako drobną modyfikację codzienności. Tymczasem myśliwi, których przybyło, złapali jeszcze jednego kapusia — wciąż żartując wyciągnęli blankiet na 147 rubli z kieszeni Izaaka Kagana. Zanim wydobyto ten przekaz na światło dzienne, Kagan zapytany, co dostał od kuma, odparł, że nic nie dostał i sam się dziwi, po co go wzywano. Kiedy zaś przekaz wyrwano mu siłą i próbowano go zawstydzić — Kagan nie tylko nie poczerwieniał, nie tylko, że nie chciał uciec, ale chwytając za poły wszystkich po kolei swoich demaskatorów zaczął przysięgać natrętnie, dokuczliwie, że to zupełne nieporozumienie, że pokaże im list od żony, w którym pisała mu, że na poczcie nie starczyło jej trzech rubli i musiała posłać 147. Chciał nawet, żeby poszli z nim do stacji akumulatorów, a tam zaraz odnajdzie im to pismo i wszystkim pokaże. Trzęsąc swoją kudłatą głową i nie czując, że szal obsunął mu się z szyi i prawie włókł się po ziemi, Kagan sypał bardzo prawdopodobnymi wyjaśnieniami dlaczego z początku próbował ukryć fakt nadejścia przekazu. Kagan miał w sobie jakąś wrodzoną przyczepność. Gdy człowiek zaczął z nim rozmawiać, to już w żaden sposób nie mógł się odczepić, chyba że przyznał mu stuprocentową rację i zrezygnował z ostatniego słowa. Chorobrow, najbliższy jego sąsiad w sypialni, wtajemniczony w dzieje jego aresztowania za powstrzymanie się od donosu, nie miał teraz siły, żeby porządnie na niego się rozgniewać, więc powiedział tylko:

— Ach, Kagan, Kagan, łajdaku ty, łajdaku! — Na wolności tysiącami cię nie skusili, a tu za półtóry setki się sprzedałeś!

A może tak go nastraszyli powrotem do łagru?...

Ale Izaak, wcale nie zmieszany, wciąż się usprawiedliwiał i pewno by ich przekonał, gdyby nie złapali jeszcze jednego kapusia, tym razem Łotysza. Przestali zważać na Kagana, więc sobie poszedł.

Drugą zmianę wezwano na obiad, pierwsza zaś wyległa na spacernik. Nierzyn wyszedł po schodni, miał na sobie wojsko-

wy płaszcz. Od razu zauważył Ruškę Doronina, stojącego na skraju spacernika. Tryumfującym, roziskrzonym spojrzeniem Ruška przyglądał się przygotowanemu przez siebie polowaniu, to znów zerkał w stronę ścieżki wiodącej na dziedziniec dla wolniaków i na ten odcinek szosy, gdzie wkrótce już miała wyjść z autobusu Klara; dziś przypadał jej wieczorny dyżur.

— No?! — uśmiechnął się do Nierżyna i wskazał palcem myśliwych. — Już pan słyszał o Lubimiczewie?

Nierżyn podszedł blisko i uściśnął go lekko.

— Na rękach by cię nosić! Ale teraz się o ciebie boję.

— Ho, ho! Dopiero się rozpędzam, to tylko pierwsze kwiatki!

Nierżyn pokręcił głową, uśmiechnął się i ruszył dalej. Spotkał idącego na obiad, rozpromienionego Priancykowa, który nakrzyczał się swoim cienkim głosem do woli, skacząc dookoła złapanych konfidentów.

— Ha, ha, dziecino! — zawołał. — Przegapił pan całe przedstawienie! Gdzie Lew?

— Ma pilną robotę. Wcale nie wyszedł na przerwę.

— Co? Pilniejszą niż w Siódemce? Ha, ha! To niemożliwe. Ja was pieprzę! Wszystkich! — i pobiegnął dalej.

W naciśniętej na malutką głowę brudnej cyklistówce, w krótkim płaszczu z podniesionym kołnierzem, natknął się na Nierżyna z kolei Gerasymowicz. Skinęli sobie wzajemnie głowami przyjaźnie i markotnie. Gerasymowicz kulił się pod uderzeniami wiatru, trzymał ręce w bocznych kieszeniach; tak był drobny, że przypominał wróbla.

Ale tego wróbla z ludowego przysłowia — co to ma serce większe od kota, swojego prześladowcy.

## BUDZENIE OPTYMIZMU

W porównaniu z zajęciami majora Szykina, zajęcia majora Myszyzna miały swoje odrębne cechy, jak również swoje plusy i minusy. Najważniejszym plusem była możliwość czytania cudzych listów, ich wysyłania, albo nie wysyłania. Minusem było, że Myszyn nie miał wpływu na odsyłanie ludzi do łagrów, zawieszanie wypłat za pracę, określanie kategorii żywienia, wyznaczanie terminów widzeń z krewnymi i stosowanie rozmaitych szykan przy robocie.

Zazdroszcząc tylu rzeczy konkurencyjnej instytucji — majorowi Szykinowi, który pierwszy dowiadywał się nawet o więziennych nowinach, major Myszyn tym gorliwiej zajmował się podglądaniem przez półprzejrystą firankę wszystkiego, co działo się na spacerniku (Szykin pozbawiony był tej możliwości z powodu niefortunnej lokalizacji swego okna na drugim piętrze). Obserwacja więźniów w ich codziennym bytowaniu również dostarczała Myszynowi pewnych materiałów. Siedząc w swoim ukryciu mógł uzupełniać informacje dostarczane przez konfidentów — widział kto z kim chodzi, czy rozmawia z ożywieniem, czy też obojętnie. A potem, wydając albo odbierając list, lubił zaskakiwać więźnia nagłym pytaniem:

— Aha, a o czym to rozmawialiście wczoraj z Pietrowem podczas przerwy obiadowej?

Czasami nawet otrzymywał w ten sposób od skonfundowanego rozmówcy pożyteczne informacje.

Podczas dzisiejszej przerwy obiadowej Myszyn kazał zaczekać kilka minut kolejnemu zekowi i też wyjrzał sobie na podwórce. (Polowania na kapusiów jednak nie zobaczył, bo odbywało się w drugim końcu budynku).

O trzeciej, kiedy przerwa już się skończyła, a tych, co nie

zdążyli się zgłosić, rozproszył już służbisty podoficer — Myszyn kazał wpuścić Dyrsina.

Iwan Seliwanowicz Dyrsin obdarzony był przez naturę wąską twarzą o zapadniętych policzkach, niewyraźną dykcją i nazwiskiem trochę śmiesznym dla rosyjskiego ucha. Na uczelnię wyższą trafił niegdyś prosto od warsztatu, przez wieczorową szkołę dla dorosłych, i uczył się średnio lecz uporczywie. Miał zdolności, ale nie umiał się nimi popisać, więc całe życie spychano go na bok i krzywdzono. W Siódemce wykorzystywali go wszyscy, chyba że ktoś bardzo nie chciał. Ponieważ jego d y c h a, trochę zredukowana przez zaliczenia, niedługo miała się skończyć — Dyrsin drżał przed zwierzchnością coraz więcej. Lękał się najbardziej, że wlepią mu drugi wyrok, nie mało takich wypadków widział podczas wojny.

Swój pierwszy wyrok też dostał w jakiś niedorzeczny sposób. Na początku wojny wsadzono go za „antysowiecką agitację” — na podstawie donosu sąsiadów, mających chętkę na jego mieszkanie (w rezultacie dostali je). Wyjaśniło się wprawdzie, że agitacji takiej nie prowadził, ale m ó g ł ją prowadzić, bo słuchał niemieckiego radia. Niemieckiego radia wprawdzie nie słuchał, ale m ó g ł słuchać, ponieważ miał w domu nielegalnie odbiornik radiowy. Odbiornika wprawdzie nie miał, ale m ó g ł z powodzeniem mieć, ponieważ był z zawodu inżynierem-radiowcem i w trakcie rewizji znaleziono u niego w jakimś pudełku dwie lampy katodowe.

Dyrsin najadł się do syta obozów w latach wojny — i tych, gdzie ludzie żarli mokry owies, kradnąc go koniom, i tych, gdzie mąkę zagniatano ze śniegiem pod tabliczką „Filia obozu” przybitą na pierwszej lepszej sośnie w tajdze. W ciągu ośmiu lat pobytu Dyrsina w kraju GUŁ-agu, zmarło dwoje ich dzieci, a żona zamieniła się w kościstą staruchę. Po ośmiu latach przypominano sobie, że jest inżynierem, przywieziono go tutaj, zaczęto karmić śmietankowym masłem, ponadto mógł żonie posyłać sto rubli miesięcznie.

A teraz w niewytłumaczalny sposób przestały nadchodzić listy od żony. Może nawet zmarła?

Major Myszyn siedział trzymając na biurku splecione dłonie. Na biurku nie było żadnych papierów, kałamarz był zamknięty, pióro suche, a twarz majora — nalana, purpurowo-liliowa — była pozbawiona (jak zresztą zawsze) jakiegokolwiek wyrazu. Czoło miał tak spęczniałe, że ani zmarszczki starości, ani bruzdy od rozmyślań nie mogły się na skórze zaznaczyć. Policzki też miał nalane. Twarz Myszyna przypominała gębę glinianego bałwana, wypalonego w piecu z dodatkiem różowej i fioletowej

farbki emaliowej. Oczy zaś miał niewyraziste, nieżywe jakby, ziejące osobliwą arogancką pustką.

Nigdy jeszcze nie było czegoś podobnego! Myszyn poprosił Dyrsina, żeby usiadł (inżynier zaczął już zastanawiać się po cichu, co za nowe nieszczęście ściągnął sobie na głowę i co będzie treścią protokołu). Następnie major pomilczał dłuższą chwilę (jak każe instrukcja) i wreszcie powiedział:

— Wciąż się użalacie. Chodźcie i użalacie się każdemu. Ze drugi miesiąc już listy nie nadchodzą.

— Więcej niż trzy miesiące, obywatelu naczelniku — nieśmiało sprostował Dyrsin.

— Niech będzie trzy, co za różnica? A czy pomyśleliście kiedy, jakim też człowiekiem jest wasza żona?

Myszyn mówił bez pośpiechu, słowa wymawiał wyraźnie i ze zwykłą rutyną robił przerwy między zdaniami.

— Co też za człowiek jest z pańskiej żony, co?

— Ja... nie rozumiem... — wymamrotał Dyrsin.

— Co tu jest do rozumienia? Jakie jest jej polityczne oblicze?

Dyrsin zbladł. Okazało się, że nie na wszystko był przygotowany i nie wszystko nauczył się znosić. Żona musiała coś napisać w liście i teraz ją, w przededniu jego zwolnienia...

I pomodlił się za nią w głębi duszy. (Modlić nauczył się w łagrze).

— Ona jest malkontentką, a malkontenci nam nie są potrzebni — oznajmił major surowo. — To jakiś dziwny przypadek ślepoty; niczego dobrego w naszym życiu nie dostrzega, tylko rozdmuchuje to, co złe.

— Rany Boskie! Co się z nią wydarzyło?! — zawołał Dyrsin, a głowa mu się chwiała.

— Z nią? — Myszyn robił coraz dłuższe pauzy. — Z nią? Nic. (Dyrsin odetchnął). — Chwilowo.

Bez żadnego pośpiechu wyjął z szuflady list i podał go Dyrsinowi.

— Dziękuję bardzo! — powiedział Dyrsin ledwo chwyając dech. — Czy mogę odejść?

— Nie! Tu przeczytajcie. Bo takiego listu nie mogę pozwolić wam zanieść do celi. Co pomyślą sobie więźniowie o warunkach życia na wolności, po przeczytaniu takiego listu? Czytajcie.

I zastygł, jak fioletowy bożek, gotów godnie dźwigać brzemień służbowych trosk.

Dyrsin wyjął list z koperty. Sam tego nie zauważył, ale ten list mógł niemile zaskoczyć cudze oko swoim wyglądem; dawał jakby pojęcie o kobiecie, która go wysłała; napisany był na chropawym papierze, prawie pakowym i ani jedna linijka tekstu

nie ciągnęła się równo, wszystkie zaginały się, bezsilnie ciążyły w prawo, ku dołowi. Pismo nosiło datę osiemnastego września:

„Mój drogi! Usiadłam do pisania, a nie mogę, bo tak spać mi się chce. Jak przychodzę z pracy, to od razu na działkę, kopiemy z Maniuszką kartofle. Drobne, nie obrodziły. Podczas urlopu nigdzie nie jeździłam, nie miałam w czym, już same szmaty. Chciałam zaoszczędzić trochę pieniędzy na podróż do ciebie — nie udało mi się. Nika jeździła do ciebie tamtym razem, ale jej powiedzieli, że nie ma tu takiego, a też ojciec z matką zaczęli ją besztuć — po co pojechała, tak jej mówią, teraz ciebie też pod lupę wzięli, zaczną cię śledzić. W ogóle jesteśmy z nimi w bardzo naciągniętych stosunkach, a z L. W. oni w ogóle nawet nie rozmawiają.

Żyje nam się ciężko. Babcia trzeci rok przecież leży, już nie wstaje, cała wyschła, nie może ani umrzeć, ani wyzdrowieć, wszystkich nas zadręczyła. W domu okropny smród przez babcię, a tu jeszcze ciągle kłótnie, z L. W. ja też nie rozmawiam, Maniuszka ostatecznie rozeszła się z mężem, wciąż niedomaga, dzieci nie chcą się jej słuchać, jak wracamy z pracy, to coś straszego, słyszeć same przekleństwa, nie ma dokąd uciec, kiedy to wszystko się skończy?

No, całuję mocno. Bądź zdrow”.

Nie było nawet podpisu, ani słowa „twoja”.

Wyczekawszy cierpliwie, aż Dyrsin przeczyta raz i drugi ten list, major Myszyn ruszył parokrotnie białymi brwiami i fioletowymi wargami, po czym powiedział:

— Nie oddałem wam tego listu, kiedy tu nadszedł. Myślałem, że to chwilowe przygnębienie, a przecież wy musicie pracować w rześkim nastroju. Oczekiwałem, że następny list będzie, jak należy. Ale spójrzcie, co ona przysłała w zeszłym miesiącu.

Dyrsin spojrział na majora w milczeniu, jego nieskładna twarz nie wyrażała żadnej pretensji, tylko ból. Wziął, a potem otworzył drżącymi palcami drugą, dawno już rozciętą kopertę i wyjął list. Linijki pisma były tak samo poprzetręcane, zabłąkane. Tym razem była to kartka z zeszytu:

„30 października.

Mój drogi! Masz pretensję, że rzadko piszę, ale ja przychodzę z roboty późno i prawie codziennie chodzę do lasu po chrust, a potem już wieczór i taka jestem zmęczona, że po prostu walę się z nóg, w nocy sypiam marnie, babcia nie daje. Wstaję wcześniej, o piątej rano, o ósmej powinnam już być przy pracy.



Chwała Bogu, że jesień ciepła, ale co będzie, jak zima nadejdzie! Węgle ze składu człowiek się nie doprosi, tylko dla kierownictwa, albo po znajomości. Niedawno wiązka drzewa spadła mi z pleców, ciągnę więc chrust po ziemi, sił już nie ma, żeby podnieść i tylko myślę: „wykapana starucha co ciągnie cały wóz chrustu”. Zrobiła mi się w pachwinie ruptura od tego dźwigania. Nika była tu podczas wakacji, bardzo wyładniała, nie zajarzała do nas nawet. Nie mogę o tobie myśleć bez bólu. Nie mogę liczyć już na nikogo. Póki mam jeszcze siły, będę pracować, i wciąż się tylko boję, że któregoś dnia zlegnę tak, jak babcia. Babci zupełnie nogi odjęło, cała opuchła, nie może o własnych siłach ani położyć się, ani wstać. A do szpitala nie biorą tak ciężko chorych, nie opłaca się im. Muszę ją wspólnie z L. W. za każdym razem podnosić. Ona robi pod siebie, smród u nas straszny, to nie życie, tylko katorga. Ma się rozumieć, ona nie jest winna, ale już nie mam siły, żeby to dłużej znosić. Chociaż wciąż radziłeś, żeby się nie sprzeczać, to jednak kłócimy się codziennie, od L. W. nie usłyszysz człowiek innego słowa, tylko świnią, albo ścierwo. A Maniuszka klnie znowu swoje dzieci. Czy nasze też byłyby takie same, gdyby dożyły? Wiesz, często rada jestem, że ich już nie ma. Walerek w tym roku poszedł do szkoły, wciąż mu czegoś potrzeba, a pieniędzy brak. Co prawda, Maniuszka dostaje alimenty od Pawła, z wyroku sądowego. No, tymczasem nic więcej już nie ma do pisania. Bądź zdrow. Całuję cię.

Myślał człowiek, że podczas świąt się wyśpi — ale kazali iść na demonstrację...”

Dyrsin zamarł cały czytając ten list. Przyłożył dłonie do twarzy, jakby chciał się myć i nie mógł.

— No? Przeczytaliście, czy jak? Bo wygląda, że wcale nie czytacie. Człowiek z was dorosły. Wykształcony. Posiedzieliście w więzieniu, rozumiecie więc, co to za list. Za takie listy podczas wojny parę lat dawano. Demonstracja — to dla wszystkich sama radość, a dla niej? Węgiel! Węgiel dają nie kierownictwu, a wszystkim obywatelom, tylko według kolejności, to się rozumie. W sumie, nie wiedziałem czy ten list wam dać, czy nie, ale nadszedł trzeci, znowu taki sam. Po namyśle doszedłem do wniosku — z tym trzeba zrobić koniec. I wy sami musicie to załatwić. Napiszcie jej taki, wiecie, optymistyczny list, żeby w nim krzepa była, podtrzymajcie kobietę na duchu. Wytłumaczcie jej, że nie trzeba się użalać, że wszystko jakoś się ułoży. Proszę, już oni tam się wzbogacili, spadek dostali. Macie, czytajcie.

Listy ułożone były w porządku chronologicznym. Trzeci nosił datę 8 grudnia.

„Mój drogi! Mam dla ciebie smutną nowinę: 26 listopada 1949 roku o dwunastej pięć po południu zmarła babcia. Umarła, a tu w domu ani kopiejki, chwała Bogu, że Misza dał dwieście rub., wszystko udało się załatwić tanio, ale, rozumie się, pogrzeb był biedny, ani popa, ani muzyki, zwyczajną furą odwieźliśmy trumnę na cmentarz, tam zwalono ją do jamy. Teraz w domu jest trochę ciszej, ale też pusto jakoś. Sama jestem chora, w nocy okropnie się pocę, nawet poduszka i prześcierała są mokre. Przepowiedziała mi cyganka, że umrę zimą, a ja tylko rada będę, że skończy się takie życie. L. W. ma chyba gruźlicę, kaszle i nawet krew jej się rzuca ustami, a jak przyjdzie z roboty — to zaraz pełno wyzwisk, zła jak wiedźma. Razem z Maniuszką zadreńczyły mnie całkiem. Jestem jakaś pechowa — do tego wszystkiego jeszcze cztery zęby mi się zepsuły, a dwa wypadły, trzeba by wstawić, ale pieniędzy też nie ma, zresztą, to czekanie w kolejce!

Twoje pobory za trzy miesiące, trzysta rubli, przysły bardzo w porę, już bardzo marzliśmy, nadeszła moja kolejka w składzie węgla (byłam 4.576-ta) ale dają sam pył, po co to w ogóle brać? Do twoich trzystu Maniuszka dodała swoje dwieście, dałyśmy w łapę kierowcy i przywiózł nam grubego węgla. A kartofli do wiosny nie starczy — z dwóch działek, wyobraź sobie, a niczegośmy nie nakopały, deszczu nie było, nieurodzaj.

Z dziećmi ciągle awantury. Walery przynosi dwójki i pałki, po szkole pęta się nie wiadomo gdzie. Maniuszkę wezwał dyrektor, że co to za matka, która nie może poradzić sobie z własnymi dziećmi. A Żeńka ma dopiero sześć lat, ale obaj już używają najgorszych wyzwisk, jednym słowem ulicznicy. Wszystkie moje pieniądze idą na nich, a tu Walery niedawno zaczął mnie wyzywać od suk i to człowiek musi wysłuchiwać od takiego pętaka, co będzie, jak powyrastają? W maju będziemy musiały przeprowadzić formalności spadkowe, podobno to ma kosztować dwa tysiące, a skąd je wziąć? Helena z Miszą chcą się sądzić, żeby odebrać pokój L. W. Póki babcia żyła, to ile razy ją namawialiśmy, nigdy nie chciała powiedzieć komu co ma przyspać. Misza z Heleną też chorują.

Ja ci przecież pisałam jesienią, zdaje mi się nawet, że dwa razy, jak to możliwe, żeś nie dostał? Gdzie mogły się podziać?

Posyłam ci znaczek za 40 kop. No, co tam słyhać, zwolnią cię, czy nie? Bardzo ładne naczynia przysły do sklepu, aluminiowe, garnuszki, miski.

Całuję cię mocno. Bądź zdrow”.

Mokra plamka wsiąkła w papier, rozpuściło się w niej trochę atramentu.

Znów nie można było zrozumieć, czy Dyrsin wciąż jeszcze czyta, czy już skończył.

— A więc — zapytał Myszyn — sprawa jest dla was jasna? Dyrsin siedział bez ruchu.

— Napiszcie odpowiedź. Ale z krzepą. Może nawet przekroczyć cztery stroniczki, pozwalam. Pisaliście jej kiedyś, żeby miała ufnosc w Bogu. A niech tam już lepiej wierzy w Boga, czy jak... Bo do czego to podobne?... Komu to potrzebne?... Uspokójcie ją, napiszcie, że niedługo wrócicie. Że będziecie mieć dobrą pensję.

— Ale czy mnie puszcza do domu? Czy nie ześlą?

— A to już jak tam kierownictwu będzie trzeba. Ale dodać otuchy żonie — to wasz obowiązek. To jednak w końcu wasz towarzysz życia. — Major zamilkł na chwilę. — A może wolelibyście już teraz jaką młodszą, co? — zagabnął życzliwie.

Nie siedziałyby tak spokojnie, gdyby wiedział, że w korytarzu, pod jego drzwiami, mdlejąc z niecierpliwości, przestępuje z nogi na nogę jego najulubieńszy konfident, Syromacha.

## LXXVI

### KRÓL KONFIDENTÓW

W tych rzadkich chwilach, kiedy Artur Syromacha nie był zajęty walką o życie, kiedy nie czynił wysiłków, aby przypodobać się zwierzchności lub pracować, kiedy ogólne rozluźnienie następowało po zwierzęcym napięciu — był tylko apatycznym młodym mężczyzną, zgrabnej zresztą postaci, o twarzy aktora znużonego występami, z oczyma niewyraźnego, szaro-mętno-niebieskiego koloru, zawsze jakby osłoniętymi mgłą smutku.

Dwa razy już się tak zdarzyło, że w zapale kłótni ktoś prosto w oczy nazwał Syromachę szpiclem — obu tych zeków wkrótce zesłano do łagrów. Nikt więc już mu więcej nie mówił tego głośno. Bano się go. Przecież donosiela nigdy nie wzywa się na konfrontację. Może ich oskarżono o przygotowanie ucieczki? terror? bunt? Zek nigdy tego się nie dowie, każą mu po prostu zabierać się z rzeczami. Czy wysyłają ich prosto do obozów? A może znów do więzienia śledczego? Taka już jest natura ludzka i ta jej właściwość dobrze była wykorzystywana w każdej epoce; póki jeszcze człowiek ma możliwość zdemaskowania zdrajcy i uratowania swoich towarzyszy kosztem własnego życia — żyje w nim ciągle jakaś nadzieja, wciąż jeszcze wierzy w pomyślny finał, jeszcze czepia się nędznych resztek dóbr doczesnych — i dlatego jest milczący i potulny. Kiedy zaś już został schwytany i powalony, kiedy nie ma już nic więcej do stracenia — wtedy gotów jest do heroicznej walki, ale swoją wściekłość może wyładować tylko na kamiennych ścianach pojedynki. Albo też tchnienie zwiastowanej mu kary śmierci czyni go obojętnym wobec ziemskich spraw.

Nie zerwawszy mu maski, nie schwytawszy z donosem w rękę, ale też nie mając wątpliwości, że jest szpiclem — jedni unikali Syromachy, inni zaś uważali, że bezpieczniej jest nawet

przyjaźnić się z nim, grać w siatkówkę i rozmawiać o babkach. Tak samo żyło się z innymi kapusiami. Tak wyglądało spokojne życie w *szaraszce*; pod jego powierzchnią toczyła się walka na śmierć i życie.

Artur jednak potrafił rozmawiać nie tylko o babach. „Saga rodu Forsythów” należała do ulubionych jego książek i mówił o niej wcale nie głupio. (Co prawda, bez żadnych trudności odrywał się od dzieła Galsworthy’ego, by poczytać sobie zaszargany kryminał „Dom bez klucza”). Artur miał także dobry słuch, lubił hiszpańskie i włoskie melodie, umiał bardzo muzykalnie zagwizdać coś z Verdiego, z Rossiniego, a na wolności, w pogoni za pełnią życia, raz do roku wpadał na koncert do Konserwatorium.

Syromacha pochodził ze zubożałej rodziny szlacheckiej. W początkach naszego wieku jeden z Syromachów był kompozytorem, drugi natomiast skazany został na katorgę za przestępstwo popolite. Jeszcze inny Syromacha z całym przekonaniem stanął po stronie rewolucji i służył w Cze-Ka.

Kiedy Artur osiągnął pełnoletniość, poczuł — w zgodzie ze swoimi skłonnościami i potrzebami — że koniecznie musi mieć stale własne fundusze. Uregulowane, pełne mozołu życie z codziennym ślęczeniem „od - do”, z liczeniem dwa razy na miesiąc zarobków zmniejszonych o podatki i pożyczki — to nie było dla niego. Chodząc do kina, Artur serio przymierzał się do wszystkich sławnych artystów filmowych i bez trudu wyobrażał sobie, jak to skoczyłby do Argentyny w towarzystwie Deanny Durbin.

Ma się rozumieć, że żaden instytut, żadne wykształcenie nie gwarantowało dostępu do takich zbytków. Artur rozglądał się za jakimś innym rodzajem pracy, pozwalającej na urozmaicony tryb życia i przeskakiwanie z miejsca na miejsce — a taka praca też jakby go szukała. Tak doszło do spotkania. Choć ta praca nie zaspakajała wszystkich możliwych jego potrzeb, ale podczas wojny uchroniła go od mobilizacji, a więc zawdzięczał jej życie. I gdy durnie gdzieś tam gnili w gliniastych okopach, Artur z niewymuszonym wdziękiem wkraczał do restauracji Savoy, gdzie wszyscy mogli podziwiać jego pociągłą twarz o gładziutkich, jasnych policzkach. (O, ta chwila przekraczania progu restauracji, kiedy ciepłe, pachnące dobrą kuchnią powietrze owiewa człowieka razem z dźwiękami muzyki, kiedy otwiera się widok na całą roziskrzoną salę, kiedy cała ta sala widzi człowieka i gdy można wybrać sobie odpowiedni stolik!) W duszy Artura dźwięczały hymny radości — znalazł właściwą drogę. Oburzało go, że inni ludzie uważają ten rodzaj pracy za podły. Brać się to

mogło tylko z niezrozumienia istoty rzeczy albo z zawiści! Było to zajęcie dla ludzi utalentowanych, wymagało spostrzegawczości, pamięci, wynalazczości, zdolności do maskowania się, do gry aktorskiej — była to wręcz praca artystyczna. Owszem, trzeba było się z nią ukrywać, nie mogła istnieć bez tajemnicy — ale to wynikało z jej założeń technologicznych, to tak samo jak spawacz, który musi mieć szkła ochronne, żeby dobrze topić i ciąć metale. Bo inaczej Artur za nic by nie robił z niej sekretu — nic haniebnego w tej pracy nie było!

Pewnego razu, nie mogąc się zmieścić w swoim budzecie, Artur przyłączył się do pewnego towarzystwa, które połaszczyło się na społeczne pieniądze. Został aresztowany. Artur wcale nie miał o to żalu: dałeś się złapać, to sam jesteś winien. Ledwie tylko znalazł się za kolczastym drutem, w sposób zupełnie naturalny poczuł się znowu w dawnej skórze, a to, że teraz tutaj trafił, narzucało mu jedynie trochę inną formę pracy.

Pełnomocnicy operacyjni też nie zostawili go własnemu losowi. Nie posłano go na wyrąb lasu, ani do kopalni, lecz otrzymał funkcję przy oddziale kulturalno-wychowawczym. Było to jedyne w całym łagrze światelko, jedyny kącik, gdzie można było schronić się pół godziny przed apelem i poczuć się znowu człowiekiem; poczytać gazetę, wziąć do rąk gitarę, albo wspomnieć swoje dawne, dziś aż nieprawdopodobne dzieje. Każdy obozowy Koper Pomidorowicz (tak nazywali złodzieje niepoprawnych inteligentów) czuł, jak go tam ciągnie — i Artur był tu na właściwym miejscu ze swoją artystyczną duszą, współczującymi oczyma, stołecznymi wspomnieniami i umiejętnością przelizgiwania się w rozmowie z tematu na temat.

W ten sposób Artur szybko załatwił kilku pojedynczych agitatorów; jedną antysowiecką grupę; dwie ucieczki, jeszcze nie przygotowane, ale już ponoć zamierzone; a także obozową sprawę lekarzy, którzy mieli w celach sabotażu przedłużać proces leczenia więźniów — to znaczy pozwalali im wypocząć trochę w szpitalu. Wszystkie te króliki dostały dodatkowe wyroki, Arturowi zaś Trzeci Oddział odliczył od kary dwa lata.

Znalazłszy się w Mawrinie Artur także i tutaj nie wzgardził swoją tak owocną pracą. Stał się ulubieńcem i oczkiem w głowie obu majorów-kumów — oraz najgroźniejszym donosicielem w szaraszce.

Czerpiąc oburącz z jego donosów obaj kumowie nie zwierzali mu się jednak z własnych tajemnic i dlatego Syromacha nie wiedział teraz, dla kogo z nich dwóch będzie ważniejsza rewe-

lacja w sprawie Doronina. Nie wiedział czy i m kapusiem był Doronin.

Wiele razy już pisano, że ludzie w gromadzie mogą zadziwić swoją niewdzięcznością i skłonnością do zdrady. Ale bywa też na odwrót! Nie jednemu, nie trzem, ale dwudziestu paru zekom, z całą szaloną nieostrożnością, z rozrzutną nierozwagą Ruśka Doronin powierzył swój pomysł prowadzenia podwójnej gry. Każdy z wtajemniczonych zwierzył się jeszcze kilku innym, tajemnica Doronina stała się własnością prawie połowy więźniów. Mało brakowało, żeby w celach rozmawiano o niej na głos. I chociaż co piąty, co szósty więzień *szaraszki* był donosicielem — ani jeden z nich niczego się nie dowiedział, albo nie doniósł, jeśli nawet coś słyszał! I najbardziej spostrzegawczy, obdarzony najlepszym nosem, król donosicieli, Artur Syromacha też niczego się nie domyślał aż do dziś dnia!

Teraz był dotknięty na swoim honorze konfidenta — jeden z drugim oper mógł w swoim gabinecie taką rzecz przeoczyć, ale on?! Wchodziło w grę bezpośrednio jego własne bezpieczeństwo — przecież mogli go złapać z przekazem w rękę, jak innych. Zdrada Doronina znaczyła dla Syromacha tyleż co kula, która świsnęła mu tuż koło głowy. Doronin okazał się mocnym przeciwnikiem — więc trzeba go było uderzyć też mocno! (Nie zdając sobie zresztą sprawy z rozmiarów nieszczęścia Artur myślał, że Doronin zadeklarował się dopiero co, dzisiaj lub najwyżej wczoraj).

Ale Syromacha nie mógł wdrzeć się do gabinetu! Nie wolno było tracić głowy, dobijać się do zamkniętych drzwi Szykina, a nawet zbyt często do nich podchodzić. Przed gabinetem zaś Myszyzna stała kolejka! Rozpędzono ją wprawdzie po trzeciej, po dzwonku, ale w czasie gdy najbardziej natarczywi i uparci więźniowie użerali się w korytarzu ze sztabowym z dyżurnym (Syromacha z wyrazem cierpienia na twarzy, trzymając się za brzuch stanął pod drzwiami felczera i czekał na rozejście się grupy) — już został do Myszyzna wezwany Dyrsin. Syromacha wykalkulował sobie, że Dyrsin nie miał powodu, aby długo zatrzymywać się u kuma — tymczasem siedział tam, i siedział, i siedział. Ryzykując gniew Mamurina, że tak długo nie zjawia się w Siódemce, pełnej czadu z palników, topionej kalafonii i nowych projektów — Syromacha na próżno czekał chwili, gdy Dyrsin wyjdzie od Myszyzna.

Ale nie wolno było się zdradzać nawet przed zwyczajnym strażnikiem sterczącym w korytarzu! Straciwszy cierpliwość, Syromacha biegł znowu na drugie piętro do Szykina i wracał na korytarz pod drzwi Myszyzna, żeby znowu biec do Szykina



na górę. Tym razem mu się poszczęściło: gdy stał w ciemnej niszy pod drzwiami majora, usłyszał charakterystyczny, skrzypiący głos stróża, jedyny w tym rodzaju w całej szaraszce.

Od razu więc zapukał w umowny sposób. Drzwi się uchyliły i Szykin pokazał się w szparze.

— Bardzo pilne! — szeptem powiedział Syromacha.

— Chwileczkę — odparł Szykin.

Lekkim krokiem, żeby nie natknąć się na wychodzącego stróża, Syromacha poszedł na drugi koniec długiego korytarza, natychmiast zawrócił energicznie i bez pukania pchnął drzwi Szykina.

## LXXVII

### CO DO ROZSTRZELANIA...

Po niedzielnym śledztwie dotyczącym „Sprawy uszkodzenia tokarki” istota sprawy wydawała się majorowi Szykinowi wciąż jeszcze zagadką. Ustalił tylko, że ta tokarka z otwartym kołem trybowym schodkowego typu, z ręcznym przesuwem tylnego kleszczaka i z suportem poruszającym tak ręcznie, jak mechanicznie, tokarka wyprodukowana przez krajowy przemysł w szczytowym okresie pierwszej wojny światowej, w 1916 roku — została na zlecenie Jakonowa odłączona od silnika elektrycznego i przekazana w opisanym stanie z laboratorium nr 3 do inwentarza warsztatów mechanicznych. Ponieważ obie strony nie potrafiły uzgodnić kwestii transportu, wydano rozkaz, aby pracownia własnymi siłami zadbała o zniesienie tokarki do podziemnego korytarza, warsztaty zaś miały ją ręcznym sposobem przenieść po schodni i następnie przez dziedziniec aż do własnego budynku. (Istniała krótsza droga, nie wymagająca znoszenia tokarki do piwnicy, ale w takim wypadku byłoby konieczne wypuszczenie zeków na podjazd przed paradnym wejściem, dobrze widzialnym z szosy i z parku, co było, ma się rozumieć, niedopuszczalne z punktu widzenia czujności).

Jasna rzecz, teraz doszło już do niepowetowanych strat, Szykin mógł mieć cichą pretensję także do siebie samego; nie przypisując znaczenia tej tak ważnej operacji, nie nadzorował jej osobiście. Ale przecież w historycznej perspektywie omyłki wybitnych działaczy zawsze są lepiej widoczne — a spróbuj człowieka ich uniknąć!

Tak się złożyło, że pracownia nr 3, mająca w składzie swojego personelu jednego naczelnika, jednego więźnia płci męskiej, jednego inwalidę i jedną panienkę, nie była w stanie przenieść tokarki własnymi siłami. Dlatego, w sposób zupełnie nieodpo-

wiedzialny wezwano do pomocy z różnych cel zupełnie przypadkowych ludzi w liczbie dziesięciu (nikt nie sporządził nawet ich spisu! — i major Szykin wiele musiał się napracować, żeby później, z dwutygodniową zwłoką, konfrontując rozmaite zeznania skompletować pełny spis podejrzanych) — i właśnie tych dziesięciu zeków zniosło w końcu ciężką tokarkę po schodach, z wysokiego parteru aż do piwnicy. Jednak warsztaty mechaniczne (z jakichś tam technicznych powodów ich naczelnik wcale nie ubiegał się o tokarkę) nie tylko nie dostarczyły na czas siły roboczej, ale nawet nie posłały kontrolera dla dokonania formalnego odbioru. Dziesięciu zmobilizowanych zeków po zniesieniu tokarki do piwnicy rozlało się, nie czując nad sobą kierowniczej ręki. Tokarka zaś, jeszcze przez kilka dni zawadzała w przejściu (sam Szykin potykał się o nią przechodząc przez korytarz podziemny). W końcu przyszli po nią ludzie z warsztatów, ale zauważyli pęknięcie wspornika, przyczepili się do tego i jeszcze przez całe trzy dni nie chcieli zabrać tokarki, póki ich do tego w końcu nie zmuszono.

Ten właśnie fatalny, pęknięty wspornik posłużył za podstawę do nadania biegu „Sprawie”. Tokarka była obecnie nieczynna może wcale nie z powodu tego pęknięcia (Szykin spotkał się także i z taką opinią) ale znaczenie pęknięcia było o wiele ważniejsze, niż sam techniczny fakt. Pęknięcie oznaczało, że w instytucie działają wciąż jeszcze nie zdemaskowane wrogie siły. Pęknięcie oznaczało też, że kierownictwo instytutu ślepo ufa zekom i dopuszcza się przestępczego niedbalstwa. Gdyby udało się dobrze przeprowadzić śledztwo, wykryć przestępcę, wydobyć na jaw prawdziwe motywy zbrodni — można by wtedy nie tylko ukarać tego i owego, a temu i owemu udzielić surowej przestrogi, ale rozpocząć również — od tego pęknięcia — poważną kampanię wychowawczą wśród kolektywu. No i w końcu honor zawodowy majora Szykina wymagał rozplątania tego zło-wrogiego kłęбка!

Ale to nie było łatwe. Stracono dużo czasu. Więźniowie-tragarze zdążyli wzajemnie się ubezpieczyć, to była przestępcza zmowa. Ani jeden wolny pracownik (fatalne przeoczenie!) nie był obecny przy tym noszeniu. Wśród dziesięciu tragarzy znalazł się tylko jeden informator — i to byle jaki — największym dotąd jego osiągnięciem był donos w sprawie prześcieradła podartego na gorsy. Całą pomocą z jego strony było jedynie ustalenie listy tej dziesiątki. W ogóle zaś cała dziesiątka, bezczelnie licząc na swoją bezkarność, utrzymywała, że tokarkę dostarczono do suteryn w całości, że nie wleczono jej po żelaznych schodach i że o żaden stopień wspornikiem nie zawadziła. Ponadto —

wynikało z ich zeznań — że za to miejsce, gdzie stwierdzono później pęknięcie, to znaczy za wspornik pod tylnym kleszczakiem, jakoś nikt nie trzymał, tylko wszyscy złapali się za wsporniki pod trybami i pod trzpieniem. Chcąc dotrzeć do prawdy, major rysował nawet kilkakrotnie schemat tokarki i pozycję każdego z tragarzy. Ale łatwiej było przy tym śledztwie nauczyć się tokarskiego rzemiosła, niż znaleźć winnego. Jedynym, którego można było oskarżyć — nawet nie o sabotaż, zaledwie o zamiar sabotażu — był inżynier Potapow. Rozeźlony trzygodzinnym badaniem, w końcu się wygadał:

— Gdybym chciał wam to koryto zepsuć, to bym po prostu garść piasku sypnął w łożyska i tyle! Po co łamać wspornik?

(To zdanie ze słownika typowego dywersanta Szykin natychmiast wpisał do protokołu, ale Potapow nie chciał go podpisać).

To śledztwo było tak trudne dlatego, że Szykin był tym razem pozbawiony zwykłych środków dochodzenia prawdy; pojedynki, karceru, pyskobicia, zostawiania o chlebie i wodzie, nocnych badań i nawet elementarnego przenoszenia poszczególnych podejrzanych do osobnych cel. W tym wypadku koniecznie mieli być dalej zdolni do wydajnej pracy, dlatego też musieli być normalnie żywieni i wyspani.

Mimo to, już w sobotę udało się Szykinowi wyrwać jednemu z podejrzanych zeznanie, zgodnie z którym — gdy schodzili już z ostatnich stopni i zbliżali się do wąskich drzwi — napatoczył im się stróż Spiridon i z wołaniem: „Poczekajta, wiara, ja też pomogę!” — dołączył do nich jako jedenasty i niósł już potem aż do końca. Ze schematu zaś wynikało jasno, że nie mógł złapać się za nic innego, jak tylko za wspornik tylnego kleszczaka.

Tę nową, sutą nć Szykin postanowił rozplątać właśnie dziś, w poniedziałek, odkładając na bok dwa poranne donosy o sędzie nad kniazem Igorem. Przed samym obiadem wezwał do siebie rudowłosego stróża, który przyszedł ze dworu tak jak stał — w waciaku przepasanym wystrzępionym, brezentowym paskiem. Zdjął swoją kłapouchą czapkę i z miną pełną skruchy miał ją w rękach, zupełnie jak klasyczny chłop, co przyszedł do pana dziedzica prosić o kawałek gruntu. Stał przy tym cały czas na gumowej wycieracze, żeby nie zabrudzić podłogi. Rzuciwszy karzące spojrzenie na jego mokre buciory, Szykin surowym wzrokiem zmierzył następnie całą jego postać. Nie poprosił go bliżej, sam zaś siedział na fotelu i w milczeniu czytał jakieś papiery. Od czasu do czasu — tak jakby z tych papierów dowiadywał się o przerażających zbrodniach Jegorowa — Szykin spoglądał na niego ze zdumieniem i zgrozą, jak na krwiożerczą

bestię, która nareszcie znalazła się w klatce (wszystko to były chwytły zgodne z instrukcją, i mające destrukcyjnie działać na psychikę więźnia). W ten sposób pół godziny minęło w zupełnym milczeniu, zza drzwi gabinetu dał się słyszeć dzwonek na przerwę obiadową, w czasie której Spirydon spodziewał się otrzymać list z domu — ale Szykin jakby nie słyszał tego dzwonka; cały czas wertował grube skoroszyty, przekładał coś z jednej szuflady do drugiej, czytał jakieś dokumenty i raz po raz z ponurą miną i jadowitym zdumieniem rzucał krótkie spojrzenia na przygnębionego, zgarbionego, skruszonego Spirydona.

Ostatnie krople wody z butów Spirydona spłynęły wreszcie na wycieraczkę, buciory wyschły i Szykin powiedział:

— A no, podejdz tu bliżej! (Spirydon podszedł). Stój. Tego tu znasz, czy nie? — i pokazał mu trzymaną w ręce fotografię jakiegoś chłopaka w niemieckim mundurze, bez czapki.

Spirydon pochylał się, przymrużył oczy i powiedział przepaszającym tonem:

— Ja, widzi obywatel major, troszki niedowidzę. Żebym tak mógł obmacać...

Szykin nie sprzeciwił się. Dalej trzymając w jednej ręce swoją kudłatą czapkę, Spirydon drugą ręką wziął zdjęcie obłapiwszy je wszystkimi pięcioma palcami za skraje i obracając tak i owak w stronę okna, zaczął przesuwac tuż przed lewym oknem, oglądając jakby po kawałku.

— Nie — westchnął z ulgą. — Nie widziałem.

Szykin odebrał mu zdjęcie.

— Bardzo niedobrze — powiedział ze współczuciem. — Zapieranie się tylko szkodę wam przyniesie. No, cóż siadajcie — wskazał mu krzesło stojące najdalej od biurka. — Mamy dziś dłuższą rozmowę, na stojaka się tego nie załatwi.

I znowu zamilkł, schyliwszy się nad papierami.

Spirydon cofnął się tyłem i usiadł na krześle. Z początku położył czapkę na sąsiednim foteliku, ale przyjrzawszy się skórzanej, czystej tapicerce, przełożył czapkę na kolana. Swój okrągły łeb wciągnął w ramiona i pochylił do przodu; wyglądał jak wcielenie skruchy i potulności.

W duszy zaś powtarzał sobie jak najspokojniej:

„Ach, ty gadzie! Ach ty psie! Kiedyż ja teraz list odbiorę? Czy aby już go tu masz?”

Dla Spirydona, który widział w swoim życiu już dwa śledztwa zwykłe, jedno nadzwyczajne, a także tysiące więźniów, którzy mieli śledztwo za sobą — gra Szykina była przejrzysta jak szkło. Wiedział jednak, że trzeba udawać bezgraniczną wiarę.

— No więc, przyszyły nowe materiały na was — ciężko

westchnął Szykin. — Okazuje się, że w Niemczech niezłędzie nabroili!...

— Może to wcale nie ja! — uspokoił go Spirydon. — Bo nas, Jegorowów, dacie wiarę, obywatelu majorze, było tyle, co much w tych Niemczech. Podobno nawet jeden generał Jegorow był!

— No jak to, nie wy! jak to nie wy! Spirydon Daniłowicz, proszę bardzo. — Szykin puknął palcem w jedną z teczek. — Ten sam rocznik, wszystko to samo.

— Rocznik też? W takim razie to na pewno nie ja, nie ja! — z przekonaniem oświadczył Spirydon. — Ja przecież u Niemców dodałem sobie trzy lata dla świętego spokoju.

— Aha! — przypomniał sobie Szykin, twarz mu się rozjaśniła, głos pozbył się tonu przykrew konieczności służbowej i major odsunął na bok wszystkie papiery. — Żeby nie zapomnieć. Ty, Jegorow, może pamiętasz, z dziesięć dni temu przносиłeś taką tokarkę? Ze schodów do piwnicy.

— No-no — powiedział Spirydon.

— Więc gdzie wam trzasła właściwie, jeszcze na schodach, czy już w korytarzu?

— Kto trzasnął? — zdziwił się Spirydon. — Nikt tam niktogo nie trzaskał.

— Nie kto kogo, tylko maszynę!

— Bóg z wami, obywatelu majorze — kto by tam tokarkę trzaskał? Zrobiła komu krzywdę, czy co?

— Właśnie ja sam się dziwię — dlaczegoście ją rozbili? Może wam upadła?

— Jeszcze by, upadła?! Toć my ją pod te nóżki, ostrożnie, jak małe dziecko.

— A ty sam? Za coś ją trzymał?

— Ja? A za ten bok.

— Za który?

— No ten z mojej strony.

— Ale jakieś ją brał — za tylny wspornik, czy za trzpień?

— Obywatelu majorze, ja się tam na tych trzpieniach nie rozumiem, ja wam tak jakoś pokażę! — rzucił czapkę na sąsiednie krzesło, podniósł się i odwrócił, tak jakby wciągał maszynę przez drzwi do gabinetu. — Ja niby na samym dole, nie? Zadem. A oni dwaj, znaczy się, uwięźli w tych drzwiach, nie?

— Jacy dwaj?

— A licho ich wie, dzieci z nimi nie chrzcilem. Aż mi się gorąco zrobiło. Stać! krzyczę — dajcie się lepiej złapać! A ciężka ta armata, że hej!

— Jaka armata?

— No, nie rozumiecie? — zapytał Spirydon przez ramię, już rozsierdzony. — No ta, co ją nieśli.

— Tokarka, tak?

— A no, tokarka! I zadałem ją sobie! O, tak. (Pokazał i cały się naprężył w przysiadzie). Wtedy jeden przecisnął się bokiem, drugi też się jakoś przepchał, a we trójkę — to już na pewno się utrzyma. Fuu! (Wyprostował się). I dodał:

— U nas, zanim kołchozy nastąpiły, to nie takie ciężary się nosiło. Dać by ze sześć bab na tę tokarkę, to ani chybi całą wiorstę nieść będą. Gdzie ta tokarka? A chodźcie, zaraz ją przeniesiemy, tak, dla śmiechu!

— Więc nie upuściliście jej? — zapytał major z groźbą w głowie.

— Toć mówię, że nie!

— Więc kto ją połamał?

— Patrzajcie, to jednak ją uchechłali? — zdumiał się Spirydon. — No, no... — przestał pokazywać, jak nieśli, znów usiadł na swoim krześle i zamienił się cały w słuch.

— Jakeście ją brali — to była cała?

— Czegom nie widział, tego nie powiem, może ta i była połamana.

— No, a kiedyście ją stawiali — to jaka była?

— O, tu to już na pewno była cała!

— Ale przecież wspornik był pęknięty?

— Żaden tam pęknięty — odparł Spirydon z przekonaniem.

— Jakesz to mógł zobaczyć, diable ślepy? Przecież ślepy jesteś?

— Ja, obywatelu majorze, to do papierków jestem ślepy, rzeczywiście — ale jak co do gospodarstwa, to wszystko widzę. Wy na przykład i inni obywatele oficery, jak przechodzicie podworcem, to rzucacie niedopałki, a ja wszystko dokładnie zbieram, nawet z białego śniegu, wszyściutko. Proszę zapytać rządę.

— No to jakże? Postawiliście tę tokarkę i zaczęliście ją specjalnie oglądać?

— A jak inaczej, po robocie siedliśmy na jednego cuga, to już musowo. I pokleпалиśmy tokarkę.

— Pokleпалиście? Czym?

— A ręką, tak, po boku, jak konia gorącego. Jeden inżynier to jeszcze powiedział: „Dobra tokarka! Mój dziad był tokarzem, też na takiej robił”.

Szykin westchnął i wziął czysty arkusz.

— Bardzo to smutne, że tu też nie chcesz się przyznać. Spi-



szemy teraz protokół. Jasne, że to ty połamałeś tokarkę. Gdyby kto inny to zrobił — to przecież byś wskazał winnego.

Powiedział to pewnym siebie głosem, ale wewnętrzną pewnością już stracił. Chociaż był panem sytuacji, chociaż to on prowadził dochodzenie, stróż zaś odpowiadał z całą ochotą i z wieloma szczegółami, ale pierwsze godziny badania poszły na marne — i długie milczenie, i fotografie, i specjalny ton rozmowy, i żywa dyskusja o tokarce — ten rudy więzień, z którego twarzy nie zniknął usługany uśmiech, wciąż pokornie przygarbiony — teraz już się nie podda, skoro nie zrobił tego od razu.

Spirydon, jeszcze gdy mówił o generale Jegorowie, już doskonale się orientował, że wzywano go tu nie przez żadne Niemcy, że fotografia była lipna, że kum lał w o d ę, wezwał go zaś właśnie z powodu tokarki — dziw byłby nad dziwy, gdyby go nie wezwano, tamtych dziesięciu przez cały tydzień otrząsano, jak gruszę. I, przyzwyczajony przez całe życie okłamywać władzę, Spirydon teraz też bez trudu włączył się do tej smutnej zabawy. Ale te wszystkie czcze rozmowy były dla niego czymś takim, jak drapanie tarką po skórze. To go bolało, że list znów się od niego oddalał. I jeszcze jedno: chociaż w gabinecie Szykina było ciepło i sucho, ale roboty na podworcze nikt za Spirydona nie odwali i cała ona gromadziła mu się na jutrzejszy dzień.

Czas mijał, dawno już przebrzmiał dzwonek na koniec przerwy, Szykin zaś kazał Spirydonowi złożyć swój podpis, stwierdzający że świadom jest odpowiedzialności z artykułu 95-tego za składanie fałszywych zeznań, zapisał swoje pytania i jak tylko mógł, tak przekreślił w sprawozdaniu odpowiedzi Spirydona.

Wtedy to rozległo się ostre pukanie do pokoju.

Wysławszy za drzwi Jegorowa, który mu się uprzykrzył swoją tępotą, Szykin powitał w gabinecie rzeczowego Syromachę o węzowych ruchach, umiającego zawsze w dwóch słowach powiedzieć to, co najważniejsze.

Syromacha wszedł miękkim, szybkim krokiem. Przyniesiona przezeń nowina i szczególna pozycja wśród konfidentów zrównywały go dziś z majorem. Zamknął za sobą drzwi i nie pozwalając Szykinowi przekreślić klucza, dramatycznie cofnął się o krok. Zgrywał się. Wyraźnie, ale tak cicho, że nie można było podsłuchać tego przez drzwi, oznajmił:

— Doronin chodzi i wszystkim pokazuje przekaz na sto czterdzieści siedem rubli. Zasypał Lubimiczewa, Kagana i jeszcze pięciu ludzi. Zebrali się całą grupą i polują sobie na podworcze. Doronin jest wasz?...

Szykin szarpnął kołnierz i rozerwał go dając folgę ściśniętej szyi. Oczy wyszły mu na wierzch. Tłusty kark poszarzał. Rzucił się do telefonu. Twarz jego, zawsze pełna wyższości i zadowolenia z siebie, teraz naznaczona była obłędem.

Syromacha nie krokiem, ale jakby miękkim skokiem wyprzedził Szykina i nie pozwolił mu podnieść słuchawki.

— Towarzyszu majorze! — upomniał go (jako więzień nie śmiał używać słowa „towarzysz”, ale miał obowiązek mówić tak, jako przyjaciel!) — nie bezpośrednio! nie dajcie mu się przygotować!

To było elementarne prawidło więzienne! — Ale nawet to musiano mu przypomnieć.

Cofając się tyłem i lawirując tak, jak gdyby widział stojące na drodze meble, Syromacha podszedł do drzwi. Nie spuszczał z majora oka.

Szykin upił parę łyków wody.

— To ja już pójdę, towarzyszu majorze? — powiedział Syromacha tonem raczej twierdzącym, niż pytającym. — Czego się jeszcze dowiem — to powiem wieczorem, albo rano.

Wytrzeszczone oczy Szykina powoli przytomniały.

— D z i e w i ę ć g r a m ó w dostanie gadzina! — wychrypiał — już ja to załatwię!

Syromacha wyszedł bez hałasu, jak z pokoju chorego. To, co zrobił, zrobił z przekonania i wcale nie chciał od razu mówić o nagrodzie.

Nie miał wcale pewności, że Szykin będzie dalej majorem MGB.

Nie tylko w *szaraszce* Mawrino, ale w całej historii ministerstwa nie zdarzył się jeszcze podobny wypadek.

Nie z gabinetu Szykina, tylko za pośrednictwem dyżurnego, którego biurko stało w korytarzu, poproszono naczelnika pracowni próżniowej, aby kazał Doroninowi natychmiast zgłosić się do inżyniera-pułkownika Jakonowa.

Chociaż była dopiero czwarta po południu, ale w zawsze ciemnej pracowni próżniowej dawno już paliły się lampy pod sufitem. Naczelnik pracowni był nieobecny, więc podniosła słuchawkę Klara. Przyszła na wieczorny dyżur później niż zwykle, dopiero przed chwilą. Weszła do pracowni w futrzanej czapeczce i pelisie, zaczęła rozmawiać z Tamarą — i chociaż Ruśka nie spuszczał z niej rozplómnionego wzroku — jeszcze ani razu nie spojrzała w jego stronę. Słuchawkę ujęła dłonią w purpurowej rękawiczce, pochyliła się lekko, mówiąc coś do telefonu, Ruśka zaś stał za swoją pompą o trzy kroki od niej, wpijając się oczyma w jej twarz. Wyobrażał już sobie, jak to dziś wie-

czorem, kiedy wszyscy pójdą na kolację, obejmie tę najdroższą głowę. Gdy był blisko Klary, przestawał dostrzegać otoczenie.

Podniosła oczy (wcale go nie szukała, czuła, że jest blisko) i powiedziała:

— Panie Rościszawie! Antoni Nikołajewicz pilnie pana wzywa.

Byli na widoku, wszyscy ich słyszeli, więc nie mogła nawet mówić inaczej — ale jej oczy były już inne! Jakby je kto zamienił! Były powleczone jakąś martwą matowością...

Stosując się mechanicznie do rozkazu i nie myśląc nawet, co oznaczać może nieoczekiwane wezwanie do inżyniera-pułkownika — Ruśka szedł przed siebie i myślał tylko o wyrazie tych oczu. Już na progu, odwrócił się i zobaczył, że Klara odprowadzała go wzrokiem, ale zaraz odwróciła głowę.

Wiarołomne oczy! Odwróciła się z lękiem.

Co mogło się z nią stać?...

Myśląc tylko o niej, poszedł na górę do dyżurnego, zupełnie odrzuciwszy zwykłą swoją czujność, zapominając, że trzeba być zawsze gotowym na nieoczekiwane pytania i niespodziany atak, jak tego wymagał spryt więźniarski. Dyżurny zaś, zastępując mu drogę do drzwi Jakonowa, wskazał w głębi czarnej niszy na drzwi majora Szykina.

Gdyby nie rada Syromachy, gdyby Szykin zadzwonił do pracowni próżniowej osobiście — Ruśka od razu byłby przygotowany na najgorsze, obleciałby z dziesięciu przyjaciół, uprzedził ich — zażądałby od Klary chwili rozmowy, żeby dowiedzieć się, jak to jest z nią właściwie, uniósłby z sobą albo pełną zachwyty wiarę w nią, albo mógłby sam uwolnić się od nakazu wierności. Teraz, przed samymi drzwiami kuma zbyt późno domyślił się o co chodzi.

Nie bardzo już można było w obecności dyżurnego wahać się, zawracać z drogi, mimo to Ruśka rzucił się ku schodom — ale właśnie na ostatni ich stopień wykraczał wezwany telefonicznie dyżurny z części więziennej, lejtnant Żwakun, były kat.

I Ruśka poszedł do Szykina.

Na przestrzeni kilku kroków zdążył wziąć się w ryzy, wyraz twarzy całkiem mu się zmienił. Dzięki dwuletniemu treningowi w okresie, gdy słano za nim listy gończe, dzięki szczególnemu awanturniczemu geniuszowi, który go cechował — zdołał bez wszelkiego oporu poskromić to, co go tak wzburzyło, błyskawicznie wkroczył w krąg nowych myśli i niebezpieczeństw i z wyrazem chłopięcej otwartości, beztrudnej gotowości, zameldował już przy wejściu:

— Czy wolno? Słucham, obywatelu majorze.

Szykin siedział w dziwnej pozie opierając się piersią o biurko. Jedna ręka mu zwisała i hojdała się, jak kańczug. Wstał z miejsca, podszedł do Doronina i tą łapą-kańczugiem z dołu w górę trzasnął go w twarz.

Drugą ręką też się już zamachnął! — ale Doronin odskoczył od drzwi i stanął w obronnej pozie. Krew sączyła mu się z ust, kosmyk białych włosów opadł mu na oko.

Nie sięgając już mu teraz do twarzy, niski Szykin stał przed nim szczerząc zęby i groził, bryzgając śliną:

— Ach ty, draniu; Zdrada?! Możesz pożegnać się z życiem, Judaszu! Jak psa cię rozstrzelamy! W piwnicy!

Mijało już dwa i pół roku od chwili, gdy najbardziej humanitarny z męzów stanu raz na zawsze skasował karę śmierci. Ale ani major, ani jego zdemaskowany informator nie ulegali iluzjom: co zrobić z niewygodnym człowiekiem, jeżeli nie rozstrzelać?

Ruśka wyglądał dziko, włosy mu się rozczochrały. Krew ściekała po brodzie, warga puchła w oczach.

Jednakże wyprostował się i powiedział zuchwale:

— Co do rozstrzelania — to warto się namyślić, obywatelu majorze. Ja was też mogę wsadzić. Cztery miesiące wszystkie ślepe kury śmieją się nad wami — a pensyjkę to pobieracie. Oj, zdejmą wam te pagony! Względem rozstrzelać — to jeszcze warto się namyślić...

## LXXVIII

### UCZEŃ EPIKURA

Nasza zdolność do bohaterskich czynów, to znaczy postępów, które wydają się przerastać siły człowieka, zależy częściowo od naszej woli, częściowo zaś — jak wolno przypuszczać — już przy urodzeniu mieszka w nas, albo i nie mieszka. Czyn taki jest najtrudniejszy do spełnienia wtedy, jeżeli jest wynikiem wielkiego wysiłku woli wcale do tego nie przygotowanej. Jest łatwiejszy, jeżeli przychodzi jako rezultat wysiłku długoletniego i starannie kierowanego. Najłatwiej zaś dokonać takiego czynu, jeżeli wydaje się nam czymś naturalnym i prostym, jak oddychanie.

Tak właśnie żył Ruśka Doronin wtedy, gdy szukano go po całym kraju — z całą naturalnością i dziecięcą pogodą. Miał zapewne we krwi już od samego urodzenia tętno ryzyka, płomień przygody.

Ale Inocenty, czyścioszek, dziecko szczęścia, nie potrafiłby ukrywać się pod cudzym nazwiskiem i wałęsać się po całym kraju. Nie przychodziło mu nawet do głowy, że mógłby w jakikolwiek sposób przeciwstawić się swojemu aresztowaniu, jeżeli zostało ono postanowione.

Dokonał swego czynu dzięki nagłemu zrywowi uczuciowemu — a teraz te same uczucia pogrążyły go w nastroju pustki i bezwładu. Kiedy telefonował, nie mógł sobie nawet wyobrazić, że tak się w nim rozrośnie strach, że tak go wewnętrznie zdrgocze i wypali. (Za żadne skarby nie zatelefonowałby, gdyby mógł to przewidzieć).

Dopiero na przyjęciu u Makaryginów Inocenty odprężył się. Poczuł w sobie tę niebezpieczną lekkość, niemal uniesienie, która towarzyszy igraniu z niebezpieczeństwem.

Noc spędził pogrożony w niepamięci, u boku żony.

Ale tym bardziej miazdzący okazał się nowy atak strachu w poniedziałek rano — kiedy trzeba było zmusić się, aby znów zacząć codzienne życie, jechać do pracy i z lękiem sprawdzać, czy nie zmieniły się spojrzenia i głosy ludzi z otoczenia, czy nie zwiastują one czegoś groźnego.

Starał się zachowywać jeszcze godność, ale wewnątrz był już jednym rumowiskiem, nie potrafiłby już opierać się, szukać wyjścia, ratować się.

Nie było jeszcze jedenastej, kiedy sekretarka powiedziała Inocentemu — nie dopuszczając go do swego szefa, że, jak słyszała, nominacja Wołodina wstrzymana została przez wice-ministra.

Ta nowina, chociaż niezupełnie jeszcze sprawdzona, tak wstrząsnęła Inocentym, że nie znalazł w sobie sił, aby uzyskać audiencję i przekonać się jak naprawdę sprawa wygląda. Nic innego nie mogło zmienić raz już powziętej decyzji o jego wyjeździe! Więc został zdemaskowany... Pociemniało mu nagle w oczach, poczuł ciężar własnych rąk, wrócił do gabinetu i stać było tylko na to, żeby zamknąć drzwi na klucz i wyjąć go z zamka (żeby wydawało się, iż wyszedł). Mógł sobie na to pozwolić: sąsiad urzędujący przy drugim biurku jeszcze nie wrócił z delegacji.

Wszystko w jego wnętrzu ohydnie zwiotczało. Czekał na pukanie do drzwi. Czuł lęk, rozdzierający lęk, że za chwilę wejdą i aresztują go. Mignęła mu nawet myśl, żeby nie otwierać. Niech wyważą drzwi.

Albo powiesić się przed ich wejściem.

Albo wyskoczyć przez okno, z drugiego piętra. Wprost na ulicę. Dwie sekundy — i wszystko skończone. I zgaśnie świadomość.

Na biurku leżało grube sprawozdanie ekspertów, nieodrobiona jeszcze powinność Inocentego. Miał sprawdzić je przed wyjazdem, ale nie mógł nawet patrzeć na to bez odrazy.

Czuł ziąb, dreszcze go brały, chociaż w gabinecie było dobrze napalone.

Ta wstrętna niemoc wewnętrzna! Czekać tak bezsilnie na zagładę... Inocenty rzucił się na kanapę. Padł na brzuch, wyciągnął się na całą długość, tylko tak czuł, że mebel daje mu oparcie, czy rodzaj uspokojenia.

Myśli mu się plątały.

Więc to on? on! — dzwonił onegdaj do Dobroumowa? Ależ jak się w ogóle ośmielił? Skąd do niego taka desperacka odwaga?

I po co dzwonił?... Ta durna baba! A jak się pan nazywa? A jak mi pan dowiedzie, że to prawda?...

Nie trzeba było dzwonić. Toż żał siebie samego. Mając trzydzieści lat już żegnać się z życiem.

Nie, nie żałował, że zadzwonił. Zapewne tak było trzeba. Jakby go kto wtedy za rękę prowadził. Nie czuł wtedy lęku. Nie o to chodzi, że nie żałował — po prostu brak mu już było woli żeby czegokolwiek żałować lub nie żałować. Pod ciśnieniem paraliżującego niebezpieczeństwa leżał prawie nie oddychając, przyłgnąwszy do kanapy i chciał już tylko, żeby wszystko prędzej się skończyło, żeby go już prędzej zabrali, czy co.

Ale szczęśliwie nikt nie pukał, nikt nie próbował otworzyć drzwi. Telefon też nie zadzwonił ani razu.

Zapadł w drzemkę. Tłoczyły mu się w głowie ciężkie i nieдорzeczne sny, rozsadały czaszkę, zmuszały do przebudzenia. Budził się jeszcze bardziej znużony, dręczony, bo we śnie kilka razy już próbowali go aresztować, już go zatrzymywali. Ale wstać z kanapy, odpędzić koszmary, nawet zmienić pozycję — na to wszystko nie miał sił. I znów ciągnęła go w głąb ohydna, senna niemoc. Wreszcie zasnął jak kamień — i obudził się słysząc dochodzące z korytarza hałasy przerwy i czując, że z jego otwartych odrętwiałych ust obficie sączy się na kanapę ślina.

Podniósł się, odryglował drzwi, wyszedł, żeby się umyć. Roznoszono herbatę z kanapkami.

Nikt nie zjawił się, żeby go aresztować. Koledzy w korytarzu, w kancelarii ogólnej witali się z nim jak zwykle, nikt nie zmienił stosunku do niego.

To jeszcze niczego nie dowodziło. Nikt przecież tutaj nie mógł mieć o niczym pojęcia.

Ale te zwyczajne spojrzenia i głosy innych ludzi dodały mu otuchy. Poprosił dziewczynę-gońca, aby przyniosła mu herbaty możliwie najgorętszej i najmocniejszej. Z przyjemnością wypił dwie szklanki. To go też podniosło na duchu.

A jednak brak mu było sił, żeby dostać się do szefa i dowiedzieć się wszystkiego...

Samobójstwo byłoby tu najrozsądniejszą rzeczą, byłoby przejawem instynktu zachowawczego i współczucia wobec siebie samego. Ale tylko w tym wypadku, gdyby wiedział na pewno, że nie uniknie aresztowania.

A jeżeli nie?

Nagle zadzwonił telefon. Inocenty wzdrygnął się, serce — nie od razu, po chwili — głośno mu zabiło.

Tymczasem to była Dotti. Jej głos w słuchawce miał ton zdecydowanie pieszczotliwy, był głosem żony, która odzyskała



swoje prawa. Pytała, co słyhać i proponowała, żeby razem pójść dokądś wieczorem.

I znowu Inocenty poczuł przyływ ciepła i wdzięczności. Niedobra żona, czy tam dobra, a jednak to najbliższy człowiek!

Nie powiedział jej o cofnięciu nominacji. Ale już wyobrażał sobie, jak bezpiecznie poczuje się wieczorem w teatrze — nie zaaresztują go przecież na widowni, na oczach publiczności!

— Dobrze, weź bilety na coś wesołego — powiedział Inocenty.

— Może do operetki? — zapytała Dotti. — Idzie jakaś „Akulina”. A poza tym nigdzie nic nie ma. W Centralnym Teatrze Wojska na małej scenie „Prawo Likurga”, premiera. Na dużej — „Głos Ameryki”. W Mchacie — „Niezapomniany 1919”.

— „Prawo Likurga”? Za ładnie się nazywa. Takie nazwy mają zawsze najgorsze sztuki. Weź już na „Akulinę”, niech będzie. A potem skoczmy sobie do restauracji.

— Okej! okej! — śmiała się i cieszyła Dotti.

(Całą noc by tam człowiek przesiedział, żeby nie zastali w domu! Przecież oni przychodzą w nocy!).

Czuł stopniowy nawrót słabych prądów woli. No dobrze, przypuśćmy, że go podejrzewają. Ale przecież Szewronok i Zawarzin są bezpośrednio wtajemniczeni we wszystkie szczegóły, podejrzenie powinno zwrócić się przede wszystkim przeciw nim. Podejrzenie to jeszcze nie dowód!

Dobrze, powiedzmy, że grozi aresztowanie. Ale nie ma sposobu, żeby temu przeciwdziałać. Ukrywać coś? Nie ma nic do ukrycia. Więc o co tu się martwić?

Wróciły mu znowu siły, mógł chodzić po pokoju i rozmyślać.

No cóż, powiedzmy nawet, że zostanie aresztowany. Może wcale nie dziś i nawet nie w tym tygodniu. Czy warto przez to zrezygnować z życia? Czy raczej na odwrót — delektować się nim zapamiętane w ciągu tych ostatnich dni?

I dlaczego taki lęk go ogarnął? Do diabła, tak dowcipnie bronił wczoraj Epikura — czemu teraz nie korzysta z jego nauk? Są w nich całkiem niegłupie myśli.

Przyszło mu jednocześnie do głowy, że warto przejrzeć notatniki, czy nie ma w nich czegoś, co lepiej zniszczyć, i że w jednym ze starych notesów są chyba cytaty z Epikura. Zaczął je wertować, odsunawszy sprawozdanie ekspertów, i znalazł: „Intymne uczucia zadowolenia i niezadowolenia są najwyższymi kryteriami dobra i zła”.

Zajęty czym innym umysł Inocentego nie usiłował przeniknąć tej myśli. Czytał dalej:

„Śmierci ludzie boją się tylko dlatego, że obawiają się cierpień na tamtym świecie”.

Ależ to zupełna bzdura! Śmierci ludzie boją się dlatego, że życia im żal. Naciągnięta to maksyma, Nauczycielu!

Inocenty wyobraził sobie ogród w Atenach, siedemdziesięcioletniego, smagłego Epikura w tunice, stojącego na marmurowym podwyższeniu i głoszącego swoją naukę — siebie zaś tuż przed nim, ubranego współcześnie i siedzącego w niedbałej pozie, jakoś tak po amerykańsku, na słupku.

„Ale trzeba zdawać sobie sprawę — czytał dalej — że nieśmiertelności nie ma. Nieśmiertelność nie istnieje i dlatego śmierć dla nas nie jest złem, bo po prostu nas nie dotyczy; póki my istniejemy — śmierci nie ma, kiedy zaś śmierć nadchodzi — nie ma już nas”.

A to dobrze powiedziane! — Inocenty wyprostował się. Zaraz, kto to, kto to niedawno mówił to samo? Ach, ten frontowiec, wczoraj na przyjęciu.

„Wiara w nieśmiertelność zrodziła się z żądzы trapiącej ludzi nienasyconych, bez umiaru i rozsądku wykorzystujących ten czas, jaki nam darowała natura. Ale mędrzec potrafi uznać ten czas za wystarczający do obejścia całego kręgu dostępnych człowiekowi rozkoszy, kiedy zaś nadejdzie chwila śmierci — potrafi odejść od stołu życia, ustępując miejsca innym. Mędrcomi dość jest jednego ludzkiego życia, głupiec zaś nie wiedziałby, co począć z całą wiecznością”.

Świetnie powiedziane! Ale masz ci los: co robić, jeżeli nie natura odrywa cię od stołu, gdy masz siedemdziesiąt lat — tylko ludzie z pistoletami, gdy masz dopiero trzydzieści?...

„Nie należy bać się cierpień fizycznych. Kto zna granice cierpienia, tego strach się nie ima. Długie cierpienie — zawsze jest znośne, wielkie zaś — nie trwa długo. Mędrzec nie utraci spokoju ducha nawet gdy go będą torturować. Pamięć znów go obdarzy dawnymi radościami zmysłowymi i duchowymi. Na przekór chwilowym cierpieniom ciała — odbuduje w nim równowagę duchową”.

Inocenty zaczął chodzić po gabinecie z ponurą miną.

Tak, nie śmierć była tym, czego się bał. A co, jeżeli po aresztowaniu zaczną dręczyć jego ciało?

Epikur powiada, że można przewyciężyć ból tortury. O, gdybyż mieć taką pewność!

Wcale jej w sobie nie znajdował.

Umrzeć? Może wcale by nie było szkoda umierać, gdyby ludzie wiedzieli — za co, gdyby to dało im hart ducha.

Ale nie, nikt się nie dowie, nikt nie zobaczy twojej śmierci.

Zastrzelą w piwnicy, jak psa, akta zaś sprawy zamkną na tysiąc spustów.

Ale podczas tych rozmyślań zaczął go ogarniać mimo wszystko jakiś spokój. Najstraszniejsza desperacja jakby już minęła.

Zamykając notesik przeczytał jeszcze:

„Epikur radził swoim uczniom aby uchylali się od udziału w życiu społecznym”.

Patrzajcie, jak to łatwo! Filozofować. W Ogrodzie...

Inocenty podniósł głowę tak, jak czynią to ptaki, aby woda spłynęła do naprężonego gardła.

No, nie! No, nie!

Koronkowe strzałki brązowego zegara wskazywały czwartą za pięć.

Zapadał już zmierzch.

## LXXIX

### TO NIE MÓJ FACH

W zapadającym zmroku czarny, długi „ZIM” przejechał przez otwarte przed nim szeroko wrota wartowni, dodał gazu na asfaltowych, krętych ścieżkach mawrińskiego podwórca, odśnieżonych szeroką łopatą Spirydona i czarnych teraz po odwilży, wyminął stojącą przed wejściem „Pobiedę” Jakonowa, i hamując z rozpędu zatrzymał się, jak wkopany, przed paradnym gankiem.

Adiutant generała-majora wyskoczył z miejsca obok kierowcy i szybko otworzył tylne drzwi wozu. Opasły Foma Oskołupow w szaro-niebieskim, przyciasnym szynelu i karakułowej, generalskiej papasze wyszedł z samochodu, rozprostował plecy i — gdy adiutant otworzył przed nim podwójne drzwi — ruszył na górę, bardzo zaafcerowany. Na pierwszym półpiętrze za staroświeckimi stojącymi lampami, znajdowała się szatnia. Posługaczka wybiegła z niej gotowa przyjąć od generała płaszcz (i wiedząc, że ten go nie zdejmie). Generał nie zdjął płaszcza ani czapki, szedł w górę jedną stroną podwójnych schodów. Kilku zeków i pośledniejszych wolniaków, którzy w tym czasie wyszli na schody, zaraz się ulotniło. Generał w karakułowej papasze wspinał się coraz wyżej, kroczył majestatycznie, ale starał się iść szybko, jak tego wymagały okoliczności. Adiutant zostawił w szatni swój płaszcz i dogonił generała.

— Idź poszukać Rojtmana — powiedział mu przez ramię Oskołupow — i masz go uprzedzić; za pół godziny przyjdę do nowego zespołu po wyniki.

Z podestu trzeciego piętra nie skręcił do gabinetu Jakonowa, tylko poszedł w przeciwnym kierunku — do Siódemki. Dyżurny zobaczył jego oddalające się plecy i przypadł do telefonu, żeby odnaleźć i uprzedzić Jakonowa.

W Siódemce panował rozgardiasz. Nie trzeba było być spe-

cialistą (Oskołupow wcale nim nie był), żeby zrozumieć, iż na bieżąco nic tu nie ma, że wszystkie zestawy instrumentalne przez tyle miesięcy docierane, teraz są rozdzielone, rozłaczane, rozerwane. Małżeństwo klippera z wokoderem zaczęło się od tego, że nowożeńców posiekano na drobne części, na bloki, omal że nie na poszczególne kondensatory. Tu i ówdzie wił się dymek z kalafonii i papierosów, słysząc było zgrzyt ręcznego świdra, odgłosy sprzeczek przy pracy, nad wszystkim zaś unosił się zaciekle wrzask telefonującego Mamurina.

Ale nawet wśród tego dymu i hałasu Syromacha od razu zauważył wchodzącego generała-majora (starał się zawsze mieć drzwi w zasięgu swego czujnego oka). Natychmiast rzucił kolbę lutowniczą na podstawkę, skoczył, żeby uprzedzić Mamurina, który stał i krzychał do telefonu, porwał jego wyściełany fotelik, i w prysiadach zaniósł go generałowi, odgadując z jego ruchów, gdzie należy sprzęt postawić. Gdyby zaniósł kto inny — można by to uznać za lizusostwo, ale w wykonaniu Syromachy był to jedynie szlachetny gest młodzieńca, pragnącego pomóc osobie starszej i godnej szacunku. Teraz zastygł w oczekiwaniu dalszych zleceń.

Syromacha nie był inżynierem ani technikiem, nawet elektromonterem został dopiero w Siódemce, ale za stałą żwawość, oddanie, za swoją gotowość do pracy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i do wysłuchiwanie wszystkich uwag i wątpliwości zwierzchników — był wysoko ceniony i zawsze zapraszany na zebrania technicznego aktywu. Wykalkulował sobie, że to mu da jeszcze więcej korzyści niż donosielskie usługi. Tu miał większe szanse na przedterminowe zwolnienie.

Foma Gurianowicz usiadł nie zdejmując papachy i odpinając tylko kilka guzików płaszcza.

W pracowni zapanowała cisza, nie słysząc było więcej elektrycznego świdra, papierosy zostały zgaszone, wołania umilkły i tylko Bobynin siedząc w swoim kącie basem dawał wskazówki elektromonterom, Priancykow zaś wciąż brodził półprzytomnie z gorącą kolbą w rękę dookoła swojego zrujnowanego wokodera. Pozostali wyteżyli wzrok i słuch, czekając, co generał powie.

Ocierając pot po ciężkiej rozmowie telefonicznej (wykłócał się z naczelnikiem warsztatów mechanicznych, które spartaczyły podstawki do aparatury), Mamurin podszedł bliżej i znużonym gestem przywitał się ze swoim dawnym kolegą, a teraz niedosiężnym przełożonym (Foma podał mu trzy palce). Mamurin doszedł już do tego stopnia śmiertelnej bladeści, kiedy wydaje się przestępstwem, że takiemu człowiekowi w ogóle pozwolono wstać z łóżka. O wiele ciężiej niż jego koledzy-dygnitarze odczuł

wszystkie ciosy, jakie posypały się w ciągu minionej doby — gniew ministra i demontaż klippera. Jeżeli warstwa mięśni pod jego skórą w ogóle jeszcze mogła bardziej wyschnąć, to wyschła w ciągu tej nocy. Jeżeli kości ludzkie w ogóle mogą tracić na wadze, to jego kości stały się prawie nieważkie. Więcej niż rok Mamurin żył tylko sprawą klippera, i wierzył, że klipper, jak baśniowy *Koniok-Garbunok* wyrwie go z niedoli. Nic — nawet przejście Priancykowa z wokoderem pod dach Siódemki — nie mogło osłodzić mu tej katastrofy.

Foma Gurianowicz znał sztukę kierowania sprawami, o których nie miał pojęcia. Dawno już pojął, że wystarczy w tym celu tylko doprowadzić do ścierania się poglądów podwładnych — i w następstwie decydować. Postąpił teraz tak samo. Rozejrzał się chmurnie i zapytał:

— No to co będzie? Jak wam idzie?

I tym samym zmusił podwładnych do zabrania głosu.

Zacząła się nikomu niepotrzebna, nudna rozmowa, odrywająca tylko ludzi od roboty. Zabierali głos niechętnie, wzdychali, a jeżeli odezwało się od razu dwóch, to obaj ustępowali sobie nawzajem pierwszeństwa.

Dwa tony przeważały w tej rozmowie: „trzeba” i „trudno będzie”. „Trzeba” — w tym przodował opętany Markuszew, wspomagany przez Syromachę. Niski, pryszczaty, energiczny Markuszew przez całe dni i noc, jak w gorączce, szukał sposobu, by zyskać sławę i przedterminowe zwolnienie. Zaproponował połączenie klippera i wokodera nie dlatego, że z technicznego punktu widzenia pewien był sukcesu, lecz dlatego, że przy tym połączeniu na pewno ulegała degradacji rola Bobynina i Priancykowa, rola zaś Markuszewa rosła i chociaż on sam niebardzo lubił pracować dla cudzej chwały, kiedy nie miał nadziei na wykorzystywanie plonów takiej pracy — w tej chwili nie posiadał się z oburzenia, że jego koledzy z Siódemki tak upadli na duchu. W obecności Oskołupowa uskarżał się więc pośrednio na opieszałość innych inżynierów.

Był człowiekiem należącym do tego bardzo licznego gatunku, z którego ciemieźcy fabrykują ludzi na swój obraz i podobieństwo.

Na obliczu Syromachy wypisana była boleść z wiarą po społu.

Wtuliwszy przejrzysto-cytrynową twarz w nieważkie dłonie, Mamurin milczał — po raz pierwszy od chwili, gdy zaczął komenderować Siódemką.

Chorobrow z trudnością skrywał złośliwy blask palący mu się w oczach. Najostrzej tu sprzeciwiał się Markuszewowi i najwięcej trudności przypominał.

Oskołupow zaś, nie wiedzieć czemu, najbardziej przyczepił się do Dyrsina, oskarżając go o brak entuzjazmu. Dyrsin zaś, gdy denerwował się, albo musiał znosić niesprawiedliwe zarzuty — zupełnie prawie tracił głos. Przez tę niekorzystną przypadłość zawsze on właśnie okazywał się winowajcą.

Tymczasem wszedł Jakonow i z grzeczności włączył się do rozmowy, w obecności Oskołupowa właściwie bezmyślnej. Następnie przywołał Markuszewa i wspólnie z nim na jakimś skrawku papieru, na kolanach, zabrał się do szkicowania pierwszego wariantu schematu.

Foma Gurianowicz najchętniej wszedłby na drogę bitą, dobrze poznaną w ciągu lat dyrygowania, przemyślaną aż do intonacyjnych szczegółów, drogę wymysłów i ścierania w pył. To właśnie umiał najlepiej. Ale zrozumiał, że teraz wymysły nie pomogą.

Może Foma Gurianowicz wyczuł, że ta rozmowa nie przyczyni się do sukcesu, a może chciał odetchnąć innym powietrzem póki trwał jeszcze ulgowy i fatalny miesiąc zwłoki — dość że w środku dyskusji, nie wysłuchując do końca Bułatowa, podniósł się z miejsca i z ponurą miną ruszył ku drzwiom, każąc całemu personelowi Siódemki dręczyć się myślą, do czego też doprowadzili swoją opieszałością samego dyrektora departamentu.

Wierny ustalonej etykietce Jakonow musiał także dźwignąć swoje wielkie, ociężałe ciało z krzesła i ruszyć w ślad za papaczą, która dochodziła mu ledwie do ramienia.

W milczeniu, ale już ramię w ramię szli przez korytarz. Dyrektor departamentu właśnie dlatego nie lubił żeby inżynier naczelny kroczył obok niego — że Jakonow był wyższy od niego o głowę, o tę swoją podłużną, dużą głowę.

Teraz Jakonow nie tylko powinien był opowiedzieć generałowi-majorowi o zadziwiającym, nieprzewidzianym postępie prac nad szyfratorem, lecz także miałby z tego swoją własną korzyść. Od razu rozproszyłby w ten sposób bawolą niechęć z jaką Foma spoglądał na niego po nocnej audiencji u Abakumowa.

Ale nie miał przecież projektu w ręku. Zadziwiające zaś panowanie nad sobą, które zademonstrował mu Sołogdin, jego determinacja — by raczej dać się wywieźć na pewną śmierć, ale nie oddać projektu za darmo — wszystko to skłoniło Jakonowa do spełnienia obietnicy. Postanowił zameldować o wynalazku dzisiaj w nocy Sewastianowowi, nad głową Fomy. Oczywiście, Fomę to rozwścieczy, ale prędko będzie zmuszony zaprzestać gniewu; zwycięzców nie posyła się pod sąd. (Ponadto będzie można później pozwolić sobie na kłamstwo — że nie miał jeszcze pewności, czy Sołogdinowi się uda, że to była tylko próba).



Ale Jakonow oparł się nie tylko na tej prostej kalkulacji. Widział jaki Foma jest zasepiony, jak drży o swój los — i z przyjemnością pozwolił mu się jeszcze męczyć przez kilka dni. Antoni Nikołajewicz, jako inżynier, czuł nawet coś w rodzaju obrażonej dumy w związku z tym projektem, jakby sam go sporządził. Jak to słusznie Sołogdin przewidział, Foma na pewno postarałby się wkręcić do zespołu jako współautor. Gdyby teraz dowiedział się o tym — nawet nie spojrzawszy na rysunek techniczny natychmiast kazałby zamknąć Sołogdina w oddzielnym pokoju i utrudnić dostęp tym, którzy powinni mu pomagać. Wezwałby potem Sołogdina, zacząłby go straszyć, wyznaczyłby krótkie, nieprzekraczalne terminy. Potem co dwie godziny dzwoniłby z ministerstwa i poganiał Jakonowa. W końcu zaś przechwalałby się, że tylko dzięki jego nadzorowi sprawa szyfratora znalazła się na dobrej drodze.

Wszystko to było tak dawno znane i tak nudne, że Jakonow chwilowo milczał z całą satysfakcją.

Jednakże po przyjściu do gabinetu pomógł Oskołupowi zdjąć płaszcz, czego nigdy by nie uczynił przy świadkach.

— Co u ciebie robi ten Gerasymowicz? — zapytał Foma Gurianowicz i usiadł na fotelu Antoniego nie zdejmując z głowy papachy.

Jakonow usiadł na krześle stojącym z boku.

— Gerasymowicz? Zaraz, kiedy go przeniesli do nas ze Streszniewki? Chyba w październiku? No tak, od tego czasu robił telewizor dla towarzysza Stalina.

— Wezwij no go.

Jakonow zadzwonił.

„Streszniewka” była to inna mokiewska *szaraszka*. Ostatnimi czasy w Streszniewce zespół pod kierownictwem inżyniera Bobra skonstruował bardzo dowcipny i pożyteczny aparacik — przystawę do zwyczajnego, miejskiego telefonu. Dowcip na tym polegał, że urządzenie działało właśnie wtedy, kiedy telefon był nieczynny, kiedy słuchawka spokojnie leżała na widełkach. Aparacik przypadł do gustu i został zatwierdzony do produkcji.

Sięgająca w przyszłość myśl kierownictwa (myśl kierownictwa powinna zawsze sięgać w przyszłość) koncentrowała się teraz na innych, podobnych urządzeniach.

Do pokoju zajrzał dyżurny:

— Więzień Gerasymowicz.

— Niech wejdzie — skinął głową Jakonow. Siedział daleko od swojego biurka, na małym krześle i przelewał się wprost przez boczne krawędzie siedzenia.

Gerasymowicz wszedł poprawiając binokle na nosie i zaraz

potknął się o dywan. W porównaniu z tymi dwiema grubymi rybami wydawał się szczególnie szczupły i mały.

— Stawiam się na wezwanie — powiedział sucho. Podszedł bliżej i wzrok wbił w ścianę między Oskołupowem i Jakonowem.

— Hm — odparł Oskołupow. — Siadajcie.

Gerasymowicz usiadł. Mieścił się na połowie krzeselka.

— Wy... jak go tam... — starał się przypomnieć sobie Foma Gurianowicz. — Wy... jesteście optykiem, co, Gerasymowicz? Krótko mówiąc, wasza specjalność to nie ucho, tylko oko, prawda?

— Owszem.

— I was, wicie... tego... — (Foma pogmerał językiem w gębie, jakby przecierał nim zęby) — was chwala. Tak, tak.

Zamilkł na chwilę. Zmrużywszy jedno oko, przyjrzał się Gerasymowiczowi drugim.

— Znacie ostatnią pracę Bobra?

— Słyszałem.

— Hm. A wicie, żeśmy zaproponowali, żeby dać Bobrowi przedterminowe?

— Nie wiedziałem.

— To teraz będziecie wiedzieć. Ile jeszcze macie do odsiedzenia?

— Trzy lata.

— To duuużo! — Oskołupow zdziwił się tak, jak gdyby inni siedzieli u niego tylko po kilka miesięcy. — Oj, jak duuużo! — (Niedawno chcąc dodać ducha pewnemu nowicjuszowi, Foma powiedział: „Dziesięć lat? Głupstwo! Ludzie siedzą po dwadzieścia pięć!”). — Wam też by się przedterminowe przydało, co?

Jak dziwnie to się zgadzało z wczorajszymi błaganiami Natasy!...

Przemógł się (bo nie pozwalał sobie na żadne wyrozumiałe śmieszki w rozmowach ze zwierzchnością) i uśmiechnął się krzywo:

— Skąd je dostać? Nie wala się na korytarzu.

Foma Gurianowicz zakołysał się na fotelu:

— Hm! Przy telewizorach na przedterminowe sobie nie zarobicie, to jasne! A ja was w tych dniach przeniosę do Streszniewki i mianuję kierownikiem zespołu. Jak w ciągu sześciu miesięcy wykonacie projekt — to jesienią będziecie w domu.

— O jakie zadanie chodzi, czy mógłbym wiedzieć?

— Tam zadań cała kupa, tylko łapać. Otwarcie wam po-

wiem, że te zadania postawił sam Ławrentij Pawłyycz<sup>1</sup>. Chodzi na ten przykład o taki pomysł: żeby móc wmontować mikrofony w ławki w parkach — tam faceci szczerze sobie paplają, czego się tylko człowiek nie nasłucha! Ale to — nie wasz fach?

— Nie, to nie moja dziedzina.

— Ale dla was też coś jest, bardzo proszę. Są nawet dwa zadania, jedno ważne i drugie też zaszczytne. I oba właśnie z waszej dziedziny — niech Antoni Nikołajewicz potwierdzi (Jakonow kiwnął głową). Jedno — to nocny fotoaparat na te... no jak tam ich... podczerwone promienie. Żeby, rozumiecie, można było w nocy na ulicy sfotografować człowieka jak sobie z kimś idzie i żeby ten do śmierci nawet nie mógł się domyśleć. Za granicą już są takie próby, tu potrzebne jest tylko... twórcze zapożyczenie. No i żeby taki aparat był jak najprostszy w obsłudze. Nasi agenci nie mają takiej głowy jak wy. A znowu ta druga rzecz to... Dla was taka rzecz to tyle co splunąć, a nam jest strasznie potrzebna. Zwyczajny fotoaparacik, tylko taki maciupeńki, żeby go można było wmontować w każdą futrynę przy drzwiach. I żeby automatycznie, jak tylko ktoś drzwi otworzy, fotografował takiego, co przejdzie przez próg choćby tylko we dnie i przy elektryczności. W ciemnościach można się obejść, dobra, niech wam będzie. Dobrze byłoby taki aparacik skierować do seryjnej produkcji. No więc jak? Podejmiecie się?

Swoją wąską, wychudłą twarz Gerasymowicz odwrócił ku oknu i nie patrzył na generała-majora.

W słowniku Fomy Gurianowicza nie było wyrazu „smętny”. Dlatego też nie umiałby powiedzieć jaki wyraz miała w tej chwili twarz Gerasymowicza.

Zresztą nie miał zamiaru szukać żadnych określeń, czekał na odpowiedź.

Tak się spełniły modlitwy Nataszy!...

Jej wyschła twarz ze szklanymi, zastygłymi w zmarszczkach łzami stanęła przed oczyma Hilarego.

Po raz pierwszy od wielu lat myśl o powrocie do domu nappełniła mu serce całą swoją realnością, bliskością i ciepłem.

A trzeba było zrobić tylko to, co Bober: wsadzić za kraty na swoje miejsce setkę, dwie, naiwnych, gapiowatych wolniaków.

Z wysiłkiem, zająkliwie Gerasymowicz zapytał:

— A... przy tych telewizorach... nie mógłbym zostać?

— Odmawiacie?! — zdziwił się i nachmurzył Oskołupow. Twarz jego z osobliwą łatwością przybierała gniewny wyraz. — Z jakiego powodu?

---

1. Beria.

Wszystkie prawa okrutnej krainy zeków mówiły Gerasymowiczowi, że żałować opływających w dostatki, krótkowzrocznych, niedoświadczonych, niebitych wolniaków to takie samo dziwactwo, jak odmowa zarzynania świń tuczonych na sadło. Wolniaki pozbawieni byli nieśmiertelnej duszy, którą zek sobie zdobywa w trakcie odsiadki nieskończonych kar, wolniaki chciwie i nieudolnie wykorzystują darowaną sobie wolność, tkwią po uszy w małostkowych planach i czczej krzątaninie.

Natasza zaś towarzyszyła mu przez cały czas. Natasza czekała na niego już dwukrotnie. Natasza zaczynała już gasnąć, a razem z nią zgaśnie też jego życie.

— Po co tu powody? Nie mogę. Nie dam sobie rady — bardzo cicho, bardzo słabym głosem odpowiedział Gerasymowicz.

Jakonow, dotąd słuchający z roztarginieniem, spojrział teraz na Gerasymowicza z ciekawością i uważnie. Proszę, to chyba jeszcze jeden wypadek pachnący irracjonalizmem. Ale wszechświatowe prawo „koszula bliższa ciała” nie mogło przecież nie znaleźć tu zastosowania.

— Po prostu odzwyczailiście się od poważnych zadań, dlatego strach was oblatuje — starał się go przekonać Oskołupow. — Kto jeszcze, jeżeli nie wy? Dobra, dam wam czas do namysłu.

Gerasymowicz drobną dłonią podparł czoło i milczał.

— Ale nad czym właściwie macie się namyślać? Toż to wasz profil, wasz fach!

Ach, mógł przecież milczeć! Można było potem lać wodę. Jak to przyjęte jest wśród zeków, można było przyjąć zlecenie, a później kluczyć, zwlekać, nic nie robić. Ale Gerasymowicz podniósł się z pogardą spojrział na brzuchatego, tępomordeggo faceta o zwistych policzkach, siedzącego przed nim w generalskiej papasze.

— Nie! To nie mój fach! — krzyknął z ostrym piskiem. — Wsadzać ludzi do więzienia — to nie mój fach! Ja nie jestem od łapania ludzi! Dosyć, że my siedzimy...

## LXXX

### U ŹRÓDEŁ NOWEJ NAUKI

Rano Rubin był jeszcze pod ciężkim wrażeniem sprzeczki. Przychodziły mu do głowy wciąż nowe argumenty, których nie zdążył wysunąć w nocy. Ale w miarę jak dnia przybywało, udało mu się skoncentrować na poważnej pracy i wspomnienie sprzeczki zbladło.

Siedział w supertajnej, spokojnej izdebce na drugim piętrze z ciężkimi storami po bokach okna i drzwi, ze starą kanapą i lichym dywanikiem. Miękka tkanina zagłuszała dźwięki, ale i tak prawie ich nie było, ponieważ to, co miał na taśmach, Rubin odbierał przez słuchawki, Smołosidow zaś milczał przez cały dzień obracając swoją grubo ciosaną twarz w stronę Rubina z takim wyrazem, jakby ten był wrogiem, a nie człowiekiem zaprzężonym do wspólnej pracy. Ze swojej strony Rubin też odnosił się do Smołosidowa nie inaczej jak do automatu, składającego tarcze z taśmą.

Nakładając słuchawki Rubin znowu i znowu wsłuchiwał się w fatalną rozmowę podejrzanych. To wierzył własnym uszom, to znów nie chciał im więcej wierzyć i sięgał po fioletowe wykresy na fonogramach, na których odbite już były wszystkie rozmowy. Długie, wielometrowe wstęgi papieru nie mieściły się nawet na dużym stole, opadając białymi zwojami na podłogę z prawa i z lewa. Rubin sięgał porywczo po swój album z wzorami fonogramów, dzielonych to wedle dźwięków — „morfem”, to według „zasadniczych tonów” rozmaitych głosów męskich. Kolorowym, czerwono-niebieskim ołówkiem, spisany aż do tępych ogryzków (temperowanie ołówków było dla Rubina pracą wymagającą długich zabiegów) podkreślał na wstęgach te miejsca, które zwróciły jego szczególną uwagę.

Rubin wciągnął się w robotę. Jego ciemnobrązowe oczy pa-

łały. Szeroka, nieczesana, czarna broda skołtuniła się, była osypana siwym popiołem z palonej bez przerwy fajki i papierosów, podobnie jak rękawy zatłuszczonego kombinezonu z urwanym guzikiem, jak stół, wstęgi, fotel i album z wzorami.

Rubin przeżywał właśnie ten zagadkowy rodzaj podniecenia, którego jeszcze nie zdołali wyjaśnić fizjologowie; zapominając o wątrobie, o nadciśnieniu i bólach, świeży, mimo że noc miał męczącą, nie czując głodu, chociaż ostatnią rzeczą jaką jadł były ciastka z wczorajszego imieninowego stołu — znajdował się w stanie tego napięcia, gdy ostry wzrok odróżnia każde ziarnko piasku, kiedy pamięć z całą gotowością oddaje to wszystko, co w niej latami się gromadziło.

Ani razu nie spytał, która godzina. Raz tylko, zaraz po przyjsciu chciał otworzyć lufcik, bo był spragniony świeżego powietrza, ale Smołosidow mruknął ponuro: „Nie wolno! Mam katar” i Rubin musiał go posłuchać. Później już ani razu przez cały dzień nie wstał z miejsca i nie podchodził do okna, żeby popatrzeć jak mięknie i szarzeje śnieg pod wilgotnym tchnieniem zachodniego wiatru. Nie słyszał pukania Szykina i odprawy, jaką mu dał Smołosidow. Jak przez mgłę widział przyjscie i wyjście Rojtmana; nie odwrócił się do niego i cedził mu coś przez zęby w odpowiedzi na pytania. Nie dotarł do jego świadomości ani dzwonek na przerwę obiadową, ani sygnał na powrót do pracy. Instykt zeka święcie przestrzegającego rytuału posiłków ledwie w nim się przebudził dopiero wtedy, gdy Rojtman szarpnął go za ramię, pokazując że na oddzielnym stoliku stoi jajecznica, pierożki ze śmietaną i kompot. Nozdrza Rubina drgnęły. Twarz wydłużyła mu się ze zdumienia, ale świadomość nie brała w tym jeszcze udziału. Przyjrzał się ze zdziwieniem tym boskim potrawom, jakby chcąc zrozumieć ich właściwe przeznaczenie, następnie przysiadł się do stolika i zaczął szybko jeść nie czując wcale smaku i chcąc tylko jak najprędzej wrócić do pracy.

Rubin nie docenił tych dań, ale Rojtmana kosztowały one znacznie więcej niż gdyby płacił za nie z własnej kieszeni: dwie godziny przesiedział przy telefonie uzgadniając i ustalając to menu najprzód z Departamentem Techniki Specjalnej, następnie z generałem Bulbaniukiem, później z Naczelnym Zarządem Więziennictwa, z kolei z Oddziałem Zaopatrzenia i wreszcie z podpułkownikiem Klimientiewem. Ci, do których dzwonił uzgadniali kwestię ze swojej strony z księgowymi i różnymi innymi osobami. Trudność polegała na tym, że Rubinowi należała się trzecia więzienna kategoria, Rojtman zaś chciał zyskać dla niego na kilka dni, z uwagi na zadanie państwowe szczególnej

wagi — kategorię pierwszą, a nadto jeszcze dietetyczną. Kiedy już wszystko było uzgodnione, więzienie zaczęło zgłaszać obiekcje organizacyjne; brak wymaganych produktów w kuchennym magazynie, brak zaplanowanego funduszu na opłacenie dodatkowych czynności kucharza przy gotowaniu osobnych potraw.

Teraz Rojtman siedział naprzeciw Rubina i patrzył na niego, ale nie jak pracodawca, który oczekuje plonów niewolniczego wysiłku, lecz z łagodnym uśmiechem, jak na duże dziecko, zachwycając się nim jednocześnie, zazdroszcząc mu entuzjazmu, czekając na odpowiednią chwilę, by móc wniknąć w sens jego wielogodzinnej pracy i też się do niej włączyć.

Rubin zjadł wszystko, z jego twarzy znikło napięcie, nabrała przytomniejszego wyrazu. Po raz pierwszy tego dnia uśmiechnął się.

— Niepotrzebnie mnie tak nakarmiliście, panie Adamie. *Satur venter non studet libenter*. I główną część drogi wędrowiec przebywa przed obiadem.

— Ależ niech pan spojrzy na zegarek! Przecież już piętnaście po trzeciej!

— Coo? A myślałem, że jeszcze nie ma dwunastej!

— Lew Grigorycz, płonę z ciekawości — co pan ustalili?

Nie brzmiało to wcale jak rozkaz zwierzchnika, lecz powiedziane było proszącym tonem, jakby obawiał się, że Rubin może mu odmówić. W chwilach szczerości Rojtman był bardzo miły, nie bacząc na swój niezgrabny wygląd i na grube wargi zawsze rozchylone, bo miał polipy w nosie.

— To tylko początek! Zaledwie pierwsze wnioski!

— No, a jakie?

— Niektóre są jeszcze dyskusyjne, ale jeden jest niewątpliwy: fonoskopia, dyscyplina naukowa, która narodziła się dwudziestego szóstego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku ma jednak swoje racjonalne ziarno!!

— Czy nie poniósł pana entuzjazm? — przestrzegł go Rojtman. Niemniej gorąco życzył sobie, żeby słowa Rubina okazały się prawdziwe, ale jako przedstawiciel nauk ścisłych wiedział, że humanista — Rubin może dać pierwszeństwo entuzjazmowi przed naukową sumiennością.

— A czy ktoś widział kiedyś, żebym się ślepo czymś entuzjazmował? — o mało nie obraził się Rubin i wygładził swoją spletaną brodę. Nasze prawie dwuletnie zbieranie danych, wszystkie te dźwiękowe i głoskowe analizy mowy rosyjskiej, studiowanie fonogramów, klasyfikacja głosów, naukowy podział układu cech mowy wedle narodowych, grupowych a także indywidualnych koordynat — wszystko, co Antoni Nikoła-



jewicz uważał za daremną stratę czasu, zresztą co tu ukrywać? czasem myśmy sami miewali wątpliwości! — wszystko to daje teraz spotęgowane rezultaty. Trzeba będzie chyba tutaj Nierzy-  
na przenieść, jak pan myśli?

— Jeżeli firma będzie się rozwijać — to dlaczego nie? Ale tymczasem powinniśmy wykazać, że jesteśmy zdolni do życia i wykonać pierwsze zadanie.

— Pierwsze zadanie! To pierwsze zadanie równa się połowie całego programu badań! Nie tak prędko.

— Ale... przecież... Lew Grigorycz?! Czy pan naprawdę nie rozumie jak pilnie to jest potrzebne?

Jeszcze by nie rozumiał! „Potrzebne” i „pilne” — tymi dwoma słowami karmił się i żył komsomolec Lewek Rubin. To były najważniejsze hasła trzydziestych lat. Nie było stali, nie było prądu, nie było chleba, nie było tkanin — ale wszystko to było potrzebne i to pilnie — więc budowano wielkie piece i puszczano w ruch walcownie, później, przed wojną, zatopiony w niefrasobliwych badaniach historycznych, dłubiąc w szczegółach nieśpiesznego osiemnastego wieku, Rubin pofolgował sobie. Ale zawołanie „pilnie potrzebne!” było, oczywiście, bliskie jego duszy i walczyło z przyzwyczajeniem starannego wykańczania każdej pracy.

Okno dawało już niewiele światła. Zapalili górną lampę, usiedli przy biurku i zabrali się do rozpatrywania podkreślonych już czerwonym i niebieskim ołówkiem przykładów, charakterystycznych dźwięków, zbitek samogłoskowych, intonacyjnych linii. Wszystko to robili we dwójkę, nie zwracając uwagi na Smołosidowa, on zaś (przez cały dzień nie wyszedł z pokoju ani na chwilę) siedział przy taśmie magnetycznej, pilnując jej jak ponury, czarny pies i patrzył im w karki. To jego nieustępliwe, ciężkie spojrzenie przeszywało im czaszki jak gwóźdź i świdrowało mózg. Obecność Smołosidowa pozbawiała ich drobnej, ale przecież najważniejszej rzeczy — poczucia swobody; był świadkiem ich wahań i będzie przecież świadkiem ich dziarskich raportów, gdy staną przed zwierchnością...

Oni zaś raz po raz przechodzili od wątpliwości do zupełnej pewności i na odwrót. Dla Rojtmana hamulcem było wykształcenie matematyczne, ale popychały go naprzód służbowe zależności. Dla Rubina wędzidłem była obiektywna chęć stworzenia autentycznej, nowej dyscypliny naukowej, ale dawało mu ostrogi przyzwyczajenie nabyte w czasie pięciolatek.

I doszło do tego, że obaj uznali za wystarczający spis pięciu podejrzanych. Nie wysuwali pedantycznych żądań, aby zarejestrować głosy tych czterech, których zatrzymano przy metrze

Arbat (zresztą zatrzymani zostali zbyt późno), ani jeszcze tych kilku osób, których im w ostatecznym wypadku obiecał Bulbaniuk. Nie brali też pod uwagę tej ewentualności, że w ogóle mógł telefonować nie ktoś wtajemniczony, tylko jakaś postronna osoba — na jego zlecenie.

Nie tak łatwo było dać sobie radę nawet z tą piątką! Porównywali głos przestępcy z pięcioma innymi. Porównywali fonogram głosu przestępcy z pięcioma taśmami.

— Proszę popatrzeć, jak wiele daje nam analiza fonogramów! — gorączkował się Rubin. — Słyszymy, że z początku przestępca mówi jakby innym głosem, próbuje go zmieniać, a co zmieniło się na fonogramie? Obserwujemy przesunięcie rejestrów intensywności — układ zaś indywidualnych cech mowy wcale się nie zmienił! Na tym polega najważniejsze nasze odkrycie — układ cech mowy! Gdyby nawet przestępca do samego końca mówił zmienionym głosem, to i tak by nie ukrył swoich charakterystycznych cech!

— Ale my jeszcze nie bardzo wiemy jakie są granice zmienności głosu — uparcie przypominał Rojzman. — Być może w mikrointonacjach amplituda zmian jest o wiele szersza.

Jeżeli słuchowo można było mieć wątpliwości, kiedy głosy są podobne, a kiedy nie podobne, to na fonogramach, przy zmianie rysunku pokazującego rozmach i częstotliwość fal głosowych — różnice wydawały się wyraźniejsze. (Co prawda mieli kłopoty wynikające z prymitywizmu ich fonoskopu: był mało selektywny w stosunku do kanałów częstotliwości, a rozpiętość amplitud przekazywał w postaci nieczytelnego rozmazu. Ale miał na swoje usprawiedliwienie to, że nie był przeznaczony do tak odpowiedzialnej pracy).

Z pięciu podejrzanych można było Zawarzina i Siagowitego odrzucić z całą pewnością (jeśli w ogóle założyć, że przyszła nauka pozwalała wyciągać wnioski z pojedynczych rozmów). Już bez takiej pewności można było odrzucić również Pietrowa (Rubin w zapale twierdził, że Pietrow z całą pewnością nie wchodzi w grę). Głosy natomiast Wołodina i Szewronoka przypominały głos przestępcy częstotliwością fal tonu zasadniczego, miały wspólne z nim dźwięki: o, r, ł, sz, i podobne układy indywidualnych cech mowy.

Badając te właśnie podobne głosy można by teraz rozwinąć wiedzę o fonoskopii i wypracować jej metodykę. Tylko analiza drobnych różnic mogła doprowadzić do rozwoju jej przyszłej, subtelnej aparatury. Rubin i Rojzman prężyli piersi z poczuciem twórczej dumy. W myślach widzieli już przyszłą organizację prac i badań, podobną do przyjętej w daktyloskopii: centralna fono-

teka, gdzie znajdować się będą fonogramy głosów wszystkich tych, którzy kiedykolwiek stali się przedmiotem podejrzeń. Każda rozmowa przestępców będzie rejestrowana i zbrodniarz będzie mógł zostać wykryty bez żadnych wątpliwości, jak złodziej, który zostawił ślady swoich palców na drzwiach pancерnej kasy.

Ale właśnie w tej chwili adiutant Oskołupowa uchylił drzwi i dał znać, że gospodarz zaraz przyjdzie.

Obaj się ocknęli. Nauka nauką, ale chwilowo trzeba było uzgodnić wspólne wnioski i solidarnie bronić ich wobec dyrektora departamentu.

Właściwie Rojtman był zdania, że i tak już osiągnęli sporo. Wiedząc, że przełożeni nie lubią hipotez, lubią natomiast jednoznaczność, Rojtman ustąpił Rubinowi, zgodził się uważać głos Pietrowa za niepodlegający podejrzeniom i postanowił z całą stanowczością zameldować generałowi-majorowi, że podejrzani są nadal tylko Szewronow i Wołodin, oraz że w ciągu najbliższych kilku dni będzie można przeprowadzić dodatkowe, różnicujące badania.

— Lew Grigoriewicz — mówił rozmarzony Rojtman — ogólnie biorąc nie powinniśmy gardzić psychologią. Warto jednak wyobrazić sobie — jaki powinien być ten człowiek, który zdecydował się na taki telefon? Co mogło nim kierować? A później porównać z cechami konkretnych podejrzanych. Trzeba będzie domagać się, żeby w przyszłości nam, fonoskopistom, dawano nie tylko głos podejrzanego i jego nazwisko, lecz również krótkie informacje o jego pozycji, rodzaju pracy, codziennym życiu, może nawet całe ich biografie. Wydaje mi się, że mógłbym już teraz pozwolić sobie na psychologiczną etiudę na temat naszego przestępcy.

Ale Rubin, który wczorajszego wieczoru w dyskusji z malarzem twierdził, że obiektywne poznanie wolne jest od apriorycznych zabarwień emocjonalnych, teraz już sobie upodobał jednego z dwóch podejrzanych i tak odpowiedział:

— Ja już zastanawiałem się nad psychologicznymi komponentami i gdyby rzucić je na szalę, to obciążąłyby Wołodina — w rozmowie z żoną jest jakiś dziwnie osowiały, przygnębiony, nawet apatyczny, co jest bardzo typowe dla przestępcy obawiającego się, że już go tropią, niczego zaś podobnego nie ma w wesółym, niedzielnym szczebiocie Szewronoka, owszem, zgoda — ale ładnie byśmy wyglądali, gdybyśmy od razu przy pierwszych krokach zaczęli opierać się nie na obiektywnych danych naszej dyscypliny naukowej, tylko na ubocznych okolicznościach. Mam już spore doświadczenie w pracy z fonogramami i powinien mi pan wierzyć: wiele prawie nieuchwytnych objawów po-

zwała być absolutnie pewnym, że przestępcą jest Szewronok. Po prostu z braku czasu nie mogłem wszystkich tych oznak zmierzyć przyrządami na taśmie i przetłumaczyć na język cyfr. (Nigdy na to filologowi jakoś nie starczało czasu!) Ale gdyby mnie ktoś wziął teraz za gardło i powiedział: masz wymienić tylko jedno nazwisko i zaręczyć, że to jest właśnie przestępca — to prawie bez wahania wymieniłbym Szewronoka!

— Ale my przecież nie będziemy w ten sposób postępować — sprzeciwił się Rojtman łagodnie. — Dobrze, popracujmy suwakiem, proszę, przetłumaczmy na język cyfr — i dopiero potem mówmy.

— Ale ile to nam czasu zajmie?! Przecież to jest tak pilnie potrzebne!

— Ale jeżeli prawda tego wymaga?

— Ale proszę popatrzeć samemu, proszę tylko spojrzeć!... — i przekładając znowu wstęgi fonogramu, posypując je znów popiołem, Rubin zapalczywie zaczął dowodzić, że właśnie Szewronok jest winien.

Przy tym zajęciu zastał ich też generał-major Oskołupow, który wszedł na swoich krótkich nogach powolnym, dostojnym krokiem. Znali go dobrze i już po nasuniętej na oczy papasze, po skrzywionej górnej wardze poznali, że przyszedł bardzo niezadowolony.

Zerwali się z krzesel, on zaś usiadł w kącie kanapy, wsadził ręce do kieszeni i burknął rozkazująco:

— No?!

Rubin milczał zgodnie z etykietą, pozwalając mówić Rojtmanowi.

W czasie raportu Rojtmana gęba Oskołupowa o zwisłych policzkach przybrała wyraz głębokiej zadumy, powieki przymknęły się sennie. Generał nie wstał nawet, żeby obejrzeć wybrane wstęgi fonogramu.

Rubin cierpiał męki słuchając Rojtmana — widział że nawet wśród ścisłych określeń stosowanych przez tego rozumnego człowieka ginie ta treść, to natchnienie, które czuł w sobie w trakcie pracy badawczej. Rojtman powiedział w podsumowaniu, że podejrzanymi są Szewronok i Wołodin, ale że dla wniosków ostatecznych potrzebne są jeszcze nowe taśmy ich rozmów. Później zerknął na Rubina i dodał:

— Ale, zdaje się, że Lew Grigoriewicz chce jeszcze coś dorzucić, czy poprawić?

Foma Oskołupow był dla Rubina dawno zrąbanym kawałem drewna. Ale był teraz zarazem jakby okiem władzy i — *nolens volens* — przedstawicielem tych postępowych sił, którym Rubin

oddawał wszystkie swoje siły. Dlatego też Rubin zabrał głos, denerwując się, potrząsając wstęgami i albumami fonogramów. Prosił generała, aby zechciał zrozumieć, że chociaż ich wniosek jest chwilowo niejednoznaczny, to jednak dwuznaczność wcale nie jest charakterystyczną cechą nowej nauki, fonoskopii, że po prostu zbyt krótki był termin dla wykrystalizowania się ostatecznego wniosku, że potrzebne są jeszcze zarejestrowane na taśmie rozmowy, ale jeżeli już mówić o prywatnym przekonaniu Rubina, to...

Gospodarz słuchał już bez śladu senności, za to z grymasem odrazy. Nie czekając końca tych wyjaśnień, przerwał Rubinowi:

— Znów na dwoje babka wróżyła! Na diabła mi ta wasza „nauka”? Ja muszę złapać przestępcę. Meldujcie jak należy, odpowiedzialnie: Macie tutaj przestępcę? Leży tu u was na stole? Tak, czy nie? Nie ma go gdzie indziej? Może być tylko wśród tej piątki?

Patrzył na nich spode łba. A oni stali przed nim bez żadnego oparcia. Papierowe wstęgi trzymane przez Rubina spływały w skrętach na podłogę. Jak czarny bazyliśzek, Smołosidow przypadł do magnetofonu za ich plecami.

Rubin stropił się. Spodziewał się rozmowy wcale nie w tym aspekcie.

Rojtman, bardziej przyzwyczajony do manier swojej zwierzchności, odezwał się z możliwą tu odwagą:

— Owszem, generale. Ja, właściwie... My, właściwie... jesteśmy pewni, że to ktoś z tej piątki.

(A co mógł jeszcze powiedzieć?...)

Foma lekko zmrużył jedno oko.

— Więc my... no tak... odpowiadamy za to...

Oskołupow ociężałe dźwignął się z kanapy:

— Uważajcie, nikogo za język nie ciągnąłem. Zaraz pojedę i zamelduję ministrowi. Obydwóch sukinsynów zaaresztujemy!

(Powiedział to patrząc tak wrogo, że można było sądzić, że to właśnie ich obydwóch zamkną).

— Zaczekajcie — sprzeciwił się Rubin. — Jeszcze chociaż jedną dobę! Dajcie nam możliwość wyprowadzenia zupełnie ścisłych dowodów!

— Jak się tam śledztwo zacznie — to proszę bardzo, postawcie śledczemu mikrofon na biurku i rejestrujcie ich nawet po trzy godziny.

— Ale przecież jeden z nich będzie niewinny! — krzyknął Rubin.

— Jak to — niewinny? — zdziwił się Oskołupow i dopiero teraz szeroko otworzył swoje zielone oczy. — Taki całkiem

niewinny, zupełnie?... Organy już wszystkiego dojdą, przekonają się.

I wyszedł nie mówiąc dobrego słowa adeptom nowej dyscypliny wiedzy.

Oskołupow miał taki styl rządzenia: nikogo z podwładnych nigdy nie chwalić — żeby jeszcze więcej się starali. Nie był to nawet jego własny styl, ten styl wprowadził On Sam.

A im było przykro.

Usiedli na tych samych krzesłach, na których niedawno marzyli o wielkiej przyszłości rodzącej się nauki. Milczeli.

Jakby ktoś rozdeptał to wszystko, tę całą koronkową i kruchą robotę, którą przeprowadzili. Jakby fonoskopia wcale nie miała być nauką.

Jeżeli zamiast jednego można aresztować dwóch — to dla czego już nie wszystkich pięciu dla większej pewności?

Rojtman wyraźnie poczuł, jak niepewny jest los nowego zespołu. Przypomniał sobie, że Akustyczna jest na poły rozpedzona — i znów go nawiedziło dzisiejsze nocne poczucie nieprzytulności świata i samotności.

A Rubin, wytracony teraz z koleiny pracy, poczuł nawet pośrednio pewną ulgę; prostacka decyzja Fomy dowodziła, że wsadziłby ludzi także bez Rubina i bez fonoskopii. A w ten sposób udało się przynajmniej trzech ludzi uchronić przed ciosem.

Ugaśł w nim nieprzerwany, wielogodzinny ogień wyrzeczenia. Przypomniał sobie, że boli go wątroba, i boli głowa, i wypadają włosy, i że starzeje się jego żona, i że siedzieć ma jeszcze więcej niż pięć lat, i że w ostatnich latach pchają kraj na siłę wcale nie tam, gdzie trzeba — i że właśnie obrzucono błotem Jugosławię.

Ale obaj nie mówili tego, co myślą, tylko po prostu siedzieli i milczeli.

Smołosidow też milczał za ich plecami.

Na ścianie Rubin już sobie był przybił mapę Chin z komunistycznym terytorium zakreskowanym czerwonym ołówkiem.

Tylko ta mapa jeszcze dodawała mu otuchy. Nie bacząc na nic, na nic — jednak idziemy ku zwycięstwu...

Ktoś zapukał i wywołał Rojtmana. Powinien był zapewnić obecność wszystkich wolnych pracowników Akustyki na odczytanie przybyłego właśnie lektora. Był przecież poniedziałek, dzień powszechnego szkolenia politycznego.



## LXXXI

### NIE, NIE CIEBIE!...

Wszyscy słuchacze odczytu myśleli tylko o jednym — kiedy można będzie się rozejść? Wszyscy wyjechali z domów tramwajami, autobusami i kolejką elektryczną o ósmej, a niektórzy nawet o siódmej rano i nikt z nich nie miał nadziei na powrót do domu wcześniej niż o wpół do dziesiątej wieczór.

Ale z największym napięciem czekała na koniec pogadanki Símoczka, chociaż i tak zostawała na dyżurze i nie musiała spieszyć się do domu. Lęk i radosne oczekiwanie wzbierały i opadały w niej na przemian gorącymi falami i czuła słabość w nogach, jak po szampanie. Przecież to dziś był właśnie ten wieczór poniedziałkowy, na który umówiła się z Glebem. Nie mogła pozwolić, żeby ta uroczysta, najwspanialsza chwila mignęła jakoś znienacka i mimochodem — dlatego właśnie nie czuła się jeszcze onegdaj w pełni do niej przygotowana. Ale cały dzień wczorajszy i pół dzisiejszego minęły dla niej, jak wigilia wielkiego święta. Odsiedziała swoje u krawcowej, wciąż ją nagląc, żeby skończyła szycie nowej, bardzo twarzowej sukni. W domu szorowała się zawzięcie, postawiwszy blaszaną wannę pośrodku ciasnego moskiewskiego mieszkania. Wieczorem długo zakręcała włosy na papilotach, rano zaś długo je rozczesywała i wciąż przeglądała się w lustrze, pragnąc się przekonać, że przy niektórych zwrotach głowy może się nawet podobać.

Powinna była zobaczyć Nierzyna o trzeciej, zaraz po przerwaniu na obiad, ale Gleb, otwarcie sobie lekceważąc więzienny regulamin (trzeba mu dziś udzielić nagany za to! dlaczego się naraża!) spóźnił się po obiedzie. Tymczasem Sima została posłana do innej grupy dla przeprowadzenia inwentarza i spisu jakichś części, wróciła do Akustyki dopiero przed szóstą — i znów nie zastała Gleba, chociaż jego biurko zavalone było czasopismami



i teczkami, a lampa się paliła. Poszła więc na wykład nie widząc go i nic nie wiedząc o strasznej nowinie — o tym, że wczoraj, nieoczekiwanie, po rocznej przerwie Gleb miał widzenie z żoną.

Malutka, mieszcząca się bez trudu na wąskim miejscu wśród ciasno ustawionych krzesel, Sima ledwie była widoczna za plecami sąsiadów. Z coraz większymi wypiekami na policzkach wpatrywała się we wskazówki dużego, elektrycznego zegara. Zaraz po ósmej powinni byli zostać wreszcie z Glebem sami...

Kiedy zaś odczyt się skończył i wszyscy rzucili się do szatni na pierwszym piętrze, Símoczka też tam poszła, żeby pożegnać się z koleżankami.

W ścisiku i hałasie mężczyźni wdzieliwali pośpiesznie płaszcze i szynele zapalając papierosy przed wyjściem, dziewczęta zaś balansowały pod ścianami na jednej nodze, wciągając boty. Mimo pośpiechu koleżanki Símoczki zdążyły jednak obejrzeć gruntownie i przedyskutować wszystkie szczegóły jej nowej sukienki.

Suknia miała kolor brązowy i uszyta była z uwzględnieniem zalet i wad figury jej właścicielki: góra, przypominająca żakiet, ściśle opinała talię, wąską jak u osy, ale na piersi nie była obcisła, tylko zbluzowana w miękkie plisy, przy przejściu zaś w spódnicę — aby poszerzyć trochę figurę — naszyte były dwa luźno fałdowane pasy, jeden matowy, drugi błyszczący. Nieważkie i cieniutkie ręce Símoczki ukryte były w rękawach na górze sutych i luźnych, ale obcisłych w nadgarstku. Kołnierz miał pewną naiwną i miłą osobliwość; wykrojony był z drugiego pasma tego samego materiału i zwisające jego końce związane były na piersiach w kokardę przypominającą skrzydełka srebrno-brunatnego motyla.

W tym pełnym podejrzeń świecie mogło wydać się czymś dziwnym, że na służbowy, wieczorny dyżur Símoczka włożyła po raz pierwszy sukienkę uszytą na Sylwestra. Ale Símoczka wyjaśniła koleżankom, że po dyżurze jedzie na imieniny do wujka, gdzie będą kawalerowie.

Koleżanki zaprobowały suknię, oświadczyły, że Sima jest w niej „po prostu śliczna” i wypytywały, gdzie kupiła ten crêpe-satin.

Simę opuściła nagle śmiałość i zwlekała z powrotem do pracowni.

Dopiero za dwie minuty ósma weszła do Akustyki z bijącym sercem, chociaż pochwały dodały jej otuchy. Więźniowie oddawali już poufne papiery do przechowania w kasie pancерnej. Środek sali był pusty, osierociał po przeniesieniu wokodera do Siódemki, więc Sima zaraz zobaczyła biurko Nierżyna.

Gleba już nie było. (Czy nie mógł zaczekać?...) Lampa na

biurku była już zgaszona, drewniana żaluzja zaciągnięta, poufne materiały już oddane. Jeden osobliwy szczegół zwracał jednak uwagę: środek biurka nie był pusty, jak zawsze przed przerwą, tylko leżało na nim duże, otwarte czasopismo amerykańskie i otwarty słownik. Mógł to być tajny sygnał dla niej: „zaraz wracam!”

Zastępca Rojtmana wręczył Simie klucze od szafy pancernej i od pokoju oraz pieczętkę (pracownia musiała być co nocy opieczętowana). Simoczka obawiała się, że Rojtman znowu pójdzie do Rubina a wtedy trzeba będzie oczekiwać w każdej chwili jego powrotu do Akustyki. Ale nie, Rojtman też był tutaj, już w płaszczu, w czapce; wciągając skórzane rękawiczki naglił zastępcę, żeby ubierał się szybko. Miał niewesołą minę.

— Cóż, niech tu teraz Serafima Witaliewna sama dowodzi. Wszystkiego dobrego — pożegnał się życzliwie.

W korytarzach i salach instytutu rozległ się długi dzwonek elektryczny. Więźniowie hurmem wychodzili na kolację. Bez uśmiechu, patrząc w ślad za ostatnimi, Simoczka przeszła się po pracowni. Kiedy nie uśmiechała się, jej twarz przybierała bardzo surowy wyraz, szczególnie z powodu długiego noska z ostrym grzbietem, który pozbawiał ją wdzięku.

Została sama.

Teraz mógł już przyjść!

Chodziła po laboratorium i wyłamywała sobie palce.

Co za pech! — jedwabne firanki zasłaniające zawsze okna, dziś zostały zdjęte do prania. Trzy okna były teraz bezradnie odsłonięte i z ciemnego podwórca można było cichcem podpatrywać. Co prawda, nie można zobaczyć co dzieje się w głębi pokoju, bo Akustyka jest na piętrze. Ale niedaleko jest ogrodzenie, a bezpośrednio naprzeciw ich okna — wieżyczka z wartownikiem. Stamtąd widać już wszystko.

Albo może zgasić w t e d y światło? Drzwi można zamknąć, wszyscy pomyślał, że dyżurna dokądś wyszła.

Ale jeżeli zaczną wyłamywać drzwi, dobierać klucze?...

Simoczka podeszła do budki akustycznej. Zrobiła to bezwiednie, nie myśląc nawet o wartowniku, który nie mógł aż tam zajrzeć. Na progu tej ciasnej komórki przypadła do grubych, pustych w środku drzwi i zamknęła oczy. Nie chciało jej się nawet wchodzić tam bez niego. Chciała, żeby on ją tam wciągnął, wniósł na rękach.

Słyszała od koleżanek, jak to się wszystko odbywa, ale wyobrażała sobie dość mgliście i jej zdenerwowanie jeszcze się potęgowało, a policzki coraz bardziej pąsowiały.

To, czego w młodości trzeba było ponoć najbardziej strzec, już zdążyło stać się ciężarem!...

Tak! Bardzo by chciała, żeby było dziecko i żeby mogła je wychowywać, dopóki Gleba nie wypuszczą! Wszystkiego pięć lat!

Podeszła z tyłu do jego obrotowego, giętego, żółtego krzesła i objęła oparcie, jak żywego człowieka.

Zerknęła bokiem na okno. W niedalekich ciemnościach można było domyśleć się kształtów wieżyczki i odróżnić tam ciemny koncentrat wszystkiego co wrogie jest miłości — wartownika z karabinem.

W korytarzu rozległy się twarde, szybkie kroki Gleba. Símoczka frunęła do swojego biurka, usiadła, sięgnęła po trzystopniowy wzmacniacz leżący na stole bokiem z nieosłoniętymi lampami i zaczęła go oglądać trzymając w ręku mały śrubokręt. Serce tak jej biło, że czuła pulsowanie w skroniach.

Nierzyn przymknął drzwi cicho — żeby nie było słychać w opustoszałym korytarzu. Przez wolny już od rusztowań Priancykowa środek izby zobaczył Símę jeszcze z daleka; przycupnęła za swoim biurkiem, jak przepióreczka za kępą.

Sam ją nazwał przepióreczką.

I sam teraz podchodził szybko, żeby zabić ją jednym strzałem.

Símoczka podniosła na Gleba rozjaśnione oczy — i zamarła: jego twarz była mroczna, nic dobrego ten wyraz nie wróżył.

Przed jego wejściem była pewna, że on najprzód podejdzie, żeby ją pocałować, ona zaś go powstrzyma — przecież okna odsłonięte, wartownik patrzy.

Ale on nie okrążył stołu, tylko surowo, ze smutkiem odezwał się pierwszy:

— Okno odsłonięte, nie mogę podejść, Símoczka. Witaj! — opuścił ręce, oparł się o biurko i stojąc nad nią patrzył z góry, jak prokurator. — Żeby tylko nikt nam nie przeszkodził, bo musimy teraz wszystko omówić na nowo.

— Omówić na nowo?

— Na n o w o . . .

Otworzył swoje biurko. Żaluzje opadły jedna za drugą z dźwięcznym stukiem. Nie patrząc na Símę Nierzyn zdecydowanymi ruchami wyjmował i rozkładał rozmaite książki, czasopisma, skroszty — tak dobrze znany jej materiał do kamuflażu.

Símoczka zastygła z śrubokrętem w ręku i nie odrywała wzroku od jego bezokiej twarzy. Cały czas myślała tylko o tym, że sobotnie wezwanie Gleba do Jakonowa dawało teraz złe owoce, że teraz go tępią, albo chcą prędko wyekspediować. Ale jeśli tak, to dlaczego Gleb nie podejdzie do niej i nie pocałuje?

— Stało się coś? Co się stało? — łamiącym się głosem zapytała i przełknęła z trudnością.

Usiadł. Przyciskając łokciami pootwierane czasopisma objął rozczapierzonymi palcami głowę i spojrzał na dziewczynę otwarcie, szorstko.

Cisza była głucha. Ani dźwięku. Dzieliły ich dwa biurka, dwa biurka jasno oświetlone czterema górnymi oraz dwoma stojącymi lampami, leżące w zasięgu szybkostrzelnych spojrzeń wartownika z wieżyczki.

Ten wzrok wartownika był jak kurtyna z drutów kolczastych powoli zapadająca pomiędzy nimi.

Gleb powiedział:

— Símoczka! Miałbym się za łajdaka, gdybym się dzisiaj przed tobą nie wypowiedział.

— ?

— Trochę zbyt... lekkomyślnie odniosłem się do ciebie, bez zastanowienia...

— ??

— Ja wczoraj... widziałem żonę... Mieliśmy widzenie.

(Widzenie??!)

Símoczka skuliła się, zrobiła się jeszcze mniejsza. Skrzydełka jej kokardy przy kołnierzyku bezsilnie opadły na aluminiową podstawkę wzmacniacza.

— Dlaczego więc pan... w sobotę... nic nie mówił? — zdławionym głosem powiedziała Sima.

— Símoczka, jak możesz! — przeraził się Gleb. — Czy byłbym zdolny ukryć to przed tobą?

(A właściwie dlaczego nie?..)

— Dowiedziałem się sam wczoraj rano. Zupełna niespodzianka. Cały rok nie widzieliśmy się, przecież wiesz. Ale teraz, kiedyśmy się znowu zobaczyli, po tym widzeniu... — w jego głosie była męka, rozumiał, co to znaczy dla niej słyszeć takie słowa. — Ja... tylko ją! Będę kochać! I, przecież wiesz, ona życie mi uratowała, kiedy byłem w łagrach. A do tego — swoją młodość dla mnie zmarnowała. Chciałaś na mnie czekać, ale to niemożliwe! Jak wrócę, to tylko do niej. Nie mógłbym sprawić jej...

Mógłby się powstrzymać! Cichy wystrzał z chrypnącego gardła trafił już w cel. Símoczka nie patrzyła na Gleba. Cała się zapadła i wparła głowę w gęstą palisadę radiowych lamp i kondensatorów trzystopniowego wzmacniacza.

Gleb umilkł. Słyszał jej łkania ciche jak oddech.

— Símoczka, nie płacz! Przepióreczko, po co to! — przemawiał łagodnie zza dwu biurek, nie ruszając się z miejsca.

A ona płakała prawie bezdźwięcznie; widział tylko prosty przedziałek w jej włosach.

Gdyby napotkał teraz z jej strony na opór, gniew, wyrzuty — odpowiedziałby jej z całą pewnością siebie i odszedłby z poczuciem ulgi. Ale jej bezbronność przeszła go ostrzem skruchy.

— Przepióreczko! — mamrotał pochylony nad biurkiem. — No, nie płacz! No, ja cię proszę! To moja wina! To ja ci sprawiłem ten ból! Ale jakie jest wyjście? Co robić?

Aż do łez żal mu było płaczącej dziewczyny, którą zostawiał na pastwę cierpienia. Ale nigdy, za nic nie byłby w stanie zgodzić się, aby Nadia płakała tak samo!!

Po wczorajszym widzeniu jego usta i ręce były czyste i wydawało mu się nie do pomyslenia, aby teraz podejść do Simy, przytulić ją i pocałować.

Jaki to zbawczy traf, że zdjęto z okien te firanki!...

I monotonnie powtarzał żałosne prośby, żeby nie płakała.

A ona — płakała...

Nierzyn jeszcze chwilę jej perswadował, potem umilkł.

Umilkł, a potem zapalił. Ratunkowy gest mężczyzny, kiedy się znajdzie w głupiej sytuacji.

Poczuł, jakby w nim zaszemrało cichutko uspakajające przekonanie, że to wszystko — nie głębokie, że i to minie.

Odwrócił się w stronę okna. Przycisnąwszy czoło i nos do szyby popatrzył w stronę wartownika. Oślepiłe od bliskich reflektorów oczy, nie widziały wieżyczki. Ale w dali tu i ówdzie płonęły poszczególne ogniki rozplywające się w mętne gwiazdy, a za nimi i wyżej — rozpostarta na jednej trzeciej nieboskłonu, odbita w nim biaława łuna pobliskiej stolicy.

Przez okno nie widać było, że na dworze wszystko taje.

Śimoczka podniosła twarz.

Gleb natychmiast odwrócił się w jej stronę.

Od jej oczu biegły po policzkach błyszczące, mokre smużki, których wcale nie wycierała. Oczy jej się rozszerzyły, rozbłysły cierpieniem i stały się piękne.

Tymi jasnymi oczyma patrzyła na Gleba nieustępliwie i pytająco.

Ale nie mówiła ani słowa.

Poczuł zażenowanie i powiedział:

— Przecież ona całe życie mi oddała! Kto by tak potrafił? Jesteś pewna, że ty byś umiała?

— Ona z panem nie chce się rozwieść? — cicho i powoli zapytała Śimoczka.

Jak umiała wyczuć, gdzie jest sedno! Ale nie miał ochoty opowiadać jej o wczorajszej nowinie.

— Nie.

— Czy jest... ładna? — zapytała jeszcze Símoczka po chwili milczenia. Łzy wciąż jej nie schły na zmartwiałych policzkach.

— Tak. Dla mnie — tak...

Símoczka westchnęła spazmatycznie. Sama sobie przytaknęła w milczeniu, widząc błyszczące punkciki na zwierciadlanej powierzchni lamp radiowych.

— No to nie będzie czekać na pana, jeżeli ładna — powiedziała dobitnie i ze smutkiem.

Ah, ta kobieta, która okazała się nie widziadłem, nie pustym imieniem — o po co ona wystarała się o widzenie z więźniem? jaka to chciwość nienasycona kazała jej wyciągać rękę do człowieka, który nigdy nie będzie należeć do niej?

Símoczka nie była w stanie pogodzić się z tym, że ta niewidzialna kobieta ma jakiegokolwiek prawa ślubnej żony. Żyła niegdyś trochę z Glebem, ale to było przed ośmiu laty. Przez ten czas Gleb walczył, siedział w więzieniu, ona zaś na pewno żyła z innymi — nie mogła przecież młoda, ładna, bezdzietna kobieta wytrzymać przez osiem lat! I przecież ani na tym widzeniu, ani za rok, ani za dwa Gleb nie mógł należeć do niej, a do Símoczki — mógł. Símoczka już dzisiaj mogłaby zostać jego żoną!...

— Nie będzie na pana czekała — powtórzyła Símoczka.

Nierzyna dźgnęło to jej prorocstwo.

— Kiedy ona j u ż przeczekala osiem lat!... — odparł. Jego analityczny umysł zaraz zresztą dodał poprawkę: — oczywiście — im bliżej końca, tym będzie trudniej.

— Ona nie będzie czekać na pana! — stanowczym szeptem powtórzyła Símoczka.

I otarła sobie nadgarstkiem wysychające łzy.

Nierzyn wzruszył ramionami i patrząc przez okno na rozrzucone w przestrzeni żółtawe ogniki odpowiedział:

— Cóż, niech nie czeka! Niech nawet wcale mnie się nie doczeka. Tylko żeby niczego nie mogła mi zarzucić!...

I zgasił papierosa.

Símoczka westchnęła spazmatycznie uwalniając płuca od uciskającego je powietrza.

Przestała płakać.

Ale jakby już wcale nie chciało się jej żyć...

Porwany ostatnią swoją myślą, Nierzyn wyjaśnił:

— Símoczka! Wcale nie uważam, że jestem dobrym człowiekiem. Jestem raczej bardzo złym człowiekiem, jeżeli przypomnę sobie to, co robiłem na froncie w Niemczech, jak zresztą my wszyscy. I jeszcze teraz — to z tobą... Ale tego nauczyłem się tam, w świecie udawanego beztroski. To, co złe, wcale mi się



złe nie wydawało, tylko — dozwolone, a nawet zasługujące na pochwałę. Ale im głębiej pograżałem się w nieludzkim i okrutnym świecie, dziwna rzecz, tym uważniej przysłuchiwałem się tym, którzy nawet tu powtarzają, że trzeba mieć sumienie. Ona na nie będzie na mnie czekać? Niech nie czeka! Niech zginie w krasnojarskiej tajdze, niech nikt się o mnie nie upomni. Ale widzieć w chwili śmierci, że nie jest się podlecem — to przecież też pociecha.

Była to jedna z jego ulubionych myśli. Mógłby długo jeszcze mówić o tym — tym bardziej, że nic innego nie było do powiedzenia.

Ona zaś prawie nie słyszała tej tyrady. Cały czas chyba mówił o sobie. Ale co ona ma robić? Ze zgrozą wyobraziła sobie, jak wróci do domu, jak wycedzi coś przez zęby w odpowiedzi na dokuczliwe pytania matki, jak rzuci się na łóżko. Łóżko, na które całe miesiące kładła się z myślami o nim. Co za wstyd, jakie poniżenie — jak szykowała się do tego wieczoru! jak myślała się, jak perfumowała!...

Ale jeżeli jedna godzina krępującego więziennego widzenia mogła przeważać ich wielomiesięczną bliskość w tym pokoju. — to cóż jeszcze było do zrobienia?

Rozmowa była skończona, to jasne. Wszystko powiedziane zostało bez żadnych łagodzących wstępów. Nie było żadnych podstaw do nadziei. Należało teraz wejść do budki, tam jeszcze popłakać i doprowadzić się do porządku.

Ale Sima nie miała siły, ani żeby go wyprosić, ani żeby wyjść stąd samej. Przecież to ostatni już raz jak łączy ich ta nieć pajęcza!

Gleb zamilkł, widząc że ona wcale go nie słucha, że niepotrzebne jej są jego wzniosłe rozważania.

Więc siedzieli oboje w milczeniu.

I wtedy Gleb poczuł, że siedzieć z nią tu i milczeć — jest mu trudno. Wiele już lat żył wśród mężczyzn, najważniejsze ich rozmowy trwały krótko. Jeżeli wszystko zostało powiedziane, wszystko wyczerpane — to po co jeszcze siedzieć i milczeć? Ten bezmyślny kobiecy upór! Nie odwracając głowy, aby nie zauważyła, samymi tylko oczyma, spode łba, zerknął na ścienny zegar. Było dopiero pięć po wpół do dziewiątej.

Ale to byłaby zniewaga nie do pomyślenia — żeby teraz wstać, wyjść i spacerować samemu aż do końca przerwy. Trzeba było jednak jakoś wysiedzieć tu aż do dzwonka.

Kto dziś obejmie dyżur wieczorem? Zdaje się, że Szusterman. A jutro rano — minor.



Śimoczka siedziała zgarbiona nad wzmacniaczem i bezcelowymi ruchami obruszała i wyjmowała lampy z gniazdek po to, żeby je zaraz wstawiać z powrotem.

Dawniej też niczego w tym wzmacniaczu nie mogła pojąć. I dalej nic nie pojmowała.

Czynny umysł Nierżyna domagał się jednak jakiegokolwiek zajęcia, ruchu. Na wąskim pasku papieru przyciśniętym kałamarzem, gdzie co rano zapisywał program audycji radiowych, znalazł notatkę:

20.30 — Rs. p i r m (Obch)

Znaczyło to: „Rosyjskie pieśni i romanse w wykonaniu Obuchowej”.

Taka okazja! I do tego podczas przerwy, w ciszy, kiedy nikt nie przeszkadza piosenkami o Ojcu i Wodzu, o Najbardziej Ludzkim z Ludzi.

Na lewo od Gleba, na odległość ręki, stał odbiorniczek nastawiony na odbiór trzech moskiewskich programów, podarunek Walentuli. Ale czy wypada go włączyć? A koncert już się zaczął. Pod koniec stulecia będą Obuchową ludzie tak wspominać, jak teraz Szaliapina. A my żyjemy w jej czasach. Nierżyn zerknął spod oka na zastygłą Siwę i po złodziejsku, ukradkiem włączył odbiornik, nastawiając najmniejszą siłę głosu.

Zaledwie lampy się rozgrzały, dał się słyszeć akompaniament instrumentów smyczkowych i w ślad za nim rozlał się po całym pokoju niski, pełen głuchej namiętności, niepodobny do żadnego innego, głos Obuchowej:

*„Nie, to nie ciebie kocham tak żarliwie,  
Nie, to nie dla mnie cała twa uroda...”*

Że też tak musiało się zdarzyć!... Gdyby kto chciał umyślnie, nie mógłby lepiej. Nierżyn wyciągnął rękę, próbując niepostrzeżenie wyłączyć radio. Śimoczka drgnęła i ze zdziwieniem popatrzyła na odbiornik.

*„... I młodość moją,  
Młodość zmarnowaną!”*

— rozpaczął niski, niepowtarzalny głos Obuchowej.

— Proszę nie wyłączać — poprosiła nagle Śimoczka. — Trochę głośniej.

Przeciągłym zaśpiewem prowadziła Obuchowa dalej tę ostatnią głoskę, przerwała na chwilę, aby pozwolić instrumentom na krótki jęk melodyjnej desperacji, po czym od razu przeszła do smutnego walca:

*„A kiedy czasem spojrzę znów na ciebie...”*

Za żadne skarby Gleb nie chce, żeby było głośniejsze, ale na wyłączenie też jest już za późno. Jak to przykro się złożyło! Żeby właśnie takie słowa, co za kaprys teorii prawdopodobieństwa!

Símoczka splotła dłonie na wzmacniaczu, patrzyła na odbiornik, i bez łkań, bez spazmów zapłakała niepowstrzymanie.

Dopiero kiedy piosenka się skończyła. Gleb wzmocnił brzmienie. Ale następna też nie była lepsza:

*„Niedługo o mnie już zapomnisz...”*

Símoczka wciąż płakała.

Wszystkich wyrzutów, których nie dopowiedziała, Gleb musiał teraz słuchać przy akompaniamencie tej muzyki.

Pieśń skończyła się, ale w następnej ten tajemniczy, feralny głos rozrywał wciąż tę samą ranę:

*„A jak będziem się żegnali,  
Otul mnie tym moim szalem...”*

— Przebacz mi! — powiedział Gleb wstrząśnięty.

— To minie — Símoczka uśmiechnęła się bez nadziei.

I jeszcze mocniej zapłakała.

Dziwna rzecz: im dłużej śpiewała Obuchowa, tym było nie cięższe, ale jakby lżejsze. Przed dziesięcioma minutami byli sobie tak obcy, że nawet nie znajdowali sił, aby się pożegnać. A teraz — jakby zeszedł do nich ktoś łagodny i owionął świeżym tchnieniem.

Símoczka siedziała teraz w takiej pozycji, tak była oświetlona, że dzięki szczególnej zmienności do jakiej zdolna jest kobieca twarz — właśnie teraz wydawała się pociągająca.

Z każdej dziesiątki mężczyzn, dziewięciu wyśmiałoby Gleba za jego dobrowolne wyrzeczenie — po tylu latach wstrzemięźliwości. Kto zmusiłby go później do ożenku z nią? Kto bronił mu teraz, żeby ją oszukać?

Ale on, rozrzewniony, był szczęśliwy, że postąpił właśnie tak. Miał takie uczucie, jakby to nie on sam zdobył się na to postanowienie.

Obuchowa zaś śpiewała i śpiewała, jątrząc ranę w sercu:

*„Uprzykrzyło mi się życie  
Wciąż za miłym tęsknię skrycie...”*

Ah, nic z tym wspólnego nie miała teoria prawdopodobieństwa! Po prostu wszystkie pieśni, czy sprzed tysiąca lat, czy sprzed stu, a tak samo będzie za lat trzysta — wszystkie one tylko tę mają treść. Pieśni rodzą się z rozłąki, a kiedy wreszcie ludzie się spotykają — czym innym są już wtedy zajęci.

Nierzyn wstał z miejsca, obszedł dookoła oba połączone biurka i wcale nie myśląc o wartowniku, wziął w dłonie głowę Símoczki, pochylił się i pocałował jej włosy nad czołem.

Wskazówka ściennego zegara znowu skoczyła naprzód.

— Símoczka, kochanie! Idź się umyć. Zaraz będzie apel. Niedługo wszyscy tu przyjdą.

Wzdrygnęła się, spojrzała na zegar z trudem zbierając myśli, później podniosła swoje wąskie, jasne brewki, jak gdyby dopiero teraz pojęła ze zdumieniem, co zdarzyło się tego wieczoru — i potulnie, z zawstydzieniem poszła do kąta, gdzie była umywalka.

A Nierzyn znów przycisnął czoło do szyby i patrzył, wciąż patrzył w ciemności nocy. I jak to bywa, kiedy człowiek wpatruje się w bezładne nocne ognie i jednocześnie myśli o swoich troskach — ognie te przestały być światłami moskiewskiego przedmieścia, już nie pamiętało się, gdzie się palą i czym są, ale nabrały nowego jakiegoś znaczenia, wpisane zostały w nowe kontury.

## LXXXII

### TY, KTÓRY WCHODZISZ, ŻEGNAJ SIĘ Z NADZIEJĄ!

Dzień minął bez kłopotów. Chociaż lęk nie opuszczał Inocentego (a mógł zwiększyć się z nadejściem nocy), ale poczucie równowagi, które zagościło w nim po południu, też już go nie opuszczało. Teraz trzeba było koniecznie ukryć się na cały wieczór w teatrze, żeby nie być zmuszonym do strachu przy każdym dzwonku do drzwi.

A tymczasem zadzwonił telefon. Było to przed pójściem do teatru, w chwili gdy Dotti zarumieniona, bardzo miła, wychodziła z łazienki w gumowym czepku, we włochatym płaszczu kąpielowym i plażowych sandałkach.

Inocenty nie ruszył się; patrzył na telefon jak pies na jeża.

— Dotti! Podnieś słuchawkę! Nie ma mnie w domu i nie wiesz, kiedy wrócę. Bierz ich diabli, cały wieczór zepsują!

Jedną ręką zbierając poły płaszcza, Dotti zbliżyła się do telefonu.

— Tak... nie ma go w domu... kto, kto?... — i nagle jej twarz rozjaśniła się uprzejmym uśmiechem. — Dobry wieczór towarzyszu generale!... Tak, teraz poznałam... — Szef! Bardzo uprzejmy.

Inocenty zawahał się. Uprzejmy szef, dzwoniący osobiście wieczorem... Żona zauważyła jego wahanie:

— Chwileczkę, właśnie słyszę, że drzwi się otworzyły, może to on. Tak, tak jest! Ink! Nie rozbieraj się, chodź tu prędko, generał przy telefonie!

Chociaż Dotnara nie kształciła się w młodości na artystkę, jak Dinera, ale potrafiła w życiu niejedno zagrać w sposób bardzo naturalny. Gdyby nawet po drugiej stronie przewodu stał człowiek cały składający się z podejrzeń, to też mógłby po okrzyku Dotnary zobaczyć niemal na jawie, jak Inocenty zastanawia

się w drzwiach, czy zdjąć kalosze, jak się decyduje, jak przemierza dywan i bierze do ręki słuchawkę.

Głos szefa był pełen życzliwości. Szef zawiadamiał: właśnie zatwierdzona została ostatecznie nominacja Inocentego, w środę samolot do Paryża, jutro trzeba będzie przekazać sprawy bieżące, teraz zaś dobrze byłoby zjawić się na pół godzinki dla uzgodnienia pewnych szczegółów. Samochód już po niego posłano.

Inocenty odłożył słuchawkę. Nabrał powietrza w płuca, wydmuchał je z taką rozkoszną powolnością i gruntownością, że miało jak gdyby czas, żeby najpierw rozejść się po całym jego ciele, a później, ulatniając się zabrać ze sobą cały ciężar wątpliwości i obaw.

— Wyobraź sobie, Dotik, lecę w środę! A teraz...

Ale Dotik trzymała ucho przytulone do słuchawki i już wszystko sama wiedziała.

— Jak myślisz? — zapytała, śmiesznie przechylając główkę na bok. — „Pewne szczegóły” — to i o mnie chodzi?

— Tak, mmmożliwe...

— A co-żeś ty tam w ogóle o mnie mówił?... — wysunęła wargi. — Czy Ink pojechałby do Paryża bez swojej kózki? Kózka bardzo by chciała!

— Pewno, że zabiorę, ale jeszcze nie teraz. Chwilowo muszę się tam zaprezentować, pozawierać znajomości, urządzić się...

— A kózka chciałaby od razu!...

Inocenty z miłym uśmiechem poklepał ją po ramionach:

— No, spróbuję. Nie było jeszcze o tym mowy, zobaczą, jak się uda. A tymczasem ubieraj się, możesz się nie spieszyć. Na pierwszy akt i tak nie zdążymy, ale myślę, że całość „Akuliny” nic na tym... A na drugi... Zresztą, zadzwonię ci jeszcze z ministerstwa.

Ledwie zdążył włożyć mundur, gdy już zadzwonił do drzwi kierowca. Nie był to ani Wiktor, który zwykle z nim jeździł, ani Kostia. Kierowca był szczupły, ruchliwy, miał sympatyczną, inteligentną twarz. Zbiegł ze schodów wesoło, idąc prawie obok Inocentego i wywijając uwiązany na sznurku kluczem od stacyjki.

— Jakoś was sobie nie przypominam — powiedział Inocenty dopinając na schodach palto.

— A ja nawet pamiętam waszą klatkę schodową, dwa razy już tu przyjeżdżałem. — Kierowca miał uśmiech szczerzy i zarazem przebiegły. Takiego cwaniaka dobrze byłoby mieć zawsze do dyspozycji.

Ruszyli. Inocenty siedział z tyłu. Nie zwróciło jego uwagi, że szofer dwukrotnie próbował powiedzieć coś żartem, odwraca-

jąc głowę przez ramię. Później skręcił nagle ostro w stronę chodnika i zatrzymał się tuż przy krawężniku. Jakiś młodzieniec we wciętym płaszczu i w miękkim kapeluszu stał na skraju trotuaru podnosząc palec.

— Nasz mechanik, z garażu — wyjaśnił sympatyczny kierowca i chciał otworzyć mu prawe, przednie drzwiczki, ale nie mógł tego zrobić, zamek się zaciął.

Kierowca zaklął w granicach miejskiego dobrego tonu i poprosił:

— Towarzyszu radco, może usiądzie obok was? To mój naczelnik, nie wypada.

— Ależ proszę — chętnie zgodził się Inocenty, robiąc miejsce. Był jak pijany, podniecony, w myślach już odbierał delegację i widać, wyrывая się z kręgu niebezpieczeństw.

Mechanik zaciskając kątem ust długiego, dymiącego papierosa, pochylił się, wszedł do auta, pytając z lekką nonszalancją:

— Nie przeszkadzam? — i opadł na siedzenie obok Inocentego.

Samochód szybko ruszył dalej.

Inocenty na moment skrzywił się pogardliwie („Cham”) ale znów pograżył się w swoich myślach nie zwracając uwagi na trasę.

Mechanik zadymiał już swoim papierosem pół samochodu.

— Może by tak okna uchylić! — zwrócił mu uwagę Inocenty podnosząc jedną tylko, prawą brew.

Ale mechanik nie zrozumiał ironii i nie odkręcił szyby, tylko rozwalwszy się na siedzeniu wydobył z wewnętrznej kieszeni jakiś arkusik, rozłożył go i podsunął Inocentemu:

— Towarzyszu naczelniku! Możecie mi to przeczytać? Ja poświęcę.

Samochód skręcił w jakąś ciemną ulicę, jakby w Puszczną. Mechanik zapalił kieszonkową latarkę i oświetlił nią zielony papierek. Inocenty wzruszył ramionami, z widoczną odrazą wziął w palce arkusik i zaczął czytać niedbale, jakby tylko dla siebie: „Zatwierdzam. Zast. Prokuratora Generalnego ZSSR...”

Dalej był zaabsorbowany swoimi myślami, nie mógł się oderwać od nich i zrozumieć, co jest z tym mechanikiem? Niepiśmienny, czy co? Czy nie rozumiał treści papierka? Albo może pijany i chce się wynętrzyć?

„Nakaz aresztowania...”

czytał, wciąż jeszcze nie wnikając w treść,

...Wołodina Inocentego Artiemiewicza, urodzonego w 1919...” i dopiero tutaj poczuł, jakby jedna wielka igła przeszła go od stóp do głów. Poczuł gorąco w całym ciele. Otworzył usta —

ale jeszcze nic nie powiedział — i jeszcze nie opadła mu na kolana ręka z zielonym arkusikiem a już „mechanik” wpił mu się w ramię i huknął groźnie:

— No, spokój, spokój, nie waż mi się ruszyć, bo przyduszę!

Świecił latarką Wołodinowi prosto w oczy i dmuchał mu w twarz dymem.

I chociaż Inocenty już przeczytał, że jest aresztowany, a oznaczało to przepaść, kres jego życia — w tej krótkiej chwili nie mógł znieść tylko tego chamstwa, tych zaciśniętych palców, dymu i światła bijącego w twarz.

— Proszę puścić! — zawołał, próbując swoimi słabymi palcami uwolnić ramię. Do jego świadomości teraz już dotarło, że to naprawdę nakaz i naprawdę — jego aresztowania, ale wydawało mu się po prostu nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, że trafił właśnie na ten samochód, i że pozwolił mechanikowi zabrać się z nimi — więc wyobrażał sobie, że trzeba wyrwać się tylko do szefa, do ministerstwa, a nakaz będzie anulowany.

Jedną ręką kurczowo szarpnął klamkę lewych drzwi, ale ta też nie ustępowała. Tu też się zacięło.

— Słuchajcie! — zawołał gniewnie do kierowcy. — Odpowiedzcie za to! Co to za prowokacja?

— Służę Związkowi Sowieckiemu — panie radco! — kpiarskim tonem odparł mu szofer przez ramię.

Zgodnie z przepisami ruchu drogowego, samochód objechał dokoła cały rozjarzony plac Łubianki, jakby zataczał pożegnalny krąg i dawał Inocentemu możliwość przyjrzenia się po raz ostatni temu światu i czteropiętrowym, wysokim gmachom Starej i Nowej Łubianki, gdzie życie jego miało dobiec kresu.

Pod sygnałami świetlnymi na rogach skupiały się auta i wypryskiwały do przodu, miękko przetaczały się trolejbusy, ryczały autobusy, zbitymi grupami przechodzili ludzie — i nikt z nich nie znał, ani nie widział ofiary w ich przytomności wleczonej na kaźń.

Czerwona chorągiewka oświetlona reflektorem ukrytym w załomach dachu, trzepotała się nad kolumnkami wieżyczki, wieńczącej gmach Starej Wielkiej Łubianki. Dwie niewzruszone, kamienne, wykute w półleżącej pozie najady z pogardą patrzyły w dół na malutkich, szybko przebiegających nóżkami obywateli.

Samochód przejechał wzdłuż fasady słynnego w całym świecie budynku i skręcił na ulicę Wielką Łubiańską.

— Puście mnie! — Inocenty wciąż usiłował wyrwać się z palców mechanika, zaciśniętych nad jego obojczykiem, przy samej szyi.



Czarne, żelazne wrota natychmiast odemknęły się, gdy tylko samochód obrócił ku nim maskę i zaraz zatrzasnęły się za nim.

Samochód wjechał na dziedziniec przez ciemną sień.

Ręka mechanika za bramą zwolniła ucisk. Inocenty w ogóle przestał ją czuć na szyi, gdy znaleźli się na podworcu. Wychodząc przez swoje drzwi agent powiedział rzeczowo:

— Tu wysiadamy!

I było już jasne, że jest zupełnie trzeźwy.

Kierowca też wyszedł przez swoje niezablokowane drzwi.

— Wysiadać! Ręce do tyłu! — zakomenderował. Powiedział to lodowatym tonem; kto by teraz poznał niedawnego żartownisia?

Inocenty wysiadł z auta-pułapki przez prawe drzwi, wyprostował się i — chociaż wcale nie było zrozumiałe dlaczego właściwie powinien słuchać rozkazu — posłuchał i założył ręce do tyłu.

Aresztowanie miało charakter trochę brutalny, ale wcale nie tak straszny, jak to sobie człowiek wyobraża, kiedy jeszcze czeka. Przyszło nawet pewne uspokojenie — nie trzeba już się bać, nie trzeba już walczyć, nie trzeba już nic wymyślać. Drętwe, błogie uspokojenie, rozlewające się po całym ciele rannego.

Inocenty rozejrzał się po podworcu nierówno oświetlonym jedną-dwoma latarniami i blaskiem z kilku okien na różnych piętrach. Mały dziedziniec był dnem studni otoczonej czterema wysokimi ścianami.

— Nie rozglądać się! — krzyknął „kierowca”. — Marsz!

W ten sposób, gęsiego — Inocenty szedł pośrodku — mianąwszy obojętnych strażników w mundurach MGB, przeszli pod niskim sklepieniem, zeszli po schodkach na drugi podwórzec — dolny, kryty dachem, ciemny, skręcili na lewo i znaleźli się przed czystym, frontowym wejściem, przypominającym drzwi do gabinetu znanego lekarza.

Za drzwiami ciągnął się króciutki, bardzo czysty korytarz zalany światłem elektrycznym. Wydawało się że jego świeżo malowana podłoga była dopiero co wyszorowana i wyłożona chodnikiem.

„Kierowca” zaczął dziwnie klaskać językiem, jakby cmokał na psa. Ale żadnego psa nie było.

Korytarz był przegrodzony szklanymi drzwiami. Zasłaniały je od wewnątrz wypełzone firanki. Drzwi były zabezpieczone kratką z ukośnych prętów, przypominającą płotki dookoła dworcowych skwerków. Na drzwiach zamiast lekarskiej tabliczki widniał napis:

*„Izba przyjąć aresztowanych”.*

Zadzwonili — dzwonek był staroświecki, z pokrętłem. Po chwili zza firanki wyrzął, a później otworzył drzwi obojętny strażnik o pociągłej twarzy. Miał błękitne epolety z białymi, sierżanckimi belkami na poprzek. „Kierowca” wziął od „mechanika” zielony blankiet nakazu aresztowania i pokazał go strażnikowi. Ten przeczytał go ze znużoną miną tak, jak senny aptekarz czyta w nocy receptę — i odszedł w głąb z „kierowcą”.

Inocenty i „mechanik” zostali w głębokiej ciszy przed zatrzaśniętymi drzwiami.

„Izba przyjęć aresztowanych” — przypominała tabliczka i sens to miało taki jak „Kostnica”. Inocenty nie miał nawet głowy do tego, żeby przyjrzeć się chłystkowi w wąskim płaszczu, który zagrał z nim taką komedię. Może Inocenty powinien był protestować, krzyczeć, domagać się sprawiedliwości? — Zapomniał nawet, że ręce kazano mu założyć do tyłu i wciąż je tak trzymał. Wszystkie myśli w nim zastygły i jak w hipnozie wpatrywał się w napis „Izba przyjęć aresztowanych”.

Dał się słyszeć miękki obrót angielskiego zamka w drzwiach. Strażnik o pociągłej twarzy kazał im wejść i sam poszedł pierwszy, znowu klaszcząc językiem jak na psa.

Ale i tu żadnego psa nie było.

Korytarz był tak samo jaskrawo oświetlony i lśnił taką samą szpitalną czystością. Doszli do dwojga drzwi pomalowanych oliwkową farbą. Sierżant odemknął jedno z nich i powiedział:

— Proszę wejść.

Inocenty wszedł. Zanim zdążył się zorientować, że była to pusta izba z dużym niezgrabnym stołem, paroma taboretami, pozbawiona okna — już „kierowca” skądś z boku, „mechanik” zaś z tyłu rzucili się na niego i czworgiem rąk objęli go, zręcznie przeszukując mu liczne kieszenie.

— Co to znowu za bandytyzm? — słabo krzyknął Inocenty. — Jakim prawem? — usiłował się trochę opierać, ale wewnętrzna świadomość, że to wcale nie bandytyzm i że ci ludzie wykonują po prostu obowiązek służbowy, pozbawiła jego ruchy energii, a jego głos — stanowczości.

Zerwali z niego złoty zegarek, wyciągnęli dwa notesy, złote pióro wieczne i chustkę do nosa. Zobaczył jeszcze w ich rękach wąskie, srebrne epolety i zdziwił się nawet, że są takie same, jak jego — dyplomatyczne i że mają tę samą ilość gwiazdek. Wypuścili go z brutalnego uścisku. „Mechanik” podał mu chusteczkę do nosa.

— Bierzcie.

— Po waszych brudnych łapach? — piskliwie krzyknął Inocenty i wzdrygnął się cały.

Chusteczka upadła na podłogę.

— Dostaniecie kwit na kosztowności — powiedział „kierowca” i obaj wyszli pośpiesznie.

Wąskolicy sierżant za to nie spieszył się. Zerknął na podłogę i poradził:

Chusteczkę lepiej weźcie.

Ale Inocenty nie schylił się.

— Jak to? Zerwali ze mnie epolety? — dopiero tu domyślił się i oburzył, stwierdziwszy, że na mundurze pod płaszczem nie ma już pagonów.

— Ręce do tyłu! — obojętnie powiedział sierżant. — Wyjdźcie!

I zamknął.

Ale psa nie było.

Minęli zakręt i znaleźli się w jakimś innym korytarzu, gdzie po obu stronach ciągnęły się, blisko siebie położone, nieduże, oliwkowe drzwi, znaczone owalnymi lusterkami numerów. Między rzędami drzwi przechadzała się niemłoda, zniszczona kobieta w wojskowej spódnicy i mundurowej bluzie z takimi samymi błękitnymi pagonami i takimi samymi sierżanckimi tasiemkami. W chwili, gdy zjawili się zza zakrętu, kobieta zaglądała przez jeden z otworów w drzwiach. Gdy podeszli bliżej, spokojnie opuściła klapkę zamykającą otwór i spojrzała na Inocentego tak, jakby przechodził dzisiaj tędy już setki razy i nic dziwnego w tym nie było, że przechodzi jeszcze raz. Miała ponury wyraz twarzy. Wetknęła długi klucz w stalowy, zewnętrzny zamek na drzwiach numer „8”, otworzyła drzwi z łoskotem i skinęła na Inocentego:

— Wejdźcie tu.

Inocenty przestąpił próg i zanim zdążył odwrócić się, czy poprosić o wyjaśnienia, drzwi zatrzasnęły się za nim i zamek głośno szcęknął.

A więc tu miał teraz przebywać! — dzień? może miesiąc? może całe lata? Nie można było nazwać tej klitki pokojem, ani nawet celą — bo, jak nas do tego przyzwyczaiła literatura, w celi powinno być choćby najmniejsze okienko i przestrzeń, po której można by krążyć. Tu zaś nie tylko chodzić, nie tylko leżeć ale nawet usiąść nie można było porządnie. Stał tu stolik i taboret, zajmując prawie całą powierzchnię podłogi. Kiedy usiadło się na taborecie, już niesposób było wyciągnąć nóg.

Niczego więcej nie było w tej komórce. Do wysokości piersi wymalowano ją farbą olejną na oliwkowo, wyżej zaś — ściany i sufit pobielono i oświetlono oślepiająco dużą żarówką, chyba dwustu-watową, wiszącą pod sufitem w drucianej osłonie.

Inocenty usiadł. Jeszcze przed dwudziestoma minutami obmyślał swój wyjazd do Paryża na nowe, eksponowane stanowisko. Przed dwudziestoma minutami całe minione życie jawiło mu się jako jedna harmonijna całość, każdy przypadek w nim oświetlony był łagodnym blaskiem rozwagi i spojony z innymi wydarzeniami nitami sukcesu. Ale po upływie tych dwudziestu minut — tu, w tej ciasnej pułapce, całe jego minione życie z tą samą niezbitą siłą rysowało mu się jako stek omyłek, kupa czarnych ruin.

Z korytarza nie dochodziły żadne dźwięki, tylko dwa razy gdzieś blisko otwarto i zamknięto drzwi. Co minutę podnosiła się malutka przesłona i przez szklany wziernik wpatrywało się w Inocentego samotne badawcze oko. Drzwi miały cztery palce grubości — i przez całą tę grubość od samego szkiełka wyżłobiony był stożkowato rozszerzający się lejek obserwacyjny. Inocenty domyślił się: wyżłobiono go po to, żeby aresztant nigdzie w tej katowni nie mógł ukryć się przed wzrokiem nadzorcy.

Było mu ciasno i duszno. Zdjął ciepły płaszcz zimowy, zerknął smutno na miejsce po wyrwanych „z mięsem” pagonach. Nie widząc na ścianach żadnego gwoźdźcia, położył palto i czapkę na stoliku.

Dziwne, ale teraz, gdy piorun aresztowania już uderzył w jego życie, Inocenty nie czuł strachu. Przeciwnie, zamrożona dotąd jego myśl znów zabrała się do dzieła analizując popełnione omyłki.

Dlaczego nie przeczytał nakazu do końca? Czy był wypisany prawidłowo? Czy miał stempel? Wizę prokuratora? Owszem, wiza prokuratora była na samym początku. Którego dnia nakaz wystawiono? Jaki powód aresztowania wpisano? Czy szef wiedział o wszystkim, kiedy go wzywał? Wiedział, oczywiście. Więc to wezwanie było oszukańcze? Ale po co takie dziwne sposoby, całe to przedstawienie z „kierowcą” i „mechanikiem”?

W jednej z kieszeni namacał jakiś mały i twardy przedmiot. Wydobył go. Był to cieniutki, elegancki ołówceczek, który wypadł z tulejki przy notesie. Inocentego niezwykle ten ołówceczek ucieszył: bardzo mógł się przydać! Partacze! Tu, na Łubiance — partacze! — obszukać też dobrze nie umieją! Myśląc, gdzie by najlepiej ołówceczek schować, Inocenty przełamał go na pół, wetknął po kawałku do butów i strząsnął je tam pod stopy.

Ah, co za przeoczenie! — nie przeczytać o co jest oskarżony! Może areszt wcale nie jest związany z tą nieszczęsną rozmową telefoniczną, może to omyłka, zbieg okoliczności? Jak się teraz dowiedzieć, jaką przyjąć linię obrony?

Niewiele czasu jeszcze minęło — ale wielokrotnie już słyszał

równomierny szum jakiejś maszyny za tylną ścianą komórki. Szum to się wzmagał, to cichnął. Inocentego zmroziła nagle prosta myśl — jaka maszyna właściwie mogła tu być potrzebna? To więzienie, nie fabryka — po co tu maszyna? Człowiekowi lat czterdziestych, który nasłuchiwał się o mechanicznych sposobach likwidacji ludzi, od razu przychodziło do głowy coś niedobrego. Inocentemu mignęła nawet myśl niedorzeczna, ale jednocześnie jakaś całkiem wiarygodna: że to jest maszyna do mielenia kości zabitych już aresztantów. Zrobiło mu się straszno.

Tak, tymczasem gryzł się tą myślą — co to za przeoczenie, jaka omyłka! — Nawet nie przeczytać do końca nakazu, nie protestować, nie obstawać przy swojej niewinności. On tak potulnie dał się aresztować, że to ich przekonało o jego winie! Jak mógł nie protestować? Dlaczego nie protestował? Stawało się jasne, że czekał na aresztowanie, że był na nie przygotowany!

Ta fatalna omyłka go dobijała! Pierwszą myślą było zerwać się, bić rękoma, nogami, krzyczeć na całe gardło, że jest niewinny, żeby otwarto drzwi, ale nad tą myślą zaraz wyrosła inna, dojrzała: że chyba ich się tutaj tym nie zadziwi, że tu często w ten sposób hałasują i krzyczą, że jego milczenie w pierwszych chwilach już i tak pomieszało mu szyki.

Ach, jak mógł tak po prostu wpaść im w ręce! — z własnego mieszkania, z moskiewskich ulic, on, dyplomata wysokiej rangi — bez żadnego oporu, bez jednego słowa pozwolił się zabrać i zamknąć w tej katowni.

Stąd nie można się wyrwać! O, stąd nie można się wyrwać!...

A może jednak szef czeka na niego? Jak dotrzeć do niego, choćby pod konwojem? Jak wyjaśnić mu?

Nie, wcale mu się w głowie nie rozjaśniało, wszystko komplikowało się i płątało.

Maszyna za ścianą to wyła, to znowu milkła.

Oczy Inocentego oślepione blaskiem, zbyt ostrym jak na wysoką lecz wąską komórkę o pojemności trzech metrów sześciennych, dawno już szukały odpoczynku na jedynym czarnym kwadraciku ożywiającym sufit. Kwadracik ten przekreślony na krzyż metalowymi pręcikami wyglądał na otwór wentylacyjny, chociaż nie wiadomo było skąd i dokąd prowadzi.

I nagle z całą wyrazistością przywidziało mu się, że ten otwór wcale nie służy do wentylacji, że przez niego powoli sączy się trujący gaz, być może nawet produkowany przez tę wyjąca maszynę, że wpuszczają ten gaz od chwili, gdy go tu zamknięto i że nie ma innego przeznaczenia ta głucha komórka z drzwiami tak ściśle dopasowanymi do progu!

Po to też przyglądają mu się przez otwór w drzwiach, żeby stwierdzić, czy jest jeszcze przytomny, czy już zatruty.

Więc dlatego w głowie mu się mąci! Przecież traci przytomność! To dlatego tak mu tu duszno! Dlatego tak mu w głowie pulsuje!

Gaz się sączy! Bezbarwny! Bezwonny!!

Strach! odwieczny zwierzęcy strach! — ten sam, który dra pieżców jednoczy z ich ofiarami, gdy wspólną gromadą uciekają przed leśnym pożarem — strach ogarnął Inocentego. Porzuciwszy wszystkie inne rachuby, wszystkie inne myśli zaczął walić pięściami i nogami w drzwi, dobijając się widoku żywego człowieka:

— Otworzyć! Otworzyć! Duszę się! Powietrza!!

O, po to otwór obserwacyjny miał kształt lejka, żeby nie można było pięścią rozbić szkła!

Zawzięte oko przylgnęło do szkła z drugiej strony i bez mrugnięcia, złośliwie patrzyło, jak Inocenty ginie.

O, co za wizja! Wyrwane oko, oko bez twarzy, oko, w którym wszystko się skupiło! — i to oko patrzy na twoją śmierć!...

Nie było wyjścia!...

Inocenty padł na taboret.

Gaz go dusił...

## LXXXIII

### BEZTERMINOWO!

Wtem drzwi uchyliły się zupełnie bez hałasu (choć zamknięto je z łaskotem).

Strażnik o pociągłej twarzy zjawił się w wąskiej szparze i dopiero tutaj, w tej klitce, nie zaś w korytarzu, spytał cicho, lecz groźnym tonem:

— Dlaczego pukacie?

Inocentemu zrobiło się źle. Jeżeli strażnik nie bał się wejść tutaj, to znaczy, że nie można się jeszcze zatruć.

— Jest mi niedobrze! — powiedział już z mniejszą pewnością siebie. — Proszę dać mi wody!

— Zapamiętajcie sobie! — surowo pouczał go nadzorca. — W żadnym wypadku nie wolno pukać, bo zostaniecie ukarani.

— Ale jeżeli źle się czuję? Jeżeli trzeba kogoś zawołać?

— Głośno gadać też nie wolno! Jeżeli już musicie wezwać — w ten sam chmurny, beznamiętny sposób, miarowym głosem wyjaśnił nadzorca — czekajcie, aż podniesie się zasłonka przy oczku i w milczeniu podnieście palec.

Wycofał się i zamknął drzwi. Maszyna za ścianą znowu ruszyła i umilkła.

Drzwi otworzyły się — tym razem ze zwykłym rumorem. Inocenty zaczął domyślać się: oni byli tu wyuczeni, aby otwierać drzwi z hałasem lub bezgłośnie, jak im było trzeba.

Strażnik podał Inocentemu kubek z wodą.

— Posłuchajcie — Inocenty wziął kubek. — Źle się czuję, muszę się położyć!

— W boksie nie wolno.

— Gdzie? Gdzie nie wolno? (Chciał porozmawiać choćby z tym kawałem drewna!)

Ale strażnik już wycofał się za drzwi i zamykał je.



— Słuchajcie, wezwijcie naczelnika! Za co mnie aresztowano? — przypomniał sobie Inocenty.

Drzwi się zamknęły.

Co on powiedział? W boksie? *Box* to po angielsku pułko.

Więc oni taką klitkę cynicznie nazywają pułkiem? Cóż, zgadza się.

Inocenty wypił odrobinę. Od razu odechciało mu się pić. Kubeczek miał pojemności jakieś trzysta gramów, był emaliowany, zieleniutki, z dziwnym obrazkiem: kotek w okularach udawał, że czyta książkę, w istocie zaś zerkał bokiem na ptaszka, który zuchwale skakał sobie obok.

Niemożliwe, żeby ten obrazek specjalnie był wybrany dla potrzeb Łubianki. Ale jak tu pasował! Książeczka — to było prawo pisane, a ten zuchowaty wróbelek — to wczorajszy Inocenty.

Uśmiechnął się nawet i ten krzywy uśmieszek nagle pozwolił mu odczuć cały bezmiar tego, co się z nim stało. Ten uśmiech przyniósł mu równocześnie pociechę, bo poczuł, że jest kroplą w potoku życia.

Nie uwierzyłby, gdyby mu ktoś powiedział wcześniej, że uśmiechnie się w ciągu pierwszej półgodziny przybywania w lochach Łubianki.

(Gorzej było z Szewronokiem, siedzącym w sąsiednim boksie, żaden kotek by go teraz nie rozśmieszył). Odsunął palto leżące na stoliku i zrobił miejsce dla kubka.

Szczęknął zamek. Drzwi się otworzyły. Stał w nich lejtnant z papierem w ręku. Za jego plecami widać było postną twarz sierżanta.

W swoim dyplomatycznym, szaro-błękitnym mundurze wyszywanym w złote palmy Inocenty na jego widok podniósł się z krzesła nonszalanckim ruchem:

— Słuchajcie, lejtnancie, o co tu chodzi? co to za nieporozumienie? Pokażcie no mi nakaz, nawet go nie przeczytałem.

— Nazwisko? — wyraźnie zapytał lejtnant patrząc na Inocentego szklanym wzrokiem.

— Wołodin — odparł Inocenty godząc się na ustępstwo, aby móc uzyskać z kolei wyjaśnienia.

— Imię, imię ojca?

— Inocenty Artemicz.

— Rok urodzenia? — lejtnant przez cały czas zaglądał do swojego papierka.

— 1919.

— Miejsce urodzenia?

— Leningrad.

I właśnie wtedy, kiedy można było dowiedzieć się wszystkiego i radca stanu drugiej klasy spodziewał się wyjaśnień, lejtant zrobił krok wstecz i drzwi zamknęły się, omal nie przytrzasnąwszy radcy.

Inocenty usiadł i przymknął oczy. Zaczął poznawać siłę tych mechanicznych cęgów.

Maszyna zawarczała.

Po chwili zamilkła.

Zaczęły mu przychodzić do głowy rozmaite drobne i poważniejsze sprawy, które jeszcze przed godziną były takie pilne, że nogi mu się wręcz podrywały, żeby wstać i zaraz tam lecieć.

Ale nie tylko lecieć, ale choćby zrobić w tym boksie jeden szeroki krok, było niemożliwością.

Znów odsoniło się o k o. Inocenty podniósł palec. Drzwi otworzyła ta sama kobieta z niebieskimi epoletami i tępyimi, ciężkimi rysami.

— Potrzebuję... tego... — powiedział jej wyraźnie.

— Ręce do tyłu! Wyjdźcie! — rzuciła rozkazującym tonem i ruchem głowy wskazała kierunek. Inocenty wyszedł na korytarz. W porównaniu z dusznym boksem wydało mu się teraz, że panuje tu miły chłód.

Szli krótką chwilę. Kobieta wskazała jakieś drzwi:

— Tutaj!

Inocenty wszedł. Drzwi za nim zatrzęsnięto.

Oprócz otworu w podłodze i dwóch żelaznych występów dla stóp, cała pozostała, bardzo niewielka powierzchnia podłogi i wszystkie ściany malutkiej komórki były wyłożone czerwonawymi kafelkami. We wgłębieniu rzeźwo pluskała woda.

Rad, że chociaż tu odpocznie od stałego podglądania. Inocenty kucnął. Ale coś zgrzytnęło z tamtej strony drzwi. Podniósł głowę i zobaczył, że tu też jest takie samo o k o z lejkowatym wgłębieniem i że nieustępliwe, badawcze oczy przyglądają mu się już nie z przerwami, tylko ciągle.

Niemile zażenowany Inocenty wyprostował się. Nie zdążył jeszcze podnieść palca, by dać znać, że jest gotów, gdy drzwi się otworzyły.

— Ręce do tyłu. Wyjść! — powiedziała kobieta obojętnie.

W boksie Inocenty poczuł chęć sprawdzenia, która godzina. Podciągnął bezwiednie mankiet, ale czasomierza już tam nie było.

Westchnął i zaczął przyglądać się kotkowi na kubku, ale nie pozwolono mu na rozmyślania. Drzwi się otworzyły. Jakiś nowy, barczysty, o grubych rysach mężczyzna w szarym kitlu naciągniętym na mundur, zapytał:

— Nazwisko?

— Już mówiłem — oburzył się Inocenty.

— Nazwisko? — nie zmieniając tonu, jak radiotelegrafista wywołujący stację, powtórzył przybyły.

— No, Wołodin.

— Zabierzcie rzeczy. Wyjdźcie — beznamiętnie oświadczył szary kitel.

Inocenty zabrał palto i czapkę ze stolika i wyszedł.

Zaprowadzono go do tego samego pokoju, w którym zerwano z niego epolety, zabrano zegarek i notesy.

Chusteczki na podłodze już nie było.

— Posłuchajcie, zabrano mi moje rzeczy! — poskarżył się Inocenty.

— Rozbierzcie się! — odpowiedział nadzorca w szarym kitlu.

— Po co? — zdziwił się Inocenty.

Nadzorca spojrzął mu twardym wzrokiem prosto w oczy.

— Rosjanin? — zapytał surowo.

— Tak. — Zawsze taki wynalazczy, Inocenty tym razem nie zdobył się na żadną inną odpowiedź.

— Rozbierajcie się!

— A bo co?... jak nie Rosjanin — to nie musi? — zażartował smętnie.

Nadzorca czekał w kamiennym milczeniu.

Próbując uśmiechnąć się pogardliwie i wzruszywszy ramionami, Inocenty usiadł na taborecie, zsuł buty, zdjął mundur i chciał podać go nadzorcy. Nie przypisując mundurowi żadnego rytualnego znaczenia, Inocenty szanował jednak swój wyszywany złotem uniform.

— Rzućcie to! — szary kitel pokazał palcem podłogę.

Inocenty nie mógł się zdecydować. Nadzorca wyrwał mu z rąk popielaty mundur, cisnął na podłogę i szczerknął:

— Do goła!

— Jak to — do goła?

— Do goła!

— Ależ to zupełnie niemożliwe, towarzyszu! Przecież tu jest zimno, pojmijcie!

— Bo będziecie rozebrani siłą — uprzedził nadzorca.

Inocenty namyślił się. Już raz na niego się rzucono — i wyglądało na to, że mogą to zrobić jeszcze raz. Jeżąc się z zimna i wstrętu, ściągnął z siebie jedwabną bieliznę i sam rzucił ją posłusznie na tę samą kupę.

— Zdjąć skarpetki!

Inocenty stał teraz bez skarpetek na drewnianej podłodze boso. Nogi miał bezwłose, białe i delikatne, jak całe zresztą jego miękkie ciało.

— Otworzyć usta! Szerzej. Powiedzieć „a”, jeszcze raz, dłużej: „a-a-a!”. Teraz podnieść język.

Jak przy kupnie konia wraz z Inocentemu nieczyste palce do ust, zajrzał za jeden policzek, potem za drugi, następnie odciągnął mu dolne powieki, a gdy przekonał się, że pod językiem, w workach policzkowych i pod powiekami Inocenty niczego nie ukrył, twardym ruchem podbił mu głowę tak, żeby światło zjazało do nozdrzy, potem obejrzał uszy, ciągnąc za małżowiny, kazał rozczapierzyć palce i sprawdził, że nic nie ma między nimi, wreszcie rozkazał pomachać rękoma i zobaczył, że pod pachami też nic nie ma. Wówczas tym samym mechanicznym, nieznośnym sprzeciwu głosem, zakomenderował:

— Weźcie do ręki członek, ściągnijcie napletek. Jeszcze bardziej. Tak, wystarczy. Podnieście członek na ukos w prawo, na ukos w lewo. Dosyć, opuście go. Stańcie do mnie tyłem. Rozstawić nogi. Szerzej. Pochylić się aż do podłogi. Szerzej nogi! Rozchylcie pośladki rękoma. Tak, dobrze. Teraz przysiad. Szybko! Jeszcze raz!

Myśląc poprzednio o aresztowaniu, Inocenty wyobrażał sobie, że czeka go zapamiętała walka duchowa. Był wewnętrznie spięty, gotowy do jakiejś podniosłej walki o sens własnego losu i o własne przekonania. Ale wcale sobie nie wyobrażał, że wszystko to będzie takie tępe, takie proste, tak wykluczające wszelki sprzeciw. Ludzie, których spotkał tu na Łubiance, niscy, ograniczeni funkcjonariusze — okazali zupełną obojętność wobec jego osobowości i postępuku, któremu zawdzięczał swój areszt, za to byli nadzwyczaj skrupulatni w szczegółach, których Inocenty nie przewidział i na które nie umiał znaleźć rady. Zresztą jakie znaczenie miałyby jego opór i jaki zysk mógł mu przynieść? Za każdym razem z różnych powodów wymagano od niego właściwie tylko drobnostek, nic nie znaczących w porównaniu z oczekującym go wielkim starciem — więc nie warto było nawet walczyć z tymi drobnostkami — ale w sumie cała ta drobiazgowo metodyka procedury zupełnie łamała wolę aresztowanego.

Znosząc wszystkie te poniżenia Inocenty milczał przybity.

Strażnik ruchem głowy kazał Inocentemu podejść do drzwi i usiąść tam na taborecie. Wydawało się, że nie zdoła dotknąć gołą skórą jeszcze tego nowego, zimnego przedmiotu, ale przecież usiadł i bardzo prędko z przyjemnością się przekonał, że drewniany taboret zaczął go nawet jakby grzać.

Wiele ostrych i przyjemnych doznań Inocenty miał w ciągu swojego życia, ale to było nowe, dotąd nieznanne. Przyciskając łokcie do żeber i podciągając jak najwyżej kolana, poczuł, że mu jeszcze ciepłej.

Siedział tak, a prowadzący rewizję stanął nad kupą jego rzeczy i zaczął je przetrząsać, obmacywać i oglądać pod światło. Okazując, że nie obce mu są ludzkie uczucia, niewiele czasu stracił na kalesony i skarpetki. W kalesonach ograniczył się starannego przesunięcia palcami, cal za cal, wzdłuż wszystkich szwów i zakładek, po czym rzucił je pod nogi Inocentemu. Odpiął gumowe podwiązki, skarpetki wyrzucił na lewą stronę i rzucił Inocentemu. Obmacawszy szwy i zakładki podkoszulka również cisnął go pod drzwi, tak, że Inocenty mógł wdziać bieliznę i znów poczuć błogie ciepło. Następnie nadzorca wyciągnął duży scyzoryk w ordynarnej, drewnianej oprawie, otworzył go i zabrał się do butów. Z pogardą wytrząsnął z nich odłamki małego ołóweczka, wyjął trzewiki z kaloszy i ze skupioną miną wielokrotnie zgiał ich podeszwy, szukając wewnątrz czegoś twardego. Rozpruł nożem wewnętrzną wyściółkę i rzeczywiście wyciągnął stamtąd jakiś kawałek stalowej płytki. Odłożył go na stół. Następnie wydobył sztyło i przekłuł nim na ukos jeden obcas.

Inocenty przypatrywał mu się znieruchomiałym spojrzeniem i znalazł nawet w sobie siłę, aby pomyśleć, jak musiało się temu człowiekowi uprzykrzyć to obmacywanie rok za rokiem cudzej bielizny, rozcinanie butów i zagłębienie do otworów odbytowych. Chyba dlatego jego gęba miała wyraz twardy i nieprzyjazny.

Ale te błyski ironii gasły w Inocentym w miarę długiego, ponurego wyczekiwania i obserwacji. Nadzorca zabrał się do spruwania z munduru wszystkich złotych haftów, guzików, wypustek. Następnie rozciął podszewkę i pogrzebał również pod nią. Wcale nie mniej czasu zabrało mu badanie szwów i zakładek w spodniach. Jeszcze więcej musiał się natrudzić przy zimowym palcie. Tam, w głębi watoliny usłyszał chyba jak coś podejrzanie szeleści (gryps? adresy? trucizna?) — więc rozpruł podszewkę i długo dłubał w wacie z twarzą tak skupioną i zatroskaną, jakby robił operację serca.

Rewizja trwała bardzo długo, chyba więcej niż godzinę. Narreszcie, przekonawszy się, że kalosze naprawdę zrobione są ze zwykłej, niczym nie naszpikowanej gumy (dawały się zginać bez oporu we wszystkie strony), funkcjonariusz cisnął je Inocentemu pod nogi i zaczął zbierać swoje trofea: szelki, gumowe podwiązki (wcześniej już wyjaśnił Inocentemu, że to są rzeczy w więzieniu niedozwolone), krawat, szpilkę do krawata, spinki, kawałek stalowej listewki, dwa kawałki ołówka, złote galony, wszystkie mundurowe naszywki i wielką ilość guzików. Tu dopiero Inocenty w pełni zrozumiał i docenił rozmiary zniszczenia. Nie pocięte podeszwy, nie rozpruta podszewka, nie wylażająca spod pach watolina — ale brak prawie wszystkich guzików, właśnie w mo-

mencie, kiedy został pozbawiony szelek — dotknął Inocentego bardziej, niż wszystkie inne szykany zadane mu tego wieczoru.

— Dlaczegoście mi obcieli guziki? — zawołał.

— Nie należą się — burknął strażnik.

— Jak to? Jak będę chodzić?

— Zawiążecie sznurkiem — chmurnie odparł tamten już w drzwiach.

— Co za bzdury? Sznurek? Skąd go wezmę?...

Ale drzwi już się zatrzasnęły i zostały zamknięte.

Inocenty tym razem nie pukał i nie dochodził swego! Wziął pod uwagę, że na płaszczu jeszcze w paru miejscach trochę guzków mu zostało i że już to powinno go cieszyć.

Szybko się tu uczył.

Podtrzymując rękoma odzież, nie zdążył naspacerować się dowoli po nowej celi, rozkoszując się jej wielkością — gdy znów zgrzytnął klucz i wszedł nowy funkcjonariusz w kitlu białym, chociaż nie pierwszej czystości. Spojrzał na Inocentego, jak na rzecz dawno znaną i zawsze znajdującą się w tym pokoju, po czym i rzucił krótko:

— Rozebrać się do goła!

Inocenty chciał odpowiedzieć z oburzeniem, chciał zagrozić, ale w istocie z jego ściśniętego od doznanej krzywdy gardła, wyrwał się tylko jakiś piskły skrzek, brzmiący zupełnie nieprzekonywująco:

— Ależ przecież dopiero co się rozbierałem! To nie można było uprzedzić!?

Widocznie nie można było, bo nowoprzybyły patrzył tylko znudzonym, nieważnym wzrokiem, jak szybko więzień rozkaz wykona.

W tutejszych ludziach najbardziej zadziwiła Inocentego ich zdolność do milczenia w chwilach, kiedy normalni ludzie zwykli mówić.

I wchodząc już w rytm bezapelacyjnego, niewolniczego postępu, Inocenty rozebrał się i zszedł buty.

— Siadać! — funkcjonariusz wskazał mu ten sam taboret, na którym Inocenty już raz tak długo siedział.

Goły aresztant usiadł potulnie nawet nie zastanawiając się — po co. (Właściwy w o l n y m ludziom zwyczaj namyślenia się nad swoimi czynkami przed ich wykonaniem, szybko w nim zanikał, ponieważ inni myśleli tu sprawnie za niego). Funkcjonariusz chwycił go mocno palcami za kark. Zimna, tnąca powierzchnia maszynki silnie przylgnęła do ciemienia Inocentego.

— Co wy robicie? — wzdygnął się Inocenty próbując słabym ruchem uwolnić głowę z przytrzymujących ją palców. —

Kto wam dał prawo? Jeszcze nie jestem więźniem! (Chciał powiedzieć, że oskarżenie jeszcze nie zostało dowiedzione).

Ale fryzjer, trzymając jego głowę wciąż tak samo mocno, strzygł go dalej w milczeniu. I błysk oporu, który zapalił się w Inocentym, od razu zgasł. Ten wyniosły, młody dyplomata, z taką lekceważącą i niezależną miną schodzący po schodkach z międzykontynentalnych samolotów, takim roztargnionym, przy-mrużonym okiem patrzący na olśniewające blaski wirujących wokół niego stolic europejskich — był teraz gołym, steranym, kościstym mężczyzną z ostrzyżoną do połowy głową.

Miękkie, jasno-kasztanowe włosy Inocentego bezdźwięcznie opadały smutnymi płatami, jak śnieg. Chwycił w locie jeden taki kłaczek i roztarł go kłiwie w palcach. Zdał sobie sprawę, jak kochał siebie i swoje uciekające w dal życie.

Jeszcze pamiętał, do jakiego wniosku doszedł: że potulność będzie uznana za dowód winy. Pamiętał, że postanowił okazywać sprzeciw, protestować, prowadzić spory, domagać się rozmowy z prokuratorem — ale na przekór rozsądkowi, jego wola ulegała paraliżowi — odczuwał spokojną obojętność człowieka, zamarzającego na śniegu.

Skończywszy ze stryżeniem głowy, fryzjer kazał mu wstać, podnieść po kolei ręce i wystrzygł mu pachy. Następnie sam kucnął i tą samą maszynką zaczął strzyc Inocentemu wzgórek łonowy. Inocenty był zaskoczony, czuł drażniące łaskotanie, drgnął bezwiednie, fryzjer warknął na niego.

— Mogę się ubrać? — zapytał Inocenty, gdy procedura się skończyła.

Ale fryzjer nic nie odpowiedział i zamknął drzwi.

Tym razem Inocenty postanowił być sprytniejszy i nie spieszył się z ubieraniem. Tam, gdzie go ostrzyżono, czuł teraz nie-miłe kłucie. Gładząc dłonią głowę (nie przypominał sobie od dzieciństwa, żeby mu kto ostrzygł głowę do skóry) znajdował tam dziwną, krótką szczecinę i nierówności czaszki, których nie znał.

W końcu jednak włożył bieliznę, a gdy zaczął wciągać spodnie — szcęknął zamek i wszedł jeszcze jeden nadzorca z mięsistym, fioletowym nosem. Trzymał w ręku spory tekturowy prostokąt.

— Nazwisko?

— Wołodin — już bez sprzeciwu odpowiedział aresztant, chociaż mdliło go od tych niezliczonych powtórzeń:

— Imię, imię ojca?

— Inocenty Artemicz.

— Rok urodzenia?

— 1919.

— Miejsce urodzenia?



— Leningrad.

— Rozebrać się do goła.

Tracąc już poczucie rzeczywistości — rozebrał się znów. Jego podkoszulek rzucony na brzeg stołu, upadł przy tym na ziemię, ale to nie wzbudziło w nim wstrętu i już się nie schylił, by go podnieść.

Nadzorca z fioletowym nosem zaczął nieufnym okiem taksować Inocentego przyglądając mu się z różnych stron i wciąż zapisując swoje obserwacje na tekturce. Ze szczególnej uwagi, którą poświęcał pieprzykom i rysom twarzy — Inocenty zrozumiał, że zapisuje znaki szczególne.

Ten także wyszedł.

Inocenty w otępieniu usiadł na taborecie, już się nie ubierając.

Znów zgrzytnęły drzwi. Weszła tęga, czarnowłosa dama w śnieżnobiałym fartuchu. Miała grube rysy, pogardliwą minę i maniery inteligentki.

Inocenty poderwał się, żeby odnaleźć kalesony i przykryć swoją nagość, ale kobieta rzuciła na niego wzgardliwe, zupełnie nie kobiece spojrzenie, wysunęła dolną wargę, i tak już wydatną, i zapytała:

— Powiedzcie no, czy macie wszy?

— Jestem dyplomata — obraził się Inocenty, twardo patrząc w jej czarne ormiańskie oczy i wciąż zasłaniając się kalesonami.

— No i co z tego? Na co się skarżycie?

— Za co mnie aresztowano? Chcę przeczytać nakaz! Chcę mówić z prokuratorem! — wykrzyknął Inocenty, ożywiwszy się.

— Nie o tym mowa — skrzywiła się kobieta ze znużeniem.

— Nie przyznajecie się do chorób wenerycznych?

— Co?

— Na rzeżączkę, syfilis, wrzód miękki chorowaliście? Na trąd? Gruźlicę? Nic innego wam nie dolega?

I wyszła nie czekając na odpowiedź.

Wszedł pierwszy strażnik, ten o pociągłej twarzy. Inocenty przyjrzał mu się nawet z sympatią, bo strażnik nie znęcał się nad nim i nic złego mu nie zrobił.

— Dlaczego się nie ubieracie? — surowo spytał strażnik. — Ubrać się szybko.

Nie było to takie łatwe! Zostawszy sam Inocenty długo nie mógł sobie dać rady ze spodniami bez szelek i większości guzików. Nie mogąc korzystać z doświadczeń dziesiątków poprzednich pokoleń więziarskich, Inocenty zastanowił się i sam rozwiązał zadanie, podobnie jak miliony jego poprzedników. Domyślił

się skąd wziąć „sznurki”: sznurowadła od butów posłużyły mu do ściągnięcia spodni w pasie i w rozporku. (Dopiero teraz Inocenty zauważył, że z jego sznurowadeł urwano metalowe końcówki. Nie wiedział dlaczego. Tymczasem łubiańskie instrukcje zakładały, że z takich końcówek więzień może sobie zrobić piłę do krat).

Mundur zostawił już nie zapięty.

Sierżant zajrzał przez otwór, stwierdził, że aresztant ubrał się, otworzył drzwi, kazał założyć ręce do tyłu i przeprowadził do innego pokoju. Czekał tam już znany Inocentemu nadzorca z fioletowym nosem.

— Zdjąć buty! — powiedział na powitanie.

Nie było to teraz trudne, bo buty bez sznurowadeł same spadały z nóg (skarpetki bez podwiązek też opadały i zbiegały się pod stopą).

Pod ścianą stał lekarski przyrząd do mierzenia wzrostu z pionową, białą skalą. Fioletowy nos przycisnął do niej plecy Inocentego, opuścił mu na ciemną przesuwalną listewkę i zapisał wzrost.

— Można wzuć buty — powiedział.

A strażnik w drzwiach uprzedził:

— Ręce do tyłu!

Ręce do tyłu! — chociaż boks numer osiem był o dwa kroki, po drugiej stronie korytarza, na ukos.

I znów Inocenty był zamknięty w swoim boksie.

Za ścianą ciągle to wyła, to milkła tajemnicza maszyna.

Inocenty z paltem w rękę bezsilnie opadł na taboret. Od chwili, gdy znalazł się na Łubiance widział tylko oślepiające, elektryczne światło, bliskie, ciasne ściany i obojętnie milczących kluczników. Procedury, jedna głupsza od drugiej, wydawały mu się szykanami. Nie wiedział, że układają się w logiczny, przemysłany łańcuch: wstępna rewizja przez agentów operacyjnych, którzy go aresztowali; ustalenie tożsamości aresztowanego; przyjęcie aresztowanego (zaocznie w kancelarii) kwitowane przez administrację więzienia; gruntowna rewizja przy przyjęciu do więzienia; pierwsza procedura sanitarna; rejestracja znaków szczególnych; oględziny lekarskie. Procedury oszołomiły go, pozbawiły trzeźwego rozeznania i woli oporu. Miał tylko jedno męczące pragnienie, pragnienie snu. Sądził, że chwilowo dano mu spokój. Nie mogąc urządzić się inaczej — a w ciągu trzech pierwszych łubiańskich godzin dorobił się już pewnych nowych pojęć o życiu — postawił taboret na stoliku, rzucił na podłogę swoje palto z cienkiego sukna, z szarym, karakułowym kołnierzem i położył się na nim wzdłuż przekątnej boksu. Plecy opierały się na podłodze, uniesiona głowa o jedną ze ścian, a zgięte w kolanach nogi wcisnął

w drugi kąt. Ale w pierwszej chwili, zanim członki mu odrętwiały — czuł w nich błogość.

Nie zdążył jednak zapaść w sen i zasklepić się w nim, gdy już drzwi się otworzyły ze specjalnym, zgrzytliwym turkotem.

— Wstańcie! — syknęła kobieta.

Inocenty ledwie poruszył powiekami.

— Wstańcie! Wstańcie!! — rozległo się nad nim.

— Ale jeżeli chce mi się spać?

— Wstańcie... — władczy i gromkim już głosem krzyknęła kobieta schylając się nad nim, jak Meduza z upiornego snu.

Inocenty z trudem podniósł się ze swojej skurczonej pozycji.

— To zaprowadźcie mnie tam, gdzie można trochę pospać — powiedział apatycznie.

— Nie wolno! — ucięła Meduza z niebieskimi pagonami i zatrzasnęła drzwi.

Inocenty oparł się o ścianę, pragnąc odczekać, aż kobieta napatrzy mu się do syta, raz po raz podnosząc zasłonkę o k a.

Doczekał się, aż poszła sobie i znów położył się na płaszczu.

Już świadomość jego gasła, gdy drzwi znowu zgrzytnęły.

Jakiś nowy, wysoki, silny mężczyzna, który nadawałby się dobrze na kowala, albo kamieniarza, stanął na progu w białym fartuchu.

— Nazwisko? — zapytał.

— Wołodin.

— Z rzeczami!

Inocenty zabrał palto i czapkę i ze zmętniałym wzrokiem, chwiejnym krokiem wyszedł za strażnikiem. Był znużony do ostateczności i nie wyczuwał nawet, czy podłoga pod nogami jest równa. Nie znajdował w sobie żadnej siły ani chęci ruchu i gotów był położyć się wprost na środku tego korytarza.

Przez jakieś wąskie przejście w grubej ścianie wprowadzono go do innego korytarza, znacznie brudniejszego. Korytarz wiódł do łazienego przedsionka. Tam wydano Inocentemu kawałek zwykłego mydła mniejszy niż pudełko zapalek i kazano się myć.

Inocenty długo nie mógł się zdecydować. Przyzwyczajony był do zwierciadlanej czystości łazienek wyłożonych kafelkami i ten drewniany przedsionek, który w oczach przeciętnego człowieka byłby zupełnie czysty, jemu wydawał się siedliskiem brudu. Z trudem znalazł wystarczająco suche miejsce na ławce, rozebrał się tam i z uczuciem odrazy zrobił parę kroków po drewnianych kratkach z widocznymi śladami bosych i obutych stóp. Z przyjemnością wcale by się nie rozbierał i nie kąpał, ale drzwi otworzyły się i kowal w białym fartuchu rozkazał mu iść pod prysznic.

Za zwyczajnymi, wcale nie więziennymi, cienkimi drzwiami,

z dwoma niezaszklonymi wycięciami — były prysznice. Nad czterema drewnianymi kratkami, które w oczach Inocentego też były brudne, zwisały cztery blaszane lejki, z których mogła lać się znakomita gorąca i zimna woda, czego też Inocenty nie docenił. Cztery źródła wody dla jednego człowieka! — a Inocenty nie odczuł żadnej radości (gdyby wiedział, że w świecie zeków najczęściej cztery osoby przypadają na jeden prysznic, to może by docenił swoją szesnastokrotną przewagę!). Ohydne, cuchnące mydło (w ciągu trzydziestu lat życia ani razu nie trzymał niczego takiego w ręku, i nawet nie wiedział, że coś podobnego istnieje!) z obrzydzeniem wyrzucił jeszcze w przedsionku. Teraz w ciągu paru minut opłukał się trochę, przede wszystkim chcąc zmyć resztki włosów, które go kłuły — i z uczuciem, że wcale się tu nie wykapał, tylko raczej zabrudził — wrócił, żeby się ubrać.

Ale daremnie. Ławki były puste, cała jego wspaniała, chociaż poszarpana teraz odzież została zabrana i tylko kalosze ze sterzącymi z nich butami wepchnięte były pod ławkę. Drzwi na zewnątrz były zatrzaśnięte, o k o zasłonięte. Inocenty nie miał innego wyjścia, mógł tylko usiąść w pozie „Myśliciela” Rodina i na golasa rozmyślać, schnąc powoli.

Następnie wydano mu grubą, zniszczoną od prania więzienną bieliznę z czarnymi stemplami „Więzienie Wewnętrzne” na plecach i na brzuchu i bawełnianą, opatrzoną takimiż pieczęciami, złożoną we czworo kwadratową szmatkę. Inocenty nie od razu zgadł, że pełniła ona rolę ręcznika. Bielizna miała guziki niciano-teksturowe, ale nawet tych nie starczało; były też tasiemki, ale częściowo pourywane. Krótkie kalessony okazały się dla Inocentego za ciasne i piły w kroku. Koszula za to była zbyt duża, jej rękawy sięgały aż do palców. Nie chciano mu bielizny wymienić, bo Inocenty już ją nieostrożnie zużył przymierzając.

W tej niedopasowanej bieliźnie Inocenty długo jeszcze siedział na ławce. Powiedziano mu, że jego odzież jest w „odwyszalni”. Było to nowe dla Inocentego słowo. W ciągu całej wojny, kiedy kraj pełen był kamer do dezynfekcji, nie trafił na żadną z nich. Ale do bezmyślnych szykan dzisiejszej nocy zupełnie pasowała również „odwyszalnia” (wyobrażał sobie swoją odzież prażącą się na jakiejś wielkiej patelni).

Inocenty próbował trzeźwo rozpatrzyć swoją sytuację i obmyśleć sposoby zachowania się — ale myśli plątały mu się i rozpełzały: głowę zaprzętały mu to za wąskie gacie, to patelnia, na której leżał właśnie jego mundur, to badawcze oko zaglądale przez otwór z uchyloną zasłonką.

Prysznic odpędził senność, ale opadło go nużące osłabienie. Miał ochotę położyć się na czymś suchym i niezbyt zimnym —

i tak leżeć bez ruchu, odzyskując uchodzące siły. Ale kłaść się gołymi żebrami na wilgotnych, kanciastych deskach ławki (rozdzielone były szerokimi szparami) — na to nie mógł się zdecydować.

Otworzyły się drzwi, ale nie przynieśli mu jeszcze odzieży z odwyszalni. Obok łaźiebego nadzorca stała rumiana dziewczyna w cywilnej sukni; miała szeroką twarz. Wstydliwie zasłaniając luki w swojej bieliźnie Inocenty podszedł do progu. Panienska kazała Inocentemu podpisać się na kopii i wręczyła mu różowy kwit, gdzie było napisane, że 26 grudnia br. Wewnętrzne Więzienie MGB ZSSR przyjęło od Wołodina I. A. na przechowanie: zegarek w kopercie z złotego metalu, nr zegarka... nr mechanizmu...; pióro wieczne w futerale z złotego metalu z podobną stalówką; broszkę do krawata z czerwonym kamieniem w oprawie; spinki z granatowymi kamieniami — jedną parę.

I znów skulony Inocenty musiał czekać. Nareszcie przynieśli jego odzież. Palto wróciło w całości, było chłodne, żakiet natomiast, spodnie i wierzchnia koszula były wymięte, wypłowiałe i jeszcze gorące.

— Czyż nie można było oszczędzić munduru, tak samo jak palta? — oburzył się Inocenty.

— Palto jest na futrze. Trzeba znać przepisy! — pouczył go kowal.

Nawet własne ubranie po powrocie z odwyszalni stało się obrzydłe, obce. Czując, że ma na sobie niewygodne, cudze rzeczy, Inocenty znów został odprowadzony do swojego boksu numer 8.

Poprosił o wodę i chciwie wypił dwa kubki. Kubek był ten sam, z kotkiem.

Tu zjawiła się jeszcze jedna pannica i za pokwitowaniem wydała mu niebieskie zaświadczenie, że dziś 27-go (już?... ) grudnia Wewnętrzne Więzienie MGB ZSSR przyjęło od Wołodina I. A. jeden podkoszulek jedwabny, jedną parę jedwabnych kalesonów, szelki i krawat.

Wciąż tak samo buczała tajemnicza maszyna.

Zostawszy sam Inocenty skrzyżował ręce na stoliku, położył na nich głowę i spróbował pospać na siedząco.

— Nie wolno! — powiedział, otwierając drzwi, nadzorca z nowej zmiany.

— Czego nie wolno?

— Nie wolno kłaść głowy!

Inocenty dalej czekał. Myśli mu się plątały.

Znów przyniesiono mu kwit, tym razem na białym papierku, że Wewnętrzne Więzienie MGB ZSSR przyjęło do depozytu od Wołodina I. A. 123 (sto dwadzieścia trzy) ruble.

I znowu przyszedł — Inocenty nie widział go dotąd — mężczyzna w granatowym kitlu, pod którym nosił garnitur z drogiego, brązowego materiału.

Gdy wręczano kwity, za każdym razem sprawdzano też nazwisko. Teraz też przepytano Inocentego od początku: nazwisko? imię, imię ojca? rok urodzenia? miejsce urodzenia? — następnie zaś nowoprzybyły powiedział rozkazująco:

— Bez.

— Co? — zdziwił się Inocenty.

— No, bez rzeczy! Ręce do tyłu! — w korytarzu rozkazy wydawano półgłosem, żeby w innych boksach nie słyszano.

CMokając językiem wciąż na tego samego niewidzialnego psa, mężczyzna w brązowym garniturze poprowadził Inocentego przez główne wyjście i jeszcze przez jakiś korytarz do dużego pokoju o wyglądzie już nie więziennym — z portierami zasłaniającymi okna, z miękkimi meblami i biurkami. Posadzono Inocentego na krześle pośrodku pokoju. Pomyślał, że teraz zacznie się badanie.

Tymczasem zaś zza portiery wyjechało polerowane, brązowe pudło aparatu fotograficznego, z dwóch stron oświetlono Inocentego ostrym światłem, sfotografowano go *en face*, a także z profilu.

Naczelnik, który tu Inocentego przyprowadził, brał teraz kolejno każdy palec jego prawej ręki i ocierał go brzuścem o lepki czarny wałek wymazany tuszem, tak że końce wszystkich pięciu palców poczerniały. Następnie mężczyzna w granatowym kitlu rozczepierzył równomiernie palce Inocentemu, silnie przycisnął je do białego arkusza i zaraz oderwał. Na blankiecie zostało pięć czarnych plam z białymi liniami papilarnymi.

Tak samo uczerniono i odbito na papierze palce lewej ręki.

Nad odbitkami na blankiecie widniał napis:

Wołodin, Inocenty Artiemiewicz, 1919, m. Leningrad.

a jeszcze wyżej — dużymi, czarnymi, drukowanymi literami:

**ZACHOWAĆ W AKTACH BEZTERMINOWO!**

Przeczytawszy tę formułę Inocenty wzdrygnął się. Było w niej coś mistycznego, przerastającego ludzkie i ziemskie sprawy.

Mydłem, szczotką i zimną wodą pozwolono mu umyć ręce. Lepka farba schodziła z trudem, zimna woda spływała po niej do umywalki. Inocenty skoncentrował się na tarciu końców palców namydloną szczotką i nie zadawał sobie nawet pytania ile jest logiki w tym, że kąpiel poprzedziła to smarowanie rąk.

Jego wytracony z równowagi, znużony umysł opanowała teraz ta kosmiczna formuła:

**ZACHOWAĆ W AKTACH BEZTERMINOWO!**

## LXXXIV

### DRUGI ODDECH

W całym życiu Inocentego nie było jeszcze takiej długiej, bezkresnej nocy. Nie spał ani chwili i tyle najrozmaitszych myśli przewalało się przez jego głowę, że w ciągu miesiąca spokojnego życia mniej ich bywa. Miał dość czasu na rozmyślania — i podczas długiego prucia złotych haftów z munduru dyplomatycznego, i podczas półgołego przesiadywania w łaźni, i w licznych boksach, które zwiedził.

Był uderzony trafnością nagłówka kwestionariusza: „Zachować w aktach bezterminowo”.

Istotnie, czy uda im się dowieść, że to on telefonował, czy nie (rozmowa była chyba jednak podsłuchiwana) — ale skoro go aresztowali, to już stąd nie wypuszczą. Znał łapę Stalina — kto się raz w jej zasięgu znalazł, ten już do życia nie wracał. Dobrze, jeżeli czekał go po prostu tylko obóz, ale może — z uwagi na rangę — pisany mu był jakiś klasztor zamieniony na więzienie, gdzie nie wolno we dnie siadać, a całymi latami — mówić. I nikt nigdy nie dowie się o nim a on sam nic nie będzie wiedział, co dzieje się w świecie, choćby nawet całe kontynenty przeszły pod inny sztandar, albo ludzie wylądowali na księżycu. Niemych więźniów można nawet powystrzelać w pojedynczych celach. Zdarzało się...

Ale czy on boi się śmierci?...

Jeszcze wieczorem Inocenty był rad każdemu drobnemu wydarzeniu, każdemu otwarciu drzwi, przerywającemu to samotne siedzenie w pułapce. Teraz natomiast miał chęć przemyślenia do końca czegoś, co niezupełnie jeszcze rozumiał — i był zadowolony, że zaprowadzono go do dawnego boksu i że długo mu nie przeszkadzano, chociaż wciąż zaglądano przez judasza.

Nagle jakby mu związało cienką mgłą z mózgu: bardzo wyra-



ziście stanęło mu przed oczyma to, co przeczytał poprzedniego dnia:

„Wiara w nieśmiertelność zrodziła się z żądzы trapiącej ludzi nienasyconych. Mędrzec potrafi uznać czas, jaki darowała nam natura, za wystarczający do obejścia całego kręgu dostępnych człowiekowi rozkoszy...”

Ach, czy tu chodzi o rozkosze! Miał przecież pieniądze, ubrania, ludzki szacunek, kobiety, trunki, podróże — ale wszystkie te przyjemności posłałby z chęcią do diabła w zamian za sprawiedliwość.

Iluz tu było innych, takich samych jak on, nieznanych mu ani z twarzy, ani z nazwiska — za ceglanyimi murami tego budynku! I jak ciężko umierać nie zetknąwszy się z nimi myślą, ani sercem!

Dobrze to być filozofem pod cieniem rozłożystych gałęzi w czasach cichych, nieruchawych i pogodnych!

Teraz, kiedy nie miał ołówka ani notesu, tym droższe mu było wszystko, co wypływało z ciemnych głębin pamięci. Przypomnił sobie z całą wyrazistością:

„Nie trzeba bać się cierpień fizycznych. Długie cierpienie zwykle jest znośne, wielkie zaś — nie trwa długo”.

A na przykład siedzenie bez snu, bez powietrza, przez całą dobę, w takim boksie, gdzie nie można wyprostować nóg, jest cierpieniem długim, czy nie długim? małym, czy wielkim? Albo — dziesięć lat w pojedynce i żeby słowa nie wolno było głośno powiedzieć?...

Tam, w gabinecie fotografii i daktyloskopii, Inocenty zauważył, że zbliża się druga w nocy. Chyba już niedługo trzecia. Głupia myśl załęgła mu się w głowie, pędząc precz myśli poważne: jego zegarek złożono teraz w przechowalni. Póki nakręcony — będzie sobie chodził. Później stanie, nikt go już nie nakręci i wskazówki zatrzymają się w jakiejś pozycji, wciąż w tej samej, która nie zmieni się, aż do śmierci właściciela, albo konfiskaty zegarka wraz z resztą majątku. Ciekawe jaką godzinę będzie wtedy wskazywać?

Czy Dotti czeka na jego przyjazd do operetki? Chyba czekała? Czy dzwoniła do ministerstwa? Pewno nie dzwoniła; od razu przyszli do niej na rewizję. Ogromne mieszkanie! Pięciu ludzi nie da rady przez całą noc. I czy co znajdą, durnie?...

Dotti przeprowadzi rozwód, wyjdzie za mąż.

Teść już nie będzie awansować — taka plama! Ale będzie charkał, ale będzie się go wypierał!

Wszyscy, którzy znali radcę Wołodina, wiernopoddańczo wykreślą go teraz z pamięci.

Przywali go głucha lawina — i nikt na świecie nigdy nie dowie się, jaki był jego koniec.

Przecież chciałby człowiek dożyć i przekonać się, jak to będzie dalej? Świat się zjednoczy. Ustanie wrogość wzajemna ludów. Znikną granice państw, armie. Zwołany zostanie parlament światowy. Dojdzie do wyborów prezydenta planety. Prezydent obnaży głowę przed człowieczeństwem i powie:

— Z rzeczami!

— Co?...

— Z rzeczami!

— Z jakimi rzeczami?

— No, z tymi ciuchami.

Inocenty wstał z taboretu trzymając w ręku palto i czapkę, szczególnie mu teraz miłe, dlatego że nie zniszczyła ich dezynfekcja. W szparze drzwi, odsuwając klucznika pojawił się smagły, zuchowaty (gdzie znaleźli tych gwardystów? Po co im tu oni?) podoficer z błękitnymi pagonami, zajrzał do papierka i zapytał:

— Nazwisko?

— Wołodin.

— Imię, imię ojca?

— Jak długo można?

— Imię, imię ojca!

— Inocenty Artemicz.

— Rok urodzenia?

— Dziewięćset dziewiętnasty.

— Miejsce urodzenia?

— Leningrad.

— Z rzeczami. Wyjść!

I ruszył pierwszy, cmokając umownie.

Tym razem wyszli na dwór; w ciemnościach krytego podwórca zeszli jeszcze po kilku stopniach w dół. Czy nie prowadzą aby na rozstrzelanie? — pomyślał sobie. Podobno rozstrzelują zawsze w piwnicach i zawsze w nocy.

W tej trudnej chwili podtrzymała go zbawcza myśl: po co by wtedy wydawano te trzy kwity? Nie, to nie rozstrzelanie!

(Inocenty jeszcze wierzył, że wszystkie macki współgrają ze sobą mądrze!)

Wciąż tak samo cmokając, zuchowaty podoficer wprowadził go do budynku i przez ciemną sień doszedł do windy. Jakaś kobieta trzymająca stos żółtawo-szarej wyprasowanej bielizny, stała z boku i przyglądała się, jak Inocenty wchodzi do windy z konwojentem. I chociaż ta młoda praczka była nieładna, chociaż jej pozycja społeczna była zupełnie poślednia i chociaż parzyła na Inocentego tym samym nieprzeniknionym, kamiennie

obojętnym spojrzeniem, co wszystkie inne tutejsze kukły ludzkie, ale Inocentemu w jej obecności — podobnie jak przy dziewczętach z przechowalni, które przynosiły mu kolorowe kwity — zrobiło się przykro, że kobieta widzi go w takim oberwanym, żalonym stanie i może myśleć teraz o nim z politowaniem.

Ta myśl zniknęła tak samo szybko jak się zjawiała: tak, czy owak przecież — „przechowanie bezterminowe”...

Podoficer zamknął drzwi windy i przycisnął guzik — ale numery pięter nie były uwidocznione.

Ledwie odezwały się silniki windy — Inocenty od razu rozpoznał buczenie tej tajemniczej maszyny, która miała mleć kości aresztantów za ścianą jęgo boks.

Uśmiechnął się smutno.

Zresztą ta przyjemna omyłka dodała mu otuchy.

Winda stanęła. Podoficer wyprowadził Inocentego na klatkę schodową a stamtąd od razu do szerokiego korytarza, w którym raz po raz migali nadzorcy z niebieskimi pagonami i białymi wypustkami. Jeden z nich zamknął Inocentego do boks bez numeru, tym razem jednak większego, o powierzchni jakichś dziesięciu metrów kwadratowych, oświetlonego niezbyt ostro, ze ścianami pomalowanymi aż do sufitu oliwkową farbą olejną. Ten boks, czy może cela, był pusty, sprawiał wrażenie niebardzo czystego, zamiast podłogi miał wydeptaną cementową nawierzchnię, w jego ścianę wpuszczona była drewniana, niezbyt szeroka ławka, na której mogło usiąść trzech ludzi naraz. Było tu chłodnawo, co zwiększało ogólne wrażenie nieprzytulności. Tu także był w drzwiach otwór obserwacyjny, ale zasłonka podnosiła się niezbyt często.

Z zewnątrz dochodził szurgot butów. Jak widać, nadzorcy wciąż przychodzili i wychodzili; w więzieniu wewnętrznym kwitło życie nocne.

Inocenty myślał przedtem, że będzie wsadzony na stałe do ciasnego, jaskrawo oświetlonego, dusznego boks nr 8 — i dęczył się tym, że nie ma tam gdzie nóg wyciągnąć, że światło razi w oczy i że oddychać trudno. Teraz zrozumiał swoją omyłkę, przyjął, że będzie umieszczony w tym dużym, nieprzytulnym, anonimowym boksie — i martwił się, że nogi, będą mu marznąć na cementowej podłodze, że ciągły ruch i szurgot za drzwiami będą go drażnić, a brak światła go zadręczy. Jak tu brak było okna! — niechby zupełnie małe, takie nawet, jakie zdobi w operowej dekoracji ścianę więziennego lochu — ale nawet tego nie było.

Można słyszeć o tym Bóg wie ile opowiadań, czytać o tym w pamiętnikach — i mimo to nie można było sobie tego wy-

obrazić: korytarze, schody, mnóstwo drzwi, pełno oficerów, sierżantów, obsługi, wszystko to wędruje w środku nocy po całej Wielkiej Łubiance, ale nigdzie nie ma ani jednego aresztanta, nie można spotkać, ani jednego człowieka takiego jak ty, nie słyhać nigdzie ani jednego nieurzędowego słowa, zresztą, urzędowych też prawie nie słyhać. Wydaje się człowiekowi, że całe to ogromne ministerstwo nie śpi tej nocy tylko ze względu na niego, że zajęte jest tylko nim i jego przestępstwem.

Miażdżące działanie pierwszych godzin więzienia opiera się na pomysłe oddzielenia więźnia od wszystkich innych aresztantów, aby nikt nie dodał mu otuchy, żeby tylko na niego parł ten cały system, stanowiący z kolei oparcie dla rozgałęzionego, olbrzymiego aparatu.

Myśli Inocentego nabrały cierpiętniczkiej barwy. Telefon, który onegdaj jeszcze wydawał mu się szlachetnym czynem, dzisiaj był w jego oczach nieprzemysłanym, bezcelowym samobójstwem.

Teraz można by w tym boksie wreszcie pospacerować, ale znękany, zadręczony przez procedury Inocenty nie miał już na to sił. Przemierzył celę dwa razy, usiadł na ławce i ramiona zwisły mu wzdłuż łydek jak szmaty.

Ile wielkich, a nieznanym potomnym zamysłów pogrzebały już te ściany, wessały już te boksy!

Przeklęty, przeklęty sentymentalizm... Dziś, albo jutro Inocenty wyleciałby do Paryża i zaraz by zapomniał o tym niešťęsnym, którego i tak przecież wcale nie uratował.

I kiedy wyobraził sobie swój wyjazd nie w oderwaniu, tylko właśnie w ciągu rozpoczynającej się doby — to aż zapařło mu dech, tak zawrotnie nieosięgalna wydała mu się teraz wolność. Teraz z żałości można było rwać pazurami ściany celi!...

Ale ponowne otwarcie drzwi uchroniło go przed tym pogwałceniem regulaminu więziennego. Znowu sprawdzono jego „dane”, na co Inocenty odpowiadał jak przez sen i kazano iść „z rzeczami”. Ponieważ Inocenty trochę zmarł w boksie, miał teraz czapkę na głowie, a palto narzucił na ramiona. Chciał wyjść w ten sposób nie wiedząc, że to dawało mu możliwość niesienia pod paltem dwóch nabitych pistoletów, albo dwóch kindżałów. Kazano mu włożyć palto jak należy i ręce w rękawach założyć za plecy.

Znowu rozległo się cmokanie, zaprowadzono go na klatkę schodową z windą i kazano zejść po schodach na dół. W sytuacji Inocentego najpożyteczniejszym by było zapamiętać ile zrobił zakrętów, ile kroków przeszedł, żeby później, w wolnej chwili, zorientować się w rozkładzie więzienia. Ale tak bardzo zmienił się jego stosunek do świata, że szedł jak nieprzytomny i nie

zauważył, ile piętér kazano mu zejść — a tu, zza jakiegoś zakrętu, wyszedł im na spotkanie inny, wysoki nadzorca, tak samo cmokający z takim samym natężeniem, jak ten, który prowadził Inocentego. Strażnik Wołodina ostrym ruchem otworzył drzwi zielonej budki z dykty tarasującej i tak już ciasny podest schodów, wepchnął tam Inocentego i zatrzasnął drzwi opierając się o nie. Wewnątrz było tylko miejsce do stania. Rozproszone światło padało z góry. Jak się okazało budka nie miała daszka i docierał tam blask lampy z klatki schodowej.

Naturalnym odruchem ludzkim byłby głośny protest, ale Inocenty zaczynał się przyzwyczajać do niezrozumiałych łubiańskich wyskoków i wciągać się w milczącą tutejszą zabawę, był więc posłuszny i cichy: robił to, czego od niego wymagało więzienie.

Ach, dlatego wszyscy na Łubiance cmokali: w ten sposób zawiadamiali, że prowadzą aresztanta. Nie wolno było żeby więzień spotkał się z więźniem! Nie wolno było spojrzeć sobie w oczy i nabrać otuchy!...

Ten drugi przeszedł obok, Inocenty został wypuszczony z budki i ruszył dalej. I właśnie tu, na stopniach ostatniego półpiętra, Inocenty zauważył, jak bardzo stare są te stopnie! niczego podobnego nie widział nigdzie w ciągu całego życia. Od skrajów aż ku środkowi starte były głębokimi łukami dochodzącymi do połowy ich grubości.

Wzdrygnął się: ile nóg w ciągu tych trzydziestu lat! ile to razy trzeba było szurać po kamieniu podeszwą, żeby go zeszlifować tak głęboko! I z każdych dwóch, którzy tędy szli, jeden był strażnikiem, drugi — więźniem.

Na podeście schodów znaleźli się przed zamkniętymi drzwiami z dobrze zamkniętym, zakratowanym okienkiem. Tu Inocenty został poddany jeszcze jednej operacji — kazano mu stanąć twarzą do ściany. Mimo to, patrząc bokiem dostrzegł, że jego konwojent nacisnął dzwonek elektryczny, później okienko otworzyło się nieufnie i znowu się zamknęło. Klucz zachrobotał głośno, drzwi się rozwarły, wyszedł stamtąd ktoś, dla Inocentego niewidzialny i zaczął od pytania:

— Nazwisko?

Inocenty obejrzał się naturalnie, bo ludzie przyzwyczajeni są do patrzenia na siebie w trakcie rozmowy i zdążył rozróżnić jakąś twarz nie męską i nie kobiecą, pulchną, obwisłą, z dużą czerwoną plamą od oparzenia, a pod tą gębą złote epolety lejtnanta, ale lejtnant zaraz krzyknął na Inocentego:

— Nie oglądać się!

I dalej zadawał te same uprzykrzone pytania, na które Inocenty odpowiadał białej ścianie, jaką miał przed oczyma.

Przekonawszy się, że aresztant wciąż uważa się za tę samą osobę, która wskazana jest na kartce i wciąż jeszcze pamięta miejsce i rok swego urodzenia, gąbczasty lejtnant sam zadzwonił do drzwi, które tymczasem za nim zamknięto. Znow podniosła się nieufnie kłapa w okienku, ktoś wyrzwał przez szparę, zamknął kłapę i otworzył drzwi hałasując kluczem.

— Wejść! — powiedział ostro lejtnant z ogniem na gąbczastej gębie.

Przeszli przez próg i drzwi za nimi zamknęły się ze zgrzytem klucza.

Inocenty ledwie zdążył zobaczyć rozchodzący się w trzy strony — przed siebie, na prawo i na lewo — mroczny korytarz z szeregiem drzwi, ze stołem stojącym na lewo od wejścia, z szafką centralki telefonicznej, z grupą jakichś nowych strażników — a już lejtnant rozkazał mu niezbyt głośno, ale bardzo dobitnie w panującej tu ciszy:

— Twarzą do ściany, nie ruszać się!

Co za głupia sytuacja — patrzeć z bliska na granicę między oliwkową farbą i białym tynkiem, czując jednocześnie na karku kilka par wrogich oczu!...

Lejtnant musiał chyba zajrzeć do jego karty, bo minęła chwila, zanim powiedział bardzo wyraźnym szeptem; cisza wciąż była głęboka:

— Do trzeciego boks!

Od stołu oderwał się jeden ze strażników i starając się nie dzwonić swoimi kluczami, ruszył po parcianym chodniku wyściełającym prawy korytarz.

— Ręce do tyłu! Marsz! — bardzo cicho rzucił Inocentemu.

Z jednej strony ciągnęła się wciąż ta sama, obojętna, oliwkowa ściana; załamywała się trzykrotnie. Po drugiej stronie przesuwaly się drzwi, na których wisiały owalne blaszki z numerami:

„47”

„48”

„49”

a pod nimi kłapki na judaszach. Czując przyptyw ciepła, pomyślał, że tak niedaleko są przyjaciele i zachciało mu się podejść, podnieść kłapkę, przyłożyć na chwilę oko do szkła, i spojrzeć na życie zamknięte w celi — ale strażnik kazał mu iść szybko — a co ważniejsze Inocenty zdążył już nasiąknąć więzienną potulnością, chociaż czego właściwie miał się jeszcze bać człowiek już zgubiony?

Nieszczęściem dla ludzi, a szczęściem dla ich władców, człowiek taką ma naturę, że póki życia — zawsze jeszcze ma coś do stracenia. Nawet dożywotniego więźnia, pozbawionego już ruchu, nieba, rodziny i majątku, można jeszcze na przykład — przenieść do mokrego karceru, odebrać mu ciepłą strawę, bić



pałką — i te małe, ostatnie już, kary, tak samo są dla człowieka bolesne jak bolesny był upadek z wyżyn sukcesu i pomyślności. I aby uniknąć tych dotkliwych, ostatnich może kar, więzień mechanicznie stosuje się do przepisów znieawidzonego, poniżającego regulaminu więziennego, który powoli zabija w nim człowieka.

Za nowym zakrętem drzwi zbliżyły się do siebie gęsto i lusterka blaszek głośiły na nich teraz:

„1”

„2”

„3”

Strażnik odemknął drzwi trzeciego boksu i gestem trochę tu komicznym — bo szerokim i zamaszycie gościnnym — rozwarł je przed Inocentym. Inocenty zwrócił uwagę na komizm tej chwili i przyjrzał się lepiej strażnikowi. Był to chłopak barczysty, niewysoki, o czarnych, gładkich włosach i oczach niesymetrycznych, jak przeciętych krzywym uderzeniem szabli. Miał wygląd nie wróżący niczego dobrego, ani śladu uśmiechu na wargach, czy w oczach, ale z dziesiątków łubiańskich obojętnych pysków widzianych tej nocy, tylko nieprzyjemna twarz ostatniego strażnika mogła wzbudzić jakąś sympatię.

Inocenty rozejrzał się po boksie, gdzie go zamknięto. W ciągu tej nocy widział już tyle boksów, że mógł uważać się za specjalistę. Z Bogiem sprawa: trzy i pół stopy szerokości, siedem i pół długości, drewniany parkiet, duża i szeroka ława prawie na całą długość ściany, wpuszczona w nią jedną krawędzią, a przy samych drzwiach — mały, drewniany, sześciokątny stolik, stojący luzem. Boks był, rozumie się, bez żadnych okien, w górze ział tylko zakratowany otwór wentylacyjny. Boks tym się jeszcze wyróżniał, że był bardzo wysoki — miał ze trzy i pół metra, i na wszystkie te metry składała się biała ściana lśniąca w świetle dwustuwatowej żarówki wiszącej nad drzwiami w osłonie z drutu. Dzięki lampce w boksie było ciepło, ale światło aż rżnęło oczy.

Więzienne nauki należą do tych, które człowiek sobie przyswaja szybko i dokumentnie. Tym razem Inocenty nie robił sobie iluzji; nie spodziewał się, że na długo zostawią go w tym wygodnym boksie, ale — widząc długą, gołą ławkę — zrozumiał ten były sybaryta, który z każdą godziną przestawał być sybarytą, że jego pierwszym i najważniejszym obowiązkiem jest wykorzystać teraz okazję do snu. I tak, jak małe zwierzątko pozbawione matczynej opieki, z podszeptu własnej natury odgaduje wszystkie niezbędne dla siebie sposoby zachowania, podobnie Inocenty szybko rzucił na ławkę płaszcz, robiąc z rękawów i kołnierza gnieciuch w rodzaju poduszki. I natychmiast się



położył. Poczł się wygodnie. Zamknął oczy i zaczął sposobić się do snu.

Ale nie mógł zasnąć! Tak mu się chciało spać, kiedy mu nie pozwalano! Teraz przebrnął już przez wszystkie stadia zmęczenia i dwukrotnie ze stanu świadomości przechodził na chwilę w drzemkę — i to gdy mógł sobie pospać — sen nie nadchodził! Podniecenie, które stale w nim budzono na nowo, rozhuštało się i w żaden sposób nie chciało ustąpić. Borykając się z rozmaitymi przypuszczeniami, spóźnionymi żalami i wciąż nowymi pomysłami, Inocenty próbował równomiernie oddychać i miarowo liczyć. Strasznie szkoda nie móc usnąć, kiedy całym ciałem czuje się ciepło, żebrami gładkość ławki, kiedy nogi można wyciągnąć na całą długość, a strażnik jakoś człowieka nie budzi!

Na takim leżeniu minęło pół godziny. Już nareszcie zaczynały się mącić myśli, a od nóg w górę ciała popęzłło obezwładniające ciepło.

I nagle Inocenty zdał sobie sprawę, że w ogóle nie można zasnąć przy tym obłędnie jaskrawym świetle. Nie tylko przesączało się pomarańczową łuną przez zamknięte powieki, ale namacalnie, z nieznośną siłą tłoczyło gałki oczne. To ciśnienie światła, którego nigdy przedtem nie doświadczał, teraz zupełnie wyprowadzało go z równowagi. Próżno było przewracać się z boku na bok i szukać pozycji, w której by światło tak nie dokuczało. Zdesperowany Inocenty wreszcie usiadł i opuścił nogi.

Zasłonka na jego oku często się podnosiła, słyzał ten szelest — więc przy kolejnym szmerze szybko podniósł palec.

Drzwi otwarły się zupełnie bezszelestnie. Zyzol w milczeniu patrzył na Inocentego.

— Proszę was, wyłączcie tę lampę! — odezwał się Inocenty z błaganiem.

— Nie wolno — powiedział zyzol zupełnie obojętnie.

— No, to zamieńcie ją! Wkręćcie jakąś mniejszą! Po co taka wielka żarówka na taki mały... boks?

— Mówcie ciszej! — odparł strażnik bardzo cicho. Istotnie, za jego plecami obszerny korytarz i całe więzienie trwały w grobowym milczeniu. — Tu się mówi tylko wtedy, kiedy wolno.

A jednak było coś żywego w tej martwej twarzy! Wyczerpawszy temat i wiedząc, że drzwi zaraz się zamkną, Inocenty poprosił:

— Dajcie chociaż napić się wody!

Strażnik skinął głową i zamknął drzwi bez szelestu. Nie było słycać jak poszedł precz po parcianym chodniku i jak wrócił; kluczem lekko brzęknął w zamku i już stanął w drzwiach z kubkiem wody. Tak samo jak na pierwszym piętrze, więzienny

kubek ozdobiony był wizerunkiem kotka, tylko bez okularów, bez książki i bez ptaszka.

Inocenty upił z przyjemnością i między jednym łykiem a drugim popatrzył na czekającego w progu strażnika. Ten zaś przekroczył próg jedną nogą, przymknął drzwi na ile pozwalała mu szerokość jego barów mrugnął zupełnie nieregulaminowo i zapytał cicho:

— Kim ty byłeś?

Jak dziwnie to zadźwięczało! — Ludzkie słowa, pierwsze tej nocy! Wstrząśnięty żywym tonem pytania, cichym, konspiracyjnym głosem strażnika — i dobity tym celowo użytym, bezliatosnym słówkiem „byłeś” — Inocenty odparł szeptem, wchodząc jakby w zмовę z nadzorcą.

— Dyplomata. Radcą stanu.

Strażnik pokiwał głową ze współczuciem i powiedział:

— A ja byłem marynarzem Floty Bałtyckiej! — odczekał chwilę. — Za coś tu trafił?

— Sam nie wiem — najeżył się Inocenty. — Bez żadnego powodu.

Strażnik potakiwał ze współczuciem.

— Wszyscy tak z początku mówią — powiedział zgodliwie. I nagle rzucił: — A pokakać byś nie chciał?

— Jeszcze nie — odparł Inocenty ze ślepotą nowicjusza nie dostrzegając, że ta propozycja była największą koncesją, jakiej mógł udzielić strażnik i jednym z największych przywilejów na świecie, dostępnych więźniowi tylko według planu.

Po tej rozmowie pełnej treści, drzwi się zamknęły i znów Inocenty wyciągnął się na łóżku daremnie walcząc ze światłem gniotącym mu bezbronne powieki. Próbował zasłonić oczy ręką — ale ręka prędko mu drętwiała. Pomyślał, że dobrze byłoby teraz skrócić w powrósłto chustkę do nosa i przykryć nią oczy — ale gdzież teraz była jego chusteczka?... Ajajaj, czemu nie podniósł jej wtedy z podłogi? Jaki głupi szczeniak był z niego jeszcze wczorajszego wieczoru!

Drobiazgi — jakaś chustka do nosa, puste pudełko od zapalek, kawałek nitki, albo guzik z masy plastycznej — to najbliżsi przyjaciele więźnia! Zawsze w końcu przyjdzie chwila, kiedy któryś z nich okaże się niezbędny i na pewno pomoże!

Nagle drzwi się otworzyły. Zyzol z rąk do rąk podał Inocentemu czerwony materac w pasy. O, co za чудо! Łubianka nie tylko nie przeszkadzała spać — troszczyła się również o sen aresztanta!... Materac był złożony na pół, w środek wciśnięta była mała poduszka z pierza, powłoczka, prześcieradło — obie z pieczęcią „Więzienie wewnętrzne”. Był nawet stary kocyk.

Co za rozkosz! Teraz nareszcie sobie pośpimy! Pierwsze wrażenia w tym więzieniu były chyba zbyt pesymistyczne! W przeżuciu rozkoszy (i pierwszy raz w życiu robiąc to własnoręcznie) Inocenty oblókł poduszkę, rozścielił prześcieradło (materac odrobinę zwisał z ławki, bo była wąska) zrzucił ubranie, położył się, przykrył oczy rękawem frencza — teraz nic mu już nie przeszkadzało! i już zaczął zapadać w sen, ten właśnie sen, który nosi nazwę objęć Morfeusza. Ale drzwi otwarły się z hałasem i strażnik powiedział:

— Wyjąć ręce spod kołdry!

— Jak to wyjąć?! — krzyknął Inocenty prawie z płaczem.  
— Po coście mnie obudzili! Tak trudno było mi zasnąć!

— Wyjąć ręce! — powtórzył strażnik z zimną krwią. — Ręce powinny leżeć na widoku.

Inocenty posłuchał. Ale to nie było takie proste zasnąć teraz z rękoma na kołdrze. To był diabelski pomysł! Naturalne, zakorzenione, mimowolne przyzwyczajenie polega na tym, że człowiek woli chować ręce we śnie, żeby przytulić je do ciała.

Inocenty długo wiercił się, szukając sposobu, żeby dostosować się do nowej szykany. Ale w końcu sen zaczął brać górę. Słodkotrający czad osnuwał jego świadomość.

Nagle doszedł go jakiś hałas z korytarza. Trzaskały drzwi, najpierw dalej, potem coraz bliżej. Za każdym razem padało jakieś słowo. Już rozległo się tuż obok. Potem drzwi Inocentego też się otwarły:

— Pobudka! — kategorycznym tonem oznajmił marynarz Floty Bałtyckiej.

— Jak to? Dlaczego? — krzyknął Inocenty. — Całą noc nie spałem!

— Szósta godzina. Pobudka, jak w zegarku! — powtórzył marynarz i poszedł dalej z tą wiadomością.

Tu Inocenty poczuł już zupełnie niezwalczoną potrzebę snu. Runął na pościel i od razu odrętwiał.

Ale natychmiast — zdążył pospać nie więcej niż dwie minuty — zyzol otworzył drzwi z hałasem i powtórzył:

— Pobudka! Pobudka! Materac zwinąć w rulon!

Inocenty podniósł się na łokciu i mętym wzrokiem spojrział na swojego dręczyciela, który przed godziną wydawał mu się taki sympatyczny.

— Ależ ja nie spałem, zrozumcie!

— Nic nie chcę wiedzieć.

— Dobrze, zwinę materac, wstanę — i co dalej będę robić?

— A nic. Siedzieć.

— A dlaczego?

— Dlatego, że szósta rano, już wam było mówione.

— No, to usnę na siedząco!

— Nie pozwolę. Będę budzić.

Inocenty wziął się za głowę i zaczął się kiwać na boki. Coś w rodzaju współczucia przemknęło przez twarz zyzola.

— Chcecie się umyć?

— Chyba tak — powiedział po namyśle Inocenty i sięgnął po ubranie.

— Ręce do tyłu! Marsz!

Umywalnia była za zakrętem. Nie mając już nadziei na sen, Inocenty zdecydował się zdjąć koszulę i umyć zimną wodą do pasa. Pluskał do woli wodą na cementową podłogę dużej, zimnej umywalni. Drzwi były zamknięte i zyzol mu nie przeszkadzał.

Może nawet człowiek z niego, ale dlaczego nie uprzedził go o podstępie, o tym, że pobudka będzie o szóstej?

Zimna woda splukała z Inocentego jadowitą niemoc niedo-  
spanego snu. W korytarzu spróbował zapytać o śniadanie, ale strażnik mówić mu nie dał. W boksie odpowiedział:

— Śniadania nie będzie.

— Jak to nie będzie? A co będzie?

— O ósmej rano będzie pajka, cukier i herbata.

— Co to znów za pajka?

— Chleb, znaczy się.

— A kiedy śniadanie?

— Nie należy się. Od razu obiad.

— I cały czas mam siedzieć?

— No, dosyć pustego gadania!

Już zamykał drzwi, gdy Inocenty zdążył podnieść rękę.

— No, co jeszcze? — marynarz Floty Bałtyckiej otworzył drzwi szerzej.

— Obcięto mi guziki i rozpruto podszewkę — komu dać do zaszcucia?

— Ile tych guzików?

Przeliczyli.

Drzwi się zamknęły i wkrótce otworzyły znowu. Zyzol przyniósł igłę, dziesięć odciętych już kawałków nici oraz kilka guzików różnych wymiarów i gatunków — kościane, z masy plastycznej i drewniane.

— Co mi po takich guzikach? Przecież nie takie mi obcięto?

— Biercie! Takich też brak! — krzyknął zyzol.

Inocenty pierwszy raz w życiu zabrał się do szycia. Nie od razu domyślił się jak wiązać supełek na końcu nitki, jak prowadzić ścieg, jak kończyć przyszywanie guzika. Nie mogąc

korzystać z tysiącletniego doświadczenia rodu ludzkiego, Inocenty doszedł własnym przemyśleniem do umiejętności szycia. Wiele razy się kłuł, aż go rozbolały delikatne opuszki palców. Długo przyszywał podszewkę munduru i układał wybebeszoną watolinę w palce. Niektóre guziki poprzyszywał nie tam gdzie trzeba tak, że poły jego munduru się pofałdowały.

Ale nieśpieszna, wymagająca skupienia praca nie tylko skróciła oczekiwanie, lecz ponadto zupełnie uspokoiła Inocentego. Rytm jego wewnętrznych odruchów stał się miarowy. Nie czuł więcej strachu, ani przygnębienia. Jasno rozumiał, że nawet to gniazdo legendarnych okropności — więzienie Wielka Łubianka nie takie znów jest straszne, że tutaj też żyją ludzie (ach, jak bardzo chciał się z nimi spotkać!). Człowiek, który nie spał całą noc, nie jadł nic, którego życie w ciągu dziesięciu godzin uległo rozbiciu, znalazł teraz w sobie zdolność do głębszego spojrzenia, rozumienia istoty rzeczy, chwycił ten drugi o d d e c h, który kamieniejącemu ciału zapaśnika przywraca wytrzymałość i świeżość.

Jakiś inny strażnik zabrał igłę.

Następnie przyniesiono półkilogramową skibę czarnego, wilgotnego chleba z trójgraniastą dokładką i dwoma kostkami cukru.

Wkrótce też do kubka z kotkiem nalano mu z czajnika sztucznie barwionej, gorącej herbaty i obiecano repetkę.

Wszystko to znaczyło: jest ósma rano dwudziestego siódmego grudnia.

Inocenty wrzucił całodzienny zapas cukru do kubka i chciał, już zupełnie zapominając o fasonie, pomieszać palcem, ale palec nie wytrzymał temperatury wrzątku. Bełtając więc kubkiem kolistym wypił z rozkoszą płyn (jeść wcale mu się nie chciało) i podniesieniem ręki poprosił o nową porcję.

Drugi kubek, już bez cukru, Inocenty wchłonął z dreszczem rozkoszy, jeszcze ostrzej czując herbaciany aromat.

Myślał teraz z jasnością nigdy przedtem nie odczuwaną.

W ciasnym przejściu między ławą i przeciwległą ścianą, zaczepiając o zwinięty w rulon materac, zaczął się teraz przechadzać w oczekiwaniu walki — trzy kroczki naprzód, trzy kroczki wstecz.

Jeszcze jedna nie obalona i trudna na wolności do zrozumienia myśl Epikura zaświtała mu w pamięci:

„Intymne uczucia zadowolenia i niezadowolenia są najwyższymi kryteriami dobra i zła”.

Więc według Epikura dobrem jest wyłącznie to, co mi się podoba, a co mi się nie podoba — to jest złem.

Filozofia dzikusa!...

Stalin ma przyjemność z zabijania — a więc to jest dla niego dobrem? Iść do więzienia za to, że chciałeś uratować innego człowieka — to nie sprawia, mimo wszystko, żadnej przyjemności, ale czy to jest złem?

Nie! Dobro i zło dla Inocentego stały się dostrzegalnym ciałem i konkretnie zostały rozdzielone tymi jasno-szarymi drzwiami, tymi oliwkowymi ścianami, rozdzieliła je ta pierwsza więzienna noc.

Z wysokości walki i cierpienia, na którą się wzniosł, mądrość wielkiego filozofa starożytności zaczęła mu się wydawać niemowlęcym gaworzeniem.

Zgrzytnęły drzwi.

— Nazwisko? — ostro rzucił jakiś nowy strażnik o wschodnich rysach.

— Wołodin.

— Na przesłuchanie! Ręce do tyłu!

Inocenty skrzyżował ręce na plecach i wyszedł z boksu zadzierając wysoko brodę, jak ptak pijący wodę.

## LXXXV

### RANEK PRZED EGZEKUCJĄ

W szaraszce też była pora śniadania i porannej herbaty.

Ten dzień, który z rana zapowiadał się zupełnie zwyczajnie, z początku tylko tym różnił się od innych, że starszy lejtnant Szusterman czepiał się bardziej niż zwykle; szykował się do zmiany dyżuru i starał się przeszkodzić więźniom spać po dzwonku na pobudkę. Spacer też nie był miły; po wczorajszej odwilży nocą chwycił mroziak i wydeptane ścieżki na spacerniku pokryły się śliskim lodem. Wielu zeków wychodziło tylko po to, żeby zrobić jedno okrażenie i po paru poślizgach wrócić do więzienia. W izbach zaś, więźniowie siedzący na kojach, jedni na dolnych, a inni — podciągając nogi, albo zwieszając je — na górnych — nie spieszyli się do wstawania, tylko drapali się w piersi, ziewali i zabierali się od wczesnego ranka do niewesołych żartów nad sobą, nad swoim złym losem, albo też opowiadali sobie sny, co jest ulubionym, więziennym zajęciem.

Ale chociaż wśród tych snów było i przejście nad mętным potokiem po kładce i wzuwanie długich butów — to nie było snu, który by jasno wróżył hurtową wysyłkę na etap.

Sołogdin rankiem, jak zwykle, poszedł piłować drwa. W nocy miał okno otwarte, a wychodząc otworzył je jeszcze szerzej.

Rubin, z głową zwrconą w stronę tego samego okna, nie zamienił z Sołogdinem ani słowa. Tę noc też spędził bezsennie, położył się późno, poczuł teraz chłodny przeciąg od strony okna, nie wtrącał się do tego, co robił krzywdziciel, tylko włożył futrzaną czapkę z opuszczonymi nausznikami, włożył fufajkę; tak ubrany nakrył się kołdrą aż po czubek głowy i leżał pod nią skulony, nie wstając na śniadanie, za nic sobie mając upomnienia Szustermana i hałas panujący w izbie. Starał się odespać swoje.

Potapow wstał jeden z pierwszych, pospacerował, był też jednym z pierwszych przy śniadaniu. Już zdążył wypić herbatę,



zaścielił łóżko w kanciasty równoległocian i siedział czytając gazetę — ale całą duszą rwał się do roboty (miał dzisiaj wycechować ciekawe urządzenie miernicze swojego własnego pomysłu).

Na śniadanie były jagły, dlatego wielu nie poszło wcale do jadalni.

Gerasyłowicz, wręcz przeciwnie, długo siedział przy śniadaniu, metodycznie i bez pośpiechu posilając się małymi drobinkami kaszy.

Z drugiego kąta pustej na poły jadalni Nierżyn przywitał go skinieniem, siadł przy stole także zupełnie sam i zabrał się bez zapału do jedzenia.

Po śniadaniu Nierżyn wrócił na swoją górną koję, padł na wznak i patrzył w głąb sklepienia nad głową; chciał wykorzystać jeszcze kwadrans wolny od pracy. W celi dalej rozmawiano o Ruście. Nie wrócił na noc, nie było wątpliwości, że jest aresztowany. W sztabie więziennym była mała, ciemna klatka; tam go zamknęli.

Mówiono niezupełnie otwarcie, nie nazywano go na głos podwójnym agentem, ale to się rozumiało. Rozmowa obracała się dookoła tego, że d o w a l i ć nowego wyroku już mu nie mogą, ale żeby mu tylko nie zamienili dwudziestu pięciu lat ITŁ<sup>1</sup> na dwadzieścia pięć lat izolacji (w tym roku zaczęto już budować specjalne więzienia złożone z cel-pojedynek i coraz bardziej wchodziło w modę zamykanie w tych izolatorach). Rozumie się, że Szykin nie oskarży Ruśki o podwójną grę. Ale przecież wcale nie musi się oskarżać człowieka właśnie o to, czym zawinił; jeżeli jest blondynem, można zarzucić mu, że ma czarne włosy — a wyrok dać taki, jaki się należy blondynowi.

Gleb nie wiedział jak daleko zaszła u Ruśki sprawa z Klarą i czy wypada jakoś ją uspokoić? I jak mianowicie?

Rubin zrzucił kołdrę i ukazał się obecnym w swojej futrzanej czapce i fufajce, wszyscy roześmieli się. Nie miał zresztą nic przeciw temu aby śmiano się z jego osoby. Zdjąwszy czapkę, ale nie zdejmując fufajki i nie zamierzając jeszcze wstać, aby się ubrać, bo nie miało to już teraz większego sensu (czas na spacer, mycie i śniadanie tak czy owak był już stracony) Rubin poprosił kogoś aby nalano mu szklankę herbaty i siedząc na pościeli z poczochną brodą, zupełnie machinalnie wkładał do ust kawałki białego chleba z masłem i wlewał gorący płyn ze szklanki — sam zaś, nawet nie przetarłszy oczu zatopił się

1. *Isprawitielno-Trudowyje Łagieria* — Obozy Pracy Poprawczej, oficjalna nazwa zwykłych łagrow.

w lekturze powieści Uptona Sinclaira, którą trzymał w tej samej ręce, co szklankę. Był w jak najgorszym nastroju.

Poranny obchód szedł już swoim trybem. Obejmował dyżur minor. Liczył głowy, Szusterman zaś odczytywał komunikaty. Po wejściu do półkolistej izby, Szusterman oznajmił podobnie, jak w poprzednich salach:

— Uwaga! Komunikuje się więźniom, że po kolacji nikogo nie będzie się wpuszczać do kuchni po wrzątek i w sprawie wrzątku nie wolno pukać ani wzywać dyżurnego!

— Czyje to rozporządzenie? — ryknął z wściekłością Priarczykow wyskakując z pieczary między dwupiętrowymi kojami.

— Komendanta więzienia — z powagą odparł Szusterman.

— Kiedy zostało wydane??

— Wczoraj.

Priarczykow potrząsnął pięściami wyciągając nad głowę cienie, chude ramiona, jakby wzywał na świadków niebo i ziemię.

— To niemożliwe!! — protestował z oburzeniem. — W sobotę wieczorem sam minister Abakumow obiecał mi, że w nocy będzie wrzątek. To przecież logiczne! Przecież my pracujemy do północy!

Odpowiedział mu ogólny wybuch śmiechu.

— To nie pracuj do północy, bucu — mruknął basem Dwójtosow.

— Nie możemy trzymać nocnego kucharza — Szusterman znalazł logiczne uzasadnienie.

I zaraz potem biorąc listę z rąk minora, Szusterman złowróżbnym tonem, który wszystkim kazał zamilknąć, oznajmił:

— Uwaga; Dziś nie idą do pracy i szykują się do transportu... Z waszej celi: Chorobrow! Michajłow! Nierzyn! Sjomuszkin!... Przygotować do zwrotu rzeczy z majątku państwowego!

Obaj dyżurni wyszli.

Ale czterech wyczytanych zakręciło się po pokoju, jakby ich trąba powietrzna porwała.

Nikt już nie pił herbaty i nie jadł kanapek, ludzie cisnęli się do siebie wzajem. Czterech na dwudziestu pięciu — to było niezwykle, obfite żniwo. Wszyscy naraz zaczęli gadać, podniecone głosy mieszały się z przygnębionymi i pełnymi sztucznego lekceważenia. Niektórzy stawali na górnych kojach, wymachując rękoma, inni brali się za głowy, tamci dowodzili czegoś zapalczywie, bijąc się w piersi, owi już zrywali powłoczki z poduszek, w ogóle zaś cały pokój zamienił się w takie siedlisko wszelkiego nieszczęścia, rezygnacji, wściekłości, zawziętości, skarg domniezań — a wszystko to stłoczone w nieopisanej ciasnocie, prze-

mieszane paroma warstwami, że Rubin stanął na łożku w całej okazałości, w fufajce, ale w kalesonach i ryknął gromko:

— Historyczna data! Ranek przed egzekucją strzelców<sup>2</sup>!

I rozłożył ręce.

Podniecony jego wygląd wcale nie znaczył, że Rubin cieszył się z wiadomości o transporcie. Tak samo by się śmiał, gdyby jego samego wysyłano. Dla niego nie było nic świętego — jeżeli mógł to obrócić w żart.

Etap — jest takim samym fatalnym progiem w życiu więźnia, jak rana w życiu żołnierza. Podobnie jak rana może być lekka, albo ciężka, uleczalna albo śmiertelna, tak samo etap może być bliski albo daleki, może oznaczać wytchnienie albo śmierć.

Kiedy się czyta opisy okropności katongi u Dostojewskiego — to człowiek aż się dziwi: jak łatwo i spokojnie odsiadywano tamte wyroki! Przecież w ciągu dziesięciu lat kary nie miewali ani jednego transportu!

Życie zeka przebiega w stałym punkcie, zek przyzwyczajają się tam do swoich kolegów, do swojej pracy, do swojej zwierzchności. Choćby jak najdalej był od żądzy zysku, chcąc nie chcąc staje się właścicielem różnych różności; wkrótce już ma w majątku fibrową walizkę, przyslaną z wolności, albo zmajstrowaną w obozie z dykty. Ma też w posiadaniu ramkę, w którą wstawia fotografię żony albo córki; szmaciane papucie, w których po robocie łązi po baraku, a w dzień dobrze chowa przed rewizją; może się też zdarzyć, że przyschły mu jakoś do tyłka niezalichzone, bawełniane porcięta, albo że udało mu się nie oddać do magazynu znoszonych butów — i wszystko to stara się ukryć między jedną inwentaryzacją a drugą. Ma nawet własną igłę, guziki dobrze przyszywa i zawsze chowa kilka na zapas. Miewa też tytoń w kapciuchu.

Jeżeli zaś jest jeszcze frajerem — to ma w majątku proszek do zębów i czasami je czyści. Kolekcjonuje listy od rodziny, z czasem zdobywa własną książkę i dzięki niej może drogą wymiany przeczytać wszystkie książki w obozie.

Ale oto, jak piorun, uderza w jego mały świat wiadomość o etapie — zawsze bez ostrzeżenia — zawsze tak obliczona, żeby zaskoczyć zeka zniemacka, zawsze w ostatniej chwili. I oto lecą do dziury w klozecie rwane szybko na strzępy listy najbliższych. I oto konwój — jeżeli transport przewidziany jest bydłęcymi, czerwonymi wagonami — obcina zekowi wszystkie guziki, tytoń

---

2. Aluzja do znanego w Rosji obrazu Repina. Chodzi o egzekucję carskich strzelców, którzy podnieśli bunt przeciw Piotrowi Wielkiemu, stając po stronie jego siostry, Zofii.

zaś i proszek do zębów rozwiewa z wiatrem, jako że można nim w drodze oslepić konwojenta. I oto konwój — jeżeli transport ma się odbyć stołypieńskimi wagonami — zaciekle miażdży buciorami walizki nie chcące wleźć do wąskiej celki na kołach, łamiąc jednocześnie ramkę do fotografii. W obydwu wypadkach zabierają książki, których w drodze mieć nie wolno; igłę, którą można przepiłować kratę i zakłuć na śmierć konwojenta; wyrzucają na śmieci szmaciane papucie i zabierają na rzecz obozu dodatkową parę portek.

I wolny już od grzechu własności, od skłonności do życia osiadłego, od marzeń o mieszczańskim ciepłku (które jeszcze Czechow tak słusznie napiętnował), od przyjaciół i od przeszłości — zek zakłada ręce do tyłu i w kolumnie czwórkowej („jeden krok w lewo, albo w prawo, a eskorta otwiera ogień bez uprzedzenia!”) w otoczeniu psów i konwojentów rusza do wagonów.

Każdy z was widział go w tej chwili na naszych stacjach kolejowych — ale starał się jak najszybciej opuścić tchórzliwy wzrok, wiernopoddajczo odwrócić się, żeby lejtnant z konwoju nie powziął czasem jakiego podejrzenia i też człowieka czasem nie zatrzymał.

Zek wchodzi do wagonu — i wagon zostaje przyczepiony zaraz za pocztowym. Z obu stron zakratowany na głucho, bez okien od strony tamburów, wagon ten jedzie sobie w zgodzie ze zwykłym rozkładem jazdy i wiezie w swoim dusznym, zamkniętym wnętrzu setki wspomnień, oczekiwań i obaw.

Dokąd to wiozą człowieka? Nikt tego nie powie. Co oczekuje zeka u końca drogi? Kopalnie miedzi? Leśna poręba? A może — tak pożądana pomoc przy robotach polnych, gdzie czasem uda się upiec sobie ziemniaczka i można nazreć się do syta buraków pastewnych? Czy zek złapie skorbut albo dystrofię już pierwszego miesiąca ogólnych robót? A może uda mu się dać nogę albo spotkać znajomego i złapać funkcję, i zostać dyżurnym, sanitariuszem, albo nawet pomocnikiem magazyniera? I czy dozwolona tam będzie korespondencja? Może całe lata nie będą teraz jego listy docierać do nikogo i rodzina zacznie go uważać za umarłego?...

Może wcale nie dojedzie do miejsca przeznaczenia? Może umrze w bydlęcym wagonie na biegunkę? Mogą przecież sześć dni i nocy wieźć transport bez chleba? A może konwojenci zaślukają go młotkami za czyjąś ucieczkę? Albo może w końcu drogi będą z nieogrzanego wagonu wyrzucać jak belki złodowaciałe trupy więźniów?

Czerwone transporty miesiąc idą do Sowgawani...

Świeć, Panie, nad duszą tych, co nie dojechali!

I chociaż z *szaraszki* puszczano jeszcze grzecznie, jeszcze nawet pozwalano zatrzymywać brzytwy — aż do pierwszego więzienia przejściowego — wszystkie te pytania z nieustającą siłą drażyły serca tych dwudziestu więźniów, których nazwiska wyczytano z listy transportowej przy wtorkowym obchodzie rannym.

Beztroskie, półswobodne życie zeków z *szaraszki* dla nich już się skończyło.

## LXXXVI

### ŻEGNAJ SZARASZKO!

Jakkolwiek Nierżyn był już we władzy kłopotów związanych z transportem — rozpałiło się w nim i zaostrzyło pragnienie odegrania się przed wyjazdem na majorze Szykinie. I gdy rozległ się dzwonek wzywający innych do pracy, lekceważąc sobie rozkaz pozostania w części mieszkalnej i czekania na nadzorcę — Nierżyn (tak samo jak i pozostających dziewiętnastu) rzucił się do drzwi wyjściowych. Wbiegł na trzecie piętro i zapukał do Szykina. Pozwolono mu wejść.

Szykin siedział za biurkiem ponury z ciemną twarzą. Coś w nim uległo zachwianiu po wczorajszym dniu. Przepaść otworzyła mu się pod jedną nogą i wciąż jeszcze zdawało mu się, że grunt się pod nim usuwa.

Ale jego nienawiść do tamtego szczeniaka nie znajdowała prostego i szybkiego ujścia! Wszystko co mógł Szykin zrobić (i co było dla niego najbezpieczniejsze) to wydręczyć Doronina w karcerach, osmarować go z całego serca w charakterystyce i odesłać z powrotem na Workutę, gdzie z takim życiorysem na pewno trafi do brygady z obostrzonym reżymem i prędko odwali kite. I rezultat będzie taki sam, jakby go rozstrzelano z wyroku.

Dzisiejszego ranka nie wezwał Doronina na przesłuchanie, bo oczekiwał rozmaitych protestów i kłopotów ze strony wyznaczonych do etapu.

Nie mylił się. Wszedł Nierżyn.

Major Szykin dawno już nie mógł znieść tego chudego, krnąbrnego zeka z jego uporem i nieustępliwością, z jego bezczelną znajomością kodeksu. Szykin dawno już namawiał Jakonowa, żeby wysłać Nierżyna ciupasem i teraz ze złośliwą satysfakcją patrzył na wrogi wyraz twarzy wchodzącego, przypuszczając, że Nierżyn będzie się chandryczyć żądając wyjaśnień, za co go się wysyła.

Nierzyn miał wrodzony talent do zamykania treści skargi bez namysłu w kilku krótkich, nieodpartyach słowach i wygłaszania ich bez żadnej pauzy w ciągu tej małej chwili, gdy uchyla się w drzwiach celi kłapa dla przesuwania misek z jadłem. Umiał też zmieścić te słowa na kawałku bibulasto-toaletowego papieru wydawanego w więzieniach dla pisania podań. W ciągu pięcioletniej odsiadki potrafił też wypracować specjalny, dobitny sposób rozmowy ze zwierzchnością — w języku zeków nazywa się to odgrywać się kulturalnie. Używał wyłącznie wyrażenń grzecznych, ale pogardliwie ironiczny jego ton — któremu jednak nic nie można było formalnie zarzucić — był tonem rozmowy kogoś starszego z kimś młodszym.

— Obywatelu majorze! — powiedział już na progu. — Przyszedłem odebrać bezprawnie zarekwirowaną mi książkę. Mam powody sądzić, że sześć tygodni jest to termin wystarczający w warunkach jakie daje sieć komunikacyjna Moskwy, aby przekonać się, że książka ta nie jest przez cenzurę zakazana.

— Książka? — zdziwił się Szykin (bo nie potrafił tak szybko znaleźć mądrzejszej odpowiedzi). — Co za książka?

— Przypuszczam również — ciągnął gładko Nierzyn — że obywatel wie, o jakiej książce mowa. O utworach wybranych Sergiusza Jesienina z serii „Mała Biblioteka Poetów”.

— Je-sie-ni-na? — major Szykin wparł się ostro plecami w oparcie krzesła, jakby teraz dopiero sobie przypomniał i jakby wstrząśnięty był brzmieniem tego buntowniczego nazwiska. Siwiejący jeź na jego głowie nastroszył się z oburzenia i wstrętu. — Jak w ogóle mogliście się ośmielić, żeby domagać się Je-sie-ni-na?

— A dlaczego nie? Toć wydany jest u nas, w Związku Sowieckim.

— To jeszcze nie wszystko!

— Prócz tego wydany został w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, to znaczy, że publikacja nie należy do objętego zakazem cenzury okresu tysiąc dziewięćset siedemnaście myślnik tysiąc dziewięćset trzydzieści osiem.

Szykin nachmurzył się.

— Skąd wzięliście taki okres?

Nierzyn odpowiadał tak płynnie, jakby zawczasu nauczył się wszystkich odpowiedzi na pamięć:

— Wyjaśnił mi to łaskawie pewien obozowy cenzor. W trakcie przedświątecznej rewizji zabrano mi „Słownik Języka Rosyjskiego” Dala na tej podstawie, że była to reedycja z roku 1935 i dlatego podlegała poważnej kontroli. Kiedy zaś dowiedziałem cenzorowi, że słownik jest fotomechaniczną kopią wydania z



1881 roku, cenzor chętnie mi książkę zwrócił i wyjaśnił, że przedrewolucyjne wydania nie budzą żadnych obiekcji, ponieważ wrogowie ludu jeszcze wówczas nie rozwijali swojej działalności. A tu faktycznie zachodzi ten przykry wypadek, że Jesienin został wydany w 1940-tym.

Szykin przez chwilę milczał z powagą.

— Niechby nawet. Ale wy — zapytał z naciskiem — wyście czytali tę książkę? Wyście ją całą czytali? Możecie stwierdzić to na piśmie?

— Aby żądać ode mnie oświadczeń na piśmie zgodnie z artykułem 95 KK RFSSR nie macie teraz podstaw prawnych. Ustnie zaś mogę stwierdzić: mam ten brzydki zwyczaj, że czytam te książki, które są moją własnością i na odwrót — staram się mieć tylko te książki, które czytam.

Szykin rozłożył ręce.

— Tym gorzej dla was!

Chciał w tym miejscu pozwolić sobie na znaczącą pauzę, ale Nierżyn wypełnił ją swoją repliką:

— Tak więc powtarzam swoją prośbę sumarycznie. Zgodnie z siódmym punktem rozdziału B regulaminu więziennego proszę o zwrot bezprawnie zabranej mi książki.

Otrząsając się od tego potoku słów Szykin podniósł się z krzesła.

Póki siedział przy biurku wydawało się, że jego wielka głowa należy do człowieka okazałego wzrostu — gdy zaś podniósł się z miejsca, zrobił się o wiele niższy, zwłaszcza rzucały się w oczy jego króciutkie kończyny. Z twarzą coraz ciemniejszą podszedł do szafy, otworzył ją i wydobyl zgrabny tomik Jesienina, z obwolutą osypaną klonowymi listkami.

W kilku miejscach widniały zakładki. Dalej nie proponując Nierżynowi aby usiadł, Szykin wygodnie rozparł się w swym fotelu i zaczął bez pośpiechu przerzucać stronicę od zakładki do zakładki. Nierżyn także spokojnie usiadł, oparł dłonie na kolanach i ciężkim, nieustępliwym wzrokiem obserwował Szykina.

— No proszę na przykład — westchnął major i bez żadnego wycucia, mieszając tkankę wiersza jak ciasto, przeczytał:

*„Ach, wy cudze, nieżywe dłonie,  
Wy tym pieśniom gardło zdławicie.  
Tylko będzie kłosom, jak koniom  
Ciągłe dawny gospodarz śnić się”.*

— O jakim tu mowa gospodarzu? Czyje to dłonie?

Więzień patrzył na pulchne, białe dłonie opera.

— Jesienin był ograniczony klasowo i wielu rzeczy nie rozumiał do końca. Jak Puszkina, jak Gogola...

Coś nowego pojawiło się w głosie Nierżyna, coś, co kazało Szykinowi zerknąć na niego spode łba z pewnym strachem. Przed zekami, którzy go się nie bali, Szykin sam czuł tajemny strach — zwykły strach dobrze ubranych i żyjących w dostatku ludzi przed ludźmi źle ubranymi, bez powodzenia. Jego władza nie dawała mu teraz należnej obrony. Na wszelki wypadek wstał i uchylił drzwi.

— A to jak należy zrozumieć? — przeczytał Szykin wróciwszy do swojego fotela:

*„Białą różę z czarną ropuchą,  
Chciałem tutaj pożenić na ziemi...”*

No i dalej w tym duchu... Do czego to aluzja?

Napężone gardło więźnia drgnęło.

— Bardzo po prostu — odpowiedział. — Nie trzeba próbować pogodzić białej róży prawdy z czarną ropuchą łajdactwa!

Jak czarna ropucha siedział przed nim krótkoręki, wielkogłowy, czarniawy na gębie k u m.

— Ale, obywatelu majorze — Nierżyn mówił szybko, jedno słowo goniło drugie — ja nie mam czasu bawić się tu z wami w literacką analizę. Czeka na mnie konwój. Sześć tygodni temu obywatel mi oświadczył, że zażąda informacji od cenzury. Czy obywatel major pytał?

Szykin wzruszył ramionami i zamknął złotą książeczkę.

— Nie muszę opowiadać się przed wami! Książki wam nie oddam i wszystko jedno, nie będziecie mogli jej wywieźć.

Nierżyn podniósł się z gniewem, nie odrywając oczu od Jesienina. Wyobrażał sobie jak tę książeczkę niegdyś trzymały litościwe ręce żony, jak pisała mu na niej:

„Tak samo będzie ci przywrócone wszystko, coś utracił!”

Słowa bez żadnego wysiłku sypały mu się z ust:

— Obywatelu majorze! Mam nadzieję, że obywatel nie zapomniał jak to przed dwoma laty domagałem się, ażeby ministerstwo bezpieczeństwa państwowego zwróciło mi zarekwirowane bez żadnej nadziei na zwrot polskie złote i chociaż w przeliczeniu suma zmniejszyła się dwudziestokrotnie, to jednak otrzymałem je po rozpatrzeniu tej sprawy przez Radę Najwyższą. Mam nadzieję, że obywatel major nie zapomniał, jak domagałem się tych pięciu gramów mąki do zasmażek? Śmiano się ze mnie, ale w końcu to wyprawowałem! Przykładów jest co niemiara! Upprzedzam was, że nie oddam wam tej książki! Będę zdychać na

Koły mie a wydrę wam ją! Zapełnię skargami na was wszystkie skrzynki KC i Rady Ministrów. Oddajcie po dobremu!

I major bezpieczeństwa państwowego nie dotrzymał placu temu pozbawionemu praw, skazanemu na zagładę, posyланemu na powolną śmierć zekowi. Rzeczywiście, zwracał się do cenzury i ku swemu zdziwieniu otrzymał odpowiedź, że książka formalnie nie jest zakazana. Formalnie!! Czujny nos podpowiadał Szykinowi, że to zaniedbanie, że ta książka koniecznie powinna być zakazana. Ale warto było uchronić swoje imię od skarg tego niezmordowanego pieniacza.

— Dobrze — ustąpił major. — Zwracam ją wam. Ale zabrać jej tak czy siak nie pozwolimy.

Nierżyn wyszedł na schody z uczuciem tryumfu, przyciskając do piersi miłą, błyszczącą, żółtą obwolotę. To był symbol dobrego losu właśnie w chwili, kiedy wszystko się waliło.

Na podeście schodów minął grupę więźniów rozmawiających o najnowszych wydarzeniach. W samym jej centrum (ale tak, żeby nie podpaść) perorował Syromacha:

— Do czego to doszło?! Ta-akich chłopaków wysłać na etap! Za co? Albo ten Ruśka Doronin? Co za gad go sypnął, co?

Ściskając w rękę tomik Jesienina Nierżyn pośpiesznie zmierzzał do Akustyki i kalkulował, jakby tu jak najszybciej zniszczyć swoje notatki, zanim nie przydzielą do niego strażnika. Istniała zasada, aby wyznaczonym do transportu nie pozwalać chodzić luzem po *szaraszce*.

Tylko znacznej liczbie wysyłanych, a także, być może, łagodności ciapowatego minora, który stale pozwalał sobie na niedopatrzania, Nierżyn zawdzięczał ostatnie, krótkie chwile wolności.

Otworzył drzwi Akustyki i zaraz zobaczył otwarte drzwiczki szafy pancernej, a przy nich — Símoczkę, znów w nieładnej, pasiastej sukience, z szarą chustką z koziej wełny na ramionach.

Ani słowa, ani spojrzenia jeszcze nie zdążyli wymienić po wczorajszej okrutnej rozmowie.

Jeszcze nie zobaczyła, ale już poczuła, że to wszedł Nierżyn i zmieszała się, zastygła, jakby zastanawiając się, co właściwie ma wyjąć z szafy.

On zaś nie namyślał się, nie bawił w rozważania — tylko wszedł między rozchylone, żelazne drzwiczki szafy i powiedział szeptem:

— Serafimo Witaliewna! Po wczorajszej rozmowie — byłoby czymś nieludzkim, gdybym jeszcze zwracał się do pani. Ale grozi zagłada plonom wielu lat mojej pracy. Czy mam to spalić? Czy nie wzięłaby pani tego?

Już wiedziała o jego wyjeździe. Nie drgnęła, słysząc, że dziś

wyjazd, ale po ostatnim pytaniu podniosła smutne oczy, które tej nocy się nie zmrużyły i powiedziała:

— Proszę dać.

Ktoś zbliżał się do pracowni. Nierzyn odskoczył, podszedł do swojego biurka i zobaczył wschodzącego Rojtmana.

Twarz Rojtmana wyrażała zakłopotanie. Z niezręcznym uśmiechem powiedział:

— Panie Glebie! Tak mi przykro! Nikt mnie nie uprzedził o tym... Pojęcia nie miałem... A dziś już nic się nie da zrobić.

Nierzyn z zimnym rozżaleniem spojrział na człowieka, o którym do dnia wczorajszego myślał, że jest szczerzy.

— Eh, panie Adamie! Nie pierwszy dzień przecież tu jestem. Takich rzeczy nie robi się bez udziału kierownika pracowni.

I zabrał się do opróżniania szuflad biurka.

Na twarzy Rojtmana zjawił się wyraz bólu.

— Ależ panie Glebie, proszę mi wierzyć, nikt mnie nie pytał, nikt nie uprzedził...

Mówił to na głos w przytomności całego laboratorium. Wolał stracić autorytet u tych, co tu zostawali, niż wyglądać na łajdaka w oczach wyjeżdżającego.

Kropłe potu wystąpiły mu na czoło. Jak przykuty wpatrywał się w Nierzyna robiącego porządki na biurku.

Rzeczywiście nikt go się nie radził. Był to kolejny kopniak inżyniera-pułkownika.

— Materiały z badań nad artykulacją mam oddać Serafimie Witaliewnie? — zapytał Nierzyn beztroskim tonem.

Rojtman nic nie odpowiedział i powoli wyszedł z pokoju; był zgnębiony.

— Proszę to przyjąć, panno Serafimo — powiedział Nierzyn i zaczął przenosić na jej biurko teczki, skoroszyty, wykresy.

Do jednej z teczek włożył już swoje trzy notesy. Ale jakiś niewidzialny doradca wewnętrzny powstrzymał mu rękę.

Gleb przesliznął się wzrokiem po nieprzeniknionej, wyciągniętej dziś twarzy Símoczki. A jeżeli to pułapka? Zemsta kobieca? Obowiązek lejtnanta MGB?

Ale jeżeli nawet jej wyciągające się ręce są ciepłe — to czy na długo starczy tej panieńskiej lojalności? Dmuchać — do pierwszego wiatru, panna — do pierwszego mężczyzny. I pokaże swojemu mężowi: patrz, kochanie, co tu u mnie zostało...

Przełożył notesy do kieszeni, a teczki dalej znosił na biurko Símoczki.

Płonęła biblioteka w Aleksandrii. Płonęły, ale nie poddawały się kroniki po klasztorach. I sadza z łubiańskich kominów — sadza z palonych papierów, papierów, papierów — padała na

zeków, wyprowadzanych na spacer aż na ogrodzony dach więzienny.

Może więcej popalono wielkich myśli niż ich opublikowano...

Jeżeli tylko głowę uniesie cało — to czy nie potrafi sobie tego przypomnieć?

Nierżyn potrząsnął zapalkami, wybiegł, zamknął się w ubikacji. I po dziesięciu minutach wrócił blady, obojętny...

Przez ten czas do pracowni przyszedł Priancykow.

— Ależ jak to można? — wykrzykiwał. — Zrobili z nas tu drewna! Już się nawet nie oburzamy! W y s y ł a ć t r a n s p o r t e m ! To można robić z bagażem, ale kto dał prawo tak ludzi traktować?

Gorące słowa Walentuli znajdowały echo w sercach zeków. Przejęci transportem w ogóle dziś w laboratorium nie pracowali. Etap, transport — to zawsze była chwila przestrogi, przypomnienia, że „wszyscy tam kiedyś będziemy”. Transport zmuszał każdego zeka, nawet nie zagrożonego bezpośrednio, by pomyślał chwilę o niepewnym swoim losie, o toporze GUŁagu wciąż wiszącym nad głową. Nawet jeżeli zek niczym nie zawinił, na dwa latka przed końcem kary odsyłany był bez apelacji z *szaraszki* do łagru, żeby zapomniał o wszystkim i został w tyle za rozwojem badań. Tylko skazani na dwadzieścia pięć lat nie mieli w perspektywie końca kary, więc operzy lubili przyjmować ich do *szaraszek*.

Nierzyna otoczyła malownicza grupa zeków. Niektórzy obsiedli nawet stoły zamiast krzesel, podkreślając tym jakby, że chwila jest uroczysta. Byli w nastroju filozoficznym i melancholijnym.

Podobnie jak na pogrzebie wychwała się wszystkie dobre strony nieboszczyka, tak teraz przypominano na chwałę Nierzyna, jak to potrafił wyciskać wszystko z przepisów, ile to razy bronił wspólnych interesów. Ktoś przytoczył sławną historię z mąką do zasmażek: dosłownie zasypał skargami zarząd więziennictwa i ministerstwo spraw wewnętrznych twierdząc, że codziennie urywa się pięć gramów mąki o s o b i ś c i e j e m u (według regulaminu więziennego nie wolno było składać skarg kolektywnych ani zażaleń — że czegoś tam brak i n n y m, w s z y s t k i m. Chociaż — w zasadzie — więzień powinien był reedukować się niejako w duchu socjalistycznym, ale chwilowo zabraniało mu się obrony wspólnych interesów). Zeki z *szaraszki* jeszcze w tym okresie nie czuli sytości i walka o pięć gramów mąki bardziej ich pasjonowała, niż wydarzenia międzynarodowe. Fascynująca epopea zakończyła się zwycięstwem Nierzyna; usunięto ze stanowiska „kapitana od gaci”, pomocnika naczelnika specwięzienia do spraw gospodarczych, a ze zwróconych pięciu gramów mąki cała

załoga *szaraszki* miała dwa razy w tygodniu dodatkową porcję klusek. Przypomniano też walkę stoczoną przez Nierzyna o przedłużenie niedzielnych spacerów, choć ta skończyła się porażką; gdyby więźniom pozwolono przechadzać się do woli w niedziele, kto by wtedy w ogóle chciał pracować?

Sam Nierzyn zresztą prawie że nie słuchał tych panegiryków. Nadszedł dla niego moment działania, energia wprost go rozszadzała. To, co najgorsze — już się stało i tylko od niego zależało, żeby przyszłość nie była tak zła. Przekazał Símoczce materiały z badań nad artykulacją, a pomocnikowi Rojtmana — wszystkie tajne akta, podarł na strzępy i spalił wszystkie papiery osobiste, złożył w kilku stosach wszystko, co należało do biblioteki, a teraz wydobywał z szuflad całą resztę i rozdawał kolegom. Już było wiadomo, kto dostanie jego obrotowe, żółte krzesło, kto niemieckie biurko z żaluzjami, kto — kałamarz — kto zaś rulon kolorowego, marmurkowego zdobycznego papieru. Nieboszczyk z wesołym uśmiechem sam rozdawał swoją schedę, spadkobiercy, zaś znosili mu po dwie, po trzy paczki papierosów (takie były prawa *szaraszki*: na tym świecie papierosy były w obfitości, na tamtym świecie były droższe od chleba).

Rubin przyszedł z działu supertajnego. Oczy miał smutne, obwisły mu dolne powieki.

Porządkując książki Nierzyn powiedział do niego:

— Gdybyś lubił Jesienina, to bym ci go teraz подарował.

— Jak to? Wywojowałeś? — zdziwił się Rubin.

— Ale ty wolisz Bagryckiego — więc niczym ci nie mogę pomóc.

— Nie masz pędzelka do golenia — Rubin wydobył z kieszeni wytworny według więziennych pojęć pędzelek, osadzony w polerowanym trzonku z masy plastycznej — a ja i tak poprzysiągłem nie golić się aż do dnia rehabilitacji, więc go sobie weź!

Rubin nigdy nie mówił „dzień wyjścia na wolność”, bo mogło to oznaczać przepisany prawem koniec kary, zawsze zaś mawiał „dzień rehabilitacji” ponieważ wciąż starał się o ponowne rozpatrzenie swojej sprawy.

— Dziękuję stary, ale tyś tak się tu zadomowił, że zapomniałeś o porządkach w łagrze. Kto w łagrze pozwoli mi na to abym sam się golił?... Pomożesz odnieść książki?

I zabrali się do układania i porządkowania książek i czasopism. Gapie rozeszli się.

Obładowani mnóstwem woluminów opuścili pracownię i poszli po schodach na górę. W niszy korytarza na górnym piętrze przystanęli, aby poprawić rozsypujące się stopy i odpocząć chwilę.

Oczy Nierżyna, które w czasie porządkowania paliły się ogniem niezdrowego podniecenia, teraz przygasły i znieruchomiały.

— No i patrz — powiedział przeciągając słowa — nawet trzech lat nie spędziłyśmy razem, cały czas toczyliśmy spory i kpiliśmy ze siebie — a teraz, kiedy cię tracę, chyba na zawsze, czuję tak jasno, że jesteś jednym z najbardziej mi... jednym z najbardziej...

Głos mu się załamał.

Duże, czarne oczy Rubina, w których tyłu innych widziało tylko iskry gniewu, teraz pełne były ciepła i wstydliwego rozczulenia.

— Tak się już złożyło — przytaknął. — Chodź, pocałujmy się, stary koniu.

I przycisnął Nierżyna do swojej czarnej, korsarskiej brody.

I zaraz potem, ledwie weszli do biblioteki, dogonił ich Sołogdin. Twarz miał bardzo zatroskaną. Zbyt mocno trzasnął oszklonymi drzwiami, szyby brzękły i bibliotekarka obejrzała się z niezadowoloną miną.

— Tak, Glebie, tak! — powiedział Sołogdin. — Stało się, wyjeżdżasz.

Nie dostrzegając stojącego obok „biblijnego fanatyka” Sołogdin patrzył tylko na Nierżyna.

Również Rubin nie znalazł w sobie żadnego pociągu do zgody z „nieznośnym hidalgo” i odwrócił wzrok.

— Więc wyjeżdżasz. Szkoda. Wielka szkoda.

Ileż razy rozmawiali ze sobą przy piwaniu, ile to się nadyskutowali podczas przechadzek! Ale teraz nie na miejscu i nie na czasie były te zasady myślenia i działania, które Sołogdin chciał mu wpoić i jakoś nie zdążył.

— Słuchaj — powiedział. — Czas to pieniędzy. Jeszcze nie jest za późno. Zgódź się zostać licznikiem — a ja, być może, zdążę sprawić abyś tu został. W pewnym tutejszym zespole. (Rubin ze zdziwieniem zerknął na Sołogdina). — Ale trzeba będzie dobrze się napocić, rzetelnie cię uprzedzam.

Nierżyn westchnął.

— Dziękuję ci, Mitia. Sam miałem taką możliwość. Ale jakoś już się nastawiłem na ten eksperyment. Przysłowie powiada: nie w morzu się tonie, tylko w kałuży. Chcę wplaw przez morze, spróbuję.

— Tak? Rób jak uważasz, rób jak uważasz — szybko i rzeczowo mówił Sołogdin. — Wielka szkoda, wielka szkoda, Glebie.

Twarz miał markotną, spieszył się i ledwie potrafił ten pośpiech powściągnąć.



Tak stali we trójkę i czekali, a tymczasem bibliotekarka z farbowanymi włosami, mocno uszmkowanymi ustami i grubo upudrowaną twarzą, też lejtnant, chociaż bez munduru, leniwie sprawdzała biblioteczną kartę Nierżyna.

A Gleb bolejący nad waśnią swoich przyjaciół, w głuchoj ciszy biblioteki powiedział do nich szeptem:

— Kochani, powinniście się pogodzić!

Ani Sołogdin, ani Rubin nawet nie drgnęli.

— Mitia! — nalegał Gleb.

Sołogdin sparzył go swoim błękitnym spojrzeniem.

— Dlaczego zwracasz się z tym do mnie? — zdziwił się.

— Lewku!

Rubin popatrzył ze znudzoną miną.

— Wiesz, dlaczego konie długo żyją? — i po krótkiej pauzie odpowiedział: — Dlatego, że nigdy nie bawią się w wyjaśnienia zasadnicze.

Po załatwieniu spraw inwentarzowych i służbowych, naglony już przez strażnika, żeby pakował to, co miał w celi — Nierżyn z rękoma pełnymi paczek z papierosami, spotkał na korytarzu Potapowa spieszącego dokądś ze skrzynką pod pachą. Przy pracy Potapow chodził wcale nie tak, jak na spacerze. Mimo, że kulał, kroczył szybko, wyprężoną szyję wyciągał do przodu, a głowę odrzucał do tyłu, mrużył oczy i patrzył nie pod nogi, ale gdzieś w dal, tak jakby chciał głową i spojrzeniem wyprzedzić swoje niemłode stopy. Potapow koniecznie chciał pożegnać się z Nierżynem i z innymi odjeżdżającymi, ale zaledwie wszedł rano do laboratorium, już wewnętrzna logika pracy wciągnęła go zagłuszając wszelkie pozostałe uczucia i myśli. Zdolność zupełnego pogrążenia się w pracy i zapomnienia o życiu była podstawą jego inżynierskich sukcesów przed aresztowaniem, tutaj zaś pomagała mu znosić więzienne niewygody.

— To by było wszystko, Andreicz — zatrzymał go Nierżyn. — Nieboszczyk był w dobrym humorze i wciąż się uśmiechał.

Potapow przemógł się. Znów spojrzął po ludzku. Wolną ręką sięgnął do karku, jakby chciał się podrapać w tył głowy.

— Ku-ku-uuu... — zaśpiewał.

— Podarowałbym wam Jesienina, kochani, ale pan przecież i tak prócz Puszkina...

— Wszyscy tam będziemy i tak — powiedział Potapow ze smutkiem.

Nierżyn westchnął.

— Gdzie się teraz znowu spotkamy? W kotłaskim etapowym? W indygińskich kopalniach? Jakoś nie chce się wierzyć

ażebyśmy mogli tak sami z siebie spotkać się zwyczajnie na miejskim trotuarze?

Potapow przymrużył oczy i wyskandował:

*Kto czuł i kochał te-go trwo-ży,  
Dzień nie-po-wrot-ny widmem czczym.  
Już ten się złu-dą nie upi-ja...*

Z drzwi Siódemki wysunęła się głowa szalenie zapalonego do pracy Markuszewa.

— Andreicz! Gdzie są filtry? Przecież robota czeka! — krzyknął z rozdrażnieniem.

Współautorzy „Uśmiechu Buddy” objęli się niezgrabnie. Paczki „Bielomorów” posypały się na podłogę.

— Rozumie pan — powiedział Potapow — t a r ł o, straszny pośpiech.

T a r ł e m Potapow nazywał ten chaotyczny, krzykliwy, bezładny i zadyszany styl pracy, który panoszył się w instytucie Mawrino, nie w nim jednym zresztą, styl nazywany przez gazety „szturmowszczyzną”.

— Proszę pisać! — dodał Potapow i obaj zaśmiali się. Nic nie było bardziej naturalnego, niż podobna prośba przy pożegnaniu, ale w więzieniu takie życzenie brzmiało, jak szyderstwo. Między poszczególnymi wyspami archipelagu GUŁag korespondencja była uniemożliwiona.

I oto już ze skrzynką filtrów pod pachą, z głową wyciągniętą do przodu i odrzuconą wstecz. Potapow pomknął przez korytarz, jakby nawet wcale nie przypadając na nogę.

Nierzyn również ruszył śpiesznie — do półkolistej izby, gdzie zaczął układać swoje rzeczy, przemyślnie odgadując z góry wszystkie zasadzki rewizji oczekujących go naprzód w Mawrinie, a później w Butyrkach.

Strażnik wchodził już dwukrotnie, żeby go przynaglić. Inni wyznaczeni do transportu poszli już sami, albo byli zapędzeni do sztabu więzienia. Gdy Nierzyn był już prawie gotów, wszedł do izby Spirydon wnosząc ze sobą świeżość powietrza z dworu. Ubrany był w swój czarny, ściągnięty pasem kaftan. Zdjął rudą czapkę z dużymi nausznikami, ostrożnie zagiął rożek czyjejs pościeli niedaleko od Nierzyna i — żeby nie zbrukać białego prześcieradła swoimi brudnymi, watowanymi portkami, przysiadł na stalowej siatce.

— Spirydon Daniłycz! Spójrz no tutaj! — powiedział Nierzyn i podsunął mu książkę. — Już tu mam Jesienina!

— Oddał, gad? — po mrocznej twarzy Spiryдона, zmarszczonej dziś bardziej niż zwykle, przebiegł promyk.

— Nie tak mi o książkę szło, Daniłycz — tłumaczył Nierzyn — ile o to, żeby nas po mordzie nie bili.

— A właśnie — przytaknął Spirydon.

— Bierz, bierz sobie książkę. Będziesz miał po mnie pamiętkę.

— Nie da rady zabrać? — zapytał Spirydon nieuważnie.

— Zaczekaj no — Nierzyn wziął książkę, otworzył ją i zaczął szukać jakiejś stronicy. — Zaraz ci znajdę, przeczytasz tu...

— No, to ruszaj, Glebie — niewesoło powiedział Spirydon. — Jak tam żyć w obozie — sam już wiesz: dusza rwie się do roboty, a nogi do szpitala.

— Teraz już nie jestem zielony, nie boję się. Spróbuję pracować. Wiesz, jak to mówią — nie w morzu się tonie, tylko w kałuży.

I dopiero w tej chwili Nierzyn spostrzegł, że Spirydon jest jakoś bardzo nieswój; samo rozstanie z przyjacielem tego nie objaśniało. I tu dopiero przypomniał sobie, że wczoraj — przez nowe szykany więziennego kierownictwa, przez polowanie na kapusiów, aresztowanie Ruśki, przez rozmowę z Símoczką — zupełnie zapomniał, że Spirydon miał dostać list z domu. Odłożył więc książkę.

— A list?! Dostałeś list, Daniłycz?

Spirydon trzymał już był rękę w kieszeni właśnie na tym liście. Teraz go wydobył — koperta złożona była w pół i już przetarta na zgięciu.

— Tu jest... Ale kiedy nie masz czasu... — wargi Spirydona drgnęły.

Ileż to razy od wczorajszego dnia ta koperta zginała się i znów rozginała! Adres napisany był dużym, krągłym, ufny charakterem pisma córki Spirydona, takim jaki jej został po piątej klasie szkoły powszechnej, bo chodzić do wyższych klas Wierze nie było już dane.

Jak to już mieli w zwyczaju. Nierzyn zaczął czytać pismo na głos:

„Kochany mój tatusiu!

Nie tylko pisać, ale nawet żyć nie mam już więcej śmiałości. Jacy to niedobrzy ludzie są na świecie, co mówią różne słowa — a oszukują...”.

Nierzynowi głos się zapadł. Podniósł wzrok na Spirydona, zobaczył jego otwarte, prawie ślepe, nieruchome oczy pod krzaczystymi, grubymi brwiami. Ale nie miał nawet sekundy na namysł, nie zdążył znaleźć rzetelnego słowa pociechy — bo już drzwi się otworzyły i wpadł rozgniewany Nadielaszyn.

— Nierzyn! — krzyknął. — Jak z wami po dobremu, to na głowę człowiekowi wżazicie? Wszyscy już gotowi — a na was czekać?!

Nadzorcy chcieli jak najspieszniej zgromadzić w sztabie wyznaczonych do transportu jeszcze przed przerwą na obiad, żeby nie dać im już się spotkać z nikim więcej.

Nierzyn jedną ręką objął Spirydona za gęsto zarośnięty, niestrzyżony kark.

— Prędeży! Prędeży! Ani chwili dłużej — pilił minor.

— Daniłycz-Daniłycz — mówił Nierzyn obejmując rudego stróża.

Spirydon westchnął, w piersi mu zachrypiało, machnął ręką.

— Żegnaj Glebie.

— Żegnaj na zawsze, Spirydon Daniłycz!

Pocałowali się. Nierzyn zabrał rzeczy i wyszedł szybko razem z dyżurnym.

A Spirydon ręką obrosłą wieloletnim, nie dającym się zmyć brudem, sięgnął po leżącą na łóżku, otwartą książkę w obwolucie osypanej klonowymi liśćmi, założył ją listem córki i poszedł do swojej izby.

Nawet nie zauważył, że strącił kolanem swoją kudłatą czapkę i że została na podłodze.

## LXXXVII

### M I Ę S O

W miarę jak wyznaczonych na etap więźniów spędzano do sztabu — byli oni poddawani rewizji, po zrewidowaniu zaś — wpychano ich do zapasowej, pustej izby, gdzie stały dwa gołe stoły i jedna grubo ciosana ława. Nie odstępował ich ani na krok sam major Myszyn, czasami zaś zaglądał też pułkownik Klimientiew. Spasionemu, fioletowemu majorowi nieporęcznie było pochylać się nad workami i walizkami (zresztą — nie przystało ze względu na rangę) ale jego obecność przyczyniała się do szczególnej gorliwości podkomendnych *h i n t ó w*. Z zapalem grzebali więc we wszystkich aresztanckich szmatach, węzełkach, a szczególnie już czepiali się wszelkich papierków. Istniała instrukcja, że wyjeżdżający ze specwięzienia nie mieli prawa zabierać ze sobą ani świstka zapisanego, zarysowanego, czy zadrukowanego. Dlatego większość zeków zawczasu spaliła wszystkie listy, zniszczyła kajety z notatkami dotyczącymi ich fachu i rozdarowała książki.

Jeden z więźniów, inżynier Romaszow, który miał do końca kary tylko sześć miesięcy (odpukał już dziewiętnaście i pół roku) otwarcie wiozł dużą tekę wiele lat zbieranych wycinków, notatek i prac obliczeniowych dotyczących montażu elektrowni wodnych (sądził, że jedzie do Kraju Krasnojarskiego i bardzo liczył na to, że zatrudnią go tam w jego fachu). Chociaż teczkę tę przeglądał osobiście inżynier-pułkownik Jakonow i napisał na niej, że zgadza się na jej zabranie, chociaż major Szykin już posyłał ją do Zarządu i tam też postawili swoją wizję — cała ta wielomiesięczna, opętańcza przezorność i uporczywa praca Romaszowa okazała się daremna; major Myszyn oznajmił teraz, że j e m u nic o tej teczce nie wiadomo i kazał ją więźniowi odebrać. Zabrano ją więc i wyniesiono, inżynier zaś Romaszow

popatrzył tylko w ślad za nią ostygniętymi, do wszystkiego przyzwyczajonymi oczyma. Przeżył już kiedyś wyrok śmierci, i transport bydłęcymi wagonami z Moskwy do Sowgawani, i na Kołymie w szybie podstawił już nogę pod ceber do windowania rudy, żeby goleń trzasnęła pod cebrem i potem szpitalnym leżeniem ratował się przed białą śmiercią na polarnych o g ó l n y c h r o b o t a c h. Nad zagładą plonów dziesięcioletniej pracy nie warto teraz było łez ronić.

Inny więzień, niziutki, łysy konstruktor Sjomuszkin, który w niedzielę z taką starannością zajmował się cerowaniem skarpetek, był nowicjuszem, siedział wszystkiego jakieś dwa lata i to cały czas po więzieniach, albo w *szaraszce* i teraz ogromnie był przerażony wyjazdem do łagru. Ale nie bacząc na przestrach i rozpacz, usiłował uratować dla siebie małą tomik Lermontowa, który był dla niego i jego żony relikwią rodzinną. Błagał majora Myszyzna o zwrot książeczki, załamywał ręce, jak dzieciak; ku zgorszeniu doświadczonych, znających swoją godność zeków usiłował wedrzeć się do gabinetu podpułkownika (nawet go nie wpuszczono); i nagle wyrwał Lermontowa z rąk kuma (przestraszony Myszyzn skoczył w stronę drzwi myśląc, że to sygnał do buntu) z siłą, której nikt w nim nie podejrzewał jednym szarpnięciem oderwał książkę od okładki, zieloną, wytłaczaną okładkę cisnął gdzieś na bok, stronicę zaś książeczki zaczął wrywać pasami, spazmatycznie płacząc i krzycząc:

Macie! Żyjcicie! Wypchajcie się! — i rozrzucił je po całym pokoju.

K i p i s z t r w a ł d a l e j .

Wychodzący po rewizji więźniowie z trudem poznawali się nawzajem; rozkazano im zrzucić na jedną kupę granatowe kombinезony, na drugą — więzienną bieliznę z pieczęciami, na trzecią płaszcze, jeżeli jeszcze nie były obszarpane i teraz przebierali się we własne rzeczy, albo w odzież n a z m i a n ę. Przez lata pracy w *szaraszce* nie dorobili się nowych ubrań. I nie było to wynikiem złośliwości, ani skąpstwa ze strony kierownictwa. Kierownictwu patrzyło na palce oko księgowości.

Dlatego niektórzy z nich, nie bacząc na surową, zimową porę, zostawali teraz bez ciepłej bielizny i wkładali na siebie majtki i gimnastyczne koszulki przez wiele lat butwiejące w ich workach w magazynie, takie same nieprane, jak w dniu przybycia z obozu; inni wzuwali niezgrabne, obozowe o k u l a k i (u kogo takie okulaki znaleziono w worku, temu zaraz zabierano półbuty „wolnościowego” typu razem z kaloszami), jeszcze inni — podkute buty ze sztucznej skóry, dzieci zaś szczęścia — walonki.

Walonki! Druga dusza więźnia!... Najbardziej wyzute z praw

stworzenie ziemskie, gorzej zabezpieczone przed przyszłą niedolą, niż żaba, kret, albo mysz polna — zek jest bezbronny wobec kaprysów losu. Jeśli nawet znajdzie schronienie w najgłębszej cieplej norce, to i tak nie może być pewien, że już następnej nocy nie będzie narażony na wszystkie okropności zimy, że nie wyciągnie go ręka z błękitną wypustką na rękawie i nie rzuci na biegun północny. Biada wtedy nogom nieobutym w walonki! Po przyjeździe na Kołymę ciężarówką, zek dotknie ziemi dwoma odmrożonymi soplami lodu. Zek bez własnych walonek całą zimę żyje psim śwędem, łże, oszukuje, musi znosić upokorzenia ze strony najnędrniejszych istot, albo sam musi innych gnębić, byle by tylko nie dostać się do zimowego transportu. Ale zek we własnych walonkach na nogach może nie znać strachu! Zuchwale patrzy zwierzchności w oczy i z uśmiechem Marka Aureliusza odbiera rozkaz wyjazdu.

Chociaż na polu była odwilż, wszyscy, którzy mieli własne walonki, w ich liczbie Chorobrow i Nierzyn — częściowo, żeby mniej taszczyć na grzbiecie, ale przede wszystkim, żeby poczuć ich uspakajające, rześkie ciepło całymi nogami — wzuli walonki i dumnie przechadzali się po pustym pokoju, chociaż jechali dziś tylko do więzienia Butyrskiego, a tam wcale nie było zimniej, niż w *szaraszce*. Tylko nieustraszony Gerasymowicz, który odmówił łapania ludzi, nie miał nic własnego i magazynier dał mu „na zmianę” zbyt szeroki dla niego, w żaden sposób nie dający się zapiąć kaftan o przydługich rękawach „już używany” i także już używane buty ze sztucznej skóry z tępymi noskami.

Szczególnie śmiesznie wyglądał w tej odzieży, bo nie zdjął swoich binokli.

Rewizja była skończona, wszystkich dwudziestu zeków wypchnięto razem ze skontrolowanymi rzeczami do pustej poczekalni, drzwi się za nimi zamknęły i aż do przyjazdu suk i pilnować miał ich wartownik postawiony przed wejściem. Inny jeszcze strażnik otrzymał rozkaz chodzenia pod oknami, gdzie — ślizgając się co krok — miał odpędzać zeków, którzy mogli przyjść się pożegnać podczas przerwy obiadowej.

W ten sposób uległy zerwaniu wszystkie związki dwudziestu wyjeżdżających z tymi co pozostali w *szaraszce* — pozostawało dwustu sześćdziesięciu jeden.

Wyznaczeni na etap jeszcze tu byli, ale właściwie już ich nie było.

Rozsiedli się byle jak na swoich rzeczach i na ławach; z początku wszyscy milczeli.

Każdy myślał jeszcze o rewizji — co im zabrano, co udało się przenieść.



Myśleli o *szaraszce* — jakie to dobrodziejstwa stracili teraz, jaką część kary w niej odbyli i jaka im jeszcze została.

Więźniowie lubią liczyć lata: i te już stracone i te, które dopiero mają stracić.

Ponadto rozmyślali o bliskich, z którymi nie od razu uda się nawiązać łączność, i że znowu trzeba będzie prosić ich o pomoc, bowiem GUŁąg to taki kraj, w którym dorosły mężczyzna pracując dwanaście godzin dziennie, jakoś nie może zarobić na swoje utrzymanie. Rozmyślali o myślnych krokach — albo świadomych decyzjach, które skazały ich na ten nowy etap.

I o tym, dokąd też ich teraz posła? Co ich czeka u kresu drogi? i jak się tam urządzać.

Różne to były myśli, ale wszystkie niewesołe.

Każdy szukał jakiejś pociechy i nadziei.

Dlatego też, gdy znowu zaczęli rozmawiać i ktoś powiedział, że może wcale ich nie wiozą do łagru, ale do innej *szaraszki*, zaczęli się przysłuchiwać nawet ci, którzy zupełnie w to nie wierzyli.

Wszak i Chrystus w Ogrojcu, w Gethsemani, dobrze znając swoje gorzkie przeznaczenie, wciąż jeszcze modlił się i żywił jakąś nadzieję.

Naprawiając uchwyt walizki, który ciągle mu się urywał, Chorobrow kłął głośno:

— Ach, psie nasienie! Co za gady! Zwyczajnej walizki też nie potrafią zrobić! Patrzcie, jakaś wywłoka wprowadziła racjonalizację, prać jej mać, kawał drutu zwyczajnie zaginają dwoma końcami i tak wsuwają luźno w uszko rączki. Póki walizka pusta — jakoś trzyma, ale spróbuj ją wypakować, to co?

I kawałkami cegły, sypiącymi się z pieca postawionego tą samą, szybkościową metodą, Chorobrow ze złością wbijał końce drutów w uszko. Nierzyn dobrze rozumiał Chorobrowa. Przy każdym zetknięciu z ponizieniem, lekceważeniem, pogardą, szykaną, Chorobrow wpadał we wściekłość — ale czy można o tym mówić spokojnie? Czy można wytwornymi słówkami wyrazić krzyk ponizanego człowieka? Właśnie teraz, gdy już przebrał się w strój obozowy, gdy już jechał do łagru, Nierzyn sam czuł, że został mu przywrócony ważny składnik męskiej swobody: móc każde pięć słów przeplatać przekleństwem.

Romaszow półgłosem tłumaczył nowicjuszm, jakimi trasami wozi się zwykle więźniów na Syberię. Porównując kujbyszewskie więzienie etapowe z gorkowskim i kirowskim, bardzo chwalił to pierwsze.

Chorobrow przestał pukać i z taką złością cisnął cegłą o podłogę, aż się rozpadła na czerwony proszek.

Tymczasem Nierzyn, czując jak w łagrowym stroju nabiera tupetu, wstał z ławy, przez wartownika wezwał Nadięszyna i oznajmił pełnym głosem:

— Obywatelu dyżurny! Widzimy przez okno, że od pół godziny ludzie jedzą już obiad. Dlaczego nam go się nie przynosi?

Minor przestąpił niezręcznie z nogi na nogę i powiedział ze współczuciem:

— Wy już dzisiaj... jesteście skreśleni z zaopatrzenia...

— Jak to, skreśleni? — i słysząc za plecami solidarny szmer, Nierzyn zaczął rąbać: — Zameldujcie naczelnikowi więzienia, że bez obiadu nigdzie nie pojedziemy i nie pozwolimy załadować się siłą!

— Dobrze, zamelduj! — natychmiast ustąpił lejtnant. I ze skruszoną miną ruszył do komendanta.

Nikt w izbie nie miał wątpliwości, czy w ogóle warto się w to bawić. Napiwek wzdurliwej szlachetności, którym szafują żyjący w dostatku wolniacy — dla zeków jest bzdurą.

— Słusznie!

— Zasuń im!

— Już biorą za gardło, gady!

— Śledziarze! Trzy lata człowiek pracował, a jednego obiadu mu pożałowali!

— Nigdzie nie pojedziemy! Bardzo po prostu! Co nam mogą zrobić!?

Nawet ci, którzy zawsze byli potulni i posłuszni, teraz nabrali śmiałości. Wolny wiatr etapowych więzień już im dmuchał w twarz. Ten ostatni obiad z mięsem niósł w sobie nie tylko ostatni dar sytości przed miesiącami i latami bałandy — w tym ostatnim mięsnym obiedzie wyrażała się ich ludzka godność. Nawet ci, którym w gardle zaschło z podniecenia, którzy zupełnie teraz nie mogli jeść, nawet ci, zapomniawszy o ciężkiej trosce czekali teraz i domagali się tego obiadu.

Z okna widać było ścieżkę łączącą sztab z kuchnią. Było widać, jak do drwali podjechała tyłem ciężarówka, a na jej platformie samotnie leżała duża choinka; jej wierzchołek i świerkowe łapy zwisały na boki. Z szoferki wyszedł więzienny administrator, z platformy zeskoczył strażnik.

Tak, podpułkownik dotrzymał słowa. Jutro, pojutrze, postawią choinkę w półkolistej izbie; zamknięci w więzieniu ojcowie, oderwani od własnych dzieci, sami się w dzieci zamieniają, obwieszają ją zabawkami (nie żałując roboczego dnia na ich majstrowanie), powieszają koszyczek Klary i jasny miesiącek w szklanej klatce; staną kołem, wąsaci, brodaci i zagłuszając śpiewem wilcze wycie swojego losu zaśmieją się gorzko, sunąc w krąg:

*„Choinka w lesie rodzi się,  
Choinka w lesie rośnie...”*

Było widać jak patrolujący pod oknami strażnik odpędza Priancykowa, który usiłował dorwać się do siedzących w zamknięciu zeków i krzyczał coś potrząsając wzniesionymi rękoma.

Było widać, jak minor Nadielaszyn dreptał w stronę kuchni z miną zafrasowaną, potem do sztabu, znowu do kuchni i potem znów do sztabu.

Widzieli jeszcze, jak kazano ściągać choinkę z ciężarówki Spirydonowi, nie pozwalając mu skończyć obiadu. Ocierał w biegu wąsy i zaciągał pas.

Minor nie podreptał już, tylko prawie pobiegł w końcu do kuchni i wkrótce wyprowadził stamtąd dwie kucharki niosące kocioł, a za nimi podkuchenną. Podkuchenna niosła stos głębokich talerzy. Nie chcąc pośliznąć się i rozbić naczyń, kobieta zatrzymała się. Minor zawrócił i wziął część.

W izbie wszyscy się ożywili, to było zwycięstwo.

Obiad zjawił się w drzwiach. Zaraz też na brzegu stołu, zaczęto rozlewać zupę, więźniowie zaś brali talerze i zanosili do swoich kątów, stawiali je na parapetach okiennych i walizkach. Niektórzy usiłowali jeść na stojąco, opierając się o stół. Ławek koło niego nie było.

Minor wyszedł razem z kucharkami. W pokoju zapanowało to prawdziwe milczenie, które zawsze powinno towarzyszyć jedzeniu. Ci, co jedli, tak myśleli: zawieszista zupa, może jeszcze trochę zbyt rzadka, ale wyraźnie czuje się w niej mięso; teraz biorę do ust łyżkę, teraz jeszcze jedną, łykam ten płyn z oczkami tłuszczu, z białymi włókienkami rozgotowanego mięsa; ciepłym strumieniem spływa mi wzdłuż przełyku, teraz wlewa się do żołądka — a krew i mięśnie zawczasu już wypełniają się radością w przeczuciu nowej porcji siły i nowej treści dla swoich komórek.

„Dla mięsa kobieta za mąż idzie, dla barszczu człowiek się żeni” — przypomniał sobie Nierzyn przysłowie. Rozumiał je w tym sensie, że mąż ma zdobywać mięso, a żona ma gotować na nim barszcz. Lud w swoich przysłowiach nie mędrkował i nie usiłował udawać wzniosłych zamiarów. W krocich tysięcy przysłów lud mówił o sobie samym szczerzej, niż Tołstoj i Dostojewski w drukowanych spowiedziach.

Kiedy zupa już się kończyła i aluminiowe łyżki skrobnęły o dno talerzy — ktoś powiedział śpiewnie i bezosobowo:

— No taaak...

A z któregoś kąta dobiegło:

— Dobrze by zjeść na zapas, chłopaki!

Jakiś malkontent wtrącił:

— Czerpali z samego dna, a przecież nie gęsta. Pewno całe mięso dla siebie wzięli.

Jeszcze ktoś inny powiedział smętnie:

— Kiedyż to teraz doczekamy się choćby tego!

Wówczas Chorobrow puknął łyżką w swój pusty już talerz i powiedział dobitnie, a słychać było jak bunt już mu dławi gardło:

— Nie, przyjaciele, lepszy chleb z wodą, niż pieróg ze sromotą!

Nikt mu nie odpowiedział.

Nierzyn zaczął pukać i domagać się drugiego dania.

Minor zjawił się natychmiast.

— Już zjedzone? — zapytał z życzliwym uśmiechem, przypatrując się wysyłanym do obozu zekom. I gdy przekonał się, że ich twarze mają wyraz dobroduszny, towarzyszący sytości — powiedział to, czego więzienne doświadczenie kazało mu nie mówić wcześniej: — A drugiego, niestety, zabrakło. Już kocioł myją, o... Bardzo przepraszam.

Nierzyn obejrzał się na innych — czy podnieść raban? Ale jak to u Rosjan, już im się odechciało.

— A co tam było na pieczyste? — zapytał ktoś basem.

— Gulasz — powiedział minor ze wstydliwym uśmiechem.

Paru westchnęło.

O deser jakoś nikt się nie upomniał.

Za ścianą rozległ się warkot silnika samochodowego. Minor został wezwany, mógł wreszcie odejść bez kłopotu. W korytarzu zadudnił surowy głos podpułkownika Klimentiewa.

Zaczęto ich pojedynczo wyprowadzać.

Nie było sprawdzania personaliów, bo miejscowy konwój miał ich odwiedzić aż do Butyrek i tam dopiero przekazać innym. Ale za to liczyli. Odliczali każdego, kto stawiał ten krok, tak już znany i tak fatalny — na wysoki stopień więziennej karetki, z głową nisko zgiętą, żeby nie uderzyć o żelazną framugę, z plecami przywalonymi ciężarem łańców, niezgrabnie zaczepiających o boczne ścianki przełazu.

Nikt ich nie odprowadzał — przerwa na obiad już się skończyła, zeków zapędzono ze spacernika pod dach.

Tył karetki stykał się prawie z progiem sztabu. Przy wsiadaniu — chociaż nie towarzyszyło mu zaciekle ujadanie owczarków — panował tłok i kurczowy pośpiech, który wygodny jest tylko dla konwojentów, ale zaraża również zeków, nie pozwalając im rozejrzeć się i zdać sobie sprawę z własnej sytuacji.

W ten sposób wsiadło po kolei osiemnastu i ani jeden z nich nie podniósł głowy, aby pożegnać się z wysokimi, pełnymi spokoju lipami, które długie lata szumiały nad nimi we wszystkich jasnych i ciemnych chwilach.

Ale dwóch, którzy zdołali jednak się rozejrzeć — Chorobrow i Nierzyn — rzuciło okiem nie na lipy, tylko na bok samochodu, specjalnie, żeby przekonać się, jakiego też jest koloru.

Przeczcucie ich nie omyliło.

Mijały już czasy, kiedy po ulicach śmigały ołowiano-szare i czarne suk i budząc paniczny lęk w przechodniach. Po wojnie ktoś wpadł na genialny pomysł: żeby konstruować karetki tego samego kształtu, co wozy do transportu żywności, malować je z zewnątrz tak samo, w pomarańczowe i niebieskie pasy, dając napisy w czterech językach:

CHLIEB. PAIN. BROT. BREAD

albo:

MIASO. VIANDE. FLEISCH. MEAT.

I teraz, wsiadając do suk i, Nierzyn zdołał zboczyć o krok i przeczytać: MEAT.

Następnie przecisnął się z innymi przez pierwsze, wąskie i drugie — jeszcze węższe — drzwiczki, przydeptał komuś nogi, przesunął swój worek po czyichś kolanach i usiadł.

Trzytonowa karetka nie była wewnątrz dzielona na boksy, to znaczy na dziesięć żelaznych pudeł, do każdego z których pakowano jednego aresztanta. Nie, była to karetka typu „ogólnego”, to znaczy — przeznaczona nie do przewozu więźniów śledczych, lecz już skazanych. Znacznie zwiększało to jej pojemność. W tylnej części — między dwojgiem żelaznych drzwi z maleńkimi, zakratowanymi okienkami — karetka miała ciasny przedział dla konwojentów, gdzie — po zamknięciu wewnętrznych drzwi od zewnątrz, a zewnętrznych od środka — ledwie mieściło się ich dwóch, też zresztą z podkurczonymi nogami. Z kierowcą i naczelnikiem konwoju porozumiewali się przez specjalny przewód akustyczny wbudowany w karoserię. Tylny przedział był tak ciasny, bo wydzielono z niego jeszcze malutki zapasowy boks dla ewentualnego buntownika. Cała pozostała przestrzeń karetki składała się na jedną dużą, niską, metalową pułapkę, na myszy, gdzie według normy miało się mieścić dwudziestu ludzi. (Jeśli zaś drzwi przy zamykaniu dało się dobrze docisnąć czterema buciarami, to można było upchać nawet większą ilość).

Wzdłuż trzech ścian tej wspólnej pułapki ciągnęły się ławki i niewiele już miejsca zostawało po środku. Komu się udało, ten usiadł, ale to wcale nie był najlepszy los, bo kiedy karetka się zapełniła, na ich ściśniętych kolanach, na podwiniętych, drę-

twięjących nogach rychło znalazły się cudze bagaże i nawet inni więźniowie — a w tym tłoku nie miało sensu mieć pretensji, czy przeproszać kogoś, ruszyć się zaś, czy zmienić pozycji nie można było przez całą godzinę. Strażnicy wepchnęli ostatniego więźnia, wparli się w drzwiczki i zatrzasnęli je.

Ale zewnętrzne drzwi do ich przedziału jeszcze się nie zamykały. Jeszcze jedna postać weszła na tylny stopień, nowy cień mignął za kratką okienka wentylacyjnego.

— Chłopaki! — rozległ się głos Ruśki. — Jadę do Butyrek na śledztwo! Kto tu jest? Kogo wywożą?

Wszyscy zaczęli krzyczeć naraz — odpowiedziało mu wszystkich dwudziestu zeków, obaj strażnicy też krzyknęli, żeby zamilkł, a z progu sztabu Klimentiew huknęła, żeby strażnicy nie gapili się i nie pozwalali więźniom na rozmowy.

— Ciszey, takie syny! — ryknął ktoś w karetcie.

Zrobiło się cicho i było słycać, jak strażnicy kokoszą się i przebierają nogami chcąc jak najprędzej wepchnąć Ruškę do boksu.

— Kto cię sypnął, Ruśka? — krzyknął Nierzyn.

— Syromacha.

— To gaad! — od razu się rozległo.

— A ilu was? — krzyknął Ruśka.

— Dwudziestu.

— Kto taki?...

Ale już go wepchnęli do boksu i zamknęli.

— Nie łam się, Ruśka! — krzyczano mu. — Spotkamy się w łagrze!

Jak długo otwarte były drzwi zewnętrzne, do wnętrza karetki przedostawało się jeszcze trochę światła. Ale oto i one się zamknęły, głowy konwojentów odgrodziły ich od ostatnich niepewnych promyków przesączających się przez kratki w dwojgu drzwiach, zaterkotał silnik, samochód drgnął i ruszył z miejsca; teraz twarze zeków oświetlały nikłe odblaski tylko wtedy gdy wóz silniej się zakołysał.

Ta krótka wymiana okrzyków między jedną celą a drugą, ta gorąca iskra przesakująca czasem między głazami i żelazem, powoduje zawsze wielkie podniecenie wśród więźniów.

Nie zdążyli ujechać daleko, a już karetką się zatrzymała. Jasne, to była wartownia.

— Ruśka! — krzyknął jakiś zek. — Czy biją?

Odpowiedział nie od razu i głucho:

— Biją...

— A prac by tak Szyszkina-Myszkina! — zawołał Nierzyn.

— Nie daj się Ruśka!

I znów kilku naraz krzyknęło — aż nie można było słów rozróżnić w zgiełku.

Ruszyli, przejechali obok wartowni, potem ostro ich szarpnęło w prawo, co oznaczało zwrot w lewo, na szosę.

Przy tym skręcie ramiona Gerasymowicza i Nierżyna mocno się do siebie przycisnęły. Popatrzyli wzajem na siebie, próbując zobaczyć swoje twarze w półmroku. Łączyło ich już coś więcej, niż ciasnota karetki.

Ilia Chorobrow, pokrzykując w tym tłoku i w ciemnościach, tak powiedział:

— Nie szkodzi, chłopaki, nie żałujcie że nas wywieźli. Co to za życie w tej *szaraszce*? Idzie człowiek korytarzem — w Syromachę może wdepnąć. Co piąty — *świruje*, nie zdąży człowiek w klozecie bąka puścić — zaraz kum o tym wie. Niedziel już od dwóch lat nie dawali, łajdaki. Praca dwanaście godzin dziennie! Za dwa deka masła cały mózg kładź im na talerz. Teraz korespondencji z rodziną zabronili! Prać ich mać! I tak ma człowiek pracować? Ależ to jakieś piekło!

Chorobrow umilkł, dyszał oburzeniem.

W ciszy, która nastąpiła, przy akompaniamencie równego warkotu silnika, cicho pracującego na asfalcie, wyraźnie rozległy się słowa Nierżyna:

— Nie, Terentiucz, to nie piekło. To nie piekło! Jedziemy teraz do piekła. Wracamy do piekła. A *szaraszka* — to najwyższy, najlepszy, pierwszy krąg piekielny. To prawie raj.

Nie mówił już nic więcej czując, że to niepotrzebne. Wszyscy wiedzieli przecież, że to co ich czeka, będzie niepomiernie gorsze niż *szaraszka*. Wszyscy wiedzieli, że w obozie będzie się wspominać *szaraszkę* jak złoty jakiś sen. Ale teraz — żeby nabrać otuchy, żeby uwierzyć w słuszność swojej sprawy — trzeba było wieszać psy na *szaraszce* żeby nikt nie żałował, żeby nikt sobie nie wyrzucał jakiejś popełnionej omyłki.

A Chorobrow powtarzał swoje:

— Nie, chłopaki, lepszy chleb z wodą, niż pieróg ze sromotą.

Zasłuchani w warkot silnika więźniowie umilkli.

Tak, czekała na nich tajga i tundry, biegun zimna Oj-Miakon i kopalnie miedzi w Dżezkaganie. Znów czekał na nich kilof i taczka, głodowa porcja mokrego chleba, szpital, śmierć. Czeakało ich wszystko, co najgorsze. Ale spokój mieli w duszy.

Czuli w sobie męstwo, właściwe ludziom, którzy stracili w s z y s t k o, bez reszty — męstwo, które nabywa się z trudem, ale już na długo.



Telepiąc w swoim wnętrzu stłoczonymi, ściśniętymi ciałami ludzkimi — wesoły, pomarańczowo-niebieski furgon jechał już ulicami miasta, minął jeden z dworców i zatrzymał się na skrzyżowaniu. Przed tym samym czerwonym sygnałem zahamowało lśniąć ciemnobordowym lakierem auto korespondenta gazety *Liberation*, jadącego na stadion „Dynamo”, na mecz hokejowy. Korespondent przeczytał na furgonie:

MIASO. VIANDE. FLEISCH. MEAT.

Przypomniał sobie, że widział już dzisiaj w różnych dzielnicach Moskwy niejeden taki samochód. Wyjął notes i napisał długopisem, też ciemnobordowym:

„Na ulicach Moskwy raz po raz spotkać można autofurgony do przewożenia żywności, bardzo czyste, odpowiadające wszelkim sanitarnym wymogom. Trudno nie uznać zaopatrzenia stolicy za doskonałe”.

1955-1964

194	Badanie opiumu	LXXV
183	200 czwartej zębów tabli	LXXIV
173	Danej insygnium	LXXIII
164	Bierny sekret	LXXII
156	Ułanianie tajnie	LXXI
152	Łódka na podwozie	LXX
143	W gościnie	LXIX
137	Kompozycja	LXVIII
130	Przyjście krawca	LXVII
121	Kajowany krawca	LXVI
118	Dani	LXV
112	Zobowiązanie	LXIV
108	Kryzys	LXIII
97	Żywność	LXII
92	Chodzenie w łódce	LXI
83	Podjęcie krawca	LX
74	Pracownicy krawca	LIX
68	Krawca	LXVIII
57	Złoty	LXVII
46	Przyjście	LXVI
37	Złoty	LXV
24	Ułanianie	LXIV
15	Ułanianie	LXIII

## SPIS ROZDZIAŁÓW

### Część Druga

LII.	—	<i>Więzienne bagatele</i> .....	7
LIII.	—	<i>Biesiada licealna</i> .....	14
LIV.	—	<i>Uśmiech Buddy</i> .....	24
LV.	—	<i>Ale ma się tylko jedno sumienie</i> .....	36
LVI.	—	<i>Przyjęcie</i> .....	46
LVII.	—	<i>Zięciowie</i> .....	55
LVIII.	—	<i>Zubr</i> .....	65
LIX.	—	<i>Pierwsi wdzieraliśmy się do miasta</i> ....	74
LX.	—	<i>Pojedynek wbrew zasadom</i> .....	83
LXI.	—	<i>Chodzenie w lud</i> .....	93
LXII.	—	<i>Spirydon</i> .....	97
LXIII.	—	<i>Kryterium Spirydona</i> .....	106
LXIV.	—	<i>Zaciskając pięści</i> .....	112
LXV.	—	<i>Dotti</i> .....	118
LXVI.	—	<i>Rapieru ostry brzeszczot</i> .....	121
LXVII.	—	<i>Przybytki świeckie</i> .....	130
LXVIII.	—	<i>Kosmopolita</i> .....	135
LXIX.	—	<i>W poniedziałek rano</i> .....	142
LXX.	—	<i>Beczka na podwórku</i> .....	152
LXXI.	—	<i>Ulubione zajęcie</i> .....	156
LXXII.	—	<i>Etatowy sekretarz</i> .....	164
LXXIII.	—	<i>Dwaj inżynierowie</i> .....	173
LXXIV.	—	<i>Sto czterdzieści siedem rubli</i> .....	183
LXXV.	—	<i>Budzenie optymizmu</i> .....	194

LXXVI.	—	<i>Król konfidentów</i> .....	201
LXXVII.	—	<i>Co do rozstrzelania...</i> .....	206
LXXVIII.	—	<i>Uczeń Epikura</i> .....	216
LXXIX.	—	<i>To nie mój fach</i> .....	222
LXXX.	—	<i>U źródeł nowej nauki</i> .....	230
LXXXI.	—	<i>Nie, nie siebie!...</i> .....	239
LXXXII.	—	<i>Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją!</i>	250
LXXXIII.	—	<i>Bezterminowo!</i> .....	260
LXXXIV.	—	<i>Drugi oddech</i> .....	274
LXXXV.	—	<i>Ranek przed egzekucją</i> .....	288
LXXXVI.	—	<i>Żegnaj szaraszko!</i> .....	294
LXXXVII.	—	<i>Mięso</i> .....	307

(Wydanie drugie. Wydanie pierwsze ukazało się w roku 1970 jako tom 187 Biblioteki „Kultury”)



I/II 60 F. (dol. 12,50; £ 5,25)